

ZYGMUNT HAUPT

PIERŚCIEŃ Z PAPIERU

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1963

PIERŚCIEŃ Z PAPIERU

IMPRIMERIE EN FRANCE

LES ÉDITIONS LITÉRAIRES GÉNÉRALISTES

17, rue de la Harpe, 17
75001 PARIS

BIBLIOTEKA "KULTURY"
Tom LXXXVI

IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

ZYGMUNT HAUPT

PIERŚCIEŃ Z PAPIERU

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1963

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001004809556



II 249.052

© Copyright by INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., 1963.

1963 Q 1251

STYPA

W przedziale było bardzo gorąco i jaskrawo od palących się gazowych lamp i ciasno od tłumu jadących. Ale nie mogłem zasnąć i patrzyłem na jadących współpasażerów, trochę inteligentów, baby z koszami i szwargoczący Żydzi. Za szybą była czarna noc, migająca w szybkim biegu pociągu i odbijały się w niej światła wagonu i jego wnętrze.

Ojciec siedział, nic nie mówiący, z przymkniętymi oczami i wydawało się że śpi nie-śpi. Potem pochylił się ku mnie i położył mi głowę na kolanach i wydawało się że zasnął. Coś mi ścisnęło gardło od tego, od tego że ojciec złożył swą głowę na mych kolanach, widziałem jego siwiejące włosy i żyły na skroniach. Było mi trochę wstrętne od tego i niezwyczajnie, powtarzam nigdy nie było między nami rozczulających gestów i zbliżeń. Ale byłem bardzo zmęczony i odurzony podróżą.

Nawet nie wiem kiedy stanęliśmy na stacji przeznaczenia. Było już bardzo późno w nocy, a przed nami mieliśmy jeszcze długą drogę końmi.

Pod zajazdem stacji czekały sanie i chłop w baraniej czapie i kozuchu, z sękatym biczyskiem i jeszcze ktoś przysiadł się do nas, na tę podróż. Na dworze było czarno od nieba i białe od śniegu. Włożono na mnie jakieś płaszcze z dorosłych osób, kilka takich płaszczy i bund, ojciec wciągnął na siebie olbrzymią szubę baranią, wyglądał w niej jak góra. Zagrzebano mnie w nogach siedzenia w słomę i przykryto po czubek nosa.

Sanie zasunęły zaraz po śniegu i ruszyliśmy. Naprzód jechało się od stacji gościńcem, białym teraz od śniegu w stronę miasteczka, słupy telegraficzne i ogrodzenia ogrodów niknące w nocy. Potem krótko miasteczko, z bardzo skąpymi światłkami po tak późnej nocy, potem przejeżdżało się koło młyna nad

zamarzniętym stawem i droga była już gminna i krzywa. Było potężne zimno, mróz, ale cicho i jedynie od pędu sań w kłusie zawiewało tym mrozem po policzkach i kłuło w nosie. Ciekawie wyglądałem spod mego przykrycia, już bardzo wytrzeźwiałem ze snu. Konie szły kłusika, nie poznawałem ich, były gniade i włochate i nieznajome. Śmierdziało od nich końską stajnią. Jak z tyłu patrzeć na nie to zabawnie, tylko zady i ixy nóg szybko odrywających się od ziemi i wyżej widać strzygące uszy i parskanie. Małe grudki śniegu odrywały się od podrywanych kopyt i śmigały w tył i głuchy tupot po śniegowej warstwie jakby biegły w filcowych pantoflach i jedynie czasem lejcowy wałach, zaczepiając kopyta tylnych nóg, krzesał iskry o podkowy i dźwięczała sucho podkova. Czasem sanie szły w zatokę, kiedy wyslizgany lód pod śniegiem nie dawał oparcia bosym saniom i raz lub dwa szły całkiem w poprzek drogi i wtedy woźnica zdzierał je batem po grzbietach i kłął: „A szczo b tebe...” i zmuszał do wyprostowania sztywnego dyszla. Słoma, w której mnie zagrzebano kłuła mnie w uszy.

Jak patrzeć było w noc to nic nie było widać. W górze niebo które było czarne i granatowe i mogło być bardzo wysoko albo tak nisko, że jak wyciągnąć rękę to można było dotknąć jego niskiego pułapu. A pole uciekało zaraz na krótki dystans i nic dalej. Czasem czernił się mijany krzak głogu, kolczasty i nagi. Czasem mijało się figurę kamienną, krzyż pobielony wapnem, tak bliski temu śniegowi, że prawie go nie było widać, a cóż dopiero mówić o wyrzeźbionych w kamieniu szczegółach. A ja sobie uprzytamniałem tam widziane za innych dni, kalwarię, bardzo niezdarne w kamieniu wyrobioną, kiedy Chrystus skłania głowę w koronie cierniowej na ramię i głowy Jego i stojących na tym samym poziomie Marii i Jana Apostoła są nieproporcjonalnie duże w stosunku do tułowiów i zeschnięte kwiaty adoracji w czasie lata i pracowity a koszlawy napis, wydłubany w piaskowcu.

Nie było drzew, nie było ich w tych bezdrzewnych stronach. Od Zborowa, przez Cecowę, Glinę, Płuczę Małą, Płuczę Wielką, Taurów, Kozowę, Końskie, Popławy, kraj leżał płaski jak tarcza, pod łukiem nieba, otwarty i pusty, leżał polem, jednym oddechem jak ręką zatoczyć, jak okiem zamieść. Czasem urywał się urwiskiem jaru, w którym przeciekała rzeka, która wymyła go tysiące lat przedtem i płynęła teraz kapryśnie wybranym łożyskiem, ażeby z następną powodzią przenieść się w inne i zarość szuwarem i tatarakiem. U urwisk jarów czepiały się wsie, jak zbiegłe do wody stadko gęsi. Chowały się w lecie w gajach konopnych i sterzczały nad nimi kopyły cerkiewne i grusze o osiczynowych liściach.

Ale były to bardzo bezdrzewne okolice. Chaty lepiące były ze słomianych okłotów i gliny, albo stodoły — wyplatano im ściany z chrustu i w miast ogrodzeń i płotów sypano wały, na których sadził się krzak kolczasty, dzikiej róży, głogu i jeżyny. Drzew nie było i budulec woziło się wozami z odległych powiatów i ceniono go na wagę złota, a w piecach palono słomianymi powrośkami. Na całą okolicę słynne dlatego były świerki przed domem mego dziadka. Dziadek zasadził je, jeszcze kiedy się tu zakładał i dom stawał i z tych małych świerkowych choinek po latach wyrosły czarne, samotne, widne z daleka na horyzoncie piramidy świerków, które czarne i żałobne w gorące lato, szarpane wiatrem jesiennym jak chorągwie, stały czarną piłą w środku pól, na straży, urągowisko bezlistnej pustce tego kraju.

Po jakimś czasie, zgubiliśmy drogę. Furman wstrzymał konie: „Hooou!” i zeszedłszy z sani podszedł ku przodowi i zasłoniły go konie, rozbiegany poprzednio dzwonek, zaczepiony u końca dyszla zajęczał raz i drugi samotnie i krystalicznie w ciemności nocy. Ojciec pochylał się z siedzenia i poszukał dłonią w rękawicze po śniegu i powiedział: „Skiby”. Potem furman ujął konie za wodze przy pysku i zaczęliśmy nawracać, ujechałszy stępa kilkadziesiąt kroków i znów zawrócił sanie pod kątem 90 stopni. Było tak czarno, że dalej jak dziesięć kroków nie było widać.

Ojciec kazał mi wygrzebać się i bieć koło sani. Śnieżku było nie dużo tutaj, tyle że przykrywał skiby i potykałem się i było mi zimno, ale ojciec oglądał się na mnie i wołał ruszaj się, i nagle zaczął kłać parobka od matery ale tamten nic tylko prowadził konie przy pysku. Zaczęliśmy teraz podchodzić pod jakąś górę i dziwnie mi było z tą górą, bo były to strony bardzo, zupełnie płaskie i skąd znowu góra?

Dopiero jak ojciec w swej długiej baraniej szubie, zaplątał się w jej poły i upadł w śnieg przestraszyłem się. Nagle myśl straszna przeszła mi przez głowę: Zabłądziliśmy! Dotychczas nic, a teraz jak widziałem że ojciec, taki wielki, olbrzymi w swej szubie, że uosobienie siły i upada w śnieg, to było zbyt wstrząsające. Zacząłem trząść się z dygotu i zimna, które dopiero teraz poczułem.

Wtedy także zaszedł jeden incydent, którego nigdy nie mogłem zrozumieć. Usłyszeliśmy w odległości w dole głos jakiś i jak było wyteżyc wzrok to można był dalej, w ciemnościach zobaczyć coś, plamę ciemną, która zdaje się była inną parą sani i widać tam było jakiegoś człowieka, postać chłopca, który w naszą stronę coś krzyczał i gestykułował. Byłem zmęczony, śpiący i nie mogłem ani tego zrozumieć ani pojąć. Mogłoby to

być coś, w tym rodzaju, że inny człowiek zabił po nocy, albo też mógł to być ktoś kto nas naprowadzał na dobrą drogę i objaśniał, czegoś innego trudno było dopatrywać się w tym, a jednak wydawało mi się że ten człowiek w nocy złorzeczył nam i wygrażał, ale co mogłoby być tego powodem, tego wygrażania i złości do zbłąkanych podróżnych, tego nie mogę pojąć. Może to urodziło się jedynie w wyobraźni niewyspanego i zmęczonego mózgu.

Potem byłem już tak zmęczony, że nie wiem dokładnie co się działo i jak wybrnęliśmy. Przypominam tylko sobie jak sanie ślizgały się w poprzek skib i miedz, albo tarły po oziminach, lekko przysypanych śniegiem, konie zapadające w rowy, po brzuchy w śnieg, jak gramoliliśmy się do sani i jak w końcu o późnej nocy zaczerniały gałęzie świerków, przydmuchanych śniegiem i psy ujadające przed domem.

W domu było napalone i nieznośne gorąco i jacy krewni i ludzie i jaskrawo od światła i zaraz zapakowano mnie do łóżka, miałem trochę gorączki od tej jazdy i było przyjemnie od tej gorączki i od ciepła, głowa uciekła mi gdzieś w dół i nie wiedząc kiedy zasnąłem zmorzony.

A rano, zanim obudzono mnie i zanim ubrałem się, to wszystko zbliżało się ku końcowi. Nawet czarna trumna stała już na zewnątrz domu, na ławie, przed czarnymi świerkami, oddzielającymi dom od drogi i przed nią stał pop, w wielkiej czarnej kapie narzuconej na komżę, opinającą się na futrze, czytał z modlitewnika o złoconych brzegach i sięgał kropidłem do miedzianego naczynia trzymanego przez diaka. Na schodach domu, w przejściu, w bramie i na drodze czernił się tłum, chłopcy w kozuchach i baby w chustkach otulających im głowy. W samej bramie stał dziadyga oburącz trzymający drzewce wysokiej chorągwi, czarnej i oszytej, obrzeżonej srebrną frendzlą i na czarnym jej tle naszyty był znak trupiej głowy i skrzyżowane piszczele, jakie znałem z książek o piratach i co tam nazywało się „Jolly Roger” i tam przywodziło na myśl awanturę i przygodę a tutaj, chorągwicko przyniesione z kąta zakrytii cerkiewnej, łopotało się na wietrze, kiedy odnoszono trumny na cmentarz.

Cmentarz był prawie o płot, pogarbiony chłopskimi mogiłami pod śniegiem. Chłopi stali już tam także tłumkiem, mali chłopcy ześlizgiwali się z tych pagórków, gdzie spychali jeden drugiego ażeby lepiej widzieć. Czarna ziemia, wyrzucona przez łopatę grabarza, mieszała się ze śniegiem. Pop zaciągnął: „Hospoody pomyyyyyjuj...” i wrony zerwały się z drzew akacjowych koło cerkwi. Niebo było białe jak mleko i ciemniało schodząc ku horyzontowi nad ośnieżonymi strzechami chat.

Potem wracaliśmy drogą do domu i była jakaś ulga, po tym zimowym dniu.

W domu przede wszystkim podano na tacy wódkę. Naprzód ktoś odkorkował butelkę ze srebrną główką i porozlewał wódkę do kieliszków, których było tak dużo, że niektóre były innego kalibru, i trochę wódki się porozlewało. Na półmisku była także nakrajana kiełbasa i widelce i każdy jak chciał tak brał na widelec.

„Dlaczego styczeń się tak nazywa?” — pytał tłustej żony poczmistrza pan Fałdziński, geometra z Taurowa. Pan Fałdziński miał brodę i filuterne czarne i kaprawe oczka i wydłubywał zaparką kawałeczki mięska z tej kiełbasy spomiędzy popsutych zębów i filuternie patrzył na biust poczmistrzowej. — „...a bo w styczniu wilki się stykają, aha!”.

Było gwarno i ciasno od ludzi, w piecach okropnie napalone, ale było to po tamtej ponurej chwili bardzo przytulne i wesołe i chociaż byłem taki niedorostek, sam między tymi wszystkimi głośno gadającymi, to kręciłem się, unikając widoku ojca.

„Ho-ho-ho, ho-ho-ho!” — grubym basem śmiał się ksiądz Czmoła, pop, który po zdjęciu aparatów cerkiewnych był dalej duży i tęgi, nawet bez futra, ale w swej wyświeconej na brzuchu sutannie, z czerwoną twarzą i roześmianą gębą był taki inny i ludzki.

„To się nazywało bardzo elegancko „pudretta” a to nie było nic innego tylko mielone, suszone gówno. Jak raz mieliśmy to w worku w polu i deszcz trochę przykropił, Iwan przyszedł i sięgnął ręką w worek i powiada do mnie: Ktoś nasrał do worka — panie rządco”.

„Co panie, Szynda? Taż panie, jakbym panie tego waszego Szyndę, panie, jakbym wziął go za nogi tłukł mu głową w podłogę to by waszemu Szyndzie, panie, szóstka z portek by nie wyleciała, panie, co pan, panie...”

„...to jemu już chałupa śmierdzi, a mnie nie śmierdzi, to nie daj Boże z Iwana pana...”.

„Radziłabym pani tylko do Czarnomskiego. Inni jeżdżą po doktorach albo do Lubienia, albo Buska, majątki tracą. Co się stało ze Stasiem Jaworowskich. Nie mogli mu poradzić i nie mogli, co się najeździli, do kliniki do Krakowa, i do Wiednia jeździli. A Czarnomski przepisał mu tylko nacierania i dietę i żeby leżał w ogrodzie i patrzył na zielone. Tak patrzył na zielone moja pani...”.

Mój wuj zniżonym głosem mówił do Stahrembergowej z Wielkiej Płuczcy: „Te kraty trzymałem za oborą i ile razy matka je tam widzi, to zmiłujcie się, gryzie mnie, że ich nie postawiłem.

A u Lenartowicza je zamówiłem w Zborowie, coś, pięć lat temu. A teraz się postawi, podmuruje się, i krzyż postawię...”.

„Swynia lubyt bołoto”, nie udał się dowcip księdzu Czmołe kiedy nakładłszy gotowanej wędzonki, mieszał kapustę i kartofle na talerzu.

Powietrze było gęste od tytoniu, gorąca, zapachu potraw. Na rzeźbionym zegarze, u szczytu otworzyły się drzwiczki i drewniany ptaszek wyskoczył i w gwarze można było domyślić się tylko, że wykukał pierwszą. Za szybami zielonymi widać było śnieg.

CO NOWEGO W KINIE?

To już wiele lat kiedy ona była. Już tyle uleciało mi z pamięci, i w rozpacz i gorączkowo ścigam przeszłość, żeby ją wydobyć z tego zapomnienia. Gdzieżeś to Elektro? Elektro, oh Elektro!



*Król się o tym dowiedział,
dowiedział
W sześć par koni przyjechał...
Pokochajże mnie piękna Krakowianko...*

nuciła Elektra.

Wyobrażałem sobie jak moja ciotka, wyprostowana i sztywna, w swej czarnej sukni i z zaciśniętymi ustami wąskimi, siedząc w fotelu nad jakąś robótką, obróciła powoli głowę na Elektrę.

— To wulgarne, to co śpiewasz — usłyszałem.

Nasz dom w mieście był osobny i samotny jak ponura skała na płytkim wybrzeżu. Nie utrzymywaliśmy stosunków z nikim.

Ojciec przesiadywał cały dzień w banku i chodził tam także wieczorami; przechodząc ulicą mogłem widzieć błysk lampy na jego czole, kiedy pochylony nad papierami nad biurkiem był widoczny przez zakratowane okna. To była jedyna droga, którą robił pieszo — z domu do banku. Gdziekolwiek się poza tym udawał to zawsze końmi.

Mieliśmy parę rośłych koni, para, gniady wałach i siwy ogier i do tego ciężki powóz o klekocących piastach kół i wy-



ścielony popielatym „sztruksem”. Powoził stangret, Michał Okszański mu było, małowówny, trochę tępawy i wstydlivy chłopak, który był w artylerii u Żeligowskiego kiedy był ostatni zajazd na Litwie i wrócił z tej wojny inwalidą. Za uchem z prawej strony miał dziurę, z której czasami mu ciekło i ta niegojąca się rana była powodem także jego pewnej głuchoty. Mój ojciec nie lubił tego Michała i sporadycznie go brutalizował i nie wpływało to ośmielająco na niemrawego i tępego furmana.

Mój ojciec uważał, że jeżeli nie jestem zdatny do czegoś to powinienem przynajmniej pomóc w tej bankowej robocie i przynosił do domu grube księgi, które miałem rubrykować, albo papier, z którego dla oszczędności miałem kleić koperty. Nienawidziłem tej roboty i zdegradowany i rozgoryczony liniowałem kartkę za kartką, grube tomy, albo wycinałem te koperty w tym pokoju na górze i z góry słyszałem głosy ciotki i Elektry.

*Kat przyjechał w czerwieni
w czerwieni...
Krakowianka w zieleni...*

nuciła dalej Elektra.

Ciotka przerwała robotę i rozpoczęła tyradę:

— To wulgarne co śpiewasz. Czy wyobrażasz sobie że nie wiem, że byłaś rano u tych panien Domereckich? Czy towarzystwo mieszczek odpowiada ci w jego parafiańskim zapachu? Czy musisz importować tę atmosferę tutaj?

Panny Domereckie, dziewczynskie i rozkwitające, w swych halkach obrębionych i haftowanych ręcznie, były córkami szanownego masarza i handlarza nierogacizny i atrapowały bardzo Elektrę.

Próbowała bohatercko bronić straconej pozycji.

— To są przyzwoite dziewczyny, a czymże mam od nich być lepsza, że u Panien Benedyktynek jestem w pensjonacie? Że noszę jedwabne kombinacje a nie krochmalone halki...

Ciotka była silna postawą.

— Wulgarne jest to że grawitujesz do ich omdlewającej, małomiasteczkowej atmosfery krochmalonego dziewictwa i tęsknot. To niegodne i nieodpowiednie i — ciotka była rozdrażniona — i nie wprowadzaj tego proszę ciebie tutaj, to jest łatwizna i jeżeli masz być dobrze wychowana to pierwszym warunkiem jest kontrola samej siebie i wybór.

— Wybór czego?

— Wybór stylu. To wychowanie ma ci dać styl.

— Czy to jest życie — styl?

Ciotka odpowiedziała bez wahania i z żelazną konsekwencją.

— Tak, życie to styl.

— Nie chcę stylu... To obojętne jaki styl mam przybrać...

— To nie obojętne. Jakby to miało być obojętne czy jesteś panną z dobrego domu, mieszczką czy ulicznicą...

Mazgaj zaczął ujadać w ogrodzie i zagłuszył ich rozmowę. Potem słyszałem:

— Proszę mnie nie obrażać...

— Nie bądź śmieszna.

— Och, ja wiem że byłam dzieckiem niepożądanym...

— Nie histeryzuj.

Minąłem Elektrę na schodach kiedy zostawiwszy robotę schodziłem gdzie siedziała moja ciotka. Ubiegając jakąkolwiek mą interwencję ciotka zaczęła mnie pierwsza:

— Spuścisz Mazgaja z łańcucha i znów będzie buszował w ogrodzie i łamał krzaki pomidorowe, ojciec odgrażał się że go zastrzeli.

Mazgaj był bastardestem po legawej suce i po jakimś kundysie. Po niej miał przepiękne kształty, po nim ordynarny szorstki włos i wisielczy humor żulika.

Rano skowytał i szarpał się na łańcuchu i jakimś cudem zatrzask z obroży otworzył się i tymże samym cudem zaczępił i złapał go za tylną łapę, tam gdzie psie ścięgono Achillesa. Byłby je sobie zerwał ale przytrzymałem go, pomimo że ze ślepego bólu pokąsał mnie w dłoń dotkliwie, i teraz szczęśliwy i niepomny na niedawne rozpacze hasał po ogrodzie i ploszył perlice.

Sympatyzowaliśmy bardzo, ja i ten Mazgaj i odpychałem to od siebie, nie chciałem tej przyjaźni psa i człowieka, wydawało mi się to wstrętne trochę, przecież to było po prostu zwierzę! Miało to ten skutek że byłem nierówny w stosunku do niego, raz przyjacielski, raz chłodny i już pewnie nie zapomnę zdziwionego wyrazu oczu Mazgaja, lojalnego Mazgaja, natykającego się u mnie na tę chwiejność, człowieczą kulawość.



Siedzieliśmy w moim pokoju na górze. Chciałem napisać wiersz. W głowie miałem już mgliste zarysy i wcale mi to nie przeszkadzało że Elektra leżała na mym łóżku i z respektem obserwowała mnie siedzącego nad kartką papieru.

Ale wiersz mi się nie kleił. Miałem zaledwie tytuł i ostatnią linię i parę asonansów, które nie bardzo mi smakowały.

Tematem miało być senne marzenie, sen kogoś, komu się śni że się otruł cyankiem potasu, cyjankali. A potem się budzi, z tym strasznym wrażeniem. Więc jakto jest z tym cyjankiem? Szalenie zabójcza rzecz! Podobno miligramy tego wystarczą do zabicia człowieka. Ileż to? 0,005? Tytuł wiersza! „0,005 cyjankali” To miało od razu narzucić swą pedantyczną rzeczowością że wiersz jest modernistyczny, akuratność liczby, magia arabskich cyfr i komy. Wiersz miał się kończyć obudzeniem i miało to brzmieć, temu komuś, komu śmia się te idee suicydalne i kiedy budzi się i

...oddali
Gorzkie tzy, gorzkie jak cyjankali...

jeszcze miałem niezgrabny asonans na początek wiersza:

...i słońc szalonych trajektorie
Zatraca mnie i świat w agonii...

To „trajektorii” i „agonii” samemu mi się wydało podejrzane i nie mogłem ani rusz zacząć.

Elektra traciła powoli respekt dla mnie, miała za dużo poczucia humoru, żeby długo kontemplować ten poród i znudziła się trochę.

— No przeczytaj co napisałeś.

— Och nie przeszkadzaj...

— Też te wiersze, to łatwe, te... na szarym kocu nieba, perłowy guzik księżycy — drażniła mnie Elektra.

Nie mogłem jednak się rozgniewać na nią, było mi przyjemnie że siedzi u mnie i dałem za wygraną.

Zmiałem ten papier, ulepiłem z niego pigułę i zacząłem na niej smarować oczy, usta, nos i atrament się pozalewał i wyszło z tego coś podobnego do „tsantsas” — preparowanych głów indiańskich znad Amazonki.

— Gdzie widziałeś, naprawdę widziałeś te tsantsas? pytała Elektra.

— Widziałem u rotmistrza Ruppą — powiedziałem — kiedyś był w Ekwadorze i stamtąd przywiózł. Są śliczne, główka mała jak piąstka i zamknięte oczy i wargi zeszyte kolorową frendzlą i włosy, takie indiańskie włosy, czarne z wplecionymi prześlicznymi piórkami papużek. Jedna mała, tak że można ją nosić w butonierce.

— Jak to oni robią, to naprawdę prawdziwe?

— Wiesz, po prostu bardzo umiejętnie ściągają skórę z

całej głowy, taki skalp z twarzy, potem to suszą, wypychają czymś, preparują i tak kurczy się.

Elektra wzdrygnęła się.

Chciałem ją bardziej przestraszyć, taka głupia satysfakcja.

— To wyrabiają Indianie Jivaros. Ale jak powstał na to popyt to są oszuści, imitują genialnie te wyroby, specjalista się ledwie pozna, że to oszustwo, że czasem taka wędzona „tsantsas” była głową białej kobiety.

— Och Zorż! to straszne!

Efekt mi się udał i egzotyka wiszarów Amazonki, Orinoko i Rio Negro nadpłynęła dżunglą zieloną nad dachy cynkowe i popołudniowy kurz ulic miasteczka.

Nagle na podwórzu usłyszeliśmy dwa strzały pistoletowe i krótki skowyt psa. Rzuciłem się do okna.

Na schodach domu stał mój ojciec. Był bez marynarki, tylko w kamizelce. W opuszczonej ręce trzymał pistolet. Na drugim końcu podwórza, w słońcu przy furcie leżał Mazgaj. Strumyczek krwi wytaczał się spod niego i szybko wsiąkał w piasek. Na betonowych schodach widać było wyrzucone, żółte i usmolone od spalonego prochu łuski wystrzelonych nabojuów pistoletowych.

Słychać było płacz kucharki. Mój ojciec stał jeszcze chwilę i gorzko się uśmiechnął, to był dobry strzał! na tę odległość i potem podniósł pistolet do oczu i przesunął bezpiecznik i wszedł do domu.

Elektra leżała na moim łóżku i zanosila się od łkania i w przerwach wybuchała:

— Nienawidzę go, ach nienawidzę!

Byłem wzburzony także, ale starałem się opanować.

— Och, co mu winien biedny Mazgaj... łkała prawie histerycznie — nienawidzę go...

— No dajże spokój — powiedziałem — ktoś może być drażliwy na punkcie psa, inny na punkcie pomidorów.

Przestała płakać.

— Ach, głupia jestem — powiedziała już wstając z łóżka i miała czerwone i mokre od płaczu oczy i przez te łzy uśmiechnęła się do mnie przepraszająco.



Dom stał na skraju miasta. Był odosobniony i jedynie po drugiej stronie ulicy długim szeregiem parterowych stajen i budynków ciągnęły się koszary x-tego ułanów.

Dom był drewniany, o dziwacznym planie i wyglądzie,

projekt dyletancki mojego ojca, kombinacja szaletu szwajcarskiego, mieszczańskiej willi i dworu empirowego. Nie był stary, ale nisko położony, grunt podmokły, wybujała zieleń ogrodu i atmosfera postarzały go i wydawało się że toczy go już grzyb i powoli zamienia się, zjadany w długie, ciemne noce, przez rozkładające bakterie, zamienia się w próchno.

Mój ojciec był genialnym dyletantem w każdej dziedzinie. Między innymi w ogrodnictwie i pomologii. Jeszcze na długo przed wybudowaniem domu ponasadzał w ogrodzie dużo drzew owocowych, niektóre wyszukanych rodowodów i na ich gałęziach zawieszane na rdzewiejących drucikach były tabliczki drewniane z troskliwie powypisywanymi nazwami i po łacinie.

Pomimo pieczołowitego nawożenia, doglądania i skrapiania „sinyim kamieniem” od razu załężyły się robaki i każdy jesienny zbiór był wspaiałym plonem olbrzymich jabłek, rumianych i stoczonych przez robaki.

Ogrodzenie przerośnięte było żywopłotem z bżów i malin i stało murem zielonym pomiędzy domem i ulicą.

Na podwórzu, częściowo wybrukowanym dzikim kamieniem, częściowo wysypanym piaskiem ciągnął się budynek stajni, wozowni, pralni, osobno był chlew dla wieprzy i duża studnia z betonowych rur. Studnię kopano i stopniowo nakładało się te rury i partacz studniarz w rezultacie zrobił ją na krzywo.

Do wody nie było daleko. Dom i koszary stały na niskim gruncie, tuż za koszarami płynęła rzeka w urwistym żłobie i poziom wody w studni był na poziomie wody w rzece, woda zaskórna czy prawo naczyń połączonych. To zwierciadło wody w naszej studni podnosiło się i opadało ze stanem wody w rzece i woda studzienna nie różniła się od rzecznej, była ciepła, mętna i słodkawa w smaku i używano jej w domu do wszystkiego, do gotowania, prania i do picia.

Kiedy rano siedzieliśmy w ogrodzie, gorące lato, byliśmy doskonale izolowani od świata za zielonym murem zieleni. Sercowate, ciemnozielone, polerowane liście bzu błękitnie odbijały niebo, krzaki róż na trawniku były kosmate od kolców i przylatywał od nich słodkawy zapach płatków różanych. Dzikie wino pięło się po ścianie domu i wydawało mi się że po tej zieloności, kapilarnymi rurkami pnączy podnosi się wilgoć z ziemi i wżera w ścianę domu.

Elektra rano chodziła niedbale ubrana, w jakichś szlafrokach i nie było to u niej, to zaniedbanie, rażące, przy jej świeżości i pewnej omdłałości, bardzo to jej pasowało.

Pod wysuniętymi okapami dachów jaskółki poulepiały gnia-

zda i z piskiem nadlatywały z otwartej pod dzwonem nieba przestrzeni i smugi ich odchodów popstrzyły ściany domu.

Siedzieliśmy pod baldachimem zielonych liści, czytałem Carlyle'a „Bohaterów”, ale właściwie nie czytałem tylko znalazłem kartek książki rzucałem szybkie spojrzenia na jej piersi. Szyła coś i była pochylona i włosy jej opadały na tę robotę i ten szlafrok trochę się rozchodził i widać było górną część jej piersi i wgłębienie między nimi i różowe jej policzki.

Rozmawialiśmy.

Na zamszowym oszyciu moich spodni do konnej jazdy, kluczem znalezionym w kieszeni drapałem jakiś deseń i łatwo było go zetrzeć jednym przetarciem dłoni, tak miękki był ten zamsz.

Drogą, w pyłe i tupocie podków wracał z ćwiczeń szwadron karabinów maszynowych. Drelichy ułanów były prawie białe od prania, ukośnie przez plecy mieli zaszmelcowane plamy od natłuszczonych karabinów. Przez gałęzie bzu widziałem ich jadących trójkami albo dwójkami koni tam gdzie konowodny prowadził jucznego konia. Na jukach po jednej stronie karabin maszynowy Maxim z rurą chłodnicy, po drugiej złożony trójnóg podstawy Schwarzlose; na górze skrzynki z amunicją. Śpiewali:

Po czymżeś mnie poznała

Umtarija-raz

Umtarija-raz...

Żeś mnie panem nazwała

Umtarija-raz...

Szwadron przeciągnął, kurz opadł i gorąco wypełniło powietrze. Jeszcze dochodził urywek śpiewanej przez nich piosenki:

Jakże ja cię puścić mam

Umtarija-raz...

Jak ja biedna a tyś pan

Umtarija-raz...

Z ławki widzieliśmy daleko, na drugim końcu ogrodu, tam gdzie pod parkanem gestwiły się krzaki malinowe, Franciszek Salezy Stuż, ogrodnik, kopał grób dla Mazgaja.

Franciszek Salezy Stuż, ten ogrodnik, był przez nas nazywany Kamczadalem. Nazywaliśmy i przyklepaliśmy przezwiska wszystkim naokoło tak że rozmowy moje z Elektrą miały charakter hermetycznego szyfru. Prokurent i jedyny urzędnik w banku mojego ojca nazywał się Reyowski ale przezywaliśmy

go Ryjem, ojca nazywaliśmy Pawłem chociaż miał na imię Stefan, infulata Izydora Kunaszowskiego — *Tertium non datur*, a doktora Goldfisz — Solange.

Otóż Franciszek Salezy Stuż był na Kamczatce jako jeńiec wojenny przez całą poprzednią wojnę. Na samym początku tej wojny, w sierpniu jeszcze 1914 roku, został zmobilizowany jako austriacki landszturmista i nawet nie ruszył się z miasta. Po prostu kiedy Rosjanie zbliżali się do tego miasta — mały oddziałek landszturmu wycofał się do lasu na okolicznych wzgórzach i ponieważ to był gorący, upalny dzień więc koledzy wysłali Franciszka Salezego, autochtona, po piwo do rodzinnego osiedla i tu go złapał pierwszy patrol kozacki i wprost został wysłany etapami na Kamczatkę. W cztery lata poza kołem biegunowym Franciszek Salezy stracił na skorbut wszystkie zęby i dlatego, niezupełnie jeszcze wiekowy, wydawał się starszym zgrzybiałym. Za tę Kamczatkę przewaliliśmy go Kamczadalem.

Kamczadał kopał grób dla Mazgaja. Zasadniczo był ogrodnikiem, ale przed paru laty zrobił odkrycie. Wynałazł cement portlandzki. Więcej niż zieleniną zajmował się cementowaniem wszystkiego wokół. Wyłudzał od mego ojca pieniądze na pół papierowego worka cementu „Firlej” i mieszał go i betonował i cementował. Schody, ścieki, kanały, studnie, parapety wokół naszego domu były zawsze w stanie korekty, naprawy i przebudowy. Chropawe deski osłaniały świeże, tężejące konstrukcje i kiedy je, te formy, rozbijał — ukazywało się lico betonu z wiernie odbitymi słojami drzewa jak gdyby las skamieniały miał się budować wokół naszego domu.

Kiedy przychodziły ulewy, stawaliśmy zadziwieni, Elektra, ja i Kamczadał i patrzyliśmy zawiedzeni i zwarzeni jak wskutek nieprzewidzianych przez Franciszka Salezego praw niwelacji i sił denudacji woda deszczowa, burzliwie urągając jego irygacyjnym systemom kanałów i ścieków, płynęła na przekór i złościła obok i w poprzek kaniony i kolorada w błocie i ziemi, chlustała o te betonowe rury, i niosła zielsko i trawę żeby rozlać się w nieoczekiwanych miejscach w kałuże i sadzawki. Nigdy, o ile sobie przypominam, nie poznał jej kaprysów.

Łopata płasknięciem oklepywała kopczyk-mogilę Mazgaja. Niedługo spłasnienie, a nawet zapadnie się ten grób i rozkładające się i toczone przez robaki ścierwo wesołego Mazgaja będzie sączyć w ziemię i ogród jad i posokę sobaczą i będzie zatruwać krzywą studnię i łodygami pnączów będzie się wspinać i wsysać w ściany domu i trapić sen tu mieszkających w zemście i sobaczym skowycie za śmierć mu zadaną kiedy był dzień i cienie słońca wiązały niebo z ziemią.

— Biedny Mazgaj — powiedziała Elektra — słuchaj — czy zwierzęta mają jakąś duszę?

Potem nie czekając na rewelacje z mej strony powiedziała.

— Śmierć, to straszne jest — śmierć...

Żal mi było Elektry.

— Och głupstwo — powiedziałem — nie ma nas czy jesteśmy to przecież takie przypadkowe. Czy wiesz jak życie jest przypadkowe? Wyobraź sobie że ryby składają miliony ikry żeby jedna przetrwała i zahaustnęła się życiem. A u ludzi to wiesz na ile spermatozoonów...

Połapałem się że ona przecież jeszcze jest dziewczynką i powiedziałem niechący:

— Ale jesteś jeszcze na to za niedorośła.

I znów mi się jej żal zrobiło — miała łzy w oczach.

— Właśnie że nie — ty brutalu, ty samolubie. I rozplakała się.

U nas nie było w zwyczaju czulenie się. Nie mówiliśmy w domu pieśczośliwych słów, nie uznawaliśmy pocałunków i nie wiedziałem co jej powiedzieć. Położyłem niezgrabnie rękę na jej ręce i uśmiechnęła się i powiedziała:

— Pokaż rękę. Ugryzł cię ten Mazgaj, czy boli? Wiesz ja tam u Benedyktynek miałam taką historię, ale nic w domu nie mówiłam i Panny Benedyktynki były, och! dyskretne — ale co musiałam się nasłuchać. Tam są takie straszne psy, wilczury i nocą spuszcza ją i uganiają rozhasane wokół murów klasztornych i szczekają. I wiesz — miały szczenięta i trzymali je w piwnicy klasztornej i byłam głupia i powiedziałam do Maryśki Zuberówny że wcale bym się nie bała zejść tam do tych szczeniąt i Maryśka głupia i wierząca taka we mnie rozaplała i tamte sprowokowały mnie. Wszystkie naturalnie bezpiecznie, na pierwszym piętrze, za szybami a ja sama na tym podwórzu i bałam się strasznie i schodzę tymi schodami, ciemno i zanim usłyszałam pisk szczeniąt — a te wilczury rzuciły się na mnie i cofałam się tymi schodami wlokąc na sobie uwieszone te dwa potwory, dziwię się że nie zwariowałam i zemdlałam na górze. Potem jak leżałam tygodnie w łóżku, obandażowana, to myślisz, że mi która współczuła — gdzie tam, fałszywie przy Pannach mówiły: „a widzisz, sama chciałaś”, dlaczego te drwiny, Żorz?

— Nic te Panny Benedyktynki nie zdradziły — powiedziałam pocieszająco.

— One nie takie, a wiesz wszystkie z dobrych rodzin, żeby tam być, trzeba było wiana i mało już takich. Są bardzo stare.

— Jakież one są? To bardzo surowa reguła? zapytałem.

— Oh, nasza ksieni, staruszka, wyobraź sobie nigdy w życiu nie widziała kolei, bo jak wstępowała do klasztoru to kolei jeszcze nie było, a więcej potem nie wyszła. No tak, parę lat temu jeździła do Prohebyszczka, zobaczyć folwark, ale w karecie o zapuszczonych firankach.

— To one takie?...

— Wiesz noszą takie tołuby na głowach, jakie widzisz tu w kolegiacie na płycie Wojewodziny Bełskiej. No a ksieni, na okazach podpira się takim pastorałem biskupim. Jada na obiad kwiczoły — śmiała się Elektra.

— Co, te altruistyczne kwiczoły, które same się nadziejają tarniną i nawet ich nie patroszy się do pieczenia?

— No, tak opowiadają. A znów raz podkradłyśmy się z tą Maryską żeby zobaczyć obłóczyny. Bardzośmy się bały, zakradłyśmy się na chór, a tam na pulpicie wypalone szpony diabelskie — kiedy szatan położył ręką na świadectwo jak był sąd boży nad Chorążym z Krasieczyna — nie myśl że ja wierzę w te folklor, ale się bałam bardzo. Więc te obłóczyny to straszne — ona była w bieli i welonie, jak Panna młoda i leżała krzyżem na posadzce i przykryto ją czarnym całunem i na rogach stanęły świeczniki jak do katafalku i ksiądz śpiewał Requiem i te śpiewy — myślałam że znów pójdę do infirmerii po tym zwariowanym wieczorze. To jest śmierć za życia...

— O czym wy panny rozmawiacie między sobą kiedy jesteście same — zapytałem podstępnie.

Elektra się śmiała: O czym? Wiesz — z zasady o chłopcach. Aż mi czasem wstyd...



Umilkliśmy i było cicho i gorąco w słońcu dnia.

Na ścieżce ogrodowej, w blasku słonecznym ukazał się kot. Był to jeden z pokolenia, którego generacje następowały po sobie i to przechodzenie z jednego życia w drugie odbywało się na oczach. Naprzód włochate niemowlę, przetaczające się po dywanach, dla którego świat cały był jednym drażniącym i przekornym przedmiotem gry i wyzwania, potem wyrastało obojętną i chłodną miniaturą tygrysią o elastycznych ruchach i nerwowych skrętach ogona lub w przeważnej części dnia, kłębek, węzeł snu, drzemanie i zamkniętego cofniętego życia. Kotka następnie przechodziła ciężę i z rzuconego pomiotu zachowywało się elekta, resztę topił Franciszek Salezy w sposób urągający ideałom eutanazji Ligi Opieki nad zwierzętami. I wyrastała nowa

generacja i drzewo genealogiczne tego rodu rozszczepiało się w nową gałąź.

Agrestowe oczy kota w blasku słońca ukazywały źrenice zredukowane do cienkich kresek. Siedzącym nam tak w cieniu, wydawało się że zbliżający się po ścieżce kot olbrzymieje, wydawało się że delikatne nogi, o najczulszych poduszczykach palców puchną w lwie łapy a okrągły łeb rozewrze się szczękami tygrysa jaskiniowego. Skala — jak mylną jest skala! Nie daj się uwieść skali! Kto ci przyjdzie z pomocą, kto zmierzy proporcje kiedy dyluwalny tygrys rozewrze nad tobą szczęki o żółtych kłach!

Albo też to lampart! Strzeż się lamparta plamistego! To symbol wyuzdania, trucizny pożądania. Patrz! w jego ruchach cynicznych jest tyle lubieżności, patrz! w miękkim, drapieżnym położeniu łapy, w gotowości przyczajonej do skoku, w migocie sierści, gdy skóra pokrywa grę muskułów jest skok nagły i koci. Czy w tym plamistym lamparcie, symbolu złego pożądania czy we mnie samym? We mnie samym drzymał ten symbol w zdradzieckim węźle i oto powstał i przeży łądźwie i gotuje się do skoku...

— Kici, kici... — pochyliła się Elektra i palcami drobiła nad ścieżką chcąc zwabić pieszczochę.

Odetchnąłem z ulgą.

Kotka obejrzała się leniwie na nas i jednym płaskim, giętkim skokiem znalazła się na parkanie oddzielającym ogród od ulicy.

Kluczem zacząłem rysować i wyciskać na miękkim zamszu mych spodni do konnej jazdy centki lamparcie. Jak łatwo je było zetrzeć jednym przetarciem dłoni...



I wtedy Elektra zemdlała. Powiedziała po prostu A! i osunęła się z ławki na ziemię.

To było po ukazaniu się lamparta-symbolu. A poprzednio ja mówiłem na temat zadany.

Boję się — powiedziała Elektra — opowiedz coś o jakichś Indianach...

— Nie bój się. Wiesz Elektro, widziałem taki film Eisensteina o Meksyku. Właściwie o takim święcie meksykańskim, takie meksykańskie Zaduszki. To jest najweselsze święto na świecie — na temat śmierci. Wyobraź sobie tak: kiermasz, karnawał, muzyka jarmarczna, starzy, młodzi, dzieci, tańczą, cisną się u kramów, dzwony kościołów rozkołysane. Ale maski na

twarzach rozbawionych par to wyobrażenie trupiej czaszki z „papier maché”, na żerdziach straganów rozhuśtane i podrygujące lalki i kukły to szkielety, pajace tańczące za pociągnięciem sznurka to prześmieszny i ironiczny kościotrup. Ten Eisenstein to mistrz montażu kinowego, dobrał te sceny i zbliżenia w fantastyczną kompozycję. Widzisz takie małe Indianię oczarowane otrzymaną zabawką która się nazywa „Mój malutki pogrzeb”, z księdzem, karawanem i żałobnikami-kukielkami a trumienka otwiera swe wieczko jak tabakierka i ukazuje zawartość — szkielecik... Malutkie, pulchne niemowlę indiańskie, „papocze”, wżera się w kolosalny smakołyk, polukrowany i uszminowany bakaliemi na kształt trupiej głowy. A dorośli, pijani tym ich narodowym napitkiem, bodaj że z agawy, pulque, tańczą i śpiewają i śmieją się do tej śmierci, której, uważają, nie należy się bać, śmierć jest im bliska i przyjacielska, oswojeni z nią, z jej wyobrażeniem na kamieniach rzeźb Mayów i Azteków i widzisz Elektro ma to sens, to przemieszanie życia i śmierci, bo gdzież jest granica?... Więc nie bój się Elektro...

Elektra marszczyła brwi uśmiechnięta i zamyślona i wtedy właśnie zemdłała.

— Co ci to Elektro? przestraszyłem się i nogi mi wrosły w ziemię i przemogłem się i skoczyłem po wodę. Byłem tak zdennerwowany że ochlapałem ją całą wodą z tego pośpiesznie przyniesionego dzbana i osunął się z niej szlafrok i mokry *nightdress* oblepił się o jej kształty.

Kiedy widziałem greckie rzeźby, wspaniałe i kolumnowe kobiety, kariatydy, niki i parki, diany i persefony i nioby i kanefory, to złobili je Grecy w marmurze, opięte w fałdy chitonów które leżą gładko na ich udach i piersiach i biodrach i fałdują się i kanelurują w zgięciach i zwisie jak zastygłe strugi miodu i jak zamarznęte wodospady. Po prostu grecki rzeźbiarz wybierał i drapował modele-kobiety w mokre płótna i te ulepione na mokro formy fałd przenosił i odnajdował w marmurze.

Elektra w omdleniu jak grecki posąg z mokrymi fałdami, zbiegającymi się u jej stóp i jej różowe piersi prześwietlały się przez muślin jak marmur i okrągły brzuch i uda i w rozrzuceniu złotych włosów była jak grecki posąg z chryzelefantyny.

Nie mogłem jej dźwignąć, tak była ciężka i nadbiegł Franciszek Salezy i przy jego pomocy (mruczał: „Na tego, ażeż to uchowaj Boże — ouszem — nic się nie stało...”) usadowiliśmy ją na ławce, otworzyła oczy, mrugając w blasku słonecznym i szukała czegoś, co miała do powiedzenia i „już się nie boję” powiedziała.

Kolory jej wracały na policzki i śmiała się szczęśliwa, ach szczęśliwa!



Ale popołudniu dr Goldfisz, którego wezwano żeby zbadał Elektrę, mówił na schodach zabierając się do domu, mówił z troską, szczypiąc swą tłustą dolną wargę palcami:

— To zemlenie? to nic, to takie panięskie historie, czy ja mówię że to coś poważnego? Ale, żeby nie urzec, dlaczego państwo nie pošlecie Elektry do specjalisty piersiowego? — zakończył konsultację tym szeregiem zapytań.

COUP DE GRÂCE

Opowiadano mi urywek dziania się jednej sprawy, który w swoim tragiźmie i bezcelowości jest najbardziej wstrząsający. Jest to opowiadanie o kimś z naszego kręgu, wspomniano mi to z westchnieniem współczucia, opowiadano mi jak to się opowiada, ale sobie można odbudować to w jakiś sposób do ostatecznej granicy realiów. Więc było to małżeństwo, pewnie młode, mogę sobie ich wyobrazić, byli to może nauczyciele, albo może był on urzędnikiem akcyzy, może dependentem adwokackim, można to sobie wyobrazić i ją także, pewnie była bardzo sobie polska kobieta, szare włosy i trochę wystające kości policzkowe i jakaś tam sukienka, z owych czasów może, bo także i kapelusz z wielką szpilą, i pocerowane rękawiczki. On musiał być młody, pewnie miał dobrze utrzymane wąsy i uczciwe oczy, może miał włosy „na jeża” i mieli walizy, walizkę, która nazywa się Gladstone i kosz z zawiasami i na trzciny skobelek zamykany na kłódkę i palto do tego i trochę austriackich koron wszytych w kołnierz surdutu, zegarek na łańcuszku, spinki u mankietów w kształcie podków końskich i podróżowali w ten czas wojenny, za czymś tam swoim, może do rodziny żony, może jakieś inne kłopoty, ruszyło ich z miejsca no i już, i jechali najętą furą, jakiegoś Salewicza, parą koników z wystającymi kośćmi miednicowymi, w ich parcianych szlejach, terkocząca fura na grudach gościńca, trzeszczące deszczułki drabin i słoma z której wymoszczone siedzenia, które w ciągu długich godzin jazdy zapadają się w doły, przykryta ta słoma weretą. Jest zmęczenie długogodzinami jazdy, kiedy wszystkie mięśnie bolą z osobna od turkotu wozu. Kiedy widzi się przed sobą garb furmana i jego rudą siermięgę, bat i kłapanie kopyt końskich, słupy telegraficzne przy gościńcu, odrapane chaty przydrożne, pustka wojennego

gościńca. Niskie niebo z chmurami, kałuże po polach jak rozsypane w kawałki inne niebo, wilgoć czepiająca się gałęzi wierzb dalekie wrony na polach, ni to przyjazny ni to nieprzyjazny krajobraz.

Potem gdzieś stanęli, może to była karczma miasteczkowa, może zajazd, hotelik, albo może to był sklepik gdzie trzeba było kupić jakichś wiktuałów. I tam na ich nieszczęście przyszło im natknąć się na żołnierzy, może to byli kozacy dońscy może czerkiesi, może to byli huzarzy, na jakiejś oficjalnej funkcji patrolowania, albo na furazę albo odbili się od swoich albo też po prostu maruderzy. Nie to jest najważniejsze. Najważniejsze jest to że byli to ludzie, którzy byli wybici z miejsca, wojna poniosła ich na kraj świata, pewnie równie młodzi ludzie, którzy pod twardym chuchem wojennym wyzbyli się instynktu siedzenia i godności uczepienia się jednego miejsca, byli jak wygotowane z tego uczucia skorupy.

Co tam się mogło dziać. Przypuszczalnie, najeźdźcy, pełni pogardy, trwogi i pogardy dla najechanych, kiedy zdarzyło im się indagować podróżnych, najeźdźcy, to znaczy ludzie uzbrojeni, mogący wyrzeć swą przemoc nad bezbronnymi w swej nienawiści innych, pomieszała prymitywnie prawa wojenne interogacji i prawo poszanowania człowieka czy jego własności do tego stopnia, że potrafili pani ściągnąć brutalnie zegareczek zawieszony na szyi i zatknięty za pasek bluzki, a kiedy pan, sprzeciwił się niezgrabnie temu został uderzony w twarz.

Uderzenie w twarz człowieka przez człowieka. W pewnych czasach i okolicznościach, w pewnych formach społecznych to jest bardzo symboliczne i drastycznie piętnujące odstawanie od utartych form etycznych i honorowych, u Południowców i Włochów czy Francuzów to bardzo impulsywne i po prostu załatwianie skomplikowanych bardziej form fizycznej satysfakcji w starciu. Francuzka policzkuje swoje dziecko, kiedy ono spsoci, trochę dla nas jest to za drastyczne, ale u nich zrozumią. A pamiętam, że w rosyjskim wojsku miało to inne znaczenie, kiedy policzkujący sierżant i policzkowany jegier uznawali to za zdrewniałą formę stosunku korygującego. W tym poszczególnym wypadku miało to inne znaczenie. Miało to uwielokrotnione znaczenie. Policzkujący kawalerzysta, suchy i zgrabny w swych wytartych od puśliska cholewach i z nahajem u przegubu ręki zawieszonym, w zapadłych od fatygi policzkach i strapieniu wojennego człowieka szukał takiego samego spięcia, jakie miał w ruchu na siodle pod serią z kulomiotu, w polu, było to prawdopodobnie według jego mniemania, bardzo szybkie, zwięzłe, męskie załatwienie sprawy, uderzyć w twarz człowieka, męż-

czynę podbitego kraju, impregnując w ten sposób błogonadziejność dla całej najeźdźczej struktury, w skrócie edukacyjnym uderzenia w twarz.

Człowiek uderzony w twarz miał inne uczucia. Poza nieostatnią rzeczą, fizycznego bólu, uderzenie w twarz jest także bolesne, poza doraźnym szokiem psychicznym, uderzenia w obecności ukochanej kobiety, bezsilności nieuzbrojonego, w spletanym środowisku, wobec siły, miał do tego jeszcze do strawienia, i to szybko do strawienia olbrzymi problem napotkania rzeczy nigdy przedtem nienapotykaney. Odbieranie fizycznego bólu, kary, nie leżało w jego praktyce, to nie jest codziennym zjawiskiem, codziennym zajściem być uderzanym w twarz, jest to coś co nadchodzi z czeluści świata, i pod uderzeniem tego wali się prawie wszystko, dezintegruje i sypie w gruzy. Wyobrazić sobie, jedno uderzenie w twarz!

Potem jechali tą samą furą w swoją drogę. Był wieczór, Ona mówiła może do niego: „Stachu — to nic, Stachu, Staaachu... Będę się modliła żeby Bóg wziął to od nas, żebyśmy zapomnieli, Stachu...”. On nic nie mówił. Może zapatrzyl się w wieczorny zmrok, dwoje nieszczęsnych wybrańców losu do przeżycia. Może trzymali się za ręce, ale i tak nic nie mogło zwalić przegrody jaka pomiędzy nimi wyrosła tego dnia, kiedy tu byli oni dwoje, a tu przychodzi chwila, jaka mogła być udziałem kogoś innego, mogła ominąć ich, były wszystkie szanse na omińnięcie jej i nie! właśnie oni mieli być w niej i dlatego ta przegroda fatalna, nie odstanie się i nie odstanie! Może ona zdrzemnęła się snem niespokojnym, nie mającym nic wspólnego z tym marzeniem, a on pewnie siedział w tym, zgięty jak drzewo grabu zgięte raz i już nic nie potrafi go odprostować, siedział pewnie oglupiały od bólu swego wybrania. A furman prawdopodobnie spał, w swej wytartej guni, zgarbiony u wagi wozu, bo kiedy gościniec podniósł się lekko u przejazdu kolejowego, gdzie sterczały szczątki nieczynnego szlabanu, nadeszła szybko mała, śmieszna, manewrująca lokomotywa, w obłoku zimnej pary i jednym strasznym uderzeniem powlokła ubogą furę i zmęczone chabety u jej dyszla i chudą załogę i stało się to w mgnieniu oka i w ten sposób, tym *coup de grâce* los zakończył tragedię jednego dnia jesiennego. Było to w czasie tamtej wojny.

W PARYŻU I W ARKADII

W wewnętrznej kieszeni marynarki, w przedziale zniszczonego portfela, złożony we czworo, przechowywałem czek który dostałem od Elektry, czek opiewający na pięćset franków, wystawiony na Bank Westminsterki. Czek ten od częstego oglądania i oglądania i upewniania się był wymięty, różki papieru zaokrągliły się, był pożółkły, ale miał swoją pełną wartość. Czasami chodziłem na Place Vendôme, gdzie był oddział Banku Westminsterkiego i upewniałem się, że grube solidne mury banku stoją nienaruszone, z satysfakcją konstatowałem identyczność instytucji na jej potężnych tablicach z polerowanego brązu.

Kiedy zdarzało mi się że nie miałem pieniędzy, na stole stały puste i niemyte butelki z mleka (w ciągu dwu dni muchy złożyły w nich niewidoczne jajeczka i teraz wylęły się z nich małe gąsieniczki, wypasione na resztkach tego mleka i pełzały po mętnej ścianie naczynia) i kiedy było dojmująco bolesne walenie się wzdłuż ulic z wystawionymi i odkrytymi na świat boże wiktuałami, warzywami, kotletami i chińską torturą wystaw *pâtisserie*, to wtedy odbywały się u mnie na górze fetyszystyczne kontemplacje czeku na Bank Westminsterki.

Ten czek był dla mnie magicznym paszportem, firmanem na powrót, był dla mnie także patentem na fiasko życiowe, na rezygnację z podboju świata, jeżeli już zagubiam się w porównaniach, ten czek...

Albo przesiadywałem w Jardin des Plantes i wtedy cienie platanów leżały naokoło mnie, po źwirze skrzypiały podeszwy prowincjuszy zmęczonych Paryżem i upałem i czekających na porę *déjeuner*, a za siatką ogrodzenia czochała się o zakurzone drzewko wyleniała antylopa gnu i zaafetowane złotopióre i czerwopióre i koloru indygo kaczkę przetaczały się na swych

kulawych nogach i delikatne, różowe flamingi szcudłowały poważnie po płytkiej wodzie stawów ogrodowych. Z tyłu poza mną były mury antropologicznego muzeum, gdzie dziesiątki tysięcy żółtych i oznaczonych numerami czaszek ludzkich leżały uszeregowane na półkach w monotony desień jak w katakumbach Kapucynów w Neapolu. W powietrzu wydawało się, że unosi się cieniutki i daleki zapach starych beczek z Hal Wina.

Albo zdenerwowany miastem chodziłem po rampie biegnącej od Louvru do szarego budynku La Salle de Jeu de Paume, rampie w powszedni dzień pustej, a w niedzielę zaludnionej grupkami Polaków paryskich, którzy tu, jak w Polsce przed nabożeństwem, w pobliskim kościele przy rue St. Honoré, tak jak w Polsce na cmentarzu wiejskiego kościoła stali grupkami rajcując, w swych niedzielnych ubraniach, niedzielnemu towarzyskiemu spotkaniu wierni gadulstwem i sentymentem. Ale w powszedni dzień było pusto, zabuczał czasem głęboko zanurzony holownik i łamał komin dymiący pod arkadami mostów.

Albo jak dojechałem metrem do Porte d'Orléans i poszedłem trochę dalej, to tu Paryż ucinął się jak nożem, „Octrois de Paris”, i zaraz było miasto wybudowane ze skrzynek z pomarańczy, puszek blaszanych, szmat i łachów, bez ulic, kanalizacji, światła, ziemia niczyja, Szanghaj, Marakesz brudu, China Town egzotyki, *no man's land* między bogactwem a resztą świata.

Albo przygnębiony obcością i nudą szedłem tam gdzie Instytut Słowiański przy rue Michelet, gdzie można było poczytać starego Ikaca, a w nim proces Gorgonowej, albo dyskusja z Ukraińcem ze Lwowa o zapadłych z głodu policzkach i z sarkastycznym uśmiechem zapewniającym mnie: „...a wasz problem, milionów Polaków w Zachodniej Ukrainie? Nie ma tego problemu! Wyrzniemy!...” i pożyczał 70 centimów na metro.

Albo wracałem do siebie i jeszcze przedtem wstępowałem na *bock* wina do małego bistra przy rue Cujas, które było miejscem spotkania południowych Amerykanów, Ibero-Amerykanów, młodych ludzi z których każdy miał coś na sumieniu w swojej republice, każdy nosił w tylnej kieszeni od spodni rewolwer i każdy miał czarne włosy wypomadowane „gominą”. Właściciel, w fartuchu barmana, wielki i otyły, z zakasanyimi rękawami koszuli, poruszał się, pomimo tuszy jak kot, w ogrodzeniu za barem wysypanym trocinami i błyskawicznie nalewał kolorowe Pernods i Quinquina i równocześnie uważał na wyniki wyścigów wyszeleszczające się z automatu, odpowiadał na uwagi pomimo gwaru i przygłuszającego wszystko „Cojones” i „Hombre”. Pożyczał także na krótki termin, kiedy pieniądze się kończyły.

Albo szedłem wzdłuż Bulwarów, mimo szyb wystawowych

w gęstym, wieczornym tłumie, ocierając się o stoliki kawiarni, zalegające chodnik, przystawałem przed wystawami jubilerskimi, firmy ekskluzywne i o dziwacznych nazwach jak na przykład „Kepta”, a kepta u nas to były chwasty, zielenina, którą żęła zakrzywionym sierpem do zgrzebnej płachty o porannej lub wieczornej rosie, chłopka, ażeby zadać jeszcze paszy niecierplivej przy udoju krowie, a kepta tu to szkło i niklowana rama jubilerskiej wystawy z kolia brylantową i dwoma sznurami pereł na blado-niebieskim aksamicie.

Albo patrzyłem i przepychałem się wśród tłumu na kiermaszu dorocznym koło Saint-Sulpice albo przed Inwalidami, namioty i kramy, koła szczęścia i budy, w których strzelało się do glinianych fajek, albo łowiło na wędkę budzik lub flaszkę „Mousseux”, albo tam gdzie więcej gapiów, a ktoś trafiał w tarczę zawieszoną nad łóżkiem, gdzie w różowym dezabilu pod koldrą leżała kobieta i był napis: *Ne laissez pas la belle dormir...* i ryczały i zagłuszały potoki muzyki jazzowej i harmonia z głośników. I tam widziałem jak jakiś mały, wymięty i wypomadowany jegomość został przytrzymany za kłapy i zбитy po pysku, zanim jeszcze zawołano policjanta, za to że w ścisku, koło jakiegoś koła szczęścia, kiedy rodzice się zagapili, skorzystał, że mała dziewczynka,ale właściwie sam nie wiem co to było.

Albo jak wsiadłem koło Gare de Lyon do metra. Zatrzasnęły się i targnęły drzwi wagonów i pociąg potoczył się tunelami. Obok mnie na ławce siedziała młoda para. Pod pomarańczowe światła lamp, oglądali, objęci, negatywy jakichś filmów, pewnie zaklęte w emulsji, przebyte chwile amatorskiego szczęścia. Wzniesione ich oczy jak zamodlone w przebyłym czasie, czytały z czar-no przezroczyстых plam to, co było.

Wysiadłem koło Châtelet i szedłem wzdłuż *quais* prawego brzegu Sekwany. Sasiadują tam ze sobą nieprzeliczone sklepy i zoa z klatkami i paczkami pożywienia dla wszelakich kanarków i papug. Zadumani ornitologowie i *fantassins* z przewieszoną przez ramię *musette* kontemplują wystawione na słońce i w klatkach, jak w średniowiecznych pręgierzach, egzotyczne okazy ba-zantów, papug i szczygłów.

W kurzu trotuarów bawiły się beztroskie i nierasowe szczę-nięta.

Paryż był spokojny.

„Patron” bywał kapryśny albo miał jakieś swoje polityki finansowe bo czasem odmawiał i wtedy wracałem do siebie na górę, unikając wzroku konsjerżki, kiedy ta ze swej łoży odpo-wiadała na moje *bon soir*, „*M'sieu!?!...*”.

U siebie na górze odnajdywałem się w moim samotnym świecie krzywych ścian mansardy z odklejającym się papierem tapety, wodą sączącą się z nieszczelnego kurka umywalni i podłogą dziwnie pochyłą, z przezierającymi spod wytartego linoleum czerwonymi, kamionkowymi kaflami posadzki. Okno otwierało się na wąską szycę ulicy i z dziwnym zapachem paryskim, mieszaniną roztartej na asfalcie gумы i wina dobiegała tu melodia akordeonu i głosy pijących w małym bistrze.

Po nocy, lunatyczny krajobraz dachów, z monotonią skorup i rur kominów, szczytami i graniami dachów nabijał się ostrymi punktami dalekich latarni ulicznych i pomarańczowymi prostokątami okien.

Słuchałem dzwonów zegarowych kościoła St. Etienne du Mont, jak toczyły w przestrzeń szklane kaskady i dzwonienia, bijąc kwadransy i godziny. Wydzwaniały kuranty i trele i wdźwigały się łańcuchem potępieńczym do mojej mansardy i odbijały się od krzywych ścian i spiżowymi obcęgami obejmowały moje skronie. Zaciskałem oczy i wtedy nawiedzały mnie i przychodziły z wałęsanin wśród ulic zapamiętałe reklamy i reklamy, laseczniki zbiegłe ze ścian i murów i pełzające po mym mózgu...

...AU PRINTEMPS... PNEUX MICHELIN... DEFENSE
EXPRESSE DE CRACHER... PARC DES PRINCES... SA-
LON... VU... LU... NORD... SUD... ÇA VA BIEN!... LI-
BERTE, EGALITE, FRATERNITE... MEX-SHELL... MEU-
BLES CHARPENTIER... VICHY CELESTINS... DU BO
DUBON DUBONNET... VISITEZ COTE D'AZUR... GRAND...
PHARMACIE... CREDIT LYONNAIS... GALA DE BIEN-
FAISANCE... DEFENCE D'AFFICHER LOIS DU 29 DE-
CEMBRE 1882... PENSION DE FAMILLE... CIRQUE D'HI-
VER.. FLEURS... CHEMINS DE FER D'ETAT... LIQUEURS
COINTREAU... L'ENSEIGNEMENTS AUX DRAPEAUX...
PATOU... 100.000 CHEMISES... L'AUBE... BOUCHERIE
CHEVALINE... FIRESTONE... GOOD YEAR... SOCIETE
LAITERIE MAGGI... CITOYENS!... PIRELLI... BAR AME-
RICAIN... L'INTRANSIGEANT... LA COUPOLE... DEFEN-
SE DE FUMER (MEME GITANES)... ROND POINT DES
CHAMPS ELYSEES... METRO CADET... COTY... LUMIE-
RES... JACOPOZZI... PARIS-LYON-MEDITERRANEE...
BOULEVARD ARAGO... CLOTURE ANNUELLE... LA BEL-
LE JARDINIERE... SIX JOURS, SIX JOURS... ÇA BON
BANANIA!... MUTUALITE... AIR FRANCE... VIEUX
COLOMBIER... CHOCOLAT MEUNIER... BIERE DE LA
COMETE... AVIS AUX CITOYENS!... BAINS-DOUCHES...
SI GIT GUY... YSSAC DUC DE LA... CHEFOUCAULT (za-

tartymi blokami na marmurze nagrobka na cmentarzu Montparnasse)... A BAS LES CURES (ołówkiem na ścianie pisuaru)... LA SALLE DES PAS PERDUS... GAULOISE JAUNE ET CAPORAL BLEU... DE LA ROQUE AU POTEAU!!!!... VINS-CHARBON... PAVILLON MARSAN... QUINQUINA... PER-NOD FILS... BANANIA... ODOL... ODOL... SAMARITAI-NE... XVII ARRONDISSEMENT... ARMEE DU SALUT... TINO ROSSI... N'URINEZ PAS AU LONG DE CE MUR S.V.P.... TOUS EST BON CHEZ DUPONT... VAUCLOS... SUZY... ANTANT... BRICABRAC... CHOUX... PONT... S'IL... BRES... ACY... AUX... i KEPTA... KEPTA... co to jest kepta?

Ale litery reklam idą, szeregują się, zaostrzają w ostrza jak ostrza bagnatów, falują jak ostrza bagnatów niesionych przez piechotę...

Kiedy dzwony zegarowe milkły to można było słyszeć nikły i szklany chłupot wody uciekającej z nieszczelnego kurka wodociągu, jak bulgot fontanny w ogrodach Persji, szklany i cienki.

Więc kiedy nie mogłem zasnąć, to pomagałem sobie, przypominając jak to szła piechota i wspomnienie i daleko... i w końcu nad ranem zasypiałem...

Szła kolumna piechoty drogą, w kurzu i spiekocie i gorącu lata. Ludzie powynosili wiadra z wodą i stawiali je przy drodze i idący żołnierze czerpali z nich albo po prostu taki piechur pił wprost z wiadra, i widać było jak mu gardło chodzi przy tym łykaniu i pała czerwona od upału skóra twarzy i pot cieknie brudnymi strużkami za kołnierz przepoconego i szarego od kurzu munduru.

Jak kiedy szło wojsko drogą to nie tylko my dzieci, ale dorośli wychodzili i biegli i patrzyli, pomimo lat wojny, która się ciągnęła i pomimo wielu wojsk i orszaków wojennych ze wszystkich stron świata, które ciągnęły przez nasze strony, pomimo tego zawsze lecieliśmy do tego i patrzyliśmy, pewnie to było ucieczką od nudy, monotonii zwykłego dnia, albo myśleli ludzie, że kolumny wojsk z kurzem drogi co kładł się na parkanach, liściach drzew i łopuchach, kurzawą wojenną co rdzawą szeregą zawlekała słońce, przyjdzie jakieś nowe i niespodziewane życie i dlatego szli i biegli do drogi i patrzyli.

Więc szła kolumna piechoty, nie w krok, rozciągnięta, żołnierze, ciężkim, powłóczyстым krokiem, kulejącym, ze zbieranym ekwipunkiem, czapki zsunięte na tył głowy, czasem niektóry miał francuski hełm. Widać było między nimi paru ukraińskich jeńców zakurzonych także i obdartych, dźwigających na ramieniu ręczny karabin maszynowy albo skrzynki z amunicją.

Rosyjska piechota szła ciężką falą, w rozmieszanej od deszczów, szarej mazi bitego gościńca, przemieszane trójki żołnierzy, w rdzawych, długich szynelach, koc zwinięty w wałek i spięty rzemieniem lub drutem w literę O i przełożony przez ramię, z uczepionym kociołkiem-menażką z czerwonej i pogiętej miedzianej blachy, pobielonej wewnątrz białym metalem, mieli poza tym torby i nieśli części namiotów-„pałatek” ze składanymi na części palikami namiotowymi i te części ekwipunku sterczały im ponad ramieniem i niesione pochyło na ramieniu karabiny, płot, las karabinów, „rużja” z trojgraniastymi żądłami bagnatów, bagnety, bagnety, nasadzone tulejką na lufy karabinów, niektóre odwrotnie, tak że ostrze było przy łożu broni skierowane do zamka. Szli i szli, patrzyli w tym marszu bez ciekawości i zmęczenia na ludzi i domy i mijali, żeby tu już nigdy potem nie być pod spojrzeniami ludzi, i za rotą nowa rota i nowa.

Za piechotą ciągnęły treny, dwukołowe wozy z budami, przepisowe wozy wojskowe, ale z tymi przemieszane zarekwirowane wozy i „forszpany” z całego świata, od wysokich i dziwnych dla naszego oka tarantasów z Wielkorosji z malowanymi w kwiaty skrzynkami wasągu i koniem w hołoblach i z krzywą dugą i drugim koniem na przyprzążkę, uprząż końska z żółtej skóry z surowca i wiązana w węzły i „izwoszczyk” w stromej furazce na głowie i kolorowej, przepasanej pasem rubasze z barchanu, albo też już nasze znajome wozy z sąsiedniego powiatu i spiczaste kłęby chudych koni w tragicznym i bolesnym patetycznym zaparciu się w szleje, kiedy ciągną skrzypiące od ciężaru półkoszki z cudzym wojennym mieniem na zachód i na zachód.

A za tym znów piechota, i las pochyły bagnatów pod szarym niebem jesiennym i maż rozartego szutru gościńca rozlewająca się w rowy, lepiąca do butów i walonek i powoli obracających się obręczy i szprych kół.

A niemiecka piechota to znów szła na wschód w lecie, upale, ludzkie postaci obładowane ekwipunkiem, karabin mauser uwieszony z przodu na szyi i przytrzymywany jedną ręką i buty krótkie, koziaki, o szwie z boku, mundury brudnoszarego koloru, workowate, bawarskie pułki z koroną na oksydowanych na oliwkowy kolor guzikach, pasy ciężko obładowane amunicją w ładownicach, wiszące na hakach wszytych pod pachami w mundur i łopatki z jednej strony nazębione w piłę i spięte rzemieniem razem z bagnetem i pasy zapięte na klamrę, na której był w kole wytłoczony napis w metalu *Gott mit uns*, patetyczny i ubliżający Bogu napis. I hełmy o ciężkim okapie, hełmy jak u lancknechtów na miedziorytach Dürera.

Kompania zatrzymała się i mieli odpoczynek. Walili się w rów, w zakurzoną trawę przy drodze. Niektórzy z niemieckim upodobaniem do ekshibicjonizmu rozpinali i zdejmowali kurtki i koszule i ukazywali ciało niemieckie białe i różowe. Jeden młody chłopak o krótkich, przyszyrzonych włosach i białych rzęsach miał purpurowe pręgi od pasów tornistra. Staliśmy u furtki domu i powiedziałem chętnie do matki: „Mamo, ja będę także żołnierzem jak dorosnę!” na co ten Niemiec, który może rozumiał a może wyczuł z intonacji, zaprostował niecierpliwie i zgorzony: „Ne! Ne!” i to miało być potem anegdotą rodzinną jak to ja chciałem być żołnierzem i jak to ten Niemiec obłudnie protestował.

Więc czy szła ta piechota „wojennym szagom” czy niemiecka uparcie, tośmy szli do drogi i patrzyli. Płoty domów już dawno znikły, rozebrane i rozniesione przez koczujące oddziały i zatarły się granice posiadłości ludzkich, i ludzie patrzyli martwo na przeciągające wojska ale patrzyli bez entuzjazmu ale bez nienawiści pierwszych dni kiedy byli nawet zdolni do przekleństwa:... „ażeby cię pierwsza kula nie minęła...”.

Na końcu tedy szła własna piechota, w czasie tej własnej wojny domowej i nie było już nawet mieszczańskiego entuzjazmu dla posrebrzonego ptaszka siedzącego na barokowym kartuszu czy, jak inni chcą, na klasycznym obuchu rzymskiego topora. A my, jak to dzieci, znajdowaliśmy nowy rodzaj uciechy i ucieczki od monotonii małomiasteczkowej nudy.

Jeszcze w nocy i rano przynieśli tę wojnę domową. W nocy siedzieliśmy na schodach ganku i rechotały żaby w stawie i w to rechotanie wmieszały się serie z karabinu maszynowego. Długa seria i potem szedł długi szum-echo ścianami lasów i potem znów staccato serii i szum echa po lasach. Potem huk wystrzału armatniego i daleka eksplozja, i znów wystrzał i znowu... Liczyliśmy te wystrzały i w ciągu nocy naliczyliśmy ich 51. To była biedna ta wojna domowa i nie było wiele amunicji do marnowania. Strzelała jedyna ukraińska haubica Skody, ustawiona koło stacji kolejowej, strzelali granato-szrapnelem, który był wynalazkiem, austriackiego generała artylerii Rozwadowskiego (potem kiedy dorosłem i byłem wreszcie sam żołnierzem, nasz instruktor porucznik Kopacz, z uznaniem mówił o tym wynalazku; „...bardzo demoralizujący, naprzód lotkami po krzyżach i granatem po d...” ale szkody to niewiele robi...”).

Mój ojciec zapiął na marynarce pas, na którym był uwieszony ciężki austriacki Sztajer, który przywiózł mu ktoś z włoskiego frontu, i jeszcze przed świtaniem entuzjastycznie poprowadził ogrodami tyralierę pokazując drogę do stacji skąd strze-

łała ta Skoda. Matka miała migrenę z niepokoju o niego ale my, dzieci, entuzjazmowaliśmy się przemarszem piechoty.

Na żelaznych sztachetach, pod figurą Świętego Rocha przed kościołem (Św. Roch został tam postawiony po epidemii czarnej ospy i musiało to być dawno, bo święty był sam jak po ospie od deszczów i słońca i pies kamienny liżał kolana świętego), otóż na tych żelaznych sztachetach, zahaczony pod pachy o groty i miał zdarte strzępy koszuli i spodnie ściągnięte do łądźwi i wisiał tam od przedwczoraj rozstrzelany trup szpiega. O czym informował kawałek tektury z kartonowego pudełka uwieszony na piersi i było na nim wypisane cyrylicą: „Szpieg”. Ta wypięta pierś, ukazująca żebra jak pierś Chrystusa w Pasji, miała kilka czarnych i zaschniętych dziur, przestrzelin, i u nich zbierały się muchy łakome i zielonkawe.

Wspominam tu o tym jak patetyczne i drastyczne epizody wojny przeplatają się z nudą i idyllą miasteczka.

Czytałem w ogrodzie pod bzami „Przygody Hucka” Marka Twaina, którą to obiecaną książkę przyniósł mi radca Vogler. (Radca Vogler stołował się u nas dlatego, że przychodziła do nas panna Janka Chołodecka, i musiałem mu obiecać że nie będziemy z Elektrą, siedząc na gałęziach jabłoni, wołać bez sensu kiedy się ona pojawi: „Panna Janka Chołodecka w majtałasach!”, o co ona zresztą się nie obrażała).

I znów wybiegałem na drogę patrzeć na wojsko. Na placu koło drogi rozłożyła się kompania. Jeden stał oparty o mur i grał coś bardzo skoczego na ustnej harmonii a dwu innych, na przekór zmęczeniu, jeszcze obładowani ekwipunkiem i tupiąc ciężko butami imitowało jakiś taniec, co miało być prawdopodobnie czymś bardzo ironicznym i przedrzeźnieniem zuchowatości samej. Kilku nabijało na specjalnej maszynie taśmy do karabinu maszynowego. Jeden przysiadł się do leżącego na trawie ukraińskiego jeńca i przeprowadzał z nim bardzo jednostronną transakcję. Wyjął z kieszeni metalowe pudełko na tytoń, tak zwaną „tiutiunierekę” i kazał jeńcowi pokazać jego własną. Pudełko jeńca, podobne w kształcie i trywialnej taniźnie, było o jakiś ułamek lepszym wyrobem, nawet na wieczku, zamykającym się z trzaskiem był wyobrażony konterfekt dziewczyny jak malowanie, z rumieńcami i powłóczyстым spojrzeniem. Nastąpiła przymusowa zamiana i było to czymś tak logicznym i naturalnym i oczywistym, że w oczach jeńca nie widziałem jakiegokolwiek żalu.

Mój ojciec codziennie w czasie tej wojny chodził do banku i chociaż nie było tam nic do roboty przesiadywał tam swoje urzędowe godziny, za jego plecami stała do połowy otwarta kasa ogniotrwała, ostentacyjnie ukazująca pustkę swego wnętrza, malo-

wanego na szary kolor, podczas gdy zewnątrz zdobiła ją powłoka farby pociągniętej tak ażeby wydawało się, że jest z mahoni. A po powrocie do domu w dalszym ciągu był pełen marzeń, których nie mąciło iście Rowlandsonowskie wnętrze jedyne mieszkalnego pokoju z dziećmi, utensyliami rodzinnego życia i piecem kaflowym, napalonym do niemożliwości. Mój ojciec stawał oparty o kafele tego pieca, przypiekające mu łopatki i patrzył przez okno na krótkie horyzonty zimowych zachodów słońca.

A teraz miał swój dzień. Wrócił z porannej wyprawy na stację kolejową, gdzie zabrali do niewoli haubice Skody i miał przewieszzonego przez ramię austriackiego Manlichera i wzięwszy mnie i Elektrę za rękę przeprowadził przez miasto i był dzień i słońce i wszyscy nas widzieli i na pasie zapiętym na marynarce dyndał mu się ciężki Sztajer.

W ogrodzie koło naszego domu ukrywał się między krzakami malinowymi ksiądz Czmoła. Wielki był ten Czmoła, był grekokatolickim popem i przyjacielem mego ojca, głównie dlatego, że ojciec miał zadawniony spór z infułatem Kunaszowskim i od wielu lat nie znali się i nie kłaniali się sobie i kiedy urodziłem się, i zaraz po urodzeniu, wskutek niezdarności miasteczkowej akuszerki, która mnie pierwsza uderzyła po tyłku, byłem *in articulo mortis*, ojciec wezwał tego księdza Wasyla Czmołę ażeby mnie ochrzcił i stąd ta nasza zażyłość.

Ksiądz Czmoła był, należał do tak zwanych Starorusinów, którzy znów byli zażartymi wrogami nacjonalistów galicyjskich, czy, jak inni chcieli, Zachodniej Ukrainy, Piemontu ukraińskiego. Pomimo potężnej postury i byczego karku, ksiądz Czmoła pełen był jakichś trwóg i lęków.

Jak przechodziła jakaś piechota to wywlekany przez trwożę ukrywał się w naszym ogrodzie, jak gdyby on sam był odpowiedzialny za pyromaniaka demiurga który świat podpalał. Wielki, barczysty i czerwony na twarzy, w swej wyświeconej sutannie, której dziurki od małych guziczków były wytarte do białych nici, z herostratesowskim błyskiem winy i trwogi w oczach głośnym szeptem, mówił mi ażebym uprzedził matkę i sam cofał się w cienie nocy. I napełniał mnie trwożą i robił mnie współwinnym za to, że szarym gościńcem sunęły kompanie i bataliony rozmaitych wojsk, od austriackich pułków landszturmu z tornistrami pokrytymi cielęcą skórą, od utaplanych w błocie, długich szyneli i cienkich papach bawełnianych karakułów, syberyjskich strzelców, szwadronów ułanów w czerwonych portkach i z włosienym przybraniem paradnych czak (a ułani to byli czarnowłosi bośniacy i kleli „jebenti duszu!”) a jeden z tych ułanów w czasie odwrotu siedział zakurzony i ranny na schodach naszego domu i wszystka

krw z twarzy mu uciekła i wsiąkała mu w te czerwone spodnie i nie było jej widać dopóki go nie zabrali w końcu i wtedy na progu naszego domu została rozlana krwawa plama, która niczym się potem nie dała zmyć.

A znów kozacy dońscy z lampasami u spodni i wlokący za sobą szaszki o drewnianej pochwie obszytej czarną skórą, uwiązali konie do jabłoni w naszym ogrodzie, i garbonose, dońskie konie obgryzały korę drzew do bolesnego różowego mięsa drzewek (już nigdy potem ta kora nie odrastała i nagie i śliskie i poczerniałe, jak po trądzie pnie drzew pozostały pamiątką po tej wojnie) i wysokie kulbaki kozackich siodła i kozacy uspakajali Stoj! Pastoj! kwiczące i gryzące się konie, kiedy im zadawali paszy ze słodkich trzcin kukurydzy jaką nacięli w naszym ogrodzie zamachami szaszek.

A niemieccy huzarzy śmierci mieli kołpaki przyozdobione błyszczącą, wielką jak pięść trupa głową nad skrzyżowanymi piszczelami, znak Toten-huzarów, w drewnianych olstrach automatyczne pistolety Mausera, pistolet taki utwierdzało się na tej drewnianej pochwie i służyła ona wtedy jako kolba, ale te kołpaki były pokryte pokrowcami ochronnego koloru i wszystkie części ekwipunku były oksydowane na matowo, a konie mieli półkrwi i kurtyzowane, ale ta kawaleria niemiecka była na pokaz, i małe, żylaste typy żołnierzy którzy na tchórzliwych patrolach i furażach byczyli się i wyżywali w brutalizowaniu bezbronnych i zagnanych w trwogę chłopów i byli najgorszym typem człowieka marudera na peryferiach wojny, wybijającym kolbą Mauzera zęby, żrącego źle obrany z puchu pieczony drób i gorzkim grymasem sadystycznej gęby, przedrzeźniający człowieczeństwo.

Do tego były niezliczone treny, artylerie, łodzie pontonowe na kołach, szpitale polowe, etapy, smród wlokący się za kolumnami wojsk, porzuciwane puszki z konserw na postojach, przegniłe płótna namiotowe, puste skrzynie z amunicji, śmietniska kuchni wojskowych, szlachtuzy, piekarnie polowe, pokrławiona wata i zlewy punktów opatrunkowych, onuce, poślad koński i słoma, „Tank Stelle”, „ETAPENKOMMANDO”, sznury od naganów na szyjach żandarmów, budy wysokich ciężarowych Packardów, kiedy ciągnęły od horyzontu do horyzontu gościńcami wysadzonymi czereśniami i brzęczącymi słupami telegraficznymi, broń w kozłach i posterunek w baszłyku z bagnietem na mrozie, siestyryce szpitali rosyjskich i złote pętla na lewym ramieniu waffenroku u austriackich wiedeńskich gigolaków z kawalerii, białe pasy i rozety u sercowato wyciętych butów gwardyjskich huzarów rosyjskich, na polu poza żydowskim cmentarzem podrygujący na cienkich kołach podwozia oplatany pajęczyną linek naciągowych dwupłat

Farmana i rosyjscy lotnicy w skórzanych kurtkach i watowanych haubach i jeden z nich na pół spalony w resztkach skraksowanego aeroplanu i ranni w szpitalnych kitlach palący machorkę i kikuty i Kirgizi i sowiety żołnierskie z czerwonymi kokardami u furazerek.

Ale wszystko to przesłaniał kurz wzbijany przez przeciągającą piechotę.

Tedy ksiądz Czmoła przekradał się do naszego ogrodu, i chował się w krzakach malinowych. Jak potem dorosłem i czytałem rozmaite traktaty psychologiczne to wydało mi się to bardziej proste, że ironiczna natura takie figle sobie asocjuje, że wielcy i sąźniści bać się będą a mali i niewyraźni okażą w przeciwnościach wspaniałego ducha.

Na przykład mój ojciec... Tylko jedno popsuło mu jego poranne wycięstwa i przewagi. Kiedyśmy szli poprzez miasto z ojcem trzymającym nas za ręce, Elektra drepcząca po drugiej stronie wołała, pokazując na jego krótki cień:

...Popatrz jaki twój cień jest mały...

Ojciec, jak wszyscy ludzie niskiego wzrostu był głębiej niżby się zdawało dotknięty tą oczywistością.

— Zrujnowałaś mi dzień — powiedział niewinnej i nieprzezuwającej Elektrze.

Okazało się, że dzień był zrujnowany, ale nie przez Elektrę. Zapędzony w tej wojnie za daleko baon piechoty, miał się po południu z powrotem. Z pośpiechem pakowano na skrzypiące furmanki ciężej rannych, nad stawem słychać było karabin maszynowy, ojciec skompromitował się na tyle, że jedyne co mu pozostało to pożegnać nas na czas jakiś i powędrować na zachód. Ale tok życia nie nazbyt był naruszony. Kury grzebały w zalonym słońcem podwórzu, słychać było palcówki i gamy w pokoju od ogrodu gdzie panna Janka Chołodecka miała lekcje fortepianu z Elektra, matka mimo migreny pamiętała o robieniu jakichś zapasów do jedzenia na drogę dla ojca. Ojciec uważał, że należy nam dać naukę przed rozstaniem i kazał mi zawołać Elektrę i zaczął od tego „żebyśmy nie dręczyli matki, że zostajemy tu nie na dolę ale na niedolę”... ale nie było czasu bo słychać było strzelaninę na grobli i ksiądz Czmoła znów ukrywał się w naszym ogrodzie.

Kiedyś, jak byłem dojrzałym człowiekiem, to pojechałem w te strony jeszcze raz i dziwne było być tu raz jeszcze. Wielkie drzewa koło stacji kolejowej były wycięte, staw zarósł oczeretami, miasteczko wydało się pomniejszone, trudno było w ciasnocie płotów i ogrodzeń zorientować się, ale nade wszystko wrażenie, że domy, rzeczy i krajobraz są pomniejszone, jakby patrzeć przez odwróconą lornetkę, wrażenie spokoju i smutku.

Oto mój dom ubogi,
Też bielone ściany,
Też okna różnoszybe
Piec niepolewany...

Trułem się swoją klęską i równocześnie drżałem z radości. Upewniałem się, że czek na Bank Westminsterki jest na swoim miejscu.

Ale musiałem jeszcze raz spotkać tego UNRowca z sarkastyczną gębą. Naturalnie za nic nie powiedziałbym mu o swoim postanowieniu i o swojej klęsce.

— Z ciekawości — opowiadał mi — przeszedłem koło Podwołoczysk na tamtą stronę, to mnie złapali, dali w zęby, przytrzymali na strażnicy, pytali, kto, po co, dlaczego, kto wysłał, i przepchali z powrotem. No, to na placówce KOP znów dostałem w zęby, pytali, dusili... Ale zębom nie dali rady...

Gadaj sobie zdrów, myślałem, jak ci tam... mój mleczny bracie i nie mogłem się obronić uczuciu zawiści.

Pomyślałem: To tylko Rusin o czarnym podniebieniu...

Nosił płaszcz nawet w gorące lato, ażeby przykryć dziury na łokciach niemożliwie wytartej marynarki, na tył głowy miał zesunięty kapelusz nieokreślonego koloru, wstążka kapelusza była przepocona i świecąca i wypchane na kolanach spodnie.

Ten Ukrainiec z Instytutu Słowiańskiego przy rue Michelet. Już mnie drażniły te wszystkie jego Wy, Wami, Wyście, Wasza, Was, i chciałem mu powiedzieć coś jadowitego i powiedziałem:

— O waszej Ukrainie to można by powiedzieć to, co napisał Joyce o Irlandii, że Irlandia to świnia, co zżera własny płód...

Na co uśmiechnął się rzeczywiście bardzo krzywo i ukazując śliczne białe zęby w chudej twarzy. Mały chłopczyk który bawił się koło sąsiedniej ławki gdzie siedziała jego matka, ośmielony tym uśmiechem potulał kolorową piłkę w naszą stronę. Mój towarzysz stropił się i obracał piłkę w palcach niepewnie i w końcu niezgrabnie odrzucił ją w stronę dziecka.

Było bardzo gorąco i obliczywszy swoje możliwości zaproponowałem:

— Napilibyśmy się piwa, albo co...

— To pańskie piwo — powiedział — widziałem jak się to robi, jak pracowałem w browarze Bière de la Comète we Fresnes, dopóki mnie nie wyrzucili. Gorąco, do połowy nagi, gdzie kadzie w fermentowni i brudną szczotką zgartywałaś wszystko z podłogi, co tam było, śmiecie, płwociny, do kostek w drewnianych chodakach, to wszystko do tych kadzi. *Non! merci...* Ale pożyczylbyś pan siedemdziesiąt centimów na metro?

Poszedł aleją pomiędzy kawiarnie i ptaszowiska Jardin des Plantes. Pod kopułami drucianymi, pod sklepieniami i łukami w siatki trzepotały się, rozczapierały swe pióra i ogony, przefruwały ptaki rajskie, papugi, sokoły, sępy, tukany i pieprzoady uwięzione.

Następnego dnia zrealizowałem czek na Bank Westminster-ski na Placu Vendôme i kupiłem bilet u Cooka. Spakowałem swoje ruchomości do walizki. Kiedy przyjechałem na Gare du Nord było jeszcze wcześniej. Był wieczór i latarnie paliły się na Boulevard Magenta. Poszedłem jeszcze wzdłuż bulwaru. Wstąpiłem do jaskrawo oświetlonego sklepu, *Boite à musique* i wykupiłem sztony do automatu-gramofonu. Wcisnąłem je do maszyny i słu-chałem zdartej płyty:

*L'amour ne serait pas venu,
si l'on n'y était pas connu...*

Potem jechałem w nocy pociągiem, szyby wagonu drgały ryt-micznie i mijaliśmy nocny krajobraz. Już po dniu było Charleroi, potem Aachen, Essen, Hamm, Stendal, obcy kraj. Na kominach fabryk i parkanach wyrysowane smarem były swastyki.

W przedziale jechała rodzina emigrantów, wracali do Polski, *chômeurs*, jechało ich więcej tym samym pociągiem, we Francji nie było dla nich miejsca. On był górnikiem, ona pracowała w fabryce tekstylnej, ich mała córeczka wyglądała przez okno i wołała do rodziców:

— *Vois tu... Drôle comme ça...*

Myślałem jak to będzie jak się wróci, czy tak jakby patrzeć przez odwróconą lornetkę?

Na stacji w Zbąszyniu komitet opiekuńczy czekał na peronach z kuchniami na emigrantów. W ich tłumie i ja zostałem przy-witany pełnym talerzem kielbasy z kapustą...

O STEFCI, O CHAIMIE IMMERGLUCKU I O SCYTYJSKICH BRANSOLETKACH

— I czemu, panno Stefcu?

Panienska siedziała na oknie, wszystko bardzo ładnie, obciągnęła spódnice tak ażeby jej przykrywało kolana, ażebym broń Boże nie zobaczył powyżej, ciasnego zbiegu jej ud. Ani tam byłem ciekawy, pewnie sobie powiedziałem że nie była w moim guście. Taka biała, blondynowata, leciutkie piegi i bezbarwne wargi i trochę jakby nadęte policzki i podbródek i ręce, nie wiedziała sama co z nimi zrobić. To tylko wydawało się, bo na ogół wiedziała co ma robić albo właściwie wiedziała czego nie będzie robić.

Siedzę naprzeciw niej na krześle, patrzę na nią. Włosy ma bardzo jasne, trochę jakby tłuste, trochę jakby suche. Sukienkę to miała sukienczynę, ześcibione to i tak amatorskie, zebrane w fałdziki tam gdzie ma być dopasowane i wisiłaby na niej gdyby nie to, że upina się trochę na górnej części brzucha, trochę na górnej części piersi. Ale robi to swoje, robi ta sukienczyzna wrażenie amatorskości. Cała jest amatorska, dziewczęcość sukienczynowata.

Trochę się boję, czy wzdrygam ale jak już zacząłem...

— Eee, panno Stefcu, jak można było...



To dziwne i śmieszne, ale jak teraz myślę o Stefcu, o tamtych czasach, to wydaje mi się jakby tego naprawdę nie było, jakbym czytał coś o tym za dawnych lat i same wspomnienia o tym układają się jakoś zanadto kompozycyjnie. Wiadomo że najprostszym elementem kompozycyjnym, materiałem jaki narzuca

się z przeszłości jest wspomnienie chwil i zdarzeń przyjemnych głaszczących po duszy a nie wspomnienie bólu i przykrości i poniżenia. To jak myślę o Stefci to na przekór temu straszemu co się stało, boję się że będę się oszukiwać.

Bo jak sobie przypominam Stefcię, taką jaką mi się wyłania spośród zdarzeń, to tak sobie pewnie dopasowuję te wspomnienia, tak sobie dobieram światłocienie, że wychodzi mi ona przychylnie przytakująca temu odległemu życiu. To bardzo ładnie tak sobie wyobrażać, ja tu jestem zagubiony wśród dalekich spraw i ludzi, a tam kiedyś układało się tak, że do koedukacyjnego gimnazjum chodziła dziewczyna, z twarzą w cieniu pensjonarskiego beretu i z paką książek w objęciach i że wtedy była ona moja i niczyja więcej i myślała o mnie i oddawała mi się, wśród leniwego życia miasteczka. I wszystko wobec tego miało się układać na moją glorię, Zamek i Kolegiata zanosily się pod niebo wieżami i szczytami, po to zasadził ktoś tam niebotyczne srebrne topole, ażeby wzbily się i rozprzestrzeniły gałęziami po niebie, ażeby ubrało się to w płaszcz, utkało się to w delię dla mojej pychy.

To pewnie za to jestem teraz skazany na odległość, za tamte sprawy...

Ale przecież ja potrafię wzbudzić w sobie pokorę. Przecież pomimo wszystko potrafię pomyśleć o tamtych czasach tak, jakby jednak istniały one tylko dla siebie, potrafię nagiąć się i powiedzieć sobie że beze mnie także by tam było. Potrafię skazać się na nicłość po to tylko ażeby dać oddech i życie tamtemu. Potrafię zrezygnować i rozdać się, wyzbyć się wszelkiego dobra, ażeby zapewnić tamtemu życie. (Bo czyż nie rozdawałem się, czy nie unicestwiałem się za tamtych czasów? Jak szedłem na przykład wieczorem na głupi spacer podmiejski, jak zapatrzyłem się w mokre pola, w chmury ciężko kładące się o zachodzie, w wierzby rozczapierzone i pokręcone nad miedzami, i w kolor rudy, czerwony, lisi, fioletowo-czerwony, marchewkowy, asfaltowy jesieni, mogłoby się wydawać że wchłaniałem to w siebie samolubnie. To odwróćmy ten proces, przecież to ja oddawałem się temu jesiennemu krajobrazowi, rozstrzeliwałem się w horyzont jak śrut z wystrzelonego ładunku. W jednym mgnieniu oka unicestwiałem się na korzyść, na dobro zewnętrznosci).

Więc jeżeli teraz najskwapliwiej i najzachłanniej zbieram ułamki z tamtych czasów i składam je na nowo, to mam pełne prawo, prawdziwy serwitut na owych czasach, odbieram co moje, odbieram i odzyskuję ułamki samego siebie.

Czasem sobie myślę — a jakby to było, gdyby tak cofnął czas, nawrócić, tak jak się myśli że można by jeszcze raz rozegrać partię, rozpoczętą pod złymi auspicjami. Oczywiście że jest to

absurdalne i jest to tylko takie pomyślenie. Gdybym mógł nawet zwierzyć się z tego Stefci, to boję się że wyśmiałyby takie ekstrawagancje. Bo myśląc bardzo trzeźwo powiedziałyby zaraz instynktownie że powtórzenie takie miałyby fałszywy dźwięk, jak uderzenie w pękniętą blachę. Ale przede wszystkim nie starczyłoby jej wyobraźni.

A znowu jeżeli spisuję tamto niepowtarzalne, czyż nie łapię się sam na praktykowaniu czarnoksięskich sztuk, wywoływaniu duchów, czyż nie jest to czymś z kategorii jarmarcznego panoptikum i estrady z magikiem i mistrzem autohipnozy na gościnnych występach. Używam autentycznych akcesoriów, ażeby to prawdziwie wyszło, przywołuję na pamięć autentyczny sęk w desce, spędzam, planetnik, te same chmury słońca zachodu, taką samą „rozżarzoną podkowę” jaka syczała w deszczu zachodu sprzed lat, zamieniam słowa banalne i stereotypowe z Chaimem Immerglückiem, właścicielem budy z żelazem, farbami i łańcuchami w uliczkę biegnącej od rynku, jakbym chciał tymi łańcuchami sprząc i związać przeszłość i teraźniejszość.

Powtarzam sobie — było, było, było, jakby tryb oznajmiający czasu przeszłego miał mnie z tym związać, na przekór temu że zatarł mi się deseń sukienki, jaką Stefcia miała wtenczas na sobie, kiedy siedziała na oknie, było, a nie pamiętam daty miesiąca a bodajże roku kiedy to było, było, bo jakby nie było, to by mi czary nie wyszły.

Ktoś mógłby zapytać: a skądże te pretensje do tego żeby odtwarzać to co było? Weźmy Stefcię. Przecież to naprawdę dziewczyny nie znałeś, więc jak możesz z taką pewnością siebie mówić — było.

Więc przede wszystkim, pomimo wszelkich przedziałów pomiędzy nami, spotykaliśmy się częściej aniżeli się wydawało. Na przykład, idzie Stefcia z wypożyczalni, niesie pod pachą wypożyczone książki. W tej wypożyczalni spotkaliśmy się czołami nad książką. Stefcia położyła książkę na wyslizganym blacie stołu wypożyczalnianego i ponad jej kark pochyłony, z kręcącymi się kosmykami włosów patrzę w czeluść książki, a kiedy obróci oczy ku mnie to tak bliźniacze z przepaścią książki... A więc prawda i szalona satysfakcja z tego przypomnienia. I inne, odkładają się, przetasowują raz jeszcze, raz jeszcze, co zaczepić oko o jakiś szczegół to tak jakby się go samemu stworzyło, ni stąd ni zowąd powstaje na nowo, ten sam, a wymarzony. Nie było go a jest, taki sam, wymarzony w tęsknocie do której sam nie przyznam się, za Boga...



Stefcia ma osiemnaście lat. Tego roku w maju będzie зда-
wać maturę, o tym wiem, ale gdybym nie wiedział, to nie wie-
działbym jak ją nazwać. Czy jeszcze była dziewczynką, czy była
już dorosłą panną? Jak mówię Stefcia to naturalnie tak jak o
dziewczynce, ale jak dodaję panna to już awansuje to ją na pa-
nieńskość.

Mówi do mnie przez pan a ja do niej przez panno Stefciu.
A przecież kiedy byliśmy dziećmi to bawiliśmy się razem. No, co
prawda to tego nie było dużo, bo jednak dzieliła nas różnica
wieku. Raz, ile to ja wtedy miałem lat? trzynaście, no to Stefcia
miała wtedy siedem, pamiętam jak chodziliśmy na Zamek. Zamek
jedną skarpą wyniósł się nad rzeką i wystarczały tam potężne fun-
damenty i przypory murów. Sam Zamek służył jeszcze partiami
jakimś celom, ale przychodziły zmiany. Jak przychodziły zmiany,
jak jedna część się wypaliła to przykrywano dachem inną i tam
się coś urządzało i gnieździło. Za naszego dzieciństwa to w jednym
skrzydle była jeszcze, ale już nieczynna, fabryka cygar i papiero-
sów, a druga była w ruinie. Teraz, to o ile wiem, to na odwrót
ten tabaczny interes był w ruinie a w nowej części, odnowionej
był sąd grodzki.

Kiedy raz ze Stefcią tamtędy przebieraliśmy się, szukając
wśród kamieni i pokrzyw i zaglądając w sypiące się dziury
w murach, w jednym miejscu wydarzyło się, że Stefcia znalazła na
walający się drut kolczasty i przebiła sobie podszwę nieobutej
nogi. Nic to nie było nadzwyczajnego, na podszwie nogi czarnej
od stąpania po gołej ziemi ukazała się kropla krwi, jak koral.
Stefcia była blada i trzymała się mego karku, kiedy tak stała na
jednej nodze a ja chusteczkę do nosa zawiązywałem w kunsztowny
węzeł.

To wtedy był właściwie ostatni raz naszej komitywy. Bo
potem powstał już bardzo przedział w latach, kiedy byłem w
gimnazjum to Stefcia ciągle jeszcze była dziewczynką, a potem,
jak byłem na uniwersytecie to spotykałem ją, idącą do szkoły, z
paczka książek w objęciach i w berecie zasłaniającym jej czoło
i włosy. Udawałem wtedy że jej nie widzę, bo wydawało mi się
śmiesznie być w komitywie z niedoroślą dziewczynką, w ogóle
dziewczyną. Ale miałem wrażenie że po owej niewinnej przygo-
dzie wśród sypiących się ruin Zamku, Stefcia miała jakby
jakieś pretensje o to że jakoby coś pomiędzy nami było już, coś
zaszło, jakby do tego przywiązywała szczególną wagę, nagięła
się raz ku temu i już, i że ja niby skompromitowawszy ją mia-
łem ponieść tego konsekwencje.

A teraz, po raz pierwszy od tamtego czasu jesteśmy swobodni. Przychodzę o każdej porze dnia, przyjmuje mnie najspokojniej w świecie, rozmawiamy godzinami. Jak popołudniu nie mam co robić to wybieram się na drugi koniec miasta, do Stefci. Zachodzę, kucharka Krystyna mówi mi: „Niech pan tamuj poczeka...”, czekam więc w saloniku, patrzę po bibelotach na etażerce, oglądam książkę z wypożyczalni, „Sprawa Mauritiusa” Wassermana, na ścianie wielka reprodukcja Wyspiańskiego, Święta Salomea na witrażu, za książkami na półce postawiane są słoiki z konfiturami truskawkowymi. Potem słyszę tupot kroków po schodach i Stefcia mówi mi, czemu pan nie siada.

Bo Stefcia ma narzeczonego. Jest to sprawa już powszechnie wiadoma, narzeczony jest młodym lekarzem, internistą w powiatowym szpitalu, a teraz nawet, w czasie nieobecności prymariusza wszystko jest na jego głowie i nie ma zupełnie czasu przychodzić. Ale na wiosnę, kiedy miał więcej czasu to chodził zawsze ze Stefcią na spacerunki popołudniami, ale zawsze z mamą, która szaperonowała, zawsze z nimi, ale żeby nie przeszkadzać to zawsze o trzy kroki z tyłu i można było zobaczyć tę grupę popołudniami schodzącą ku rzece, naprzód Stefcia i młody eskulap, a za nimi o trzy kroki mama z autentyczną parasolką przy każdej pogodzie.

Teraz spacerunki się urwały, doktor Zawichowski, tak się nazywał pretendent do rączki Stefci, jest szalenie zajęty. Spotkałem go, Stefcia nas poznała i doktorek nawet mi się podobał, młody, miał szare oczy i czarne, przystrzyżone wąsy i nie był wcale głupi, mówił bardzo szczerze, był bardzo zainteresowany swoją robotą, był bardzo zainteresowany Stefcią, trochę mu imponowała jej pozycja, pożał się Boże, socjalna, córeczka prowincjonalnego mecenasu i mieli dla niej mały posąg i drugi dom, doktor był czytany, manieri miał trochę szwankujące, obgryzał paznokcie, ale wcale nie oznaczało to słabości charakteru, bo był pewny siebie i wiedział czego chciał.

Przychodził czasami Franek Wójcicki. Ale Franek nie liczył się, nie mógł się liczyć. Bo Franek Wójcicki to był mały chłopczek, z różową twarzyczką i kręconymi włoskami amorka i przygotowywał się do matury, a potem miał iść do lotnictwa. (Poszedł potem do tego lotnictwa i skraksował na myśliwskim płatowcu i zabił się i już go więcej nie było. Franek Wójcicki, który nawet w mundurze pilota zachował pucułowatą twarzyczkę amorka i niebieskie, niebiesciutkie oczy).

Przychodzili i inni. Taka zabawna kamaraderia z koedukacyjnego gimnazjum, co niektórzy zaśpiewywał, bo przechodził właśnie mutację. Byli i dzisiaj, przede mną. Stefcia po tym wy-

padku z samochodem musiała zostać parę dni w domu, przyjść do siebie, miało się po tej samochodowej sprawie załagodzić, to przyszli ją solidarnie odwiedzić, zachowywali się niby swobodnie, ale było to nadrabianie. Przekomarzali się pomiędzy sobą. Mietek Schabowski cesał się z przedziałkiem na środku głowy i jeden z nich nasypał mu w ten przedziałek fiołków, które przyniósł dla Stefci, ale wydało mu się niezgrabnie te fiołki ofiarować to gniótł je tak długo w garści, aż je nasypał Mietkowi Schabowskiemu w przedziałek fryzury.

Ich głosy szczeniakovskie maturzystów, żargon szkolny, „...gwizdam na to z magistratu... sztemp... ale szac... ty, nassypali piasku...”, wreszcie pozabierali się, poszli.

Wtedy Stefcia siedziała na oknie. Wtedy zapytałem: I jak to było?

— Proszę pana, przecież będę zdawać maturę... Mało to uczyliśmy się propedeutyki filozofii? Na ile tysięcy lat przed Szopenhauerem byli „Eleaci”?... Po co to wszystko?... Dlaczego?...

Wargi jej się trzęsły. Ale próbowała się uśmiechnąć.

— Ten szofer był bardzo czerwony na twarzy i zły i przestraszony i nawet przeklinał mnie. I nie dziwię się mu, zwłaszcza że powiedział że on przecież ma żonę i dzieci.

Mogłem nawet wyobrazić sobie tego czerwonego na twarzy szofera, słyszę skrzyp hamulców jego wozu, kiedy widział Stefcię, leżącą w kurzu drogi pod kołami samochodu, na małomiasteczkowej ulicy. Stefcia miała potem policzek zabrudzony z jednej strony, była to już sprawa poza krawędzią do jakiej dochodziły w swej ostateczności konflikty małomiasteczkowe i potem to zostało raczej niedomówione, niedokumentowane i niewyspekulowane w skromnym zasięgu, rozwarciu się spraw pod niebem nad Zamkiem, Kolegiatą i szczytami srebrnych topoli.

Przecież kiedy to do mnie tylko doszło, do mnie, który przejrzał wszystkie sytuacje, naprzysłuchiwał się najbardziej wyszukany rytmom, baudelairovsko-huysmansowskim, to nie umiałem sobie tego zmieścić. Miałem i podziw i czułem żal i gniew za to że panna Stefcia chciała mi zabrać tamtejsze życie, tak jakby unosiła je z zeszytami i książkami w objęciach, kiedy szła na drugą stronę.

Oj Stefciu, Stefciu, a niedobra, to to tak? To w tak zwanym kwiecie wieku, we wiośnie tak zwanej życia, zachciało ci się uciec na tamtą stronę? Niesłusznie zarzucać by ci ciekawość, bo nie z ciekawości ale ze wstrętu do życia, do napotykanego, niby gdzie? W nicość? A cóż ty wiesz o nicości? A cóż ty wiesz jak jest tam? A wiesz ty, że jakbyś nie robiła tego z innych pobudek jak z

dziewczyńskości, to to jest grzech? Grzech nieświadomości, sprawa bodajże winna podpadać pod artykuły moralne i etyczne. Przecież chciałaś zabrać ze sobą okrąg spraw na prawo i lewo od ciebie, mogłaś ściągnąć za sobą wszystko. Cóżes ty Stefciu chciała zrobić? Nie śmieję się z pytania pełnego zgrozy i retoryki. Nawet nie wiem jak, ale mam podziw dla twego śmiechu. Byłaś już tam i wróciłaś, zajrzałaś na tamtą stronę o powróciłaś i jesteś już inna, jakby mądra i jakby zła tą swoją mądrością...



Liczę na palcach, ileż to? dwa? trzy lata? jak tu byłem. Rynek, na rynku ta sama studnia ze statuą Matki Boskiej i z podstawy jej biją dwie szpryce wody ze źródeł na wzgórzach sprowadzanej i wybrukowany plac naokoło i szczeliny pomiędzy kamieniami zawsze wilgotne, i u studni miasteczkowy nosiwoda, na pół idiota z tym samym idiotycznym „a-ga, a-ga”. Zamek wystercza ponad akacyjnymi drzewami i poza nim wieże Kolegiaty i banie cerkwi Bazylianów. Po drugiej stronie, naprzeciw sklepu tytoniowy rozbity i szkło okienne szczybi się i lśni na chodniku i puste, tekturowe pudełka po papierosach wszędzie porzucane.

Na drugim końcu rynku spotkałem Chaima Immerglücka, pamiętam go z dawnych czasów, miał sklep z żelazem i farbami i narzędziami, sznurami i łańcuchami i poznał mnie od razu, chociaż to dobrych parę lat jak tu byłem. Poznał mnie z jakimś błyskiem porozumienia w oczach. To porozumienie akceptujące mnie, zjawiającego się z tą wojną, w pewnej mierze wojnę tę tu ze sobą przywozłem, byłem jednym z jej współtwórców, jej bogów. Trudno mi sobie wytłumaczyć to porozumienie w oczach Chaima Immerglücka. Wydało mi się że jakby nagle przedstawił sobie, że bierzemy udział w karnawale, że poznaje mnie w przebraniu, że rozumie, że nie ma pretensji, że jakby to było nawet komiczne, ja w tym przebraniu, w hełmie stalowym na głowie i z kolekcją ręcznych granatów zahaczonych o pas, z warstwą kurzu na cholewach butów, na kłapach kieszeni, na policzkach, na nosie, aż po brwi.

Może błysk porozumienia w oczach Chaima Immerglücka to złudzenie, a może ma ono skonstrastować, powiedzieć że nic już nie jest ważne. Że ludzie jakich widzę na rynku, zbieranina tępych twarzy, oddech ich zmieszany z powietrzem; a żebym był nawet zwiastunem złych czy dobrych nowin to nie ma dla nich apelu. Są bezosobowi jak chrobot, szurgot szczurów za

ścianą domu, bezosobowy i martwy chłupot wody rozbijającej się o kamienie potoku, skrzyp gałęzi giętych porywem wiatru.

Kiedy idę powoli, powoli przez ulice miasteczka to tak jak bym nie chciał zamąć tego co tu jest, do czego już nie należę. Mimo że jest trochę ludzi tych to wydaje się pusto. Tych trochę ludzi to tak jak muchy na twarzy osoby umarłej. Podrywają się z brzękiem z kącików ust, z kącików powiek i zaraz potem siadają z powrotem, *mouches* na pudrowanej twarzy, zrywają się i siadają.



Zaszedłem aż do domu Stefci. Dom był pusty. Nikogo, uciekli przed wojną. Chodziłem po pokojach domu, tak jakbym chodził po muzeum. Podłogi były ślicznie wyfroterowane i wszystko było tak pozostawione jak na pokaz. Żadnego rozgardiaszu wyjazdowego, nic porzuconego, nic nie wałało się, ani jedna szuflada nie była niedomknięta. Było bardzo solennie, aż spojrzałem na własne buty czy nie nanoszę jakiego brudu. Nie, było przecież sucho na dworze, chodzę po pokojach, nie gość, nie intruz, nie mieszkaniec, jestem jak duch nawiedzający stare miejsca, przenikający ściany i zamki. W oknach pelargonie w wazonikach, w kuchni świeży papier-lep na muchy, nawet nie wiele much się jeszcze złapało...



A teraz ubiegajmy zdarzenia. A teraz dopiero niech nam będzie dane naprawdę zatchnąć się dziełem tworzenia. Teraz pomyślmy jakby to było gdyby było. Z wielką satysfakcją, na przekór wszystkim innym możliwościom i przeciwnościom, kiedy już nam dane jest stanąć nad wielką głębią spraw, ich szans, odmian, przypadków, nad wielką wodą, aż czarną od nieprzeniknionej tajemniczości i aż gęstą od skoncentrowanych w niej, zmieszanych w niej i ciężkich od wyroków dniań się, zarzucmy z zamachem sieć własnych marzeń. Z takim zamachem, z takim wspaiałym gestem!

Oto poszły w głębinę i porwały się w przepaść oka mojego niewodu, pogrążają się i znikają w wodnych czeluściach. Zapada się niewód i ginie. Ciągną go w dół, ciężkie, nizane ołowiem i żelazem obramowiny mojej myśli. Woda rozwarła się pod nimi i pochłonęła je i zamknęły się koła wodne ponad nimi i wygładziła toń.

Boję się i rozpaczam nad tym połowem. Boję się śmieszności

która w jakiś nieodwołalny sposób łączy się z posepnym rybactwem, rybołówstwem moim (jakby podobnym do słowa cudzołóstwo, wstępowania w cudze łóżce). Boję się śmieszności, pajacowatości i błazeństwa odstawianego na widoku publicznym patosu miłosnego.

Pokryty rumieńcem wstydu zapatruję się w toń, w ocean przypadkowości.

Jakby to było? Byłoby zamiast było, inne aniżeli było, aniżeli bywało, aniżeli było i odbyło. Byłoby i spodziewanie i niespodziewanie. Byłoby tak, że ani to było, ani ostało się, bo byłoby, warunkowość tego odgranicza mnie od tego co było i pozwała mi na tchórzliwe niebranie odpowiedzialności za rzeczy które były naprawdę.

Ale czy nie jest się odpowiedzialnym za fikcje, stany stworzone przez samego siebie, za zbrodnie na niby, za uniesienia na niby, na zabawę. Jest się za to tak samo odpowiedzialnym, jak za zgorzenie młodocianych, jak za zawiedzione nadzieje, jak za niedotrzymanie słowa, jak za myśli o sprzeniewierzeniu majątku sierot albo funduszy publicznych.

Dlatego, zanim zapatrzę się w ciężkie, oślizgłe od szlamu niewody, to daję sobie samemu słowo honoru, przysięgam się że biorę za to odpowiedzialność.

Oto wyłaniają się mokre liny i sieci narzędzia mego połowu, niewody, to daję sobie samemu słowo honoru, przysięgam że biorę za to odpowiedzialność.

I czegoż dopatrujesz się w niewodzie małomiasteczkowy Romeo, studencie wolnych sztuk z niezdanymi egzaminami semestralnymi, pasowany na dojrzałość przez kawalerskie choroby, niezapłacony rachunek u krawca, bijatykę po północy w dancingu, snobujący się na czytanie Sorena Kierkegaarda, a w gruncie rzeczy chory na owo kierkegaardowskie tchórzostwo.



Czyżby ciężąca sieci topielica o spuchłych wargach i oczach wyjedzonych przez żwir rzeczny, o rękach pocentkowanych trądem wodnym, czyżby to była Stefcia?

Weźże tę topielicę za rękę i odprowadź do ołtarza, a ręką tą jeszcze okręconą święconą i ucałowaną stułą. Powiedz ją poprzez próg kościelny, aż niech ugną się resory fiakra, którego chabety przystrojone są w weselne wstążki. Zagub za sobą ostatnie piszczały i dudy organowego „Veni Creator”!

Poprowadź ją naprzód, poprzez froterowane firmamenty posadzek, fornirowane floresy mebli, fryturę faszerowań kuchennych.

nych, fioritury fryzur modnych, fatamorgany firanek sypialni-nych...

Oto następnego dnia, rana małżeńskiego jest popsuta jak zabawka, jak lalka, w której się coś pokręciło i już nie mówi więcej „mama”, a jak ją położyć to raz na zawsze zamknęła oczy i nie może ich otworzyć.

Stefcia, co oddaje się nie mnie a księżycowi i kapryśny satelita zaglądający sierpem niespodziewanie poprzez wieczorne okna ma więcej z nią do czynienia i przywłaszcza sobie moje prawa małżeńskie...



Na stoku wzgórza, wpośród krzaków kalinowych, w cieniu buków, dębów i jarzębiny i srebrnych topoli jest grób królowny scytyjskiej. Nad nim przemienia się słońce w porankach, w niebie zmytym wodą deszczową i przepalonym krwawym świtem.

Dalekie łąki nad wodami stękają od tętentu kopyt końskich jakie przeszły nimi setki lat temu. Jaskry na łąkach świecą żółtym światłem jak świeczki powtykane w trawy. Ziemia odwrócona odkładnicą pługów łuszczy się jak łuska rybia i opalizuje. Jak wiosna to sypie się z drzew pył kwiatowy i przypudrowuje grób królowny scytyjskiej, jak jesień to kładą się na nim liście jeszcze soczyste, ale już żółte od śmierci.

Jak było odwiedzić grób królowny scytyjskiej to nadchodziło się cicho, skradająco, żeby nie zamącić tamtejszego spokoju. Leży tam w swoim scytyjskim diademie ze złotych blaszek i na przegubach jej dłoni złote bransolety.

Już dawno zamarło echo tętentu koni po szerokich łąkach nadrzecznych. Bije jeszcze w nas nasze serce, jak echo tamtego tętentu sprzed setek lat. Zakołacze się w nas i przypomnimy sobie, a potem myśl zaświergocze o czymś nieważnym i już tego tętentu nie słyszemy.

Czy zapomnieć mi o królownie scytyjskiej, czy zagłuszyć jej wspomnienie w zgiełku wielkiej i pustej ptaszarni, aviarium, jakim jest moja niespokojna świadomość?...

POKER W GORGONACH

Durny był ten Wacek Rogowski, durny i chytry. Był znacznie od nas wszystkich starszy i znacznie więcej wiedział i prześcignawszy nas o lat dziesięć wiedział więcej i jakby się śmiał do siebie, co to my mamy do zapłacenia zanim nie będziemy wiedzieć tyle co on. Dlatego może był nawet pobłażliwy kiedy nabijaliśmy się z niego, kiedy po prostu pogardzaliśmy nim i jak co to mówiliśmy mu: Ty chamie, ty idioto! Wacek wcale się nie obrażał.

Grał w pokera bardzo ostrożnie, nie mógł sobie pozwolić na przegrywanie, nie tak jak ja kiedy podbijałem i stawiałem się, chociaż obgrywali mnie i wykorzystywali mój brak doświadczenia i po prostu brak nerwu do pokera. Zresztą nawet nie byłem pożądanym, nie sprawiało im żadnej satysfakcji grać z takim jak ja fuszerem i takim brakiem talentu. Naprawdę to nawet nie umiałem porządnie przegrać, bo żal mi było pieniędzy i odchodziłem zły i bali się może, że się rozplącę.

Ale Wacek Rogowski to sobie chytrze i ostrożnie poczynął. Przychodził i proponował: „A może pociągniemy?”. Zdaje się że nie musiał dwa razy powtarzać, zawsze znalazł się amator, jeden, drugi, potem przychodził ktoś inny, „pociągał”, no i gra się zaczynała. Jak nie miał pieniędzy to zadowalał się kibicowaniem, bardzo opanowanym i spokojnym. Jaskulski, „Jaskuła”, grał spokojnie tylko mu grdyka drżała, takie miał nerwy, nieprzyjemnie było patrzeć. Zaleski mówił spokojnie: „Otwarcie!”. Nikt nie miał otwarcia, no to wpłacają jeszcze raz i nowe rozdanie kart. Błazowski swój wachlarzyk z pięciu kart rozchyłał tak mikroskopijnie, maluteniczko, że jedna karta zakrywała drugą i z ułamka znaku w rogu karty, z malutkiego łuku brzuszka trójki, albo koniuszka litery K wyzieraających zza brzegu domy-

ślał się, odgadywał „rękę” i rozczarowany albo zbyt ostrożny mówił: „Czekam... Poczekam...”. Katz wydmuchiwał chmurę dymu i bluffował bezczelnie „Sześć i dwanaście!”. A na to Błazowski naturalnie „Nie dam”, a Jaskulski przełknął ślinę i dopłacił osiemnaście, Rogowski powiedział „Dwanaście... iiii dwanaście”. Spotkali się! Katz ma strita a Rogowski fula i to asowskiego fula!

Miał popryszczoną twarz i po goleniu zawsze kilka tych krostek mu krwawiło. Na szczęście można było patrzeć bo golił się dosyć z rzadka, panie dzieju. Na tyle głowy miał już tonsurkę, mówiliśmy że to od niechlujnego życia. Ale miał cholera o sobie wyobrażenie, kiedy, cholera, pozwalał sobie na estetyczne uwagi o innych. Raz, nie wiem jakim cudownym sposobem doszło do tego że jakbyśmy mówili o urodzie Błazowskiego. Nie mogę sobie przypomnieć jak do tak cudownego faktu dojść mogło. Przypominam sobie tylko że Wacek Rogowski mówi do mnie: „A jaki ma ten Błazowski długi tułów”. I rzeczywiście, mały Błazowski okazuje się dlatego taki mały, że ma króciutkie nóżki, ale tułów ma długi, dłuższy aniżeli u normalnego mężczyzny. Aż mnie zbrzydziło.

Kiedy w Związku Leśników zostały niewykorzystane praktyki to Rogowski najbezczelniej w świecie pojechał jako „leśnik” na długie trzy miesiące w góry. I jeszcze mnie namawiał i obiecał że napisze i tak zapraszał jakby do siebie, na swoje, taki był hochsztapler, że niech go cholera weźmie.

Wacek Rogowski napisał do mnie list z gór ażebym przyjechał do niego. Pisał że nie powinienem mieć żadnych skrupułów, że wszystko jest załatwione, pisał tak lekko i beztrasko, że ośmieliło mnie to w zupełności i zachęciło. Pisał ażeby przyjechać.

Głupio jest trochę jechać do kogoś, kogo się nie zna i na zaproszenie kogoś drugiego, którego prawa pobytu, i przywileje zna się aż nadto dobrze, ale zdecydowałem się i pojechałem.

Nie przypominam sobie teraz jak się jechało tam, przypuszczalnie na Podkarpaciu trzeba było przesiadać w Stryju na Wygodę w każdym razie dojechałem do Broszniowa i wyładowałem się na stacji. Było bardzo wcześnie rano, raczej nad ranem i trzeba było poczekać do pierwszej kolejki jadącej w góry. Stacja kolejowa była zapchana wagonami z drzewem, całe stosy pni walały się wszędzie i zaraz za stacją paliły się jeszcze rano światła elektryczne tartaków i prychała para sponad dachów. Widać było banie cerkwi nad uspionymi siedzibami ludzkimi. A dalej jak parawany wycięte z blachy nieregularnie i tak jak nożycami zaczynały się wzgórza i góry. Było bardzo chłodno i rześko. Rosa kołysała się na liściach i lśniła na szynach kolejowych. Tylko szuter między

progami kolejowymi i żwir, którym był wysypany plac koło budynków stacyjnych, wydawały się suche jak pieprz.

Poszedłem w kierunku gdzie widać było między stosami drzew płataninę szyn kolejki wąskotorowej. Czekają tam kilku chłopów, robotników leśnych. Gdzieś tam między stosami słychać było syczenie małego parowozu i klekot wózków zestawianego pociągu. Popytałem chłopą, który miał granatową, wymiętą czapkę funkcjonariusza prawdziwej, szerokotorowej kolei, ale który manipulował coś przy wagonikach, kiedy będzie kolejka do Bystrzycy i powiedział mi że o szóstej. Zaczęła mnie napastować myśl czy za przejazd ten nie należałoby zapłacić, tak to wyglądało w organizacji że należy to do dużej kolei, ale Wacek Rogowski wyraźnie pisał, że nie płaci się, siada się i jedzie, tych kilkadziesiąt kilometrów. No to dobrze!

Powałęsałem się trochę poza stacją, zajrzałem przez parkan na cmentarz cerkiewny, koło którego rosła czereśnia, ale bezpłodna jakaś, no i tak zeszło do szóstej. Mała lokomotywa wyciągnęła już sznur krótko spiętych wagoników, dźwięczących łańcuchami wiszącymi i oplątywującymi żelazne kłonicę. Na końcu był doczepiony mały kryty wagon. Robotnicy wrzucali tam właśnie swoje toboły i narzędzia. Lokomotywka była obrócona tyłem do gór, pewnie ażeby oszczędzić jej obracania. Hamulcowy obojętnie zaakceptował moją pasażerskość, lokomotywa gwizdnęła piskliwie i pociąg ruszył. Domy były jeszcze uspione, w co nie którym unosił się dym nad blaszanym dachem i jaskrawiły się drzwi karczmy i trafiki, malowane w skośne pasy, na przemian białe i czerwone. Kółka wózków potykały się na rozjazdach i pociąg wyciągnął się na wielkim łuku, omijającym pierwszy garb. Załśniła Czczewa, wysypująca białe łachy z otoczków górskich. W miejscach rozlewała się w spokojne zwierciadlane sadzawki, w miejscach rozbijała się z szumem o głazy. Długi płaski most drewniany z potężnymi izbicami przenosił gościniec ponad jej wodami.

Teraz tak. Z Gorganów wypływają i przedzielają je dolinami z południa na północ doliny rzek: Świcy, Czczewy, Łomnicy, Bystrzycy. No to moja Czczewa, jedna z nich z charakteru i topografii przerywa przez doliny jak tamte, może tylko jeszcze mniej znana. Po obu stronach doliny rzeki, garbią się wzgórza i szczyty się na nich las jodłowy. Lasy te są państwowe i podlegają nadleśnictwu w Wygodzie, gdzie siedzi pan radca leśny, bardzo nie leśniczy tytuł w hierarchii Dyrekcji Lasów Państwowych. A w dolinie Łomnicy znowu to lasy Metropolii Greckiej lwowskiej i gdzieś tam jak Bystrzyca sąsiadują i graniczą już. Doliną Czczewy

ciągnie wąskotorówka lasów państwowych, doliną Łomnicy lasów Metropolii.

Doliny są wąskie i zaniezione mułem dyluwialnym, spłukanym z gór. Jest w nich kilka wsi większych i dosyć rozrzuconych, jest także kamienista droga, tam gdzie wsie to banie cerkiewne, osobno leśniczówki. I wszędzie drzewo i drzewo, nowe odziomki czerwone od kory albo fioletowe od długiego eksponowania na deszczach i słońcu. W korytach stromych wzgórz „ryzarnie” jedne w eksploatacji i świeże i wyszlizgane i różowe koryta, inne stare i zapuszczone i porzucone. Chude i kamieniste pola, ich łąty na krzywych stokach wzgórz i zielenina i ogrodzenia z żerdzi, biegnące w takt z okrągłizną stoków i wspinające się wysoko ku łąkom i połoninom. Ale ponad tym wszystkim las, pnie zwarte i gęste od poszycia i wyżej i coraz wyżej. Za garbem następny garb, siny od mgiełki górskiej i następny już fioletowy, a zachodzi za inny ochrowy. Do tego powietrze świeże, inne, górskie, a w dole rzeka, ukazuje się i znika i jest tu bardzo górsko i dziwnie i nie tak jak jest w dolinach. Bo w dolinach jest muł, ziemia i błoto i wszystko jest takie bardzo zniwelowane i płaskie, a tutaj jest surowo i kamień i łom wyłazi spod cienkiej przykrywy jak spod zdartej skóry i ukazuje surowe wnętrze i nagłe przeskokki w różnicy poziomów działają brutalnie i ostro. Nie jest sennie, jak w dolinach, ale każe nam wszystko być napiętym i przygotowanym na najbardziej nieoczekiwane. Każdy szczegół w topografii, który mam na myśli a to spadek, załom, wiszar, stok wzgórz i płycizna wyszuranego koryta rzeki, i zakręt drogi, płot żerdziany i kupa szutru, nie mówiąc już o dalszym planie, całych wzgórzach, lasach na garbach i plecach gór z całą Sierrą Newadą jaka piłuje nieboskłon, wszystkiego jest dużo, jest to bardzo oczywiste i bezwzględne i jeden szczegół z tego w dolinach to wystarczyłby całej okolicy na znak charakterystyczny i unikat krajo-brazowy a tutaj nikt się z tym nie liczy. Dlatego zawsze jak zaczynam w górach to jest dziwnie i niezwykajnie i trudno mi przywyknąć. Jakby to wytłumaczyć? Po prostu nawet o rzeczach które znamy mamy wyrobiony sąd własny i uparty i jak powrócimy do nich to nie ma na to rady, że jest to odskakujące od naszego wewnętrznego pojęcia i obrazu.

Tak mi się to wydaje z górami...

Jedziemy. Nasz wagonik klekocze na końcu całego zestawu. Razem ze mną jest jeszcze pięciu robotników leśnych, czterech starych chłopów i młody chłopaczek który ma może najwyżej piętnaście lat, ale ma już zacięcie starego robotnika i manieri, co jest trochę śmieszne przy jego gołowasej twarzy. Chłopi są zarośli i brudni. Każdy ma tobół lub torbę z czymściśtam i sie-

kierę i jest także piła szeroka o zębach w jaskółczy ogon i lśniących, świeżo ostrzonych w odróżnieniu od wiśniowej błony taśmy. Moja obecność nie dziwi ich jakoś, jesteśmy w zgodzie.

Wagonik jest śmiesznie mały, jak pudełko od zapalek, położone na sztorc na kółkach. Są tylko jedne drzwi i w środku jest żelazny okrągły piecyk i od niego rura poprowadzona jest i przepuszczona przez dziurę w dachu. Jest bardzo zimno i chłopak z niebywałą zręcznością, ale to sztukmistrzostwem pociął i przerąbał kłoc, wyciągnięty z kąta wagonu i zaraz paliło się to jakby był z prochu strzelniczego i na chwilę zadymiło się niebiesko w środku, póki dym nie znalazł własnej drogi przez rurę. Podłoga jest brudna i zaśmiecona trzaskami, ściany są szare od brudu i porysowane zadziorami. W jednym miejscu ktoś bardzo koślawo wypisał chemicznym ołówkiem stanę następującą: „Lampa jasna — pizda ciasna — piec gorący — chuj stojący...” w innym miejscu było cyrylicą: Proklatyje Lachy...

Od drzwi wagonu zaniosło nagle ulewą. No pewnie, zawsze w tych górach leje, od czegoż mapy opadów pokazują zawsze tam gdzie góry tyle i tyle milimetrów rocznie opadów, zawsze tam gdzie góry to zagęszcza się to niemożliwie. Na zewnątrz wszystko lśni teraz od wody, liście drzew, trawy, słupy telegrafu, żwir i kamienie. Rzeka zasłonięta jest welonem, najbliższy garb jest za muślinem deszczowym i ponad nim widać niską chmurę, którą wiatr przegania. Ale zanim miałem czas zasępić się nad tym deszczem, który ma mnie przygnębić zaraz, bo deszcz i nie ma słońca i świat robi się przygnieciony i szary i ograniczony, kiedy za następnym zakrętem jest już jasno, przeźroczyście i woda lśni w promieniach tego samego słońca, które wydawało się sekundę przedtem takie przepadłe i nieobecne.

Wąziutkie szyny kolejki idą dokładnie po warstwy stopy góry w dolinie rzeki i kręcą się tak jak warstwica, ale idą w górę i lokomotywka sapie zadyszana i od czasu do czasu gwizdnie cieniutko i echo powtórzy to wiernie od drugiej ściany doliny. Czasem zatrzyma się przed mostem, bardzo często przeskakuje z jednej strony rzeki nad drugą i zeskakuje z lokomotywy chłop i wiadrem zaczepionym na sznurze zaczerpnie wody i nalewa jej do zbiornika i woda ścieka mokrymi plamami po żelaznych blachach maszyny. Potem znowu ruszamy i nieprzyjemnie jest kiedy rozgrzana od słońca ściana skały, pod którą właśnie trasa przechodzi, uwalnia luzem kamienie i te z szelestem zbiegają po jej załomach. Zawsze widać tam rumowisko tych oberwańców. Ale robi się coraz lesiściej i jodły zbiegają ku nam już bardzo natarczywym tłumem i robi się dziko i niezamieszkałe.

Moi towarzysze palą straszną machorę, nazywa się to skrętki,

palą to w fajkach o zagiętym cybuszku, bardzo kwaśny i czarny jest ten cuch z bojkowskiej fajki. Gadają sobie o czymś tam swoim i nie bardzo połamują się przy stukocie kół wagonu.

Około południa dojechaliśmy do Bystrzycy. Wacek Rogowski czekał na mnie tam gdzie szyny kolejki rozjeżdżały się w wikłaną rozjazdów, i poszliśmy drogą leśną w stronę domu leśniczówki, na której mieliśmy gościć. Dom stał na stoku i był zbudowany ze świeżego drzewa i było bardzo przestronnie.

Patrząc ku południowi, patrzyło się pod górę doliny, z rzeką która ciągle była taka sama i inna. Dolinę zamykał wyniosły stok Pohrebyszczka i między rzeką i stokiem rozbiegła się wieś, po-czerniałe dachy i niebieskie banie cerkwi.

Zanim roztarasowałem swoje graty i rozejrzałem się po okolicy, zanim zapoznałem się z milczącym naszym gospodarzem, leśniczym, panem Dufkiem zapadł wieczór a ponieważ byłem niewyspany to pośpiesznie zjadłem kolację, co mi tam dano i poszedłem spać.

Spałem długo i już było późne rano kiedy się obudziłem. Wacek nie miał jakichś szczególnych prac, no to po śniadaniu wybraliśmy się do kąpieli, właśnie w tejsze Czezwie.

Wracało się trochę tak jak przyszliśmy z ostatniego przystanku kolejki (kolejka zresztą szła dalej w góry i bardzo tajemniczo i obiecująco znikala jej dzika trasa w wąskiej dolinie potoku wpadającego do Czezwy). Ale wracając do kąpieli. Wybraliśmy sobie miejsce na rzece w lesie, gdzie niespodziewanie rozlewała się w obszerną sadzawkę. Więc ściągaliśmy ubrania, pozawieszaliśmy je na korzeniach drzew i po szutrowisku do brzegu. Tutaj przypomnieć sobie trzeba jak bolesne jest stąpanie bosą nogą po najgładszych w świecie otoczakach górskich.

Po prostu nogi gną się na wspomnienie. Stopa, podeszwa nie przyzwyczajona, wydelikatniała od miękkiej wyściółki buta, chwieje się i obejmuje zdegenerowaną podeszwą gładziczną kamienia. Jest spory kawał do wody i tęsknym okiem szukam jakiegoś dojścia piaskiem, żeby tylko ominąć te tak zapraszające a dokuczliwe kocie łby. Wyobrażam sobie zaraz że co by to było, powiedzmy, że nagle znalazłem się w sytuacji bez butów, powiedzmy ograbiony z nich i puszczony luzem, to co bym robił gdybym miał miłą tak przewędrować tylko po gołych otoczakach. To co, chyba bym siadł i płakał z bezsilności.

Woda okazuje się naturalnie górską, bardzo zimna. Ale to lodowata. Naprzód wlaź tam Wacek i coś tam chrząkał po wskoczeniu i mamrotał ale nie bardzo uważałem i nie wiedziałem o co mu chodzi. Aż tu jak sam znalazłem się w tych wodach po bez-troskim pluśnięciu w ich tonie, to aż mnie zatkało. Bezwstydnie

szybko wygramoliłem się na brzeg, słońce ładnie sobie tu przygrzewało, ale chwilę musiałem ochłonić po niespodziance. To tak z tą wodą górską, a tak niewinnie i srebrzyście przecieka sobie między kamieniami. A w miejscach gdzie rozlewa się w sadzawkę jest zielonooliwkowo, i jest bardzo przezroczysta i widać na jej dnie otoczaki i gra ładnie smużkami prześwieconymi z powierzchni, niektóre kamienie są włochate sobie od mchu, meszku brązowego i tam gdzie piasek to złoto. Jest bardzo rozkosznie.

Wacek woła, że widzi pstrąga. Gdzie pstrąga? Nie widzę. O tam pod kamieniem. Rzeczywiście pod kamieniem. Jest duży i wydaje się że jest przezroczysty, taki celofanowy.

Teraz już zanurzam się do wody bez wzdrygania i usiłuję nurkować, tak jak ten kamień. Ale jest w tym miejscu głęboko i nie mogę dosięgnąć dna. Woda podnosi mnie, co się zanurzę, podrywa mnie ku górze jak pusty pęcherz. Co prawda nie umiem poprawnie nurkować, nie mogę tego robić z otwartymi oczami, usiłuję, woda łaskocze mnie w gałki oczne a pstrąg wybałuszył na mnie gały jak głupi. Próbuję jeszcze raz i Wacek Rogowski próbuje także, bezskutecznie. Obaj przy tym dusimy się ze śmiechu. W końcu dajemy spokój.

Teraz siedzimy na słońcu. Pięćdziesiąt kroków przed nami jest stroma ściana urwiska skalnego. Więc wymarzona strzelnica. Rozpinam na niej przyniesiony w kieszeni kawał, arkusz, papieru którego środek będzie celem. Na tę wyprawę przywoziłem ze sobą Mauzera, repetiera, przerobionego z modelu wojskowego przez lwowską „Arme”, bardzo pięknie i precyzyjnie. Dorobiono ujęcie pistoletowe, a części metalowe i lufy są szmelcowane na błękitno. Miałem tę broń po ojcu, który kupił ją od jakiegoś rotmistrza z x-go pułku strzelców konnych, kiedy ten zgrał się w karty i na gwałt potrzebował gotówki. No to dobrze. Wiozłem go całą drogę, niebaczny że nie mam ani pozwolenia na tę broń, ani karty łowieckiej, gdzie tam. Ale nic się nie przejmowałem. Amunicję zawsze można było dostać, jako że kaliber wojskowy 8,0 m/m, można było dostać jak nie tym sposobem to tamtym.

No to wio! panie Rogowski... Przysiadam na prawym kolanie, poprawnie, tak jak uczyli, lewy łokieć oparty na lewym kolanie postawionym, kolba dobrze położona w dołku strzeleckim, prawa dłoń obejmuje szyjkę, palec wskazujący na języku spustowym, drugi człon palca, tak jak uczyli. Teraz okiem szukam tak, ażeby muszka znalazła się w żłobinie, w szczyrbinie czy jak tam, na lufie, szukam chwilę bo szczyrbina jest tuż przy oku a muszka het daleko na końcu lufy. Jest.

Świat kołysz się teraz i huśta. Nadbiegają mi fantazje, że co to ja z tą bronią, no powiedzmy zaczajony u wąwozu, las

wokoło mnie na garbach wzgórz a ja jestem wyrzutkiem społeczeństwa, który wyłamał bariery prawa i teraz ścigany, dognany na tej pustaci, kiedy skończyły się inne środki ucieczki, zagnany w beznadziejność i teraz jedynie polegać mogę na swej zimnej krwi i ich jest dwudziestu przeciwko mnie, w czerwonych kurtkach Kanadyjska Królewska Konna, ale trzymam ich w szachu i mam strategicznie świetną pozycję, boki i tył osłonięty i drogo będę sprzedawał swą skórę, żeby tylko był dostęp do wody no i księżycowa noc mnie poratuje. Tak tłumaczę Rogowskiemu Wackowi i ściągam spust.

Huk, panie dziejski, jest kolosalny między tymi lasami. Przez kopnięcie kolby widzę jak zakurzyła się skruszona skała. Wacek ofiarnie i śmiesznie, jak na sprężynkach, biegnie i rzuca zabawny cień na skałę, ażeby pokazać gdzie kula rozdarła papier i jajka mu dyndają.

Otwieram zamek i wyrzucam łuskę usmoloną i nabijam nowy ładunek, śliski od tłuszczu. Smierdzi trochę spalonym bezdymnym prochem. Potem strzelamy na zmianę, chociaż trochę żal mi ładunków na Wacka. Papier na skale poszedł w strzępy, no to znaleźliśmy jakąś puszkę po konserwach (skąd się tu wzięła?), ale zaczynamy być głodni, więc do domu.

Pana Dufka, leśniczego, nie ma, ale rządźmy się w jego domu jak szare gęsi. Jego kucharka (którą zdaje się, ale nie zdaje się, ale na pewno dupczy ten pan Dufek) nasypuje nam kopiaste talerze kartofli ze słoniną, tłusto polane i dużo kwaśnego mleka, a potem na drugie jest gotowana szynka a na koniec dostaliśmy kawę, nawet bardzo dobrą kawę. Kury sobie chodzą przed domem i wskakują na drewniane schody i dziobią coś tam, kudłaty Bojko rąbie drzewo pod drewnutnią. Muchy brzęczą pod sufitem i tłuką się o szybki okien. Wyciągamy się teraz na swych łózkach i coś mi tam Wacek opowiada, ale jestem bardzo senny. Jeszcze go pytam:

— A jak tam, radca z Doliny nie zajeżdża tutaj, nie egzaminował cię przypadkiem? W ogóle co tu robisz, praktykancie, masz jakie obowiązki?

Wacek z najzimniejszą krwią mówi że do dupy z jego obowiązkami... I że pana radcę ma także gdzieś tam.

Zasypiam.

Kiedy się budzimy, słońce jest już nisko i jest czerwiesze znacznie. Jest pan Dufek od swoich leśniczych zajęć. Bardzo ładnie nas toleruje, w ogóle jest jakiś milczący i dosyć, powiedziałbym, melancholijny, jest nawet przystojny i atletyczny. Do mnie bodajże i słowa jeszcze nie przemówił, ale najbardziej mnie toleruje i jakby miał nawet trochę respektu, dla takiego miastow-

ca. Ale wydaje mi się że jest jakby zawstydzony trochę, prostotą domu, tą swoją kucharkę, którą najwyraźniej dupczy; nasze, tzn. moje i Wacka ustawiczne gadanie także napawa go jakby podziwem, że można tak gadać. Wacek, cholera, ile razy mówi do niego to mruga na mnie i wydaje mi się to bezczelne, ale na miejscu. Może ten pan Dufek, na takim odludziu zatracił ludzkie wymiary i jest tym zakłopotany i markotny. Pewnie siedzi tu, pohukuje jedynie na robotników leśnych i chłopów, daje się ogrywać w pokera przez takich paru jak on, nie jest to czymś anormalnym. Żeby nie wiem jak był sobą, żeby miał zajęcie takie że zabierałoby mu czas od rana do wieczora, żeby miał zmartwienia normalne i ludzkie nie wiem jakie, to nie ucieknie tym górcom, które wiszą naokoło jak draperie, jak dekoracje do opery, jak mgła — to uciekają za firankę jej muślinu i tam zaczajone czekają; jak noc — to ich nie widać i żeby wyobrazić sobie, że tam za oknem nic, żeby wysilić wyobraźnię i zapomnieć o tamtym to się to nie uda, nie uda się wymyślić sobie, że jest tam płasko i krótki horyzont, że takich gór nigdzie nie ma; jak deszcz — to za jego wiszarami osnową czekają zaczajone, żeby doskoczyć i wychynąć i stoczyć się stokami ku przerażonemu i zmartwialemu. Stoї sobie pan Dufek może rano, wyszedł na próg a brytany gór powstały już na nogi i wiernie i bezczelnie czytają z oczu pana i oblizują się ze szpiku wyssanego w ciągu nocy z kości snów.

Wyobrażam sobie jak pewnej nocy pan Dufek nie wytrzyma nerwowo i włoży sobie lufy dubeltówki do ust i palcem dużym u nogi, z której zszuł buty, naciśnie cyngiel i mózg roześle po suficie domu.

Mówię to Wacusiowi, i cieszy mnie to, że ten cynik tego nie lubi, sentymentalna jego mać.

Na dobre zapisać trzeba pan Dufkowi, że jak zeszło się jeszcze paru innych na co wieczornego pokera to przed kolacją wyciągnął butelkę wódki i Wacek odbił korek uderzając wprawnie w dno i nalał kieliszki. Już denerwował się do tego pokera. Trochę pokibicowałem jak tam pogrywali w tego pokera, potem zaczadzony dosyć dymem, jaki unosił się w pokoju grających poszedłem spać.

A następnego dnia była niedziela i wspaniała pogoda i rano wcieliśmy wspaniałe śniadanie i po śniadaniu poszliśmy ku wsi, do cerkwi na nabożeństwo. W cerkwi było ciemno, poczerniałe ściany wznosiły się w mroku ku górze, było ciasno i dusznie od spoconych ciał wiernych. Poczerniałe złoto carskich wrót i ikonostas ołtarza lśniły tam gdzie kurz na wypukłościach nie czepiał się polerowanych zdobień. Świece paliły się żółto, świece

spływały i ciurkały woskowymi cieniutkimi stalaktytami i pokapały brązowe ręce chłopów.

Na ścianach wisały ciężkie płótna, poczerniałe i trudno było na ich tle odcyfrować co się na nich dzieje. Jedyne oczy świętych, migdałowe i w ciężkiej oprawie brwi, nosy wyraźnie narysowane, brody patriarchów. Wśród czarnych chmur, na niebie tych ikon unosił się baranek blady i srebrny i miał aureolę, halo, naokoło swej barankowej głowy. I zawsze jakieś tam teksty w koszlawej, starocerkiewnej gągolicy objaśniały coś i nauczały ale to dla wtajemniczonych. Czasem tylko jakiś nowy akces dewocjonalny, nabyty na rocznym jarmarku śmiał się ordynarnym kolorem i złoceniem na tle prymitywności i prostoty cerkwi.

Jako że siedzieliśmy na poczesnym, kolatorskim miejscu, dzięki temu że byliśmy z naszym gospodarzem, po Bogu i popie najbardziej dostojnym uczestnikiem zebrania, to w jakiejś tam chwili pop okadzający carskie wrota do nas podszedł i kolejno podawał do ucaławiania krzyż mosiężny, stary bojkowski i pozłacany, który to ceremoniał z należytych nabożeństwem odprawiliśmy.

A potem wychodziło się na słońce i góry i teraz było dopiero widać jak wszystko tu jest górami i pochyłością i stokiem. Jak chłopci tam stali na cmentarzu cerkiewnym i czarni w swych czarnych bojkowskich guniach, szytych grubo i włochatych od węzłów samodziału i zgrzebna, ostra białość babskich koszul wyglądających spod zapasek-ręczników i surowizna od tego chłopskiego niedzielnego stroju, kiedy stali tak w grupach i nogi w kostce grubo oplątane i owinięte rzemieniem kierpców góralskich, postolów, które z surowej skóry albo też najnowszą praktyczną modą w ten sam kształt zesnurowane i zawinięte z niczego innego, ale ze starych opon samochodowych Goodyear czy Pirelli.

Stary chłop z bardzo pięknym siwym sumiastym wąsem wyszedł na środek i obwieścił:

— Pan lisnyczyj kłyczut zautra na tołoku...

Po południu wybieram się z Wackiem na Pohrebyszczce. Jeszcze raz wspinamy się ścieżką prowadzącą jak do cerkwi, którą zostawiamy po lewej i podchodzimy, wzdłuż żerdziowych ogrodzeń, mijamy pasące się na stokach owce. Owce podnoszą głowy kiedy przechodzimy i odprowadzają nas owczymi oczami, które są beznadziejnie tępe i głupie. Trochę mi przypominają Wacka i śmieję się i Wacek nie wie dlaczego.

Inaczej się idzie pod górę, a inaczej po płaskim. Pod górę nie tylko pokonuje się tarcie przy posuwaniu naprzód ale i za każdym wstąpieniem podnosi się własny ciężar o parę

cali, razem to daj Boże wytrzymać. Garb i stok przed nami wydaje się daleki i w górze i mięśnie bolą i trzeba przystawać dla złapania oddechu. Jeszcze raz do sumy doświadczenia dodaje się jeszcze jedno że nie ma co się puszyć swoją jedynością i przemyślnością człowieczą w naturze, kiedy byle głupie podejście, kilkaset metrów w górę i już nam się łydki trzęsą i wołalibyśmy, że chcemy do mamy.

Wysypują się ku nam pierwsze jodły, forpoczty regli. Te jodły odbite od reszty i rzadkie, jedne tu inne ówdzie, pozbawione socjalnej zwartości lasu, są bardziej narażone na wiatry górskie i widać to zaraz skąd przeważają te regularne passaty bo proszę, od nawietrznej strony są tak obsmyczne z gałęzi, że są tam dosłownie gołe i jedynie od odwietrznej zostaje im „chorągiewka”, flaga z czarnych gałęzi, precyzyjnie wskazują jak na topograficznej mapie jakie tu meteorologiczne warunki się kształtują. Za czym zaczyna ich być gęściej i zwarciej i las. Dolina zostaje za nami gdzieś daleko, w dole, wieś, chałupy rozrzucone bardzo i, wiadomo, te górskie wsie mają ten inny charakter rozproszenia, w odróżnieniu od dołów gdzie wsie to okolnice albo ulicówki. Na przeciwległym stoku to widać na skraju płaszcza lasu leśniczówkę pana Dufka, bliżej nas bąble wież cerkiewnych. Ale zaraz i jesteśmy w cieniu i w lesie, i ciągle podchodzimy do góry.

Jest tu pierzasto od paproci i zgniło od zeszłorocznych liści. Ścieżkę mamy wyraźną, tylko w jednym miejscu Wacek sokolim okiem zobaczył coś interesującego, co okazuje się okopem wojennym z tamtej wojny. Kiedyś tu przebiegała, tym grzbietem, linia, dół okopu jest zarośnięty, ale widać jeszcze jakieś butwiejące resztki robót ocembrzających ściany rowu i głązy wyrzucone na przedpiersie okopu. W jednym miejscu znajdują resztki skrzyni amunicyjnej z pociskami do moździerza, teraz to zżarte przez rdzę i próchno. I wszędzie śmietnisko z czerwonych i ścieniałych na rozsypującą się błonkę resztek puszek z konserw. Ale nie dałem się sobie zadumać nad puszką z konserwy jak nad czaszką Jorika i pchamy dalej. Wreszcie podchodzimy ku szczytowi Pohrebyszcz. Las rzednie i rzednie i to przeważnie dzięki temu, że coś tam, zaraza jakaś rzuciła się na jodłostan na szczycie, albo może to wymarzło i stoją teraz gołe i tragiczne pnie, i mech na nich nawet jest rozczapierzały i wyschły i większość leży pokotem, jak na pobojowisku, ażeby tym co się ostały i jeszcze sterczą nadać więcej tragizmu.

Bądź zdrowa Czeczwo i z Panem Bogiem twoja dolino i żeby wam się szczęściło po kolei w kartach szulerzy, panie Jaskulski, techniku z tartaków Broszniowskich i panie Zaleski słuگو metro-politalny i pan, panie Katz, embrionie przyszłej kariery leśnej i

panie Dufek, pasterzu jodeł i kochanku i Panie Radco z Doliny, którego oblicza nie dane mi było oglądać i gromado bystrzycka, lenie, prymitywy i kłusownicy nieśmiali i zamiłowani. Bądź zdrów Waciu, twojej to inwokacji zawdzięczam tę przygodę, która jeszcze ściśle się przede mną, z Bogiem oportunisto i błaznie mimowolny i nieogolony. Przestań mrugać kaprawymi oczkami i nie życz mi źle na drogę. Cześć panowie!

Bądź zdrowa Czezwo i nie miej mi za złe, że zaraz za wsią, kiedy wezmę na lewo, to ostatni raz będę widział twe srebro i zdradzę je za platynę Łomnicy i limby w jej dolinie rosnące.

Tak sobie skandowałem, kiedy wypchawszy kieszenie kanapkami (z chleba razowego, sera i jajek na twardo) i przerzuciwszy Mauzera na plecy z fantazją i kolbą do góry, wybierałem nierówny rytm między progami kolejki wąskotorowej.

Zaraz zresztą potem, jak zapowiedziałem, skręciłem na lewo i stromą poprzeczną dolinką zacząłem przedzierać się ku dolinie Łomnicy. Stowarzyszył się tam w mej drodze chłop, Bojko, z siekierą, siekiera jest tu nieodłączna chyba jak łąso u gauca albo francuski klucz u szofera. Chłop ciekawie zainteresował się mną i zwłaszcza strzelbą. Urodzeni bo oni są kłusownicy i palą się im oczy do każdej broni. No to żeby mu sprawić satysfakcję zdjąłem repetiera i pokazuję tu muszka, tu szczerbina, a to zamek. Chłop kręci głową na dosyć filigranowo wyrobioną broń, więc sięgnąłem do kieszeni i pokazałem mu w garści naboje jakie załadowuje się do lufy i nabrał szacunku. Potem porozmawialiśmy o tym i owym, o drzewie, o lasach metropolitalnych, o pastwiskach. Potem zagubił mi się gdzieś i byłem sam i droga była łatwa i w końcu dolinka przerwała się w dolinę Łomnicy.

Miałem piękną pogodę i szło mi się dobrze przez cały dzień. W karczmie przydrożnej kupiłem sobie jeszcze wiktuałów, bułek „czworaków” i trudno mi było to podziąć po kieszeniach. Karczmarz patrzył ciekawie co to za miastowiec ze mnie. W karczmie było ciemno od małych okienek, był to zarazem sklep z najrozmaitszymi drobiazgami, żelaziwem i perkalikami. Lada była za klatką, zbudowaną z niemalowanych szczebli drewnianych.

Potem minąłem z prawej leśniczówkę, droga szła wzdłuż rzeki, rzeka szumiała po głazach, za nią jeżyła się szczytka lasu na stokach.

Na mapie postudiowałem sobie że trzeba mi będzie wziąć potem wzdłuż potoku, który do niej wpadał z prawej strony. Jak tylko doszedłem do jego ujścia i puściłem się w górę jego nieregularnym brzegiem zaraz bardzo się zmieniło. Było dziko i odludnie. Droga szczytła gdzieś i nie było jej więcej i szło się ciągle pod górę i potok szumiał po kamiennych progach. Czasem stok z jed-

nej strony dobiegał do samej wody i trzeba było ostrożnie przebiegać się po głazach na drugą stronę, ażeby za czas jakiś znowu robić to w dawną stronę. Czasem dało się to zrobić po oślizgłym pniu wiatrołomu, jodły leżącej w poprzek ukośnie i sterczącej patykami gałęzi. Na dobitek zaczynało się ściemniać. Robiło się błękitno od zmroku, drzewa rosły gęsto po obu stokach gardła potoku. Było już zupełnie opuszczenie i dziko.

Kiedy się tak ucieknie od swojszczyzny, gdzie wszystko jest wydeptane i wyslizgane i poznaczone bytnością innych i jak tak znaleźć się nagle wśród puszczy i gdzie trudno dopatrzeć się śladu innych, kiedy to „nietknięte stopą człowieka”, wpada się we wrogą obojętność natury, wydaje się że nie jesteśmy z tego świata, że to jakieś nieporozumienie że znaleźliśmy się wśród tego. Boże, jak mi nagle niedobrze wśród tego zapachu dzicyzny, wydaje mi się że mam inne wymiary aniżeli rzeczy wokół mnie, że wszystko tu jakby miało więcej aniżeli trzy wymiary, albo że ja sam zostałem zredukowany do dwu, że jestem jakiś płaski, blaszany, cieniem samego siebie. Moja stopa ślizga się po mokrym mchu kiedy opieram ją na głazie i głaz wydaje się strącać ją umyślnie. Jakbym wpadł do klubu angielskiego bez zaproszenia i niewłaściwie ubrany.

Gwizdę, pogwizduję sobie nieharmonijnie i cienko ażeby ta nonszalancja mi pomogła ale jakoś wychodzi to niemrawo nędznie. Jestem przy tym już zmęczony całodziennym marszem i przecież to cały czas nieznacznie ale pod górę i pod górę. Że jest już znacznie wyżej to poznać po chłodzie, który zwłaszcza o tej porze wieczoru jest więcej niżeli rześki.

Robi się coraz mroczniej. Chwilami jest mi tak nieswojo, że żałuję całego pomysłu i jest to niesamowite uczucie, kiedy wobec samego siebie przyznawać się trzeba do rejterady. A jednak jest tak i jestem zawstydzony a jednak myślę „ażeby tak plunąć i zawrócić” i jest to także pomysł pożałuj Boże bo gdzie po takiej nocy, łożyskiem tego potoku, ani bym nie zaszedł ani bym się położył. Mam już coś z tego co się nazywa „chorobą górską”, z psychozy, kiedy już myśli bezładnie i panicznie wirują w tyle czaszki i na to nic, nic. Potok dziko szumi, jodły są niebotyczne i złowrogie. Parę razy już poślizgnąłem się i raz wpadłem prawą nogą w potok po pachwinę, w lodowato zimną wodę. Karabin obija mi nerki, czasem bezprzykładnie trzaśnie o kamień.

Wreszcie, o nieba! rozszerza się w małą dolinkę i trawa porasta ją zielonym kobierczykiem i ślady budowli ludzkiej. Jest buda z okrągłaków, wcale solidna i kora rdzawi się na nieokorowanych krąglicznach. Jest już zupełnie ciemno. Dochodzę, próbuję drzwi, z trudem obracają się na zawiasach, w środku jest

ciemno i stęchło i pusto kiedy zapalam zapałkę i tak obco i strasznie, że wycofuję się. Jest mi niedobrze, z, co tu mówić, po prostu lęku. Jeszcze raz dobieram się do środka i jeszcze raz wycofuję się. Kiedy dosyć zrozpaczony tułam się w małej dolince w ostatnich blaskach zmroku, trochę po omacku, znajduję ocalenie. Ocalenie w postaci stromej drabiny prowadzącej na wysoki, pokryty „hochsztrand”. Jest to więc pięknie, łowiecko zagospodarowane miejsce, domek dla myśliwych, położony obok wysoko wyniesionego stanowiska do strzelania jeleni. Tak ja więc po tych szczeblach wspinam się na górę i wysoko jest platformka, przykryta płaskim dachem i tutaj zamierzam roztarasować się na noc. Trochę jest to śmieszne teraz, że mając jaki taki schowek na dole, zbliżony do czegoś mieszkalnego wybieram miejsce zawieszone dziesięć metrów nad ziemią i mam spędzić noc w rodzaju tym, jak kury to robią na grzędzie. Ale mam znakomite poczucie bezpieczeństwa przed tym czymś nieokreślonym w nocy, co nie pozwalało mi wejść pod przyzwoity dach.

A teraz nie będę opisywał długiej nocy, na okrągłych szczeblach podniebnej klatki. Dosyć że było zimno i wiało od dołu spomiędzy szczebli i trząsałem się z chłodu i nad ranem każdy mięsień z osobna bolał jakby mnie szczypano obcęgami na torturach. Długa jesienna noc wlokła się w nieskończoność. Czasami wpadałem w męczeńską drzemkę, która wprawiała mnie w stan podobny do maligny.

Na domiar złego, jakby usprawiedliwić moje przednoclegowe trwogi, na dole w puszczy zaczęły się dziać jakieś rzeczy, których moja zmęczona wyobraźnia nie była nawet zdolna przybrać w jakieś mniej lub więcej fantastyczne kolory. Po prostu coś się działo w męce i dłużyźnie nocy. Jakby chodził ktoś lasem, w rozterce i gorączce, jakby szukał i powracał i przypominał sobie i zmieniał decyzję. Gadał po nocy i czasami wydawało się że może jakieś lodowce tają u szczytów i przybiera im i wełny wodne pokrywają korytowe głązy i podnoszą swe grzebienie wyżej i wyżej i sięgną mnie na mej wysoczyźnie i sięgną po szczyty jodeł i poniosą wszystko ku dołom w wodospodach i kataraktach. A potem jakby to coś w dole pochodziło znowu i tłukło się między pniami drzew.

Potem znów ocknąłem się na głos niski i żałobny, do niczego niepodobny, który rozległ się w dole potoku. Po chwili odezwał się ale w innym miejscu, ale to w zupełnie innym kierunku i w górze stoku, a potem inny przekomarzał się z nim w górze potoku. Było to jakby ktoś stękał w otwartą pustą beczkę i wyraźnie było słychać zmęczony oddech. Serce mi biło w piersiach i tak

przesiedziałem, przemoczone buty i chłód dobierający się przez cienkie płótno mojej nieprzemakalnej kurtki.

Nawet nie wiem kiedy zaczęło szarzeć. Po prostu mogłem odróżnić nagle kontur najbliższej jodły, a potem w dole zabielała żyła potoku tam gdzie pieniał się o kamienie a potem, jak podniosłem oczy to mogłem rozróżnić ostrą krawędź porosłej lasem grani, a jak spojrzałem znów ku jodle sąsiadce to był już ich tłum. Zrobiło się jeszcze jaśniej i po szarofioletowym stoku lasu przepłynęła mleczna chmura i przepłynęła druga. Teraz już widziałem zielen trawy dolinki i dach budy, którą tak niepyszenie i w popłochu zostawiłem niezamieszkałą. Szum potoku jakby w świetle oddalił się na przyzwoitą odległość.

Na gałęziach i szczeblach hochsztandu wisały krople wody i odrywały się jak z kropłomierza. Na dole coś trzasło.

Kiedy spojrzałem tam to był jelen. Pierwszy raz widziałem wtedy w życiu jelenia. Byłem rozczarowany tym że był tak mały. Wydawało mi się że powinien być przynajmniej wielkości konia. A ten był wielkości dobrego cielęcia i był niespodziewanie rudy, jak wiewiórka. Wyglądał jak wycięty z blachy i jakby ktoś zdjął ze ściany jelenie wieńce i przyprawił tej figurze. Miał lśniący wilgotny nos. I jeszcze jedno. To zaczynała się pora rykowiska i ten samiec przedzierający się całą noc przez haszcze leśne i smagany przez leśne krzaki podniecał się i jak to mówią „spuszczał” i miał całe podbrzusze białe i ociekające od jeleniej spermy.

Więc już tak nas zahamowało na tematy seksualne że tak się staje wobec zjawiska że taki jelen, jak z popielniczki albo kandelabru z mieszcząńskiego domu albo z obrazka ze Św. Hubertem że jak się nam pokaże umazany spermą to wstrząsa nami jak niesamowitość, jak coś dziejącego się przeciwko naturze, jak obsesja z okresu dojrzewania, która nierealna i wymyślona czai się u naszego łóżka w bezsennej nocy. Nie darmo siedziałem w opuszczeniu i trwodze, święty Hubert, kiedy o perłowym brzasku górskim wyczarowała się przede mną zjawa, widmo ukrytych zatajeń i domysłów, dreszczów i marzeń w surowym świetle gór, zaprzeczenie i skojarzenie nierealnego i bezmyślnego oleodruku ze ścianą w restauracji i dotkliwej, namacalnej i niespodziewanej rzeczywistości.

Kiedy zacząłem podchodzić znowu w górę potoku, było jeszcze bardzo rano, ale tego właściwie nie można było poznać. Było srebrzyście od mgły i deszczu skraplającego się z tej mgły. Jodły zrzedły i wstępowałem już po zboczach kamienistym po prawej stronie potoku i pozostawiłem go gdzieś w dole. Właściwie nie prowadziła mnie żadna droga ni ścieżka. Ale były ślady kopytek owiec i „bobki” i zaprowadziły mnie w końcu, kiedy

tak z trudem podchodziłem pod górę, nie wiem nawet jak długo to było, może godzinę, może cztery godziny, zaprowadziły mnie te ślady dzikie i we mgle-chmurze zobaczyłem u stóp łysej jodły rodzaj pasterskiego szałas, ale nie szałas, byłoby to zbyt górne jako nazwa, to po prostu oparty parę żerdzi o pień drzewa i szczapy drewniane i kora tworzyły pochyły daszek, zasłaniający jedynie od jednej strony i otwarty poza tym schron, pulpik ubogi. Trochę to było przy ziemi podbudowane paroma głazami i korzeniami i było to najbardziej ubogie i na wydmuchowisku.

Tutaj się zatrzymałem. Kiedy przysiadłem pod okapem dachu to w pełni przeświadczenia że spóźniłem się o jeden dzień tylko, a byłbym zastał gospodarza tego schronienia. Ale ten jeden dzień już był poza nami, pasterze z gór spędzili w dniu wczorajszym swoje trzody ku dolinom. Skończyło się ich latowanie tutaj, kiedy pokazały się pierwsze czerwone liście na bukach w dolinach.

Więc spóźniłem się! No to dobrze. Po pastuchu górskim został zapach, cuch, smród legowiska prymitywnego człowieka. Wygniecione posłanie z gałęzi kosówki i parę pobielających i wyszlizganych kości jakie obgryzał jego pies. I popiół niebieskofioletowy ogniska, stłale na kruchą piankę morską węgle i kiedy pogrzebałem w tym popiele to był jeszcze ciepły i w głębi niego pełzało jeszcze parę czerwonych iskier.

No to zacząłem szukać jakich suchszych gałęzi i trzasek i dmuchać w ten popiół i powoli zaczęło dymić się z mojego niedarnego ogniska i małe płomyczki zaczęły skakać wzdłuż cienkich gałązek. Podły był ten mój ogieniek i nie dodawał mi wiele otuchy pod dachem. A dalej zaraz zaczęło siąpić na dobre i kiedy wyciągnąłem nogi na nieprzytulnym i trochę wstrętnym dla mnie posłaniu po pastuchu to mogłem widzieć niedaleko, ile? dwadzieścia, trzydzieści kroków w dół i w górę, bo to było na stoku góry.

Mauzera powiesiłem wysoko pod okapem ażeby woda go nie doszła ani pył deszczowy, bardzo ładnie wisiał sobie tam, poziomo i romantycznie jakby do obrazu z życia traperów czy poszukiwaczy złota czy innego jakiego eksplorera, żydowskie bułki, „czworaki” i kiełbasa jakie rozdzierałem, kąsałem, były już mniej w stylu traperskim ale jadłem, byłem głodny po tej całonocnej awanturze. Ogień dymił i dym ten mieszał się zaraz z mgłą na zewnątrz.

Kiedy się najadłem jako tako, nie mogłem zasnąć. Leżałem zapatrzony w pochyły świat w którym się znalazłem teraz. W prawo gdzie stok spadał mogłem widzieć czuby paru jodeł, które w zależności od chmury przepędzanej po stoku cieniowały się raz

ostrzej raz nikłej, jakby ktoś kręcił śrubką lornetki próbując nastawić ją na ostro. Jak zatoczyć okiem w lewo to stok niknął w górze w tych samych górskich mgłach. Stok był bardzo ostry, może nawet 45° i zaczęło mnie bardzo to zjawisko niepokoić. Bo pomyśleć, być tak zawieszonym na tragicznej równi pochyłej, skosie niknącym w tej białej wacie, gdzieś to ucieka w dół może setki, może tysiące metrów, tym nieprzyjemnym i stromym spadkiem i to samo w górę, w chmurę-mgłę, i może kosi się tam także w setki metrów a ja tu sam jeden, w pośrodku, uczepiony uparcie pazurami lęku i samotności, do tej pochylni pod kątem 45°.

Więc uciekając od tego, wróciłem do najbliższego świata. To co w zasięgu ręki. Oto Mauzer wisi pod okapem, szmelcowana błękitna lufa i kręcone słoje orzechowe polerowanej kolby. Żółta nieprzemakalna kurtka z kieszeniami, droga i niepraktyczna od Gabriela Starka, żółta i poplamiona błotem i plamami od zielonego mchu. W gazecie łupki z jajek i skórka z kiełbasy które co tylko pożarłem. Poobcierane o kamienie i podkute buty schnące przy nędznym i dymiącym ogniu. Pień jodły o który opiera się to całe moje domostwo. I to wszystko.

A zaraz poza tym czyha i dyszy na mnie zły skos i beznadziejność pustki równi pochyłej, zbiega stromo w dół i zaraz niknie w górskiej chmurze, wspina się chyżo w górę i niknie w chmurze. Czytałem o rozbitkach zmuszonych żyć na statku uwieźliśmy na rafach wśród oceanu i kadłub tego statku tkwił tam przewrócony bokiem, solidnie i bezpiecznie ale w tej nienaturalnej pozycji. I ci co tam na nim żyli długie dnie i pełzali po jego pokładach i ścianach i burtach cierpieli na zachwianie zmysłu równowagi czy orientacji, bo to co było kiedyś jako tako poziomym pokładem czy podłogą kajut, było teraz na odmianę ścianą a znów ściany przerobiły się na podłogi i sufity. Ten zachwiany stan zmysłu równowagi, orientacji w przestrzeni, podobno doprowadza nawet do zaburzeń przewodu pokarmowego i wymiotów. Jak sobie to wspominałem to robiło mi się niedobrze. Ale pomimo wszystko, przez takie wspomnienie, nawet pobudzające do nudności to jednak było zaczepianie o coś konkretnego, co miało chronić mnie przed niekonkretnym i wstrętnym uczuciem niesamowitości i niebываłości tego, że zawieszony jestem na równi pochyłej.

Chmura przeszła po tle jasnej chmury-mgły i zakryła jodły schodkujące w dół, potem zrzędła, potem przeszła inna chmura.

Więc oto znów schron pod daszkiem, Mauzer na sęku zawieszony, ostre i pałakowate gałęzie kosodrzewiny, buty schnące i głupie takie, puste, przy tym dymiącym ogniu i oto ja sam

przy tym, zgryziony i zaniepokojony samotnością, pustką, deszczem i mgłą na stoku górskim, który biegnie, zbiega w dół nie wiadomo po co i wspina się ku górze, twardo, bezdusznie i dziko.

Więc wystarczy ażeby zdobyć się na bilet 3-ej klasy, przetrząść się parę godzin w nocy poczciwym wagonem, a potem zadać sobie trud ażeby przewędrować trochę gościńcem w górach i dolinie i przebrać się łożyskiem potoku pod górę, ażeby znaleźć się w warunkach które do codziennego poprzedniego biegu życia mają się tak jak nieskończoność do momentu, jak miejsce do wszechświata. Ani mnie poratuje zapach tamtego świata, który ze sobą przyniosłem, ani skale porównawcze, ani logika przesądu, ani poczucie humoru, mieszczański wynalazek, mieszczańskie opium dla ludu, ani obracać będą mną tutaj tryby rutyny, nawet prymitywnej rutyny wczorajszego mieszkańca tego szatra, na którego cieplej jeszcze pościeli spoczywam i łyżę mi napływają do oczu od dymu ogniska które poza sobą pozostawił. Ani zbawi mnie zmęczenie amatorskiej włóczędzy ponocnej i nie zepchnie mnie w nieświadomość snu. Palce przyjacielskie nie zapną na mnie z tyłu Saintsimonowskiej kamizelki braterskiej.

Oto zawieszony na równi pochyłej, pomiędzy niebem i ziemią, z poutrącanymi podporami, które w zwyczajnym dniu lenistwa, rutyny, jednakowości, umiarkowanego zapału i umiarkowanej nudy nie zawodziły mnie nigdy, wytrzeszczam oczy w nieprzyjazną przestrzeń i wzdrygam się od niej. A jeżeli znajdę na to radę, jeżeli, co jest zupełnie nieprawdopodobne, jeżeli wymyślę aż matematyczny pewnik że to co jest we mnie jest tylko fantastycznym tłem trafnego poznania, to i tak będę sam i kiedy wybiorę kij i przytnę go do mojej postury i oprę się na nim i „uraduję się posochowi memu” to nie będzie on ofiarowany mi przez mych perypatetyków, i jak wstąpię na pierwszy kamień wiodący mnie do góry to za mną nie podąży nikt, bo po prostu nikogo poza mną nie ma.

Nadpłynęła szara chmura i zasłoniła znowu, rzadkie jodły zstępujące ku dołowi. Świat na zewnątrz mego szatra był oślizgły od deszczu.

MEINE LIEBE MUTTER, SEI STOLZ,
ICH TRAGE DIE FAHNE

Były raz trzy siostry, Stanisława, Maria i Lala. Nie powiem ażeby imię Stanisława szczególnie mi się podobało, wolałem Maria a już Lala, że nieszczególnie i że powtarzało się to w ten sposób, la-la, bardzo mi przypadło do gustu. Ale Lali nigdy nie poznałem a najstarsza Stanisława była niezmiernie urocza.

Otóż ta najstarsza, o tej najstarszej będę pisał bo tam u niej, u niej i u jej męża zdarzyło mi się być parę razy. To było w Gorlickim, ale już pośród gór. To tam gdzie język etnograficzny łemkowski zachodzi aż po Beskid Wyspowy. Nazywało się to Szymbark, a ściślej Szymbark-Bystrzyca. Sam Szymbark był polski, a nawet bardzo polski. Mówili tam, jak zawsze na pograniczu etnograficznym polszczyznę prawie literacką, A jak przychodził ktoś to na przywitanie kłaniał się, o tak! kładąc rękę na sercu i pochylając się tą ręką wykonywał gest od serca do nóg witanego. Nawet czytałem gdzieś o tym poprzednio w Ikacu, o takim pokłonnym zwyczaju w Gorlickim, a tu przyświadczyli temu, a nawet zawołali mnie raz dyskretnie do kuchni bo nadchodziła stara Kazimierzowa i powiedzieli mi że to się sprawdzi, ażeby zobaczyć jak się przywita. Zresztą wołali mnie także innym razem ażeby być świadkiem jak obraża się buldog Trefl. Trefl, ale o nim później.

Pod Gorlicami była jedna z najkrwawszych kiedyś bitew tamtej wojny światowej, i także mi kazali, jak będę w Gorlicach pochodzić po okolicy to zobaczę. No, niewiele zobaczyłem, tylko cmentarze wojenne, cmentarze, cmentarzyki, nawet utrzymane przyzwoicie. Pochodziłem tam, to wtedy było na wiosnę, i miałem satysfakcję że tak było wiosennie i pola, zielona ruń, a z tej wojny, strasznej bitwy nie zostało nic, że nic z tego nie triumfuje,

że przepadło to w zapomnienie, że jak taka bitwa, gdzie ważą się losy i tak dalej, a tu znowu zielono, i chyba nawet tym co leżą po tych porządnickich cmentarzach, jeżeli może im na czymś zależeć, to pewnie satysfakcja że z tej erupcji, stężenia ludzkich namiętności, z tej wojny, dalszego ciągu polityki, nic nie zostało im na pomnik tylko ta zieloność wiosenna.

Mieszkałem w Szymbarku w malutkiej oficynie, drzwi zbakierowane, ale bardzo czysto, i jakiś jeden i drugi mebelek, antyk, muslinowe firaneczki w oknach, świeca w lichtarzu z niebieskiej emaliowanej blachy, zapalki gościnne, łóżko usłane że to aż pachnie (lawendą?), a śniadanie to przysyłali, jak Boga Kocham! do łóżka i snobowali się tam na angielskie śniadania, jajka na miękko w kubkach, dżemy, maselka, biszkopty, trochę tego trochę owego.

A wieczorem leżeliśmy, naprawdę leżeliśmy pokotem przed kominkiem w salonie, na kominku paliły się kłocze bukowe i trzaskało w nich a także trzaskało, ze wszystkich możliwości, w kasztanach, „maronach”, jakie piekliśmy przy tych kłocach. Czeka się chwilę i zaraz taki kasztan się napuczy i z sykiem rozpęka się i ziej z niego para i strasznie śmiesznie jak próbować je palcami wyciągnąć, bo ktoś inny ma szczypce. Stanisława, pani Stasia leżała w swej wieczorowej sukni, i ona głównie celebrowała to pieczenie kasztanów nam, którym aż ślina ciekła z ust. Kasztany są oczywiście bardzo zamorskie i słodkawe w smaku, trochę w smaku jak kartofle poślodzone. Tam, przy tym ogniu drzewno-gazowym usłyszałem o jeszcze jednej, o Biecie. Bieta, Bietka, to pewnie skrót od Elżbiety ale nie jestem pewien, to taki mój własny domysł teraz, bo wtedy to myślałem o niej tylko jako o Biecie. Coś bardzo kobiecego w tym Bieta, tak jak właśnie skrót od kobieta, bieta, kobieta.

Ogień bo ogień, paliły się polana, nie kłocze jak powiedziałem poprzednio, kłocze to zaraz bardzo scenicznie, ale gdzież tu, przecież to był mały niski dom, i gdzież znowu miejsce na kłocze. Kominek tam był oczywiście, nie komin, kominek — kwadratowa nisza w ścianie i tam kładło się polana więcej dla dekoracji bo główny płomień tego urządzenia to błękitny, huczący płomień gazu ziemnego jakim dom cały opalało się i wszędzie dokoła na całą okolicę, w bardziej postępowych domach, bo to wszystko stało na zbiorniku gazu ziemnego i nafty. Zaraz niedaleko paliły się noc i dzień elektryczne konstelacje Wygnanki, nowych wierceń. Więc dom choć skromny miał te urządzenia i ludzie w Szymbarku to mówili:

„A we dworze jest pstryka (elektryczność, chociaż nie do-

chodziła do oficyny), woda leje się ze ściany (wodociąg) a pali się smrodem”.

A mąż pani Stasi to gospodarstwo miał ułatwione. Kiedy u nas na Podolu dziedzic od rana był w siodle i objeżdżał morgi i włóki płaskiej oddali, to mąż pani Stasi rano wychodził na podwórze i patrzył ku górze. Widział, że tam gdzie trzeba grabią siano, a ówdzie przykrywają łubin jak było zapowiedziane, a tamtędy parobek wiezie sól dla bydła, czerwonej górskiej rasy krów, a tamtędy, na grzbiecie, zieleni się owies i po całej gospodarskiej wizytacji.

Pani Stasia i jej mąż mieli syna, jedynaka, szesnastoletniego i dobrego chłopca, było mu Janusz ale drocząc się z nim wołaliśmy go January, i January przyjmował to dobrodusznie. Były Święta Bożego Narodzenia więc January był w domu i że tam sobie chodził po podwórzu w swej uczniowsko zawadiackiej czapce granatowej, licealnej, pieścił swą kłacz wierzchówkę, Basię, w kuchni przeskadzał w ucieraniu maku i przekładał tortowych, a za nim jak smuga włóczyło się dyskretne, dumne, zakłopotane, miłosne, niespokojne, lepkie, zatkane od wzruszenia spojrzenie rodziców. Naturalnie było między nimi takie masońskie, niewymówione porozumienie kochających się nawzajem ludzi, półsłowa, półuśmiechu, jakieś powiedzisko, skrót, przymknięcie powieki, cały szyfr, którego wulgarny, natrętny gość, przybysz, nigdy nie potrafi zrozumieć.

W tym Szymbarku-Bystrzycy byłem tylko trzy razy albo dwa, tyle lat temu że nawet nie pomnę ile to razy było. Wspomnienie tego, bardzo odosobnione, bo to daleko od mych stron, bardzo wycięte osobno, wspomnienie tak odgraniczone jak naklejona w albumie amatorska fotografia. Parę amatorskich dni życia osobno. I z tego tak nic się nie pamięta.

I owszem pamiętam dokładnie ten wieczór w saloniku, wieczór kiedy leżeliśmy pokotem na podłodze i piekliśmy marony przy gazowym płomieniu. I pamiętam tylko wtedy rozmowę tam prowadzoną, ze wszystkimi szczegółami, rozmowę, tematy tej rozmowy, tak jak to rozmowa się prowadzi i kiedy potem nawrócić i śledzić jej przebieg to aż dziwnie jak od jednego tematu przechodzi się do drugiego.

Mówiliśmy o Biecie, albo właściwie opowiadano mi o Biecie, historię już mglistą jednak, ale sens jej mam do teraz zachowany. Ze Bieta, to może była jeszcze jedna siostra? Czwarta? Może należało zacząć, tę historię, że były raz cztery siostry? Otóż Bieta miała starającego się, ale nastąpiły jakieś komplikacje i oddalenia i rozdziały, jakaś tragedia na spokojnie i wtedy miało to niby być pogrzebane i w zapomnieniu miało to się zagubić,

aliści jednego wieczoru, noworocznego (na Nowy Rok przychodzą ludzie rano, jeszcze do sypialni i sieją, drobiaż, rzucają w nas nasiona, zboża, i grochy i jęczmień, kłakole z nimi zmieszane i mak i skandują „Na szczęście, na zdrowie, na ten Nowy Rok!”), ale to zdaje się było w przede dniu, w Sylwestra. Otóż siedzieli tu o wieczorze i napatoczyło się w rozmowie o nim, o tym odległym, odtrąconym, skazanym na zapomnienie, ale marzenie o nim zostało z Bietą, niewyperswadowane. Jak mi to opowiedzieli to mogłem sobie wyobrazić jak pierś Biety, kobiece łono Biety wezbrało, jak nagle przyszedł impuls, postanowienie. Jest wieczór, późno, ale to nic, długo korbuje się motor w starym Buicku i ciemną nocą, przez zgrudziały zajazd, pojechano, wyrwano się, żeby dotrzeć do miejsca gdzie jedynie czerwone światło pali się po nocy w samotnym oknie i nic to że zapomniany, tragiczny, siedział w tę noc samotnie (nad rachunkami z lasu?), ale i romantycznie to z tym, że nagły nawrót, droga do szczęścia, że skończyło się to w tę noc grudniowo-styczniową od westchnienia nagle wezbranej piersi.

Tak to miło o tym usłyszeć, ale już mówimy na inny temat, o tym jak Trefl, Trefl buldog, rasowy, pokraczny, z nosem wklęsłym, zagubionym w zmarszczkach psiej mordy, ze straszliwie wyrobionymi szczękami, o kwadratowej klatce piersiowej i pałakowatych nogach, Trefl, astmatyczny Trefl, jest pobudliwy, nerwowy, histeryczny jak panienka, że Trefl wzdycha i jest zazdrosny o panią Stanisławę, Trefl dąsający się, wzruszony, histeryczny, rozdygotany, jak szczenie, Trefl jedyny, uważny, Trefl chorujący na palpacje serca.

I już o czym innym, mówi się o Łosiach. Nic tylko o Łosiach. Więc nie o Łemkach, którzy zachodzą tędy Bieszczadami, etnograficznie niezmiernie to ciekawe, ale obojętni są na Łemków, nie mówi się o innych, tylko o Łosiach. A Łosie to wieś osobna, dziwoląg, enklawa, wyspa osobna, nie wiadomo skąd, Łosie to wieś niedaleka, wieś dziwnych ludzi zakochanych w koniach, hodujących konie, koniokradów, ludzi żyjących z koni. Miesiącami odnajmują się na wózkę, forszpany, Łosie jak wielorybnicy z New Bedford i Nantucket mogą poszczycić się tym, że jak do tamtych należy cały Ocean okalający ziemię, tak do Łosi należy cały świat, po którym toczą się obręcze ich wozów, po którym przejdzie kopyto ich koni. Łosie, zakochani w swych koniach.

O czym to nie mówi się jednego wieczoru wiosennego przy ogniu buzującym na kominku. Nawet o zarazie pyska i racic bo pani Stanisława hoduje czerwone bydło górskie, które niebywale odporne jest na te wszystkie plagi, ale i tak wiele z tym zachodu i mówi się o paszy, mleczności, wzdęciach, trokarach,

cieleniach się, księgosuszu. Polana wypaliły się tylko huczy zły płomień gazowy i przestrzega o nocy.

Zanim pożegnam Szymbark, zanim zasuną się poza mną zielone wzgórza i zasłonią dom, drzewa, szyby naftowe Wygnanki, rzekę i most, zrobię szybko rachunek sumienia, cofnę się w siebie. Cała sprawa jest tak prosta i nieskomplikowana, we wspomnieniu będzie wyglądać jak sznurek ideogramów, jak deseń. Że były raz trzy siostry (a może cztery?), że dom, drzewa, garby i plecy wzgórz, że spokój i wzruszenia ludzi żyjących osobno a jednak trącić lekko, pstryknąć palcem, przeźroczystą kulę w jakiej żyją wyda dźwięk, zadrży i odpowie temu rezonansem we mnie. Można zapomnieć wszystko, zachować tylko jeden szczegół, próbkę do sprawdzenia, szyfr katalogowy, kontramarkę, którą wystarczy pokazać w kontramarkarni ażeby wydany mi został cały bagaż, skład pozostawiony w niepamięci.

Weźmy w tym wypadku — Janusz, January, w swej licealnej czapce szesnastu lat i za nim zakochane, zaczadzone, zawilgłe od miłości spojrzenie rodziców. Coś co jest samo w sobie, coś bez historii, bez przyszłości, co było i czego już nie będzie.

Na dowód czego przytoczę że kiedy szymbarska bryczka wiozła mnie na stację w Gorlicach i że kiedy mieliśmy jeszcze czas to zatrzymaliśmy się dla zobaczenia jednego z cmentarzy wojennych, strasznych bitew tamtej wojny.

W jednym miejscu, w pośród tego cmentarza, był pomnik grobowy, osobny, z piaskowca, piaskowiec poczerniały od pleśni z jednej strony. Rósł przy nim krzak kaliny, oczywista kalina, rosła tuż przy nim i obejmowała go swymi gałęziami, jak gdyby trzymała go samolubnie w swym posiadaniu. U góry był na czole pomnika wyrzezany miecz albo szpada w oplecieniu z liści wawrzynu. Wzrok zaraz chciwie poszukał napisu, tak samo jak chciwie, nieubłaganie ciągnie do napisów ulicznych, do liter nagłówka wleczonej po bruku gazety, jak nieomylnie ciągnie do znaku fabrycznego na przedmiocie, „Made in USA”, do liter. Było tam że D.O.M. czy „Ci git”, że spoczywa w pokoju, Fähnrich taki i taki, było arystokratyczne nazwisko z Von Zu i że miał lat siedemnaście.

Co może ostać wokoło kamienia grobowego siedemnastu lat? Co się mogło nagromadzić w takiej przestrzeni czasu? Ile z tego był naprawdę życiem, ile snem dziecinnego pokoju, ile niepokojem dojrzewania, automatyzmem nadpoczynanych dni, jakie marzenia mogły już ubrać się w kształt? Czy wyczekiwania i dreszcze siedemnastu lat życia to może być tak, że tylko gorycz, że tylko ucisk serca, a kiedy to ma się skończyć nagle i bez szansy na zrozumienie to gdzie tu miejsce na życie? Tyle tylko czasu

było ażeby zawołać, naznaczyć słowem, ażeby odróżnić tym słowem od innych, przywiązać do tego słowa odległe znaczenie, dać mu to słowo w dłonie jak lancę z proporcem i nazwać go chorążym, wywołać go z chaosu i czasu.

Patrzyłem i powracałem do tego kamienia grobowego cudzego dziecka. Co skłaniało mnie do tych nawrotów, do zasumowań się, do wzruszeń. Chyba nie zimna elegancja i odosobnienie opuszczenia w jakim mu przyszło stać w centkowanym cieniu liści kaliny, w plusze jesiennej, w słońcu wiosennym, pośród zielonego podgórza, zielonego jak farbka, którą chłopka przygotowuje do pisania jaj wielkanocnych. Wydało mi się że tym kamieniem została na zawsze i niepowrotnie przykryta moja własna młodość stała się kiedyś i teraz osobna i niezrozumiała dla mnie samego. Tylko szpada w wawrzynie, jak klucz którym zamknięto przeszłość na zawsze i zamurowano żywcem, świadczyła o nieodwołalności tego.

MADRYGAŁ DLA ANUSI

A Anusia, Anusieczka, Anusienieczka to była dopiero, to zachwycenie! Sam tego sobie nie chciałem powiedzieć, sam się bałem. Bywało że podpatrzę ją jak się ruszy do okna, i spódnica jej rozciągnie się w kroku jak flaga, jak fałda chitonu i nogę postawi na ziemi tak solidnie jakby była z marmuru. Bywało zasunie się jej włos na skroni i rzęsy położą się na policzkach, a oderwie oczy od czegoś nad czym zajęta i zatoczy w tył, to tak jakby nagiął gałąź agrestu.

A ręce po łokcie to miała takie niewinne jak u dziecka. W tych rękach, co wzięta to nabierało osobnego szczęścia, żeby tam nie wiem miało to być jak trywialne. Do czego przyłożyła ręce to było już drogicę. Ręce to były jakby osobne.

Kiedyś siedzieliśmy na plaży nad rzeką Stryjem, taka mała-miasteczkowa plaża aż śmiech, piasek, piaseczek, podołkowany od ludzkich stąpnięć i trawa rośnie kępkami i dzikie łożysko Stryja, płyciuchno do pół łydki, tam dalej zapada się głęboko, głupia ta domowa woda, powysypywała okrągłaków i otoczków, łoży na brzegu i trawa wydeptana tam w ścieżeczki, skąd się dochodzi. I zbieranina miasteczkowa kąpielowiczów, śmieszne to i nic w tym nie ma z konwensu wszystkich innych kąpielisk, tyle że zabawne mieszczuchy i Żydóweczki paradują najwymyślniejsze stroje kąpielowe, aż oczy bolą od koloru. Rozbierają się w krzakach, jak przystało nad Stryjem.

Moja Anusia sypie na mnie, leżącego, piasek z różowych dłoni jak z klepsydry i zakopuje mnie w tym białym piasku. Kiedy leżę to widzę ją z dołu, przyklekłą na piasku, jej uda w zgięciu kolan zgrubiałe i twarde i kolana, aż na nich skóra pobiełała i strój kąpielowy obcisnął się na jej brzuchu i jest cudowne wgłębienie pomiędzy piersiami jak obietnica i śmieje się, a kiedy

odchyli głowę od rozpylonego piasku to policzek zbiega ku brodzie i włosy, najnieporządniej spięte tną jej kark i szyję.

Wydaję się sobie samemu przy tym tak odstręczający i ordynarny aż mi krew nabiega do twarzy ze wstydu, myślę sobie że przecież każdy, każdy to widzi, że nie przystaję do tego, że skąd znowu. Zadziwiał mnie samego moja własna bezczelność, że jestem przy niej. Chcę się trochę podeprzeć, podreperować. Mówię sobie, już tak jest, i nie daj się, nie daj sobie zawrócić głowy, zbiegło się to u niej szczęśliwie, wypośrodkowało w te dziewicze, kobiece, panięskie proporcje, bo tak się udało, a że włosy, no bo słońce rozszczepia się w tysiąc kolorów tęczy, a że uda, no przecież wiesz jak to u kobiet, jak jest wyłożone tłuszczem, jak tapicerska robota, no nie daj się.

A Anusia sypie piasek i tam gdzie się go zbiera urasta kopczyk, stożek sypki i lichey, nietrwały ale jest ich coraz więcej i zasypało mi kolana i czuję go pod pachami, zasypywany w kurhany piaskowe.

Aż się boję, i chciałbym się obronić przed tym, jakiś jak się to nazywa, jakże to mówią, instynkt każe mi najeżyć się nagle przeciwko temu. No bo jak się „zaangażuję” zanadto, jak pójdę na to, jak mi to, psiakrew! wejdzie w żyły to co potem? gdzie się podzieje? gdzie zatoczę chwiejącą się głowę, jak przyjdzie kryzys i nawrót, jak nie będzie więcej dołków w jej uśmiechu, jak cudowne dłonie dziecka szarpną mnie za przepoń, wytargną, wywloką ze mnie, wywłoczą kiszki i wątrobę i śledzionę ażeby wyszarpnąć serce. Strzeż się Anusi!

A Anusia śmieje się aż po trzonowe zęby, i nic nie przeczuwa z bluźnierstw i zgryzot. Zresztą nie przeczuwając, jak zawsze Anusia, ma rację, niby skąd znowu teraz, teraz, kiedy jest inaczej i słońce i woda i śmieje się, skądże znowu ta wycieczka, podróż w przypuszczalne, inne, nieprawdziwe, straszne. Jak zawsze u niej wszystko jest wspaniałe i jedyne, tak i to. To utwierdza mnie raz jeszcze w tym jak nie przystaję do niej, jak jestem z gruba, przemądrzały i nie wart jej. I jeszcze raz przychodzi mi wściekłe, niesamowite, upokarzające uczucie jak nie wart jej jestem.

A czasem wydaje mi się znowu, że to ja jestem wart więcej, bo chociażby dlatego, że potrafię więcej zrozumieć, że jestem bardziej uniwersalny. Bo Anusia, Aneczka to jest jakże regionalna, regionalną swoją kobiecością. To paradoks a jednak tak i jest, pomimo wszystkich jej darów, pomimo bezprzykładnej bystrości, fantastycznej zdolności, umiejętności przystosowania się. Ma odpowiedź zawsze gotową i celną, a ja, jakby mnie zatkało żuję w sobie gorycz, albo gniew, albo radość mi się rozpryskuje

w dłoniach i siedzę nachmurzony i nie wiem jak to ubrać, a Anusia strzeli tylko słowem, zaśmieje się, zazieleni śmiechem.

Ale jest jednostronna, tą swoją całą udaną kobiecością. Jest w tym coś bardzo ograniczonego, coś skończonego, aż uderzam się jak głową w mur kiedy dochodzę do tej skończoności. Skręca się w koło jak wąż, jak obręcz, sama ze siebie wychodzi, aż mnie złość bierze. Jest jak boska jałówka Io, która depcze i kroczy, okracza całą Dorykę i Jońskie morze, kształtna i krowia, łagodna i skończona, Io sponad łąk, sponad ruczajów.

I tu jest ograniczona, bo nie może mnie zrozumieć, nie potrafi, nawet nie potrafi przeczuć, jest taka sama. Dlatego to się pewnie skończy i będę żałował, ach jak będę żałował! ale ona nie będzie żałowała, bo to jest w innym wymiarze.

I jak tu ująć, jak tu chwycić moją Io, kiedy ucieka i zasypała mnie w ucieczce gradem haftek, zatrząsek, puszków, korkami od buteleczek z wody kolońskiej. Jak ją przytrzymać kiedy ślizga mi się w dłoniach, spotniała od kobiecego potu, pachnącego piżmem i biletami tramwajowymi. Gdzie ją przytrzymać kiedy mdleje mi w rękach i włosy jej załazą mi do ust i oczu. Co jej dać, co jej zadać ażeby się odmieniła, kiedy znika wtedy jak gąsienica w mimikry udająca tło, liście bzu, kwiat powoju, sadzę z komina i rozbite przypadkowo szkło.

Modli się i aż jej zazdroścę takiej obojętności modlitwy, takiego scentrowania się, że wydaje się że modli się sama do siebie.

Mówi i mówi nieprawdę, choćby to co mówiła, zachłystywała się tym co mówi, choćby to była najprawdziwsza prawda, to jednak to jest nieprawda, prawda sama jest za łatwa na to ażeby wypowiedziana była prawdą, więc za trudna, i łatwo, jakże łatwo myśleć że to prawda. Prawda jest trudna, prawie że niewypowiedzialna.

Śmieje się i śmiech jej jest jak nakręcona katarynka. Śmieje się mechanicznie bo coś w niej łaskocze się i przewraca, ale jakbym tak stanął, gdybym miał odwagę popatrzeć na nią, zmocować ją wzrokiem to by załazała się krwią zawstydzienia.

Dlatego to wszystko pomiędzy nami jest niby naprawdę, a jest na lotnym piasku. Tak jak ten piasek, który sieje z dłoni i zasypuje mnie. Dlatego może pasujemy do siebie jak kształt i to co otacza kształt.

Kiedy idziemy grać w tenisa, cóż to za śmiech do rozpuku nasza gra w tenisa, kort tenisowy pomiędzy pocziwymi kasztanami. Trochę mi wstyd tego snobizmu niewinnego, swoich nieumiejętności, pretesjonalnych apanaży w postaci pantofli i slasengerowskiej rakiety, ale z Anusią, to nie ma wstydu, ona

nadaje styl. Anusieczka jak się schyli do zawiązania sznurowadeł to upnie się na niej plisowana spódnica i krew jej nabiegnie do policzków. Potem zamaszyście serwuje i rozbiegnie się do przeskakującej piłki, odpowie i odeśmieje się. Jakim bym tam nie był patałachem to potrafię czasami tak ściąć piłkę, że moja panna rozciąga się na cały kort i nic jej z tego nie wyjdzie i mam szaloną satysfakcję że zmusiłem, przyniewoliłem ją, gwałt na jej różowym ciele pod słońcem, aż mi pierś stanie w zatrzymanym westchnieniu.

Jest wspaniale i rozkosznie i osobno na prostokącie kortu odcięty od świata siatką, zapomnieć można o wszystkim, świat został po tamtej stronie, a to gdzie my we dwoje tylko i nic i nikt więcej, to zamknięte w geometrycznym prostokącie i my sami i tylko sami a tamto wszystko jak odkroił nożem. Nie liczy się, nie ma tamtego. To jest sztuczne odgrózenie się ale przypadkowo pomaga i sprawia satysfakcję. Ile razy byłem z nią to zawsze miałem takie drobne satysfakcjonujące sytuacje. Jak niebo było pogodne to z nią wydawało się jeszcze bardziej brylantowe. Jak miało się pragnienie to szklanka piwa przy niej smakowała dwa razy lepiej. Taka już była Anusia.

Potem jesteśmy zmęczeni i siedzimy razem na ławce w rogu siatki i jesteśmy znowu szczęśliwi, udało się z nią znowu, bo jakoś nie ma nowych graczy i nasz prostokątny świat należy do nas. Pocieram sobie oko, dlategośmy grę przerwali, bo Anusieczka jak nie wycięła mnie piłką w oko, aż mi żółte kręgi zakółowały i zabolą boleśnie. Tak mnie zabolą że nie miałem czasu zirytować się na samego siebie, bo co za pokraczne ustawienie się, niewybaczalne po prostu w linii piłki. No, ale już taki jestem, nie wychodzi mi tak gładko jak innym, zawsze ustawię się w polu uderzenia. Przybiegła zaraz do siatki, jak zdyszana! aż jej kręgi wystąpiły koło oczu z niepokoju i żeby ją uspokoić to uśmiechnąłem się kwaśno, że niby to nic.

Teraz siedzimy, pocieram to oko, nic mi się tam naprawdę nie stało. Anusia grzebie nogą dołek w ziemi, pochyliła się znowu, i kark jej i ramiona.

Zamyśliła się, zmarszczyła czoło i nagle uderzyło mnie: O CZYM ONA MOŻE MYŚLEĆ... I mówię sobie to nie ważne. Przecie widzę ją tu i ówdzie, jesteśmy razem a potem jej nie ma koło mnie, odchodzi bo ma tam te sprawy panieńskie, bo jest tysiąc głupich, innych dziennych spraw, a jak przychodzi do mnie to tylko dla mnie i wtedy jest ze mną a tamto jest nieważne. Taka niby rusałka co to o oznaczonej godzinie pojawia się, wydiera się z bagna, tutaj w tej przenośni to ta woda to ma być ten nieartykułowany świat drobnych, nieważnych ale

nieuniknionych innych spraw. I wstydzę się, że to wielkie pytanie o czym to może ona myśleć nie jest naprawdę ważne dla mnie. Wstydzę się bo to mi odkrywa nieważność jak gdyby całej sprawy. Toż tę Anusię, cud, spektakl zadzierzysty i wspaniały sprowadzam tą obojętnością do roli, do schematu maszynki, że niby w porządku, nie przejmować się, taka już jest, wszystko w niej udałe, inteligencja tak sprawna jak w maszynie do liczenia, reakcje tak poprawne i dźwięczne jak w automacie gdzie dobrze ponaoliwiane sprężyny, tak jak ona cała. Że zajędzie czasem cudowną naiwnością to w porządku, zgadza się, bo z tym jest najlepiej, że zdziwi się albo zaśmieje to to jest właśnie ona jedyna.

Zastanawia mnie co to ona jest, czym ona jest, kto to jest Anusia? Jak ją pierwszy raz zobaczyłem, jeszcze zanim ją poznałem, może to było w przejściu, może na stacji kolejowej, już, cholera, naprawdę nie pamiętam kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem, to pewnie było, uderzył mnie przede wszystkim jej kształt, albo ułamek kształtu, który zaleciał mnie normalnie, bo może zobaczyłem jej łydki kiedy stała okraczając rower i chustka jej zesunęła się na ramiona i kosmyk włosów. Bardzo normalne, kiedy się jest mężczyzną i zaleci kobiecością. A potem to pewnie że wszystko w niej takie było udałe i związane razem. A potem, gdzieś ją poznałem, pewnie przez rudą przyjaciółkę i wtedy było oko w oko, i pochylenie jej głowy i, naturalnie, owe pamiętne ręce, ubabrane w niewinności po łokcie.

Musiała powiedzieć nawet wtedy coś trafnego i zabawnego może albo mądrego albo głupiego, może powiedziała że „gwizda na coś z magistratu” albo coś nie trywialnego, może bez pamięci i zastanowienia powiedziała coś takiego trafnego, że aż się człowiek ogląda za siebie co za lichy, kto jej to podpowiedział?

Potem byliśmy raz na wódce. Potrafiła oprzeć nogę o rurę baru i zanim wypija kieliszek wódki popatrzeć półprzymkniętymi oczami, albo zaśmiać się przyjacielsko i trafnie, kiedy wściekły na siebie i zakłopotany nie wiedziałem czy na postawienie na dansingu stać mnie będzie w ten wieczór.

Albo jak nigdy nie śpiewała, tak przy jakiejś okazji wyciągnęła coś tak pewnie siebie i tak czystym głosem, że był w swej poprawności nijaki, coś z folkloru i to nie z naszych stron tylko z miechowskiego:

*„Tam w ogródeczku lelije, za ogródeczkiem szatwije...
Tam panny siadają, wianeczki zwijają, ruciane, ruciane
ruuciiiaane...”*

Potem powiedziała mi że zaczęła studiować medycynę, ale dla zdrowia musiała to porzucić.

Wspomniałem że kiedyś coś zaśpiewała czystym głosem, coś z folkloru ale nie znaczy to, że było w niej coś wspólnego z innymi panińskimi apanażami. Ani nie miała w sobie nic z „ręce w małdzyk — buzia w ciup” ani kokieterii szablonowej panienek, ani tego „panny jak to panny — zebrały się w kupę” ani nic takiego chodzenia pod rękę parkami, ani telefonów, odrywania się od rzeczy na dźwięk telefonu, niewydarzona ucieczka od chwili przez mechaniczny zastrzyk, ani „oko”, ani podirytowane stany panińskie, ani strach i cofanie się, ani wydrowatość, szoldrowatość i szmulowatość. Było w niej coś tak innego aż wydawało się bezbarwne, ale to paradoks bo przecież Anusia to była równocześnie jak furkot wstążek i jak zbawienie.

Obrzeź ją sobie, wyfiligranuj, tocz jej obrazek w dłoniach jak glinę, a nie ma pełnego obrazu. To pewnie dlatego, to pewnie ja, a wydaje mi się że to ona. Czasami miałbym ochotę przymknąć oczy, którym nie dowierzam i jak ślepi wodzić po jej twarzy dłońmi ażeby naprawdę wiedzieć, ażeby naprawdę nauczyć się jej, wydaje mi się, że dotykiem sprawdzona byłaby prawdziwsza, „namacalna”, wiedziałbym że jest. Czasami zamiast słuchać jej głosu chciałbym położyć rękę na jej krtani, jak to robią niemi ażeby wyczuć drganie jej gardła i chwycić w dłoń jej głos i trzymać jak spłoszoną gołębicę (jaka by tam Anusia nie była cudowna to jeszcze wydaje mi się to trochę wstrętne, trzymać rękę na jej krtani, na żywej harfie).

Dzień idioty.

Moja Anusia jest jak lunapark. Kręci się z nią wszystko i zanosí śmiechem, wszystko jest w flagach, chorągiewkach i falbankach. Wszędzie jest interesująco, ale już stąd ciągnie gdzie indziej, bo załopocze afiszem na parkanie, zatańczą żarówki sznurkiem jak paciorki, zatupocze jak na deskach sceny, albo zasłoni nas cieniem jak skrzydłami namiotu gdzie wróżą z ręki, z kryształowej kuli i z fusów kawy. Ale już znowu wyrwaliśmy się na otwarte i wszędzie jest zapowiedziane i wszędzie zaprosi nas śmiech i tirlitirtli muzyczki. Moja Anusieczka to jest i błażnica i woltyżerka w trykocie i ballada wybrząkana sentymentalnie na gitarze w cieniu kasztana. Moja Anusieczka to także panoptikum osobliwości, jak się ma odwagę w nią zajrzeć, kobieta z brodą, gorylica, anaconda, dwieście kilo żywej wagi (bo mi strasznie leży na duszy, wisi u szyi młyńskim kamieniem), Monstrum tatuowane, unikat, Madame Viola i poskramiaczka zwierząt.

Kiedyś widziałem w lunaparku idiotę. Idiotę, głupka, półgłówka poznać po niskim zmarszczonym czole, włosach ostrzyżonych przy skórze, mongoidalnych, napuchłych rysach twarzy, zaniedbanym ale schludnym stroju, po zgarbieniu pleców i najbardziej po zadowolonym chytrym, idiotycznym uśmiechu. Wodogłowiec, hydrocefal ten obracał się pośród tego fantastycznego świata z satysfakcją widocznie przemieszaną z nieufnością i pełen podejrzliwości. Jego troskliwi opiekuni zaopatrzyli wychowawca i pieścićha w drobne, w kieszonkowe i chodził teraz pośród rozwirowanego miasteczka, z ostrożnością wyboru i namysłem filistra i filistyna. Przejechał się raz w kółko na karuzeli, zafundował sobie kolorowej lemoniady, przystanął u koła szczęścia, pomimo swej idiotycznej godności dał się ponieść małej kolejce przez tunele i mosty i nawet otrzepał sobie spodnie na kolanach z kurzu po jeździe na ruchomych schodach. Przez cały czas namarszczony, chytrze uśmiechnięty do samego siebie, sam, nie przeczuwający swojej samotności, chytry, przechytrze się uśmiechający, kiedy tak spijał śmietankę rozkoszy z wierzchu, pośród rozhulanego, rozbawionego, rozszczebiotanego, rozświetkanego tłumu dzieci, sam, idiotycznie, podejrzliwie uśmiechnięty, bez strapiień, bez konwulsji i hysterii pełnej radości.

Teraz kiedy obracam się pośród lunaparku Aneczki, kiedy wspominam szaleństwo, muzykę, dzwon, werbel, piszczałki, lutnie, śpiew, kołatki, kogutki piejące, syreny rozwyte, konfetti, ognie, chińskie latarnie jej lunaparku to wydaje mi się że stąpałem pośród tego z wdziękiem przeklętym i zgarbieniem łopatek idioty. Wydaje mi się dotąd, że czuję na twarzy zastygłe na zawsze bruzdy idiotycznego, chyrego, przemądrzałego, „bujac to my”, uśmiechu idioty.

To było tak z Anusią zawsze, że ona była taka sama a ja przebierałem się ciągle. Raz robię z siebie idiotę, innym razem impotentą, za trzecim razem Borotrę, ciągle dopasowuję się do niej jak garbaty do ściany. Cholerny transwestycyzm.

A ona obnosiła się koło tego ze swoją jedyną, genialną kobiecością, dziewczynskością, dokumentną, wydawałoby się że przymierzę do niej wszystkie miary. I „przy samowarze siedzi moja Masza” i na odmianę *smart as a whip* i „wiochna” i komosomółka z Krakowskiego Przedmieścia, córka rabina. Nie udało mi się, nie wychodziło. Jak teraz pomyślę, jak się przymuszę naprawdę to trudno mi zgadnąć. Bo zaraz najeżdża mnie tłum gotowych, urobionych, wysztuderowanych porównań, paralel i wysztancowanych circumnarracji. Co się zamyszę to przypęźnie mi „infantyizm” albo wyskubane rzęsy Grety Garbo albo „proszę o głos” na zebraniu Odrodzenia.

A teraz jak już jestem mądry po szkodzie, to także nie wiem. Może to był szok okresu późnego dojrzewania, że niby jak tu ja, a tu dziewczyna. Ja tu a tu coś dziwnego, niewytłumaczonego, nasi starzy to nawet nie wiedzieli jak to ulokować, to mówili o tym przez rodzaj nijaki, mówili dziewczę, dziewczęcia, wybiegło, zapłakało, rozpuściło na wiatr włosy, skądże znowu to nijactwo, przecież dziewczyna to dziewczyna! Co ich tak hamowało, jakież to mieli wstręty. Jakież to mnie samego wstręty, zatrzymania dojmowały.

Że niby ona taka, bo już tak jest. Pochyli głowę i na karku jej włosy kręcą się, szyja zbiega w ramiona, ramiona, barki tak mówiące. W ich pochyleniu, w ich łuku jest tyle wypowiedzianego, cały ciąg wszystkiego co mi wydawało się ważne i niezrozumiałe. Czasem przebiegnie nimi drżenie, niby strachu, niby trwogi, tak jak przebiegnie wierzchołki drzew przed burzą. Tak jakby spazm, jakby się nad czymś zatargnęła, aż mi dziwnie i obejdę ją i spojrzę jej w twarz, co takiego? A ona podniesie na mnie zdziwione oczy, co takiego? A ja nic, udaję że nic! A może należało wziąć ją za te ramiona i przytrzymać i zapytać, może to naprawdę coś było, może czekała na to? A ja, jak dureń, bałem się, że to wtedy będzie moja słabość. Wszystko domierzałem do jej stylu, do tego że frygała jak wrzecziono. Może wydawałoby się że to jej wina, że jak była taka fryga to udawała. Ale to już jest tak że składa się winę na nią, a trzebaż było inaczej.

Bywało siedzimy w barze i pijemy wodę. Anusia patrzy na mnie i śmieje się i ja się śmieję, a to nieprawda! Już wyciągnąłem palec, już zacząłem wodzić nim w powietrzu ażeby zarysować sobie, zanim je wypowiem, pytanie, i nic, absolutnie nic! A Anusia, ma godność, nawet się nie zapyta, i akceptuje moje, „Panie Stasiu”, akceptuje moje, „to niech pan nam da raz jeszcze z tamtej butelki”.

Bo weźmy, zaplecie włosy w warkocz i już nie wiem gdzie jestem, warkocze ładnie zwężające się, grube gdzie zaczynają się za uchem, potem cienieją, i jakby nie było od swej ciasności i solidności aż tłuste. I potem pobiegnie warkocz, zakręci się wokoło jej głowy, przewinie i upnie. Jest to tak całkiem inne, tak niezwykle i osobne że sama kontemplacja tego potrafi zabić wszystko inne. To podaję tylko jako przykład, jako zastanowienie. Jak pomyślę, jak okręcę sobie jej warkocz tego uprzytomnienia wokoło myśli, to tak jakbym okręcił sobie ten warkocz wokoło dłoni. Warkocz Anusi to coś tak solidnego, że jak sobie o nim pomyśleć to już nie ma miejsca na nic innego. Niby solidne a redukujące do nicości.

Bo weźmy, wysypie się jej z torebki coś, upadnie panieńska karteczka, zapisek na kartce wyrwanej z notesu i pismo jej strome i kobiece, inne aniżeli moje, inne od pisma rękopisu jakikolwiek widziałem i to nic że mogę sobie przeczytać trywialną notatkę, może to był zapisek z pralni chemicznej, może adres i telefon znajomych, może tytuł książki do przeczytania, a pismo jest jak hieroglif, jak nieczytelny niezrozumiały napis w kamieniu pośród gąszczy tropikalnych odnaleziony, jak runy jakie zacina sobie karbowy na kiju, jak szyfr i jak szarada.

Weźmy na przykład, oprze nogę, o czym wspominaliśmy już, oprze but sportowy o rurę w barze i ma swój szyk i styl jej elegancki but, prawie nowiutka para z magazynu ale już ścięła leciutko nosek i mikroskopijnie obcas, solidny jak koturn i już zadziwiło mnie gdzie niosło ją, jakie sprawy, co za zniecierpliwienie miejscem kazało jej być wczoraj tu, przedwczoraj tam, kiedy ją znam, że wszystko jest u niej ważne i trafne, więc skądże znowu to zniecierpliwienie miejscem. Przecież jest we wszystkim antytezą mnie samego. A ja nigdy nie potrafię powiedzieć co dla mnie jest najważniejsze, nie umiem wybrać, nie jestem pewny że to co trzymam w tej chwili jest najważniejsze, najuroczystsze.

To dlatego tak mnie zastanawia i zahukuje ta inność, we wszystkim, w płci, w charakterze, w błysku oczu, w ruchu ręki, w skłonie głowy. Co za choleryczna antyteza! No to mówię sobie, to tak ma być, jak to tam *les contradictions se touchent* czy jak tam, taka egzogamia wszystkiego, co się znowu tak dziwisz?

Raz miałem takie dziwne zdarzenie. Byłem w domu, ale nie u siebie tylko u znajomego, o piętro wyżej. Moje okna wychodziły na podwórze, ale mieszkanie znajomka patrzyło na ulicę, już bardzo wysoko, bo było mansardowe i żeby zobaczyć samą ulicę trzeba było bardzo wychylić się, po prostu karkołomnie. Znajomego nie było, ale zwyczajem mogłem się gospodarować u niego jak mi się żywnie podoba.

Otóż jestem tam i słyszę, w ciszy domu dzwonek w moim mieszkaniu. Każdy lokator miał na dole swój osobny dzwonek. To żeby oszczędzić sobie schodzenia, wychyliłem się przez okno ażeby zobaczyć kto to dzwoni. To była Anusia!

Nie spodziewałem się jej wtedy i niczego więcej nie chciałem widzieć bardziej w tej chwili jak ją samą. Wychylony w swej karkołomnej pozycji, drżałem z wrażenia spełnionego zachcenia. I nic. Nie potrafiłem oderwać się od futryny okiennej. Wystarczyło zbiec, otworzyć drzwi na ścieżaj. Wystarczyło zawołać, krzyknąć z góry „Anusiaaaa!...” i dać jej znak. I nic. Dzwonek szarpnął po chwili raz jeszcze. A ja, jak głupi, na

górze, jakbym ją podpatrywał, bezwstydnie i lubieżnie, jak Zuzannę w kąpielni, pożał się Boże co tam było podpatrywać?, widziałem jedynie jej szary kapelusik, którego nie znałem i rękę w rękawiczce na guziku dzwonka elektrycznego.

Trwało to niedługą chwilę. Potem bardzo spokojnie odeszła od drzwi i poszła w kierunku przystanku tramwajowego. Widziałem z góry jak szła bardzo blisko krawężnika, miała jakby pochyłoną głowę, chociaż z góry to trudno określić trafnie. Była doskonale obojętna. Szła nie oglądając się więcej na drzwi. Chciałem szybko domyśleć się jej myśli. Co mogła sobie myśleć? Coś dziwnego było w niej, coś znajomego a bliskiego, ale co takiego? O czym mogła myśleć? I do czego mogła być podobna? I nagle aż mnie zatkąło, naszło mnie, że to nie ona. Nic w niej takiego nigdy nie było. Szła zawsze tak jakby u celu gdzie miała dojść miało być objawienie, albo radość spotkania, albo ósmy cud świata. Jak gdyby obracając się kierowała wszędzie, gdzie zwrócona, reflektory, jak samochód na pełnych światłach. Do czego była podobna? I nagle ośnienie że to ja, ja sam. Przecież to ja tak idę blisko krawężnika, irytując tym zawsze przypadkowego współtowarzysza spaceru. Przecież to mnie nic nie czeka, każdy to zobaczy, że jak gdzieś idę to nic mnie nie czeka, nikt tak nie idzie w ten sposób oczekiwany.

Chciałem zawołać, już był najwyższy czas, pomimo ruchu ulicy mogła mnie doskonale usłyszeć. Wystarczyło zawołać „Anuuusiaaaa!” i odwróciłaby się, odzyskana i jedyna. Ale nie potrafiłem. Wyciągnięty na parapecie okna patrzyłem w ślad za nią. Idzie wzdłuż krawężnika, omija latarnię, i znowu ścina brzeg chodnika. Teraz widzę że ma pochyłoną głowę. Jeszcze czas zbiec szybko na dół i pobiec wzdłuż domów. Ale ja patrzę w ślad za nią, jakbym patrzył w plecy samego siebie, idącego w swoją bezcelową drogę. Prędko! Jeszcze czas! To dobrze tak sobie mówić, ale to tylko słowa. Cóż to znaczy prędko? cóż to znaczy jeszcze czas?

Odszedłem od okna, chodzę po głupim, obcym, obojętnym mieszkaniu i sam nie wiem. Pytam się samego siebie, co to? Wszystko było w niej takie inne, wszystko było dziewczynskie, kobiece, zamaszyste, celowe, pełne fantazji i co się zmieniło? Czy oszukiwałem się sam, co to było?

Co to było?

Za dobrą chwilę zleciałem po schodach, zabijając się po drodze. Ulica była pusta, jeszcze pobiegłem do rogu i nic.

To był koniec historii. Prawda że jeszcze była jedna sprawa, epizod, aż żal i wstyd. Ta jej ruda przyjaciółka zatelefonowała mi „na miłość boską pojedź, bo ona sobie coś zrobi...”.

Nie tyle przejęty sam, ile popędzony zdenerwowanym głosem rudej, pojechałem tramwajem, tam gdzie mieszkała sama. Dzwonię, nic, więc przez bramę, mieszkała na parterze i drzwi były przez kuchnię od podwórza, zawsze otwarte. Tyle że przebiegłem kuchnię i przedpokój, w dużym jej nie było, drzwi od małego zamknięte, na klucz? Pchnąłem je tylko raz i puściły, bo nie były zabezpieczone u dołu zasuwką.

Moja Anusia przysunęła sobie stolik toalety na środek pokoju i chwiejąc się na nim chciała uwiązać u haka w pośrodku sufitu jedwabną pończochę. Tak jak stała, zniosłem ją ze stołu i posadziłem w fotelu. Wezbrało się we mnie wszystko, nie mogłem słowa powiedzieć, bałem się że zwymiotuję. A Anusię rozpuściło całkiem i pociągając nosem, płakała rzewnymi łzami na kołnierzu mojej koszuli, płakała i płakała i nie wiedziałem co z tym fantem zrobić. Było mi wstrętne i dziwnie i żal jak cholera i strach co się stać mogło i śmiech z tej jedwabnej pończochy, ale to wszystko razem było bardzo powierzchowne.

Ale to już był koniec i jeszcze dla uratowania pozorów odbyła się taka scena. Scena w „na górcę” u Lintnera, pokoje śniadankowe, tam umówiliśmy się na ostatnie spotkanie. Nieszczęściem po obiedzie i coś tam nie sztykowało, bo na górcę podawano tylko obiady, a że było już po obiedzie to nie bardzo nas chętnie widzieli. Kazałem sobie dać piwa, kufel na krążku tekturowym, a Anusia powiedziała:

„Proszę o czarną kawę”.

Ale demonstracyjnie zignorowali jej życzenie, napiłem swego piwa ale było gorzkie, Anusia, ze wszystkich możliwości mówi mi przez „Pan”.

„Niech mi pan zamówi kawę”.

Mówię, Anusiu, Anusieczko, to niemożliwe to chyba jakieś straszne nieporozumienie, nie wiem co wymyśleć, aż wyjechałem z tym nieporozumieniem.

„Proszę pół czarnej”.

Chciałbym powiedzieć jej, czy pamiętasz? Ale co, wstydzę się, będę jej przypominać jak mi piasek sypała, jak mnie zasypywała, zagrzebywała w piasku na plaży stryjskiej?... Że byliśmy tyle razem... Wszystko co było, przecież to było, to nie jest teraz... Teraz siedzimy „na górcę” u Lintnera, mam na sobie nowe z igły szewiotowe ubranie od Łopatkowskiego, wielki szyk, i wstyd mi tego nowego eleganckiego przybrania, wydaje mi się jak ornat jaki wkładano skazańcom wiedzionym na *autodafé*, na całopalenie...

„Czy nie można tu dostać kawy?”.

Zawróci mi się nagle w głowie, nadleci, zaszaleje myśl że

to już ostatni raz, że już nie do odrobienia, nie do odstania się, żal straszny, i co, a może po prostu najidiotyczniejsze przyzwyczajenie, braknie mi może tylko schematu i terkotu tej samej pasji podmalowanej?...

To było tak kiedy widzieliśmy się po raz ostatni: „na górcie” u Lintnera, kiedy zostawiłem ją nie dopiwszy swego piwa, kiedy wreszcie przyniesiono jej pół czarnej, kiedy nowy, szewiotowy garnitur od Łopatkowskiego, kiedy wstałem i niezgrabnie i dziwnie rozstaliśmy się i już jej potem nigdy więcej nie widziałem...

DESZCZ

Niektóre sprawy zapamiętuje się w życiu na zawsze.

Pamiętam na przykład jeden deszcz. Musiałem być przez jeden dzień w tym miejscu, obcym, nieznanym mi dotąd, byłem tam przez cały dzień i deszcz padał przez dzień cały, i zaledwie ustał nad wieczorem.

Kiedy przyjechałem tam rano, wcześniej, to przyjechałem już za tego deszczu. To było lato i ciepło i nic właściwie nie dolegało owego dnia, tylko deszcz. Było zielono, jasna zieleń wczesnego lata, jasna, srebrzysta, i dlatego srebrzysta, że była zaciągnięta szarugą tego deszczu. Na stacji kolejowej trzeba było poczekać, może na to ażeby ten deszcz trochę przestał tak padać bo nie było nań rady, deszcz ulewny, ciągły. Potem jak miałem tam pobyc cały dzień, to i przyzwyczailem się do tego deszczu, jakby należał on do krajobrazu, jakby tu nie miało nigdy być co innego tylko deszcz. Bo ani przedtem tam nie byłem nigdy ani potem. Mogłem się domyślać jak tam było za sucha, za pogody i słońca, ale wtedy kiedy byłem to był deszcz i zielono. Pamiętam zieleń tego miejsca, jakby zieleń ta jak farba przez ten deszcz rozpuszczona, zafarbowała wszystko na zielono.

Powiedziałem tu przedtem „szaruga”. Otóż nie, nie była to szaruga. Było coś świeżego, żywego w tym deszczu, padał prosto, nie zacinał, nie zalewał szyb okiennych ani ścian, ale w jakiś stanowczy, zdecydowany sposób, gdzie tylko było obrócić oczy leżał pionowo na tym zielonym krajobrazie z zieleni drzew.

Byłem tam wtedy przez cały boży dzień. I było tam pusto, bo i deszcz, więc wtedy ludzie się chowają, i poza tym był to jeszcze półsezon, więc tych ludzi mało. A więc opustoszałe żwirowane chodniki, „deptaki”, nie żwirowane ale wysypane żuzlem, to pamiętam, sztachety domów i willi, cienisto od drzew wysadzających te ulice, rynny chlustające wodą deszczową, mokre

liście. Czasem przelatywał jakiś milczący ptaszek i to było całe życie, lot skośny ptaka z jednego mokrego schroniska w inne. Nawet nie pamiętam jakie tam było niebo, bo wszędzie były drzewa i przysłaniały je. Nie było także ani powiewu, może zaciągnęło chmurami i musiały się wypadać i wtedy nie miało go być więcej, tego deszczu.

Już nie pamiętam po co wtedy tam byłem, w tym miejscu. To dziwne, pamiętam deszcz, pamiętam tło tego deszczu, a poza tym niczego więcej już nie pamiętam. Więc czemu tak zapamiętałem ten deszcz? Jeden z tysięcy jakie padały w moim życiu. Może to była jakaś ważna sprawa, z którą wtedy byłem tam i o tej sprawie zapomniałem, a przez jakiś przeskok myśli zamiast o niej pamiętam jedynie ten deszcz.

Może szukałem tam kogoś kto obiecał mi pieniądze? Obiecał, a coś zaszło, może nie można, nie należało na nim polegać, może fanfaronował, a mnie naraził na poranne tłuczenie się pociągami i na deszcz. Może nałgał, a może to ja jemu nałgałem i stracił do mnie zaufanie, a może to ja go źle zrozumiałem, może wziąłem jego gadaninę za dobrą monetę? Nie pamiętam.

A może to była ta dziewczyna, co powiedziała mi miesiąc przedtem że to już ostatni raz i że, powinniśmy przejść z powrotem na „pan” i „pani”. A ja nie umiałem się z tym pogodzić i wybrałem się ażeby jeszcze ją zobaczyć i przypominać i prostować, bo bez niej było czarno, jak czarno, i nie mogło pomieścić się w głowie że nie da się przekonać, że nie wyjdzie do drzwi i nie powie że tamto to tylko nieporozumienie. Wyjdzie zaśmieje się, wyjdzie i zawstydzi się, a po miesiącu niewidzenia będzie taka sama, przytrzyma ręką kapelusz i z boku będzie patrzyła swym profilem jak dawniej.

A może wysłali mnie ażebym zabił człowieka. Może ciążył mi w kieszeni przemoczonego gabardynowego płaszcza pistolet, któremu mechanicznie przesuwalem bezpiecznik z „safe” na „fire”. Posłali mnie aż tam ażebym poczekał aż będzie wychodził z furtki pensjonatu i kiedy wystrzelone i usmolone łuski pistoletu będą lśniły na żużlu chodnika, to nawet wtedy nie będę widział twarzy zabitego przeze mnie i leżącego plecami do góry człowieka ze śmiesznie wykręconymi nogami.

Mogły więc to być sprawy bardzo ważne, szczególnie brzemienne w następstwa. A oto z tamtego czasu zapamiętałem jedynie deszcz. Zielony, srebrny, rozpryskujący się jak rtęć, zapamiętałem siwiznę tego deszczu, wpośród zieleni, jednostajność i jakąś dziwną świeżość tego deszczu, a niczego więcej nie zapamiętałem.

Potem, wieczorem ten deszcz ustał. Już była noc, w kałużach wody deszczowej, obijały się latarnie i światła domów, kiedy jeszcze musiałem gdzieś pod mokrymi drzewami czekać na coś po czarnej nocy, na powietrzu tak niezmiernie świeżym i deszczowym, a potem wróciłem na stację do pociągu, i już nigdy więcej tego miejsca nie widziałem. Zapamiętałem tylko deszcz.

Tak sobie ułożyłem to opowiadanie i teraz przyglądam się swemu dziełu. O czym ono ma mówić? Co za wieść cholerną ma nieść w sobie? Czy ma to być tylko rodzaj sygnału, ażeby odbiorca tego dopowiedział sobie kompletniej, czy też opowiadanie to jest moim osobistym sztucznym językiem, rodzajem volapüku który jest tylko dla mnie zrozumiały? Czy implikuje ono jakoś jakieś jedno wzruszenie, które będzie zawsze jednakowo ważne w czasie? Czy będzie zrozumiałe? Czy ma mówić o niedołączności ludzkiego porozumienia, czy o jego bogactwie, które niesie w sobie wszystkie możliwości, wszystkie wariacje? Czym ma być ono? Czy może tylko rodzajem układu elementów, ażeby zakołysało się w jeden rytm, albo jedną kompozycję, zadowolilo, połechtalo jakieś uwarunkowane, jakieś prawie że fizjologiczne węzły nerwowe, czy jakby to nazwać, uderzyło w deskę tego samego rezonansu?

Deszcz, ma z tego zostać tylko deszcz, to znaczy że niby wszystko jest nieważne, „matajotes, matajoton, ta panta matajotes”, aż to sięga po jakiś morał, że cobyśmy nie przeżywali, to w obrębie spraw nie liczy się to i że pozostaje tylko deszcz. Tak więc z kompleksu utajonego, anarchii, kiedy zapełniam swoje życie po brzegi wyimaginowaną ważnością transakcji dwudziestozłotowej, unoszącej mnie po prowincji i wpośród deszczu do obgryzania paznokci ze zniecierpliwienia. Albo że bolesny zadziór i przepastna rozpacz tego że tamta dziewczyna wymykała się z samolubnych objęć terażniejszości, potrafiłyby jeden deszczowy dzień uznać za jedyną godną kolekcji najtragiczniejszych dzieł się od stworzenia świata. Albo że był to najaltruistyczniejszy dzień kiedy w imię czegoś, dla racji takiej a takiej sprawy, w mokry dzień pod zmokłymi liśćmi alei uzdrowiska pomiędzy sezonami, potrafiłem zabić z tyłu człowieka, którego twarzy nigdy nie widziałem i patrzeć na swoje ręce zanim panika poniosła mnie jak pijaka by zataczać się pomiędzy ścianami świata.

Nie wiem... Pamiętam tylko, że był taki jeden dzień, i skończył się i że wróciłem na stację do pociągu i że tego miejsca potem więcej nie widziałem. Zapamiętałem tylko deszcz.

POLOWANIE Z MAUPASSANTEM

Pierwsze mioty zaczynaliśmy od wysuniętego na wschód języka lasów a raczej młodniaków. Graniczył on od północy ze zwartą ścianą lasów poddębickich, od południa z małoucześniezanymi wygonami chłopskimi. Była to dziwna kraina, kępy brzoź i sosen, wysoka, mietlista trawa, zarośla pozbawione liści. Śnieg przysypał to wszystko teraz niezbyt sutym kobiercem, a mróz powlekł kałuże leśne nietrwałą powłoką. Droga wiła się tam niezdecydowanie zakrętami, w których płataninie błąkał się niewtajemniczony przybysz.

Nagonka poszła naprzód. My idąc gęsiego za gospodarzem, na jego milczące skinienie zostawaliśmy kolejno na stanowiskach. Znałem tę partię lasu, zawsze na tych beznadziejnych pustkowiach szła pierwszy raz nagonka, niczego nadzwyczajnego nie można się było spodziewać, ale ogarniała z miejsca gorączka łowiska. Stawałem starannie na ścianie przesieki od strony nagonki, wybierając wglądające przedpole. Przede mną kapryśnie rozwidłały się łąsiny międzyleśne, niektóre otwierały wąskie perspektywy na kilkadziesiąt kroków w przód. Rzut oka w prawo i lewo pozwalał mi ujrzeć pomniejszone i wyczekujące sylwety moich najbliższych sąsiadów, pustą strzałę linii leśnej i daleko na skraju pochylone łby koni z oczekującymi sańmi. Wsuwam nabój do lufy, przy czym wydaje ona dzwoniący szcęk zimnej stali. Jest dojmujące zimno, mimo rękawic palce mam skostniałe, biorę strzelbę pod pachę. Jest niebywale cicho, aż do dzwonięcia w uszach. I przy tym zupełnie martwo. Wszystko zastygło w bezruchu. Nie ma zupełnie wiatru. Siatka zarośli przede mną jest sztywna, jak drucziana.

Naprzód moja normalna wyobraźnia, która mi zawsze służy na stanowisku w miocie, każe mi spodziewać się szeregu możli-

wości mniej lub więcej fantastycznych, uprzytamniam sobie sytuacje i reakcje i niespodziewanie wpadam w marzenia. Myśl moja łagodna i upojona sportem, wyszpuła się ze mnie i błędzi. Rozproszone światło, które biel śniegu zwraca bez reszty światu, nie daje żadnych kontrastów. Sprzyja tej myśli, jest jak sen. Myśl jak niewidzialna fala głosowa, oddała się sferycznie, łagodnieje jej amplituda, potrąca i sumuje się ze wspomnieniami, powstają nowe kręgi i nowe skojarzenia.

Myślę o tym jaka jest wieś. Świat ogromnie odległy od tego co zamykają ludzkie skupiska miast. Nawet inne prawa przetrzeni tu rządzą, nie mówiąc już o czasie. Odległości są tu mierzone nie tyle przyjętymi konwencjonalnymi jednostkami ile tym co się dzieje i darzy dla nich w tej przestrzeni. Więc na „Brzeźniaki” jest o tyle daleko, o ile idzie się tam rozbawionym towarzystwem po obiedzie lub o zachodzie słońca na spacer, a inaczej jeżeli jest tam od tygodnia zbiórka markowych kartofli, kiedy liczy się ilość obróconych „gar”, a inaczej kiedy włóczą tam brony, a inaczej kiedy o sinym mroku idę miedzami podpatrywać sarny o najlękliwszych w świecie sercach i giętkich szyjach. Inna jest wieś w pracy, inna w pryncypialnych pogaduszkach miejscowych rezonerów, inna w trywialnie naiwnej pornografii życia seksualnego. Humor i filozofia ludzi ze wsi jest im bardzo właściwa i osobna.

Nawet kiedy własne życie miało mnie pochłaniać kompletnie musiałem przeżywać obok siebie życie tych ludzi na wsi. Wydawało się że przez swój egzotyzm będzie ono bardzo atrakcyjne. Tymczasem kiedy usiłuję przywołać wspomnienia, zjawiają się one i regenerują bardzo chaotycznie. Z mgły wspomnienia występują te lub inne twarze i przepadają potem w nicości. Prawie że nicością wydawało się ich życie dla mnie, a czy nie dla nich samych?

Więc czy są czymś jeżeli nie indywidualnie to może w masie. Ale w masie rzadko albo prawie nigdy ich nie widziałem. No a powiedzmy jarmark albo święta.

Poniedziałkowy jarmark spełniał jakieś raczej towarzyskie funkcje, bo w ówczesnych warunkach ekonomicznych wsi trudno sobie wyobrazić żeby wiezienie niedochowanej świni, dwadzieścia kilometrów, przy fatalnych drogach było pochodną racjonalnej kalkulacji. Na targ ten ciągnęły szosą wozy. Był chaotycznym zbiorowiskiem ludzi, ściśniętych na placach i targowiskach żywcia lub na rynku. Wałęsanie się od jednego tandetnego, żydowskiego sklepiku do drugiego. Wśród tego krążyli spryciarze i zgonnicy nierogaczyny, niesłychanie szczone typy, naginające

się jednak do hieratycznego sposobu i zwyczaju tego podludzkiego stanu zbiorowiska.

Inny rodzaj zgromadzeń to z okazji uprawiania praktyki i dyscypliny religijnej. Ale to nie była ta bezcelowość, to było skostnienie w tym kiedy skupiano się po niedzielnych nabożeństwach na cmentarzysku cerkiewnym.

Czasem wydaje mi się straszny rodzaj gromadnego obcowania ludzi, niedużej komuny na niedużym terenie, kawału ziemi. Właściwie nie ma dla nich wzajemnych tajemnic, żyją jak ćmy w jednej jaskrawo oświetlonej latarni, znają przede wszystkim swoje wzajemne słabości na wylot i używają ich przeciwko sobie. Pewnie mają także swoje tereny marzeń, niedostępne dla innych indywiduów, swoje mniej lub więcej wspólne tabu i uwarunkowania, bronione milczeniem, niedomówieniem, ostatecznie prymitywnym cynizmem.

Są bardzo zwierzęcy, wydaje się jakby, idąc za Czechowem, jedynie ból miał być dla nich jedynym ich przeżyciem i tym co ich uszlachetnia. Choć i przeciw temu byli dostatecznie zahartowani. Osobiście dla tak zwanego prostego człowieka żywiłem pewien sentyment wzruszeniowy, nie pozbawione to było nawet pewnej dozy łzawistej, ale może górowała w tym zazdrość o surowy prymitywizm jaki im przypadł w udziale, daje może to większą łatwiznę w przeżywaniu życia, ma ostry zapach surowizny i potu, jest dalekie od jakiegokolwiek hysterii i przemądrzania od których wstydu nie ma ucieczki. Z drugiej strony ten sam prymityw owadzi już zupełnie, nie ciasnota ale brak myśli, natykanie się na pryncypialność pustki, roślinność człowieczeństwa w dzikim chaotycznym świecie, który nie jest jeszcze światem (żyjemy w świecie okresu alluwialnego, taki sam okres geologiczny jak sylurski) wydaje się ciasnotą i jedyną ostatecznością. Daleki byłem od jakichkolwiek patetycznych buntów, walk wewnętrznych i to było może dla mnie gorzej, bo nawet nie miałem tego co daje — usiłowałem nazwać to sobie — prostracja i fizjologiczna reakcja po wyczerpaniu...

Budzi mnie jak grom z jasnego nieba strzał sąsiada. Wysoka ściana lasów poddębieckich odpowiada stentorowym echem. To pewnie pierwsze ruszyły zające i ktoś zapomniał o lakonicznym gospodarza: „Pierwszy strzał nie do zająca...”. Ale momentalnie wszystko we mnie się skupia, mam nieprzemoloną pewność że za chwilę coś będzie się działo. I dzieje się w kolejności takiej jakbym już kiedyś to przeżywał, z całą wyrazistością, czuję uśmiech jaki mam na twarzy i działam tak mechanicznie jakbym sam siebie kiedyś podpatrywał w takiej samej sytuacji. Przez gęstwinę obsypanych śniegiem świerków przedziera się coś po-

śpiesznie, dzieje się to w ułamkach sekundy i na chwilę widzę na dwadzieścia kroków szare cielsko dzika w susie nad rowem leśnym, który tworzy jedyną otwartą lukę przede mną.

Ale dzieje się to zbyt szybko i nie reaguję chociaż przebiega na dwadzieścia pięć kroków ode mnie. Czuję co teraz nastąpi. Szedł skośnie do linii przesieki i za chwilę wypadnie na drogę! Czekam na ten moment, starając się opanować z kolbą przy policzku. Jest! Sekundę prowadzę go i ściągam język spustowy. Huk wstrząsa powietrzem ostro i sucho. Zwierzę przekopuje się w galopie przez śnieg, zadziwiająca jest zwinność i akuratność jego ruchów. Dzieje się to już na znaczniejszej odległości sześćdziesięciu, siedemdziesięciu kroków i ta odległość piorunująco szybko się zwiększa. Wyrzucam łuskę z repeteria i składam się znowu. Dygocę z emocji i dzikiej radości. Puszczam jeszcze jedną kulę za szarą sylwetką, śmigającą między drzewami i kiedy repetyję znowu, nie ma nic.

Za chwilę, w ciszy nastajej po tych paru strzałach, wszystko jakby ze wstrzymanym oddechem, nadchodzi pan Ł. Patrzy pytająco na mnie i od razu wszystko rozumie. Potem objaśnia mi co dzieło się u niego. Odyniec wyszedł na skośny promyk na jego stanowisku, wykonał w tył zwrot i wtedy dopiero wypadło mu strzelać. Słyszał moje strzały i nieomylnym słuchem starego bywalca kniei wiedział, że nic ważnego nie przynoszą. Idziemy na ślad. Po killkunastu krokach pierwsze kropelki krwi rozpylone na śniegu. Świeże i jaskrawoczerwone. Obaj mamy cicho pretensje do tego kto to spowodował. Ślad kul po śniegu! Paweł odchodzi trochę dalej i mówi: „Ooo kula!” Widać rysę smagnięcia po śniegu rozpalonego stożka pocisku. Skrupulatne badania nic nam jednak nie mówią.

Obchodzimy z daleka i ostrożnie ostatni miot. Przechodzi paru ludzi nagonki milcząco i nie ma nic, dosłownie nic. A mnie niebo pali się nad głową i śmieję się w duchu. Dzisiaj rano, wychodząc do sań, wywołałem Pannę z jej pokoju i nagle pochyliwszy się objąłem ręką jej kolano, w myśl przesądu myśliwskiego o kolanie dziewczynskim przynoszącym szczęście. Panna stała przez chwilę zdumiona, a potem z krzykiem cofnęła się do pokoju. Śmiałem się z tego zdarzenia i gratulowałem sobie pomysłu i przedsiębiorczości, która mnie samego zadziwiła i trochę byłem niespokojny o reakcję Panny.

Teraz było ważne jak przedstawi się dalszy ślad, który nieomylnie poszedł. O jest! W głębokim śniegu widać galop wytężony i ślad krwi jeszcze żywej i dużo. Ale idzie do bliskiej granicy i tam ginie. Stop! Dalej święta własność cudza. Patrzymy

w nieznanym krajobrazie i bardziej egzotyczny wydaje mi się z uchodzącym węć postrzelonym dzikiem.

Wracamy do domu. Pan Ł. przywdziewa smoking, staromodny i śmieszny i jedzie do sąsiadek, kilku sióstr, starych panien, prosić o pozwolenie podjęcia na ich terytorium postrzelonego zwierza. Ja zapomniałem o Pannie, obchodzę strzelby pozawijane w dery i potniejące po mrozie, przed czyszczeniem. Czekam jutra. Teraz jest już ciemno i pokojówki zapalają kolejno lampy w pokojach. W moim podnieceniu nikt mi nie przeszkadza. Panna także. Ma wyrobiony naturalny szacunek dla wyłączności spraw męskich, nie zastanawia się nad nimi i afirmuje w pewnym stopniu bezmyślnie. Znowu ja mam pewną satysfakcję że te sprawy męskie oddzielają mnie od niej i stwarzają mi inny, niezależny teren. Poza tym jestem w poczuciu swej męskości, chociaż dzieje się to tylko przez ułatwioną sytuację człowieka korzystającego z dobrodziejstw cywilizacji, ogrzanego ciepłym mieszkaniem, regularnym posiłkiem, zapewniającą mi w ten dzień mrozu odpowiednią ilość kalorii, cywilizację dającą mi w rękę precyzyjną, gwintowaną, broń, szybko powtarzalną, wysyłającą ekspansywne pociski, które rwą arterie i druzgocą tkankę kostną zwierza.



Następnego dnia pan Ł. jest niespodziewanie zajęty i ja sam, w towarzystwie Pawła jadę do poddębieckich lasów. Panna jest już zniecierpliwiona i zaniepokojona o swój stan posiadania. Nie daje mi tego słowami poznać, ale czuję jej dezaprobatę. Dzisiaj nie dotknąłbym już jej kolana, chociaż ten gest wczoraj, po powrocie, zjednał mi jej śmiejący się błysk oczu.

Ale się wyrwywam i od razu wpadamy w samo słońce, takie jakie może tylko być wspaniałe słońce krótkiego, zimowego dnia, kiedy jest prawie dwadzieścia stopni mrozu. Jedziemy niskimi sałmami naprzód przez wieś, wśród rozrzuconych chałup, rozrzuconych i pochowanych w zaspach domów, z wysoko sterczącymi miotłami drzew i zabawnymi figurkami dzieci w zimowym okutaniu. Potem jest pole, poranione miedzami i skibami i czerniejące czarnymi łatami wywianego śniegu. Porzucamy wreszcie drogę i zjeżdżamy ku ścianie lasów poddębieckich gdzie ma być gajówka.

Dom gajowego stał kiedyś na skraju samego lasu, ale teraz między nim a lasem jest obszerna pustać poręby. Dom stoi teraz na wydmuchowisku i wśród przewianych śniegiem ogrodzeń. Kiedy tam wchodzimy uderza w twarz gorąco wnętrza izby i zaduch

biedy, dzieci i jakiegoś żywego dobytku trzymanego w izbie. Gajowy poddębicki jest młody i przystojny. Wciągał właśnie buty, był uprzedzony o naszym przybyciu i jego celach. Jego żona, także młoda kobieta, trzyma na ręku kapryszące niemowlę, idzie od niej zapach mleka, dwoje innych dzieci, prawie nagich siedzących na łóżku, przerywa swe zabawy i otwiera na nas oczy okrągłe ze zdumienia i ciekawości. Są małe, tak że nie wiele jeszcze wrażeń miały w życiu, i nasze zjawienie się na tej pustaci jest dla nich piorunującym fenomenem. Ich ciekawość krępuje mnie, zawsze krępuje mnie kiedy wobec dzieci mam reprezentować dorosłe społeczeństwo. Izba jest bielona widać kilkakrotnie, w miejscach które jej biel najbardziej narażały na szwank. Wisi kilka jaskrawych obrazów religijnych, ordynarne jarmarczne litografie, za jednym zatknięta jest palma wielkanocna w papierowym przybraniu popstrzonym przez letnie muchy. Jeszcze jakieś fotografie, jakieś grupy rodzinne czy wspomnienia ze służby wojskowej. Na stole znajduje się źle utrzymana dubeltówka strażnika i resztki śniadania, które do bukietu woni tego mieszkania domieszały swój mdlący zapach.

Gajowy jest grzeczny i jakby trochę drwiący, jego żona jest trochę zażenowana nieporządkiem domu, ale niebardzo. Mój Paweł odprawia przepisane dobrym tonem i obyczajem banalne rozmowy na tematy zawodowe i ostatnich nikłych zdarzeń dziejących się w najbliższym promieniu trzydziestu kilometrów, wreszcie zabieramy się. Dopiero sadowiąc się na sanie zaczepiamy o właściwy przedmiot i cel naszego tu przybycia, tamci zaczynają operować nazwami i topografią nieznanego mi terenu, siedzę jak na tureckim kazaniu. W każdym razie kopiemy się w nieomylnym kierunku. Konie idą dobrze, sanie zapadnięte w śniegu po szczeble przykrycia suną gładko i śnieg rozpylony przez kopyta wznosi się tęczową kurzawą w promieniach słońca.

Potem oni przechodzą na obce mi tematy, a ja zastanawiam się nad życiem tego młodego człowieka, życiem, w które przed chwilą zajaśniałem. Musi to być coś o podkładzie bardzo fizycznym. Zagubieni na skrajach lasów, sami ze swoją miłością, robiący dzieci. Nad nimi jedynie czasza nieba zmienia się i ubiera w tła rozmaite dni i noce. Usiłuję wyobrazić sobie i Pannę w takim życiu, oderwanym, wypranym zupełnie z jakichkolwiek innych pożądań, pretensji, marzeń i zawodów. Czy byłoby ono tylko jednym dniem, czy całą wiecznością?

Przywodzi mi to na myśl gdzieś, kiedyś czytaną nowelę Maupassanta, o córce pułkownika kawalerii, która ucieka z podoficerem. Mieszkają na Korsyce i autor słyszy jej opowieść kiedy ona jest już staruszką sprościałą i zniszczoną przez warunki i

czas, zgłupiała i zordynarniała u boku roztyłego męża, który teraz jest tylko resztką człowieka w przeobrażeniu roślinnego życia i w czasie, w prymitywie warunków. Ale zapytana o istotę rzeczy zbiera resztki zagłuszonej inteligencji żeby móc powiedzieć zapatrzona wstecz: „Byłam niezmiernie szczęśliwa...”. To jest literatura, ale myślę nad tym, nie brak mi wyobraźni, żeby sobie wyobrazić nas, z Panną, oderwanych, samych, w prostocie, szarzyźnie i takim sprościeniu, gdzie by szczęście miłości było naprawdę. Siedzę tak i myślę tak długo aż obruszam się sam na siebie za ten rodzaj egzaltacji.



Droga jest drogą leśną, kręci się załamuje niespodziewanie, lasy tu są, mimo swych obszarów, w trakcie gorliwej, w miarę dozwolonych granic eksploatacji i nie ma śladów życia, nie to co w lasach pana Ł., który gospodaruje łowiecko i z zamiłowaniem. Zwierzyna przychodzi tu w poszukiwaniu warunków, albo jak w tym wypadku z farbą. Nasza droga naprowadza nas w końcu na granicę i w pewnym miejscu wszyscy trzej równocześnie widzimy ślad przeskakujący drogę. Zeskakujemy ze snów.

Słońce jest kosmate od promieni na niebie głęboko błękitnym. Nie czujemy kłuszącego mrozu. Odbywamy naradę. W jej wyniku gajowy poddębicki ma zająć w najbliższym kwartale drogę a ja z Pawłem będziemy iść po śladzie. Konie odchodzą żeby czekać w wiadomym miejscu. Zaczyna się pościg. Idę przodem, z repeterem w zmarzniętych rękawiczkach, za mną w przyzwoitej odległości idzie Paweł. Wpadamy w nieprzebyte haszcze porastające stare poręby. Ślad jest wczorajszy i krwawi. Idę naprzód ze słabą świadomością tego, że idę za rannym dziekiem co podobno nie jest najpewniejszą asekuracją życia. Nie mam nawet świadomości jakiejś szczególnej odwagi, myślę że nie należę do ludzi odważnych w szczególnie doraźnym znaczeniu, raczej dzieje się to u mnie wtedy w jakimś transie, za to sytuacje przypuszczeń, przywidowań i nerwów stwarzają u mnie stany wahania, które wywołują rumieniec.

W każdym razie teraz, pchając się przez krzaczowiska i gałęzie na pół oślepy od sypiącego się zewsząd potrącanego śniegu i pole widzenia mając w rzadkich chwilach swobodniejszych na pięć kroków zaledwie, nie tyle nęka mnie myśl natrafienia na ranego i zagniewanego odyńca ile nieprzyjemna obecność Pawła z tyłu za plecami z napiętą iglicą starego, pordzewiałego, wojskowego karabinu, który jest jego służbowym wyposażeniem.

Przechodzimy w ten sposób jeden i drugi kwartał, po każ-

dym wyjściu na linię wytrzepując góry śniegu zza kołnierza. Ślad niknie i pokazuje się. Promienie słońca sączą się przez wzór z gałęzi osypanych śniegiem. Gorączka pościgu przejmuję mnie, częściowo udziela się mym towarzyszom.

Wreszcie napotykam się w zadętym śniegiem krzaczowisku na miejsce gdzie leżał przed chwilą. Spędził tu noc, i kałuża krwi oraz wygniecione w śniegu wgłębienie znaczą miejsce jego złego spoczynku. Ruszyło go przed chwilą nasze zbliżanie się. Przed chwilą tu był i ważył szanse ucieczki lub ataku. Kiedy byłem przed pół minutą o dwadzieścia kroków z rękami ściskającymi broń, wtedy tak nieużyteczną i niezdarną w tej gęstwinie i oślepieniu, gotował się może do nagłego wypadu swego trzystokilowego cielska, swej inteligencji instynktu i decyzji rozstrzygnięcia sytuacji obcej dlań i wstrętnej, jak tylko wstrętna może być śmierć w naturze.

Potem podniósł się na nogi i poszedł na północowschód, szlakiem najbardziej dziczym i wybranym ze wszystkich innych nieomylnie i nonszalancko. Ślad znaczyło jeszcze parę kropli krwi, a potem już nic. Zostaliśmy sami, bez porozumienia wiedzieliśmy, że na nic wszystko, że tyle widzieliśmy.

Ale dzień był wspaniały i wracałem jak upity. Dzieliłem się tym co miałem w kieszeni brzęczącego z mymi perypatetykami, i zadowoleni ze siebie pożegnaliśmy się na skraju pól.

Teraz dopiero zobaczyłem że krótki, zimowy dzień kończy się.

BIAŁY MAZUR

Naprzód trzeba się całkiem zagubić, zapomnieć że się jest sobą, zapomnieć o ambicji dnia i ambicji miesiąca i ambicji roku. Zabawić się w jakiegoś jogę indyjskiego, kiedy siedzi nogi skrzyżowawszy i ma płaskie stopy pod udami i płaską pierś której westchnienie prawie że nie podnosi, a oczy w słupek, a włos matowy i przysypany popiołem pokuty, a w bezradnych dłoniach otwartych ku górze dźwiga to nic, którego się pozbył i bez którego pozostaje.

Naprzód więc trzeba się pozbyć wszystkiego, wyrzucić białka oczu do wnętrza, ażeby nie widzieć ani mrówek pośpiesznie i drobniutko i chyżo mijających się w swej krętej dróźnie-mijance, ani nie widzieć na dziesięć kroków gdzie bliźni zabija bliźniego i wbija mu powoli, jak na filmie zwolnionym, nóż tuż powyżej obojczyka i zaraz bluźnie krew i czarnym strumieniem rzygnie i wypchnie ostrze noża, ani nie widzieć dalej na milę gdzie drażą dół ażeby dobrać glinę, chłop o grzbiecie mokrym od potu i nogawki od spodni ma podkasane i stoi na dnie dołu na śliskiej desce i nabiera łopatą glinę i podaje ją wyżej, gdzie na oślizgłej desce stoi drugi i podawaną glinę nabiera łopatą i podaje ją na kondygnację wyżej, a na górze strycharze mieszają glinę stopami, jakby wytłaczali wino, i formują ją i strychują w cegły, które wychodzą potem z pieców podobnych do grobowców, rumiane i sypiące się cynobrowym pyłem ceglany i potem podają je murarzom, a murarze jak masonicy bracia mają fartuchy u bioder i kielnie i trójkąty i piony i wasserwagi i kładą je na mokrej, piaskowej wapiennej zaprawie i postukują je młotkami i kładą je „głową” albo „wozem” albo „kowadłem” i rośnie mur i staje ścianą i wyżej i wspina się i staje urwiskiem, naroża ostre i bezlitosne, piony żelazne, rośnie suma warstw, odbiega od ziemi, zawisa w

górze, płacze u dołu smołowymi łzami izolacji, wieńczy swe gzymsy przysiadającymi na nich gołębicami, wyrzyna się na niebie konturem, nastawia swą pierś wiatrom, zamieciom, rzuca cień krwawy na ziemię, czarna jest w zachodzie słońca i złota o wschodzie.

Ani nie widzieć na tysiąc mil ani na dwadzieścia tysięcy, kiedy rozwiną przed nami rulony map, kiedy wysypią przed nas mak statystyk, indeksy diabelskie, kiedy ukażą nam widma spektroskopu i babilońskie kartoteki i wyrują nam to w kamieniu i utwardzą na taśmie filmowej i otworzą ludzkie czaszki ażeby pokazać fałdy szarej masy mózgu, kiedy powiedzą nam słowo i inne słowo i tysiąc innych słów i dwieście tysięcy innych słów i powiedzą że tak już było, że to jest teraz sekwensem tego co już było, że przeszłość wżera się w terażniejszość, że tu jest okrąg a tu jest granica, że to jest dobre a to jest złe, że to jest kula a to jest pseudokula, to jest ojciec a to jest syn, to jest „Przybądź Duchu Święty, Oświeć serca i umysły nasze...”, a to jest „łączę wyrazy poważania i szacunku”, a to jest „potrzebny od zaraz zdolny kamizelkarz. Warunki według umowy”, a to jest „dokolusineczka, moja kochaneczka!”.

Jak popatrzeć, to nie widzieć wyuczzonego kształtu, tak wygłodzonego w swej znajomości, codzienności, tak wyslizganego od patrzenia jak stopy Chrystusa w kruchcie kościelnej, wyslizgane dotknięciami, pocałunkami i westchnieniami pobożnych. Nie widzieć i nie być oswojonym, popatrzeć inaczej, zmusić się do tego — ciężko to — ale się zmusić, jak potrafili się przymusić Impresjoniści, co tak chwalebnie biorą nas za rękę i wyprowadzają w „plener” i pokazują że cień, że sito liści, że palisada łądyg, że łuska na wodzie kiedy wiatr dmie po jej powierzchni, że pokraczne konary drzew, że tu jakaś plama, że tam jakaś plama i pokazali a wziął ich przedtem za rękę jakiś chiński, albo perski malowidełkarz, jako że nic nie ma z niczego, z samego siebie, i pokazał. Ale uważajmy ażeby nie wpadać w tę chińszczyznę, bośmy mieli odgradzić się od wszystkiego. No to dalej uważajmy i odgradźmy się i od znajomego dotknięcia kołków w płocie kiedy przebieramy się najbłotnistszą uliczną wsi, kiedy miesi się środkiem błoto i kałabanie i w nich topiel niebieska albo szaruga, a my popod zwisające przez płot gałęzie wiśniowe i trzymamy się rozchwierutanego płotu krzywej drogi wiejskiej, kiedy okna u zagaconych ścian mają łach, gałgan zwinięty w kulę i wepchnięty w miejsce wybitej szybki, a jesteśmy tak zeterminowani i zimni w swoim postanowieniu że wobec tego stać nas na takie porównanie: Właśnie kałuża, topiel wpoprzek drogi wiejskiej, od płotu z jednej strony do drugiej, z wysterzającymi

z jej zasnutej mętem i źdźbłami słomy powierzchni garbami kolein, szczerbatymi graniami błota i kiedy wychwytyję kołki płotu, ażeby przebrać się na drugą stronę to co mi się wydaje? że nie ma skali i że to jest magellańska droga, Cape Horn i Tierra del Fuego. I niech mi to będzie wolno. Niech mi będzie wolno tak samo wybierać się po paczkę tureckiego średniego do żydowskiego sklepiku, gdzie pachnie właśnie landrynkami, brudem żydowskim, cykorią Francka i Syna, bułkami czworakami i „szwarcem” i skórą batogów tak jak jakiemuś psiakrewskiemu Magalhaesowi albo Kapitanowi Cookowi można było przebierać się po korzenie Kathaju, a na fantazję także sobie mogę pozwolić, kiedy wolno było tamtędy przebierać się Starożytnemu Flisowi Coleridgea, żeby nawet miał ściągnąć na swą głowę los ustrzelając żaglo-skrzydłego albatrosa, a Cape Horn, piramidy jego urwisk mają swe stopy po kostki w szarej, stalowej, brudnopopielatej, złej, fali Oceanu, i poprzez mgły morskie, zacinający lodem, igłami lodowymi, zadymą śnieżną, przemarzający do kości wicher dujawica bezładnego uroczyska i poprzez te welony i krepy, kiedy trzymam się oblodzonych sztang, w rozpaczny opuszczenia i beznadziei, poprzez skiby wodne oceanu patrzę ku twardym, niedostępnym, upartym, samolubnym skałom Cape Hornu.

Potem wracam do domu, tym razem drogą, a właściwie nie drogą a przejściami poza chłopskimi obejściami i stodołami, dobrze udeptanymi ścieżkami, kędy wszyscy obchodzą i omijają te drogowe roztopy. Trzeba ostrożnie omijać odchody ludzkie, bo tam także wychodzą wsiowi na załatwienie najprymitywniejszych potrzeb, tam spotykają się o zmroku, albo w ciemnościach wieczornych kochankowie i tamtędy przemyka się złodziej z ćwiercią owsa wyniesioną i podaną mu ze spichlerza przez fornała, tamtędy wycierając żegadło w połę kozuchą, żegadło zrobione z kosy, ucieka na oślep morderca wiejski, tamtędy bryka zagubione ciele, tymi pozachałupnymi drogami idą rzędami dziewczyny wiejskie w ich sztywnych, krótkich spódnicach i chustkach przewiązanych na krzyż, kiedy idą do cerkwi, tamtędy w chudym trenczkocie i utaplanych półbucikach przeprowadzany jest emisariusz, delegat UNR z miasta, kiedy idzie na spotkanie umówione i tamtędy dwu policjantów, „szandarów” ze szpikulcem bagneta na przewieszonym na rzemieniu karabinku i wrywa się im ze smyczy wilczur tresowany, tamtędy idzie Paweł i kuszyka po „chłopczyków” do nagonki i pachciarza Judka utaplana do swoich głodnych i mnogich dzieci, tamtędy kocur przebiera się na rżyska za polnymi myszami, tam straszy o północy, marznie gruda w osędzie od szronu poranki, tam gromadzą się wrony, tam najsmutniej odbija się słońce w kałużach pod ciężkimi worami

chmur, Boże, jak straszne i bliskie i dalekie jest to corso, promenada, *la salle des pas perdus* na wsi, w powiecie rawskim, z jednej strony pola, miedze i rowy polne i ondulacja płaskich wzgórz i podmokłe łąki biegnące ku wodzie z drugiej czarne od wilgoci strzechy dachów, grusze drżące listkami jak osiczyny, buki przy cerkwi, gnojówki podwórz i droga biegnąca pośród pól i wygonów, z kałużami i przeglądającymi się w ich oceanach błotnistymi wybojami jak skały Cape Horn.

Potem wysypuję na gazetę kopiec siana tabacznego z paczki tureckiego średniego, mosiężna „maszynka” do robienia papierosów, drewniany tłoczek i powoli nadziewam glizy z kremowej bibułki, układam systematycznie pryzmę z papierosów obcinając porządnie ich rozczapierzone głowy. Zapalam jednego papierosa ponad szkiełkiem lampy i dziwny jest ten pierwszy sztach, przyswędzony ponad szkiełkiem i jak pociągnąć i zaciągnąć się, dym zakotłuje się w pufy wokoło szkiełka i potem rozciągnie się w pokoju w długie smugi i welony. I jak wstrzymać oddech i nie zamąć go to niesie się tędy i tędy i przeciąga w lubieżne i leniwe welony i goni za nim mój wzrok dopóki nie zaskwierczy na końcu tektura gilzy i nie przygniotę go w glazurowanej, trywialnej popielniczce, którą ofiarowuje mi na zakończenie mych marzeń narkotycznych mój świat banalny, który jest dookoła mnie.

Trzeszczą brzozowe polana w piecu, przez szczeliny drzwiczek lanych z żelaza widać niespokojny płomień, i wiele razy szpary pomiędzy nadłupanymi otynkowaniami pieca zalepiano gliną i pobielano i znowu się to tam poodpryskiwało, ciepło sieje się i promieniuje od pieca, pęknie czasem coś w drzewie piecowym i puknie mebel w pokoju. Czarne okno wychodzi na ogród zimowy, zgaduję zaglądające w nie drzewo, obce cudzoziemskie drzewo, które rośnie przed mym oknem, cudzoziemskie i niedyskretne, jak podróżny z zamorskich krajów obserwujący sobie krytycznie jak tu żyją te hiperboreje; długie, chude pnie i teraz nawet w zimie wiszą z ich gałęzi jakieś strąki jak z peruki zamorskiego diabła.

Mój pokój jest szkolnym pokojem, a że teraz wakacje świąteczne więc mi tu wstawiono łóżko, nie naruszając zresztą chirońskiej atmosfery wnętrza. Wzdłuż ściany oszklone szafy biblioteczne, zamknięte na klucz (tak samo jak według starego, jeszcze szesnastowiecznego zwyczaju cukiernica jest zamykana na klucz, że to wtedy był kanar tak wyszukany i drogi a teraz to przecież największa jeszcze tanizna). Więc zamknięte na klucz tyle że przez szkło mogę widzieć grzbiety książek, więc *Bibliothèque Rose* z historyjkami dla panienek, a jakże, Verne'go *Przygody na okręcie Chancellor* i *Wśród dzikich plemion Bu-*

chary, Daudeta *Monsieur le sous-préfet aux champs*, Guy de Maupassanta *Contes choisis*, Anatola France'a *L'étui de nacre*, Euckena *Historia Filozofii*, Axel Munthe *Księga z San Michele*, Wassermana *Sprawa Mauritiusa*, Mały Larousse, *Teka Malarstwa Polskiego*, *Petit Illustration*, *Le Temps*, *Listy Panny de L'Espinasse* i *Żywoć Mikołaja Srebrempisanego*, Spausty *Na tropach*, i co by tam nie było jeszcze, groch z kapustą, ładnie poprawiane w papier pakunkowy i atramentem powypisywane tytuły, autorzy i numery, aż tu mnie dogania nieśpiesznym krokiem, gąsienica, nieskorym czołgiem, larwa biblo-książko-papiero-bibulasta, kęsając, i żując i ślini się jej pysk od miazgi papierowej, trą zuchwy na sieczkę i trociny papierowej makulatury, tnie się i wwierca przez mój mózg szeleszczący papierowy świat, który rozszargał się przede mną, i zaplątał i zatłamsił ten inny świat aż zidiociałem od tego nie wiedząc w którym naprawdę świecie się znajduję, co jest prawdziwsze, czy *at pulchritudinem tres requiruntur: integrites consonantia, claritas, czy Proxima Centauri*, czy przepis na galaretkę owocową albo barszcz z rurą, czy regulamin musztry formalnej piechoty, czy architektura kościoła św. Prokopa w Strzelnie, pragmatyka służbowa dla nauczycieli szkół powszechnych, manifest formistów, cennik maksymalny, wszystko to co chce uporządkować ten świat, ponazywać i zebrać w harmonijną całość. Dlaczego ci właśnie co własnymi rękami, urabiają odpowiedzialnie jedną harmonijną całość i biorą za nią odpowiedzialność, mam na myśli zawody, rękodzieła, solidność, celowość szewskiej roboty, kiedy szewczyzna ciągnie zębami dratwę klepie skórę i potem mu wychodzi właśnie bardzo skończony kawałek roboty, albo cieśla, albo bednarz, parzy te klepki i pasuje obręcze, stolarz klei swoje schodzące się na włos winkle i cynki, dlaczego właśnie ci, chyba zmęczeni tą akuratnością i celnością i okrągłością jaka im wychodzi z roboty, najbardziej skłonni są potem do anarchii, stąd ten anarchiczny szewski poniedziałek, kiedy upił się po niedzieli jak szewc, dlatego najzręczniejszymi dynamitardami i ciskaczami bomb, pocziwych staroświeckich bomb zeszłego stulecia, jak to się mówi, to byli właśnie zegarmistrze.

Więc skądżeż tu znowu te anarchiczne dygresje, ten nagły wstręt do porządku i harmonii, czyżbyśmy nie pokrywali czegoś niedopowiedzianego, wzywając na pomoc duchy anarchistów i nieposediujących burzycieli. Przecież tu w tym pokoju, jak Herakles w ramionach Maruszki chciałem pozostać, z heraklesowskich prac i heroików wybrawszy wstęp, uważając że nawet gdyby tylko to miało pozostać to lepsze aniżeli tezeuszowska droga heroiki na mniejszą, możliwszą ale mniejszą, kameralną

skale. Tutaj więc w ramionach Maruszki zapomniałem o napiętronym świecie, jakby go nie było, jakby ten świat był tylko deseniem tapety dzieciennego pokoju, kiedy dzieciennymi oczami doszukuje się w nich zabawy, kształtu, strachu, wszystko jest wolno w ścianach dzieciennego pokoju, tutaj byliśmy my a tam był świat wybudowany, naopowiadany, a nawet oczekujące „prace” były fikcją, z której można było się śmiać albo grymasić albo mówić sobie że to inne aniżeli białe, okrągłe ramiona Omfali, czad jej oddechu.

To tu było inaczej wtedy, rozmaiciej, mniej prawdopodobnie a teraz jak czas przeminął, jak czas przegryzł jeden za drugim węzeł, kiedy czas wyrównał kontrasty to staję w bolesnym zdumieniu, że tak być może, czy tak być może, jak skazaniec któremu przy werblach odczytują sentencję wyroku i dziwi się że tak być może, że tak być może...

Dom jest odbudowany po pożarze wojennym, tamtej wojny, dozorował tego architekt z Zamościa, pijak, ręce to mu się o tak! trzęsły w jakimś tam stadium już choroby Korsakowa, czy delirium, że ołówka nie mógł w palcach utrzymać, ale attyka i pedymment i kolumny ganku bardzo galancie i świetnie trzymały się kupy, ale za to wewnątrz było łatanie, co tu mówić, to nie czasy na magnackie zachcianki, więc stolarz wioskowy i zdun wiórowali i lepili po swojemu i wyszło to właśnie bardzo surowe i swoje i dlatego podłoga goła i surowa i sękata i do tych sęków mi właśnie przyszło. Kiedy w nie patrzę w ich znajome oka agatowe to chciałbym ich nauczyć się na pamięć. Jak kiedyś szedłem za trumną drogą to tak patrzyłem właśnie i uczyłem się na pamięć mory słoików i sęków trumiennych, ażeby zostały ze mną na zawsze, kiedy już tam mają próchnieć i gnić i szernieć, to niech tu ze mną zostaną, niech się odbiją na mej duszy kamieniem, jak sęki i słoje oszalowania robót betonowych i niech ze mną zostaną na wieki.

Więc ręce w kieszeniach od spodni i chodzę i uczę się sęków podłogi na pamięć, niech je mam w duszy, niech nie przepadnie, chodzę, mechanicznie sięgam po papierosa i odpalam go ponad szkiełkiem lampy i dziwnie smakuje pierwsze sztachnięcie się, niezapomnianie i jestem sam, podpatrywany przez czarne okno przez dziwaczne, strączaste, cudzoziemskie drzewo.

Przed samym wyjazdem na polowanie odbyło się losowanie stanowisk, więc w jednym kapeluszu były kartki z nazwiskami, a w drugim numery. Potem kolejno zajeżdżały przed ganek fornalskie wozy, konie fornalskie wypasione na braże gorzelnianej brzuchate od tej bragi dymiły w chłodzie wczesnego poranka, wozy to były zwykłe fornalskie, tyle że wyścielone słomą i miały

zdzętą jedną drabinę, tak że siadało po dwu zwieszając nogi. Było to bardzo prymitywnie, improwizowanie i miało fantazję w tym improwizowaniu.

W powietrzu śmierdziało od zimy, ale śmierdziało jesienne od butwiejących liści, od badyli, śliskich od mokrości, od dymu chałup chłopskich, śmierdziało od siniutkiej mgielki, od powróseł słomianych, od grochowin ogacających chaty, od buraków dołowanych za oborą, od krowiego nawozu, od koksu w kuźni, od wiórów stelmacha, od kurzych odchodów dolatujących od kurników, od mleka wirowanego w mleczarni, od psów które obwąchiwały końskie pęciny, od rzysk na polach, od skóry pokrowców i futerałów na strzelby, od grzybni toczonej się w mchu i trawach parku, od kisnących w ciepłe stogów słomy po wymłóceniu, od żydowskiego, wioskowego sklepiku, tanie landrynki i tytoń, od pazuch fornalskich i kiecek dziewczyn folwarcznych i perfum tzw. skórzanych i „męskich” pań domu, od wody kolońskiej świeżo ogolonych panów, od czyraków w pachwinie karbowego Hilka, od gratów na strychu i spirytusu lamp palnikowych.

Dzień jest zimowy, ale lekki i chłodny. Po pierwszym śniegu, który spadł przed Bożym Narodzeniem nie zostało ani śladu i czeka się na ponowę. A teraz jest nieokreślenie ani to zima, ni to jesień, wydaje się że czas stanął i zawahał się i szalona uciecha jest z tego zatrzymania się czasu. Niebo jest perłowe nad głową, zaciągnięte chmurami koloru lawendy i czuje się jak spoprzez nich przebija niebieski błękit. Ale że to dzień zimowy więc słońce gdzieś nisko, więc nie ma światła za wiele, ale na tyle ażeby było rześko i wesoło. Pewnie dodało do tego wypicie kieliszka wódki do śniadania, a wódka nalana z ordynarnej karkafki i dziwnie smakuje po kawie i chlebie z masłem, że tam do tego przegryzło się trochę poprzerastałą tłuszczem szynką.

Jak jest blisko do ziemi od ciepłego komfortu domu, kiedy wolno obracają się obręcze fornalskiego wozu, mieszają się w solidnym gęstym błocie drogi i odrywają się od nich czasami ostróżyny błota i tam gdzie kopyta koni rozciąpią kałużę pryśnie kropelkami błotnistymi na loden mojego płaszcza. Siedzi się na desce, dnie wozu, nogi majątają sobie parę cali nad ziemią, bo jedna drabina zdzjeta, więc siedzi się bokiem do kierunku jazdy. Fornal jest przepasany pasem po kurtce z materiału już tak wytartego i wyszuranego, że trudno odgadnąć jakiego był koloru — wytarty do białych nici osnowy. Przyklął na przodzie wozu i w czerwonych od wiatru rękach trzyma guzowate posttronki lejcy i poprzez niego widać zady kłaczy fornalskich kiedy zamiatają podciętymi ogonami pokazując ich końskie genitalia

dziwne i z gładkiej, jak wyprawionej skóry. Odrywają się kopyta od mięsa drogi, w wymuszonym kłusie i za chwilę przechodzą w stępa, a wóz przychyła się w wyboistej kałuży drogi.

Potem jest piasek, ciężki piasek, ciężki od wilgoci. Po jednej stronie sterczy kilka badyli słonecznikowych, a dalej zorane, a dalej podmokła łączka, chłopskie poletka długie, wyciągnięte. Na niektórych jak duże kretowiska kupy nawozu. Dalej, dalej smuga poddębickich lasów.

Teraz już są drzewa i las. Pokazuje się od razu jak jesteśmy inni i nie z tego samego wymiaru, niby się ocieramy o ten las i o tę dziczyznę, nibyśmy poznali wszystkie ścieżki i wszystkie drogi, ale to nie to samo. Teraz kiedy wysadawiamy się z wozów i pochodzimy tędy i owędy, jesteśmy jakby z innego materiału, naszymi na tło lasu. Czasem znowu wydaje mi się że nasza obecność tutaj jest wulgarna i nieprzyzwoita i wstrętna, jak wszy na materiale. A wydawałoby się że tak łatwo przyszlusować do tego, że wystarczy tylko zrozumieć. Co zrozumieć? Że pień pochyły, że zeszłoroczne liście trzymające się kurczowo guzłowatych gałęzi, kiedy pierwszy śnieg nie dał im jeszcze rady i złote i czerwone, kręcą się i zwijają jak spalony i kurczowo powykręcany węgielek papieru. Wydawałoby się że słyszy się westchnienie otwartej kałuży leśnej, zakisłej jakąś tą czarną leśną wodą, a woda ta inna aniżeli otwartych przestrzeni, aniżeli woda przy której leży życie ludzkie. Wydawałoby się że popatrzeć, podpatrzeć wzdłuż poszycia leśnego to tak jakby popatrzeć po portierze własnego mieszkania, a to nieprawda. Nie udawaj że rozumiesz to, nie udawaj ornitologa kiedy małe ptaszki leśne, podskakujące pośród drucianych, patykawatych gałązek, cicho i milcząco, milcząco bo zażenowane wulgarnością naszego pojawienia się pośród tego leśnego pokoju, to nie udawaj ornitologa i miłośnika natury od siedmiu boleści bo co tam wykombinujesz to tylko to co sobie podkolorowałeś i podpowiedziałeś kiedy jeszcze siedziałeś pośród znajomego smrodu i ciepłka i gniciuchy kiedy żyjesz pośród ludzi.

Ale ładnie jest tak jak jest i jak trochę dalej, to wysokie suche trawy leśne i zieleni się czarno mały świerczek leśny a dalej ich cała kupa, a dalej jest fiołkowo od mgiełki i złoto pomarańczowo od jakiejś przesieki i palisada drzew i tchnie właśnie bardzo ładnie dzikością i lasem.

To tak sobie właśnie gramolimy się z naszych wozów, wielcy i mali, chudzi i tłuści, tu młody Turzański prosty jak świeca, ma świetną tweedową kurtkę z szlufkami na naboje na wierzchu rękawa i w nie powtykane gilzy mosiężne do reperiera, tu pan Grabowski, leśniczy z Wólki, sumiaste wąsy koloru konopia-

nego, jest nadęty i poważny jak przystało na wójta Gminy Wólka, tu elegancki i przystojny pan Romer z Wierzbicy, pan Mororos wysoki i chudy z długą dubeltówką hamerleską, inspektor Nałęski ze straży granicznej. Pan Rafałowicz z Ulwówka, mały i przygarbiony, pan Czajkowski z Przytułowa, ma orli rasowy, ale zaczerwieniony nos, ksiązę Sapieha z Lubiczy i pan Tym, rezydent księdza Wałęskiego z Wólki, dziwny typ, podobno Rosjanin, emigrant, dziwaczna symbioza księdza z prawosławnym, chytrenkim, pan Koziek z Pawęża, młody dublańczyk, ksiądz Wałęski, ale nie będzie polował ale kibicował jak też i Panny.

Jeżeli na otwartym światło było rozproszone to tutaj, wpośród lasu, kiedy nie ma cienia, wszystko jest przetkane i dalsze i bliższe jak deseń materiału. Trudno jest ocenić odległość, bo jak tu, brzoza, biała, łuszcząca się pozioma kora brzozy, karłowate sosenki, sadzone w rządkli, to prawda maleją z perspektywą ale to wydaje się nieważne, solidny, soczysty cień pod drzewami, trą się, ocierają się o siebie żdźbła traw, gdzieś niespodziewanie wyskoczy na tle ciemnej kory drzew zacios siekierą świeży i biały, tam gdzie ścięto gałąź, ale kto, kiedy? Na porębie ładnie poustawiane sągi drzewa, w rozmaitych kierunkach, solidnie pocięte piłą, solidna robota drwali leśnych, obok kupy poziome gałęzi tych drzew porządnicko zebranych i okończonych jak się należy. Powiadają, idziemy na stanowiska pierwszego miotu, powiadają „pierwszy strzał nie do zajęcia”, nagonka już od dawna czeka na granicy pierwszego miotu. Wszystko jest bardzo ładnie, składnie, przewidziane, poszczególne stanowiska wyznaczone zaciosanym kołkiem na którym „lubryką” koślavo przez gajowego wypisany wylosowany numerok strzelca. Mam przed sobą łączkę, widać daleko na wszystkie strony. Pompuję do swego Browninga pod lufę pięć tekturowych ładunków i przesuwam bezpiecznik. Tylko lichy naniósł mi księdza.

Z myślami to jest tak jak ze spiralą. W jednym miejscu, jedynym zahacza od punktu i wywija się i odgina.

Ksiądz jest zasapany i pomidorowy ale szczęśliwy. Innym kibicują Panny a mnie przyszło bawić księdza! O czym tu z nim mówić,omalże nie zacząłem od encykliki ale ksiądz powiada rzeczowo: A dziki tu z ręki karmicie burakami i macie je ponumerowane, co? Cóż to za „macie” myślę a do tego dziki tu przychodzą z Raty Dzieduszyckich, gdzie je właśnie karmią z ręki i numerują.

Przykicał zając i siadł i nastawił uszy. I właśnie daleko zaczęła iść nagonka oszczędnie pohukując i słycać ostre uderzenia kijów po gałęziach poszycia, jak w ksylofonie. Potem nagle odez-

wały się dwa strzały raz po raz. Nasz zajęc poderwał się i leniwie pokiwał w poszycie po naszej lewej stronie. Ksiądz przychylił głowę i powiedział, „to Mormoros i do zajęcia...”. W powietrzu jest szklanie.

I nagle myślę, nachodzi mnie, uklęknąć tu, na mchu, ucałować dłoń księżą, gładzącą z satysfakcją kołnierz fokowy futra, jak łatwo to przyjść może, ale to nie dlatego że łatwo i nie dlatego że ulga, że napiętrzony chaotyczny świat, zatrzyma się u kręgu zarysowanego poświęcaną świecą absolucji, i jak wtedy nawrócić się i nawrócić do kruchty tak? Właśnie na przekór wszystkiemu, właśnie dlatego że tu, że labuś, że nie pasuje to do obojętnej, stęzałej, spizowej natury, niebożej, osobnej, wyniosłej ażeby właśnie zrobić na przekór, na przekór sobie samemu kiedy pomyszę że mały garbaty, zatabaczony Schopenhauer, skąpy, małostkowy jak pedant, kłócający się ze swą gospodynią, kostyczny, a przecież potrafił odgrodzić się od tego wszystkiego sam, inaczej aniżeli wszyscy, więc na przekór pesymizmom, mądrzeniom i zgryzocie, poddać się, no i co? i wejść, wpaść w porządek, nauczony, wyregulowany, a nawet żeby wątpliwości, to przywoływać łaski, przywoływać dary i skruchy, poddać grzbiet pod bicze własnej myśli, wpaść w rytm? czy naprawdę tak, czy więc uklęknąć tu, na zeszlórocznych liściach i śliskich igliwiach, penitent, żalnik, pokutnik, włosiennik, pokajaniec, zacząć się raz jeszcze, czy tak? czy wystarczy? czy wstąpię w boskie strzemię, czy napnę duszę jak łuk w jeden zdrętwiały, krzywy, jedyny kształt łuk, i drżąca z ekstazy cięciwa będzie wysyłać modlitwy w ciemność, czy celne strzały w otchłań która jest aż Bogiem?

A może to się już stało? a może już jest po wszystkim kto nie da wiary temu, przecież nie forma jest ważna, a treść więc intencje to tak jakby to już było... forma, treść, forma treść, a jeżeli forma jest treścią, przecież wszystko koło nas jest formą a treść to tylko stosunek wzajemny pomiędzy formami, a treścią, prawdziwą, prawą treścią będzie wybór formy, tej dobrej właśnie, trafnej a odwracać się od formy złej... A co jeżeli nie możemy oddzielić, jeżeli zachodzą za siebie jak kształt i to co otacza kształt, jak cień i światło, jak pozytyw i negatyw, bo co jeżeli powiemy że słońce rozświeca ciemności to słońce rodzi ciemności, albo też ciemności gromadzą się wokoło, gęstnieją i spośród siebie rodzą światło, gdyby nie było ciemności to by nie było światła, gdyby nie było zła to by nie było dobra, więc już do tego doszło że miamlam stare truizmy...

Naprzeciw pokazują się pomiędzy prętami krzaków postacie naganiaczy, trzymają się po dwu po trzech zamiast rozsypać do-

brze i Paweł mówi im coś tam za to od matery. Oddycham z ulgą i ksiądz szuka sobie zgrabniejszego towarzysza do następnego stanowiska i w drugim miocie jestem sam.

Mam stanowisko naprzeciw gęstej szkółki świerków, pomiędzy którymi to drzewkami jest tak schludnie i czysto wysypane szpilkami jak w salonie. I nagle na parkiecie salonowym wyszedł na mnie lis i popatrzył na mnie swoją trójkątną mordą lisią, mądrze ale był także zaskoczony moją obecnością. Ale ochłonął prędzej aniżeli ja i jak się nie zwinie w miejscu, jak nie zakręci! wyładowałem do niego raz, drugi, krótkie! i jeszcze raz i jeszcze raz i jeszcze i krótkie, aż się igły posypały i poszedł i tyle go widziałem, a może to wszystko mi się przywidziało?

W trzecim miocie towarzyszyła mi Teresa. Powiada do mnie dobra, stara Teresa, Zyziu, na pierwszym stanowisku stałam po prawej i obsypałeś nas śrutami. Teresa, mówię, jak Boga kocham, to niemożliwe, strzelałem do przodu, to niemożliwe i przykro mi, bo dobra, grzeczna Teresa mi nie wierzy, mówię jej powtarzam, było na sztych. Mormoros zabił lisa, wyszedł do niego wlokąc za sobą flaki, to pewnie ten którego tak postrzelałem, aż wstyd.

Ostatni miot to był już na otwartym, ale już zapadał zmrok i kiedy na zakończenie zawołano nas do kotła to już było całkiem ciemnawo. Z przywieszzonego bigosu buchała para, na chłodnym powietrzu i pachniało kapustą uparzoną pod pokrywą. Piliśmy do siebie nawzajem wódkę, od razu zakręca w głowie aż łzy staną w oczach. Mali chłopcy z nagonki, poprzepasywani po ojcowskich kurtkach i w zadużych buciarach ucierali siarczyście nosy rękawem i stali tłumkiem patrząc jak to „panowie” piją wódkę. Co niektórzy schylał się po wystrzelone, kolorowe gilzy nabojów do dubeltówki.

A żal bardzo zostawiać ten las, który zalewa teraz siny, granatowy zmrok jak atrament z wywróconego kałamaraża. Wydaje się teraz, że to nie my odjeżdżamy ale las oddala się od nas, odchodzi. Czarne drzewa, osłupiałe i jak spiżowe, odchodzą, chowają się za te następne i te odchodzą, ciężkim krokiem, niedudniącym krokiem, spada pomiędzy nimi i nami jedna zasłona, rdzawa, druga zasłona, fioletowa, trzecia zasłona niebieska i już jest między nami dystans, pustka, przestrzeń, jeszcze raz oglądam się i jeszcze raz, przeszykują się kolumny i falangi, które wiedzie wyżej wystrzelający sztandar nasiennika, rozbiegła się ariergarda fizylierska poręb i zagajników a teraz jest otwarte pole, opuszczone pole bitwy, niczyje zwycięstwo, połysknie czasem zimno i srebrnie kałuża pomiędzy skibami roli, jak klinga porzuconej broni, raz i znowu raz.

W domu zamieszanie, przedbalowy rozgardiasz. Bo jakże tu, ostatni czas! a tu tyle jeszcze do zrobienia. Podłogi posypuje się krajaną świecą, z kredensowego roznoszą lampy z palnikami spiryтусowymi, świeżo wyczyszczone ich żółte światło, miesza się nalewkę i rozlewa do karafek i rżniętych butelek, pachnie świerczyną, która dekoruje gzymsy wielkiej sali, Panny są rozgorączkowane bo tu tylnymi drzwiami wnoszą swoje basetle i saksofony muzykanci, z Rawy tu sprowadzeni, a tu od ganku już lampasy (Panny: „lampasy!”) szaserów oficerów z 6-go pułku strzelców konnych z Żółkwi, którzy tym samym pociągami przyjechali, zaczynają zjeżdżać inni pierwsi goście, mam na sobie pożyczony frak pana domu i ciśnie mnie pod pachami i jest trochę staromodny. Panny są jeszcze smarkate i podniecone i gadają głupstwa podlotkowskie „nasza lipa w parku to ta, co to pod nią byłby siedział Napoleon, gdyby tędy ciągnął na Moskwę”, albo jak wyczytały w ogłoszeniach w gazecie to udają naiwne i pytają, Zyziu a co to „Veto chroni mężczyzn”? więc nie wiadomo gdzie się kończą smarkule a zaczynają wydry, a coraz to zajeżdża albo Fiat sportowy, albo starożytne lando albo po prostu „amerykanka”, goście wyłuskują się z bund, burek, szub, dach, odbiera je Benedykt, „Benedyk”, jego brat jest stelmachem folwarcznych, a Benedykt na przyjęcia jest kamerdynerem i wciąga na ręce niciane rękawiczki, a w 18-m roku Benedykt był prezesem ukraińskiego komitetu na wsi i internowanym we własnym dworze jaśnie państwu wydzielał kaszę jaglaną, ale po wojnie to się to zapomniało i obie strony uważałyby za szokujące przypominać tamtejsze ukraińskie halcyjony. Jest pan Przegalski, pisze się „z Kościelca”, taki weyssenhoffowski typ, *causeur*, paryżanin, nie wymawia er, na polowanie przywiózł parę dubeltówek w futerale, o Wojciechu Radziwille to mówi Aba, ale wspaniale grawituje pomiędzy ziemianami i arystokracją, a to już dwa bardzo różne gatunki, chociażby ci pierwsi antysemita, a ci drudzy wcale filosemita, bo żenią się z bogatymi Żydówkami, no to jak już o Żydach to są baronówny Wattówny z Niemirowa, a w sieni od kancelarii czeka faktor w atłasowym chałacie, czeka już od rana i cierpliwie, „nu ja poczekam”, a tu nagle muzyka urzęnęła pierwszego kadryła aż szyby zadrżały.

A jeszcze przed Świętami Bożego Narodzenia Maruszka wyjechała do krewnych do miasta. Nawet mi ulżyła jej nieobecność. Było już bardzo zimno i śnieg swoim zwyczajem spadł przed samą wilią. Niewiele, tyle tylko żeby pojaśnić krótkie jak mgnienie powieki dni grudniowe. Zdarzenia przedświąteczne, same dni świąt i po nich toczyły się utartym zwyczajem. Popijaliśmy w stołowym pokoju ostrą wódkę, zagryzaliśmy świątecz-

nymi specjałami, urządzaliśmy amatorskie przedstawienia, za oknem widać było park pocukrowany tym przedwigilijnym śniegiem. Potem wytajał i czekało się na ponowę. Od strony kuchni wisiał za zadnie nogi dzik ubity na polowaniu, a łokome sroki polatywały na tle bezlistnych drzew, dzik Szrimir i cała srocza Walhala. Jamniki, wypłoszone ze swej permanentnej drzemki nienormalną ilością gości, przetaczały się niezadowolone po pokojach.

A dzisiaj rano przyniósł mi fernal od rządcy jakiś list a właściwie nie dzisiaj ale wieczorem dnia poprzedniego, ale schowałem go machinalnie do kieszeni i dopiero rano właśnie otworzyłem. To był list od niej. Pierwszy list od niej! Byłem tak poruszony nim, że do teraz nie wiem, a wtedy nie dowadywałem się jakim cudem list nie przyszedł normalną drogą, w zrudziałej torbie pocztowej, przywożonej przez mleczarza w południe, tylko najfantastyczniejszą przez folwark. Myślę że nemezis dla dodania uroku sprawom wielkiego kalibru, zrządza takie dziwne i nieartykułowane sztafaże. Widocznie ażeby było bardziej wstrząsająco.

Było w tym liście o jakiejś babci, „babuni”, której nie byłem ciekaw, która to babunia urządziła dla niej jakiś snobistyczny raucik, jakieś coś, co było w jej życiu zdarzeniem, a co ja w swym odosobnieniu uważałem za trywialne, nieinteresujące. Przeraziła mnie trochę jej interwencja w moich sprawach u wysoko postawionych, ale najnaiwniej w świecie wybranych, postaci ale przebolełem ten incydent. Było tam także dla mnie zdjęcie ulicznego „leikarza” na temat jej osoby, jak to zdjęcia leikowskie trochę z góry, z szarego papieru, bez światła, z wyraźnie zarysowanymi płytami chodnika i kilku głupimi twarzami przechodniów na dalszym planie, uciekającym wściekle w skrócie perspektywicznym ku tyłowi. Wyglądała na nim nieświeźnie, ale był powab jej postaci i zadzierzysta fantazja mimo niedobranego do twarzy kapelusika. To zdjęcie, jak mnie objaśniał list, miało być na-przód podarkiem dla jakiejś znów ciotki, która gdzieś tam mieszkała i wywierała na jej życie wpływ dominujący i wisiała nad nim ciężarem przygniatającym. Coś tam z tej poprzedniej dedykacji zostało obcięte i ja stałem się posiadaczem tego souvenir. Od sali gdzie muzyka przez gwar głosów słyhać młodego Józia Hadenia który jest wodzirejem „Panowie rrrrond!...” aż się sypie ziarno z suchego, dożynkowego wieńca w hallu, obok mnie slysze jak stary pan Wyłżewski opowiada „...w Wiedniu u Sachera, w biały dzień arcyksiążę i świta oficerów wchodzą, a tu arcyksiążę goły jak Adam w raju tylko ma przypasaną szablę i czapkę na głowie i oficerowie zrywają się od stolików i stają

na *hab'acht...*”, a dzisiaj rano przed gankiem stanęli tak zwani „podróźni”, a „podróźni” to byli w tych czasach młodzi ludzie, którzy jeszcze w życiu nie pracowali, chodzili od wsi do wsi i stawali przed gankiem, nic w tym z pokory, ani nic z nachalności, nawet niezłe ubrani, tylko zabłoceni jak nieboskie, i to dzień w dzień, taki rodzaj poselstwa, memento czasów, stawali ażeby pójść potem dalej, poszukiwacze pejzaży, automaty i roboty ekonomicznej teratologii i stali nonszalancko i patrzyli zimnymi oczami na dwór i pan domu irytował się sięgając po portmonetkę i mówił zirytowany pani domu „ciągle ten pulares i pulares”, ale zrozummy go kiedy zalega z sobotnimi wypłatami od dwu miesięcy a do tego dzisiaj rano dostał zaproszenie zabałaganionego sąsiada na lisy na swoim własnym terenie. Józio Hadeń „Paaanie koszyczek!...” i widać przez drzwi otwarte nagie barki kobiece i nagie ramię, ramię kobiece o zwężającym się kształcie wsparte w tańcu na piersi męskiej, zdawałoby się przyciągając ją, zdawałoby się odpychając i dziewczynę w ciasnych koralach roznoszącą mazagran na tacy, a o młodym Turzańskim opowiadają że ojciec jego miał aptekę i dorobił się a syn już ma fason i zacięcie ziemianina i jest pierwszą partią w powiecie, a pan Rafałowicz z Ulwówka to ze starych Ormian, ale stary osiemnastowieczny dwór jest zapuszczony i żyje z własną kucharką, chłopką, pośród kur, widel, garnków, psów i zzutych butów z cholewami, pelerynka księdza Wałęskiego i gors frakowy pana Przegalskiego, „Rizpaldiza ma w swoim stadzie takie taranty”, „przegrał w karty sześć kopcy kartofli”, „tu się dziwicie, a ja mam ekonoma Żyda, który wstaje z budzikiem o czwartej rano”, „stary Prek to go szlak trafił jak się składał do kozła, to ci koniec”, a od sali Józio Hadeń „Dziś dziś — z życiem!...” i łoskot hołubców jak sto diabłów, w sieni na krzesle przed drzwiami do kancelarii śpi Żyd-faktor, furmani piją wódkę w piekarni pod schodami, fruuuuu przeleci zziajana i iskrząca się Panna i „Zyziu na miłość boską popraw mi ramiączko...”, w kredensowym szeleści w zwiedłych wieńcach, myszy?...

Muzyka wstrzymała oddech na chwilę... iiiiini jak nie wytnie mazura! Od kręgu par sala traci swój prostokątny kształt i puchnie w elipsę, ale tego za mało, ale tego za mało, to do środka i od środka, do siebie i na odsieb, ale tego za mało, światła kręcą się jak w rozszalałym planetarium i raz dwa trzy i raz dwa trzy i dziś — dziś — dziś — i hołubiec, ale to raz! i do środka i od środka, i do siebie i od siebie i na odsieb i hołubiec, ale to raz! ale tego za mało, więc do sieni i do sieni, więc do drzwi i buuuuuuch! drzwi otwarte i para bucha z zimnego dworu i po schodach i schodami na zmarzłą grudę zajazdu

i dookoła domu a dom się pali od czerwonych świateł jak od pożaru...



A nad siną nocą zaczyna wstawać świt, ostra kresa światła i od chałup chłopskich widać ognie ruskiego Bożego Narodzenia jak dalekie ognie na Tierra del Fuego.

P. I. M.

— Widzisz, jakby ci to wytłumaczyć... — mówił do mnie pan Ł. — te likiery to był towar kredytowy... Na przykład to samo ze zbożem. Jeżeli zadasz sobie trudu, zasiejesz, zbierzesz, wymłócisz i zmielesz na mąkę, to dostaniesz za to tylko weksle — ale jak sprzedasz jeszcze na pniu to będziesz miał gotówkę. Mąka to towar kredytowy, a pszenica w ziarnie to gotówkowy...

— Rozumiem, spirytus z gorzelnii to towar gotówkowy, a likiery to kredytowy — ale dlaczego tak jest?

— To już tajemnica ekonomii agrarnej — powiedział pan Ł. — w każdym razie, te likiery po kolosalnym wkładzie w rozmaite maszyny i specjalistów poszły w komis, dostałem za nie weksle, na dwadzieścia tysięcy złotych mam weksli i przyszedł kryzys i teraz mogę sobie tymi wekslami palić w piecu — taki był pierwszy eksperyment mojej duszki *entre nous soit dit*.

Szliśmy brzegiem piaszczystej drogi i sosny rzodziły się po jednej stronie i kiedy wyszliśmy na otwarte miejsce spoza tych sosen ukazał się bladziutki sierp, nad horyzontem zachodzący nów.

Pan Ł. zdjął bobrową czapkę i poważnie ukłonił się nowemu księżycowi i wydało mi się to ogromnie śmieszne, ten zabobon i atencja dla rogatego satelity — ale nie pokazałem tego po sobie. Droga piaszczysta znikła nagle w bajorze leśnym i ukazała się poza jego zwierciadłem, odbijającym wiernie czuby czarne sosen i drugi księżyc na nowiu. Ostrożnie wybieraliśmy suche kępy, żeby przedostać się na drugą stronę.

— Te same prawa ekonomii agrarnej każą mi co roku sprzedawać po parę mórg ziemi żeby to wszystko się nie zaważyło. I jeszcze nieźle tu się płaci — tu chłopci są głodni ziemi.

— Ile tu kosztuje morga? — zapytałem.

— Widzisz, w Wólce Tarnowieckiej idzie za dwieście złotych bo piasek i parcelują, a w Werhracie sześćset, ale u mnie muszą kupować, bo, patrz, naokoło Hujcze ma bagna, tędy jak Zielone lasy, Hołe to głodna gmina. Ja dostaję tysiąc złotych. Ale nawet tam nie lubię chodzić, to tak jakby ktoś ucinął mi palce u rąk.

Myślałem o tym skąd się ten głód rodzi. Dzisiaj rano siedzieliśmy w gabinecie rozmawiając i weszła pokojówka, jej brat Jasiak był kucharzem. Różia była zacierwieniona i widać było od razu że ma jakąś niezwyčajną sprawę bo przecież normalna rutyna pokojówki pozwalała jej poruszać się po całym domu ze swobodą, i poufałością totumfactą, kręcąc się w swej kolorowej spódnicy, nucąc w hallu przy rozpalaniu ognia na kominie albo kłócąc się w „kredensowym” z lokajem. Ale teraz była zakłopotana i przy tym pełna jakiejś godności. „Proszę jaśnie pana” powiedziała „ja mam prośbę”. Pan Ł. złożył okulary i spojrzał na nią pytająco. „Dopraszam się łaski, jabym kupiła morgę na Wygonach...”. Przy obiedzie kiedy podawała potrawy na półmiskach było niezręczne milczenie, ale w pauzach, kiedy znikwała w stronę kuchni padały szybkie, przyciszone zdania: „Wystaw sobie mój drogi, skąd oni uskładali ten majątek?”. I okrutna konkluzja: „No uskładali sobie podkradając tu i ówdzie, w domu się nie ustrzeżesz...”. Było mi niedobrze od tych rozmów i ucieśzyłem się kiedy zeszło na inny temat.

„Mój brat”, mówił pan Ł., „ma inny stosunek. Lubi nawet chodzić u siebie na te miejsce gdzie rozparcelował i cieszy się, patrząc jak się „pobudowali” tam. Ale mnie to jakby ktoś palce obcinał po kolei”.

W lewo była pusta poręba. Na jej fałdowiskach stały sążnie nieobrobionego drzewa, mietliła się leśna trawa i różańcem ciągnęły się sadzonki nowego lasu.

Pan Ł. udzielał mi ostatnich wskazówek: „przejdiesz mostek i zaraz między olchami jest „hochsztat”. To już prawie niemożliwe żebyś miał teraz kozła z rogami, chyba by był „myłkus”. W każdym razie poznasz po „pędzlu...”.

Bawiła mnie, jego terminologia, inna zresztą od łaciny myśliwskiej zatabaczonych nemrodów. Pan Ł. uczył mnie dobrych manier łowieckich i większy nacisk kładł na to, aniżeli na ordynarny sukces. Był skończonym dżentelmenem w tej materii, nawet dzik idący „na sztych” u niego nazywało się szedł „z biletem wizytowym”. Patrzył uważnie i krytycznie jak noszę strzelbę i piętnował jakikolwiek cień nonszalancji, która jest bluźnierstwem przeciw dostojeństwu kniei. Swoją knieję znał i czuł na

wylot. Wszystkie ścieżki i dzicze „wskle”, wielu latami przygody natkane wspomnieniami. Zazdrościłem mu tego, kiedy stępiaty i pozbawiony węchu przez miastowe życie, natykałem się na surowość, nieprzystępność i dziczynę lasu. Miałem kiedyś przyjaciela, mistrza w bilardzie, w „karambola”. Spędzaliśmy godziny nad zielonym sukniem i mój przyjaciel był moim mistrzem, nie-doścignionym zresztą. Z powagą i kontenansem zważał na moje dobre maniery i surowo korygował postawę i uderzenie i nie znośliły nonszalancji udanej i chociaż nigdy nie byłem nawet „prze-ciętym” graczem wspaniałe formy nabyłem w długie, kawiar-niane wieczory, kiedy znudzeni kelnerzy opierają się o ściany i czerwone światło żarówek odbija się w czarnej kawie na stoli-kach. Pan. Ł. uważał jak sobie poczynam w lesie i dobroduszenie krytykował. Sam, w swej bobrowej czapce, wypełzłej kurtce i w zielonych pończochach wydawał mi się raz podobny do lisa, innym razem było w nim coś borsuczego albo coś z dzika.

Teraz, zostawiwszy mnie samego, wracał przez Brzeźniaki i szarzał i malał na tle drogi i zostałem sam. Przekroczyłem rów leśny po oślizgłych dylach mostku i odnalazłem *hochsztand*. Platformka na wysokości dwudziestu metrów wśród gałęzi olch, na którą trzeba było wdrapać się po próchniejących szczeblach.

Z tej wysokości można było ogarnąć okiem szerszy horyzont Czuby i szczyty sosen stały nieruchomo zastygłymi falami lasu i niosły się het! jak Wierzbica, Poddębce, Ulwówek, Krystynopol, puszcza i lasy wzdłuż Raty, przesypane wydiami piasków i przetkane bagnem i wodą, przekraczały Bug i szły, szły na wschód, jak okiem sięgnąć, jak wyobraźnią sięgnąć, sosny, sosny, czasem dęby i znów sosny i leśna trawa i dalej na wschód i poprzez Bug, i sto chodów Stochodu i Słucz i Horyń i dalej na wschód gdzie wstaje czerwone słońce w fioletowych, mokrych chmurach jesiennych świtów.

Usadawiłem się jak najwygodniej, złamałem Savage'a i wsu-nąłem w lufę nabój 6 m/m, jego koszulka uciniała się i ukazy-wała ołowiany stożek pocisku, który uderzając w cel rozszczepiał się jak rozeta i potrafił położyć dwustukilowego dzika jak ude-rzenie gromu. Przesunąłem bezpiecznik, tak że zakrył napis: *Safe* i odsłonił: *Fire*. Potem przez lunetę umocowaną na lufie popatrzyłem w stronę najbliższych sosen i na ich, powiększonych przez szkła sękach delikatnie zarysował się krzyż w lunecie.

Dokoła było pusto i nieruchomo. Czasem między prętami poszycia podfruwały małe ptaszki, milczące i leśne. Tam gdzie kończyła się poręba widać było zieleń oziminy. Było chłodniej i czuło się zbliżający się wieczór. Oczy zaszyły mi łzami od wypa-trywania naokoło i nic. Ani śladu życia.

Przypadkowo spojrziałem w dół i w dole, u stóp *hochsztandu*, tak że mógłbym mu pluć na grzbiet, był lis! Płomieniło się jesienne futerko i bielilo koniec kity. Obwąchał starą, pożółkłą końską czaszkę, która tam leżała i trywialnie obsikał ją i kiedy leciutko, na moje poruszenie skrzypnęła brzoza bariera *hochsztandu*, zniknął jak duch, przepadł! Zemocjonowałem się trochę i zastanawiałem co by to był za strzał z góry, pionowo i znów wydawało mi się że to było tylko przywidzenie.

Nic. Naokoło nic.

Wpadłem w zamyślenie, w rodzaj czujnego marzenia. Wiedziałem, że ukazanie się kozła nie może mi ujsć. Myślałem: głód ziemi... Z jednej strony dziedzic, pan, cztery tysiące hektarów ziemi, lasu. Z drugiej wieś, rozciągnięta wzdłuż błotnistej drogi. Dworskie łąny, duże kwadraty, spływające z płaskich wzgórz. Zdrenowane, solidnie nawiezione nawozem. Z drugiej długie pasemka chłopskich mórg, z czerniącymi się kupami nędznego, podwórkowego gnoju. Krzyże na rozstajach. Dwór z parkiem, kortem tenisowym, gorzelnią, samochodem, okazijnym zjazdem gości, ale za tym, z tyłu, Izba Skarbowa, „nożyce” cen, Żyd mający „chazukę” na dziedzica, jedyne źródło gotówki do wypłaty w sobotę, wypłaty zaległej od miesiący, Żyd cierpliwy i z pieniędzmi, czekający godzinami w przedpokoju, kiedy z panem Ł. spokojnie w gabinecie przy kawie i papierosach oceniamy zalety „Rumuna” do kniei albo „czoki” nowej hammerleski, a Żyd w atłasem pokrytym futrze, wielki, poważny, z brodą, siedzi na krześle w przedpokoju a dziedzic nie ma na zapłacenie patentu rocznego za gorzelnię, a tam wieś, cerkiew wśród starych buków, z młodym popem o chudej twarzy, radzącym z delegatem „Masłosojuzu”, który to delegat ma dyplom inżyniera, ale w jednego konia i w jednym trenczkocie, w deszczowy, jesienny dzień przyjechał żeby chłopci bojkotowali wódkę Państwowego Monopolu i żeby nie kupowali „Machorkowych” i znów ten bojkot był wyrokiem śmierci głodowej na jedyną pozostałą we wsi rodzinę pachciarza, tuzin skrofulicznych dzieci w grochowinami zagaconej karczmie, ale rasistowski „Masłosojuz” jest zorganizowany nie na sentyment, ale lepiej niżby to zrobili sami Duńczycy i Dania; mówiła mi p. Ł. jak wspaniała jest Dania, była tam u Karin Michaelis oglądać jej „Radosną Szkołę”, a potem była w Anglii i jeździła do Szwajcarii, gdzie wspaniałe szkoły, przedszkola, szkółki slöjdowskie, gdzie dzieci bogatych rodziców we wspaniałych, puszystych jumperach uczą się na wolnym powietrzu kryształowym a za tablicą widać jeziora i lodowiec Mont Blanc i odżywione, inteligetne, słodkie i śliczne dzieci międzynarodowych bogaczy uczą się, i potem wróciła i odmalowano

skrzydło dworu i były na biało lakierowane łózcetka, *les petits lits blancs*, i miał to być pensjonat dla dobrze urodzonych pa-nienek — ale to nie wyszło jak z tymi likierami, bo chociaż pa-nienek było dwa tuziny i slójd i pomoce naukowe do fizyki i sport, hokey na trawie i pantomimy to jednak nie miał pensjonat szczęścia i nauczyciel od greki zastrzelił się w swoim pokoju na górze, bo był nieuleczalnie chory na chorobę weneryczną i „stra-szyło” potem w jego pokoju i skandal się rozniósł i rodzice poza-bierali swoje dziewczynki i tak jak z tą fabryką likierów, z her-bem rodzowym „Nałęcz” na naklejkach, była to nieudała impreza.

Pani Ł. odznaczała się niespożytą energią. Zainteresowała się psychoanalizą i sprowadziła całą bibliotekę i kiedy międzynaro-dowa sława, profesor C., był we Lwowie z odczytem pt. „Libido na progu podświadomości” został z odczytu sprowadzony wprost autem na głuchą wieś i nudził się, bo było błoto i nie można było nogą wyjść poza próg domu i jedynie pani Ł. mówiła płyn-nie po angielsku i z nikim poza tym nie mógł rozmawiać. Za-częła nawet pisać powieść psychoanalityczną w odcinkach do zie-miańskiego miesięcznika „Myśl Polska”, ale redakcja przerwała ich ciąg dalszy kiedy biskup sufragan przemyski wymówił prenu-meratę. Wyjątki nieukończonej powieści czytano na głos czasem w zimowe wieczory, ale w międzyczasie pani Ł. zainteresowała się serowarstwem i sprowadziła serowarza i Spółka Ziemi Czer-wieńskiej zbojkotowała te wyroby, bo znów w międzyczasie pani Ł. zajęła się polityką i popierała rządowego kandydata na Sejm, sąsiada, ekonomistę, chorego na kamienie żółciowe, i pre-zes Spółki, który kandydował w tym okręgu nie mógł pogodzić się z tą zdradą. Pan Ł. obchodził codziennie pola, płacił podatki, płacił rachunki żony, której nie kochał i która go nie kochała. Mówił mi: „Ożeniłem się jak byłem młodym człowiekiem. Wiesz, wtedy była moda długich sukien i jak byłem na uniwer-sytecie we Lwowie, kiedy upadł deszcz tośmy z Józkiem Badenim biegli na miasto, bo damy wtedy wdzięcznym ruchem unosiły suk-nie, aby ich w kałużach nie uwałać i można wtedy było nogę dam-ską, zobaczyć aż do kostki”. Mówiła mi: „Nie chciałam wyjść za mąż za Jerzego i w dzień ślubu rano powiedziałam do matki: „Ma-mo ja nie wyjdę za tego szympansa...” i wiesz moja matka, taka słodka, powiedziała mi: „Rób jak chcesz Elżuniu...” no i tą słodyczą wpędziła mnie, ale on jest idealnym mężem i mamy dzieci i wiesz że jestem katoliczką...”. A obok była wieś i chłopi i ziemia. Chłopi, kołtuniaści, w tanich ubraniach, czasem stary kozuch, baby ciężarne i gorączka połogowa, dzieci bez butów w zimie, wybiegające boso na śnieg podwórza lub w za dużych ojcowskich do szkoły. Kiedy we dworze padły świnię na różycę

i pogrzebano je na bydłęcym cmentarzu, w nocy zostały wykopane i zjedzone przez sąsiadów, a w niedzielne popołudnia parobczacy cyniczni i wrodzy (każdy miał latarkę elektryczną, taniutki i jedynie dostępny na wsi obiekt zmechanizowanej cywilizacji, i tymi latarkami poświecali o zmroku), otóż w te niedzielne popołudnia stali tłumem koło cerkwi, pod gałęziami wiekowych buków jej banie z cynkowej blachy, i patrzyli złymi oczami kiedy jechałem tamtędy konno na spacer na zrudziałym siodle, na grzbiecie podręcznej klaczy z wyjazdowej pary. Ich nierozumne przekleństwo ciążyło na mnie, miastowcu, sprzymierzeńcu ludzi, którzy mieszkali we dworze i dwór ten był od tego żeby było, gdzie co ukraść, bo kradzież na wsi była zwyczajem, udziałem, procentem w dobrobycie i była kalkulowana i budżetowana we dworze jak zarazy bydłce, rak kartoflany i grad letni i miała swe ustalone formy i kanony. Co to jest zwyczaj na wsi? Jak powstaje? Raz szedłem z panem Ł. ścieżką przez dworski ugórze na przełaj biegnącą, ścieżką dla pieszych dostępną i spotkaliśmy tam starego chłopca, pchającego taczki z gnojem. Pan Ł., jak nie unosił się nigdy, tak sklął tego Łucia czy Iwana i zawrócił go z pola. „Widzisz”, tłumaczył mi potem bez gniewu, „jak raz przejedzie taczkami, a potem ktoś wozem, raz i drugi i już jest zwyczaj, prawo i będziesz miał drogę przez swój grunt...”.

Teraz, kiedy własne życie pochłania mnie tak całkowicie, chciałbym jeszcze raz przeżyć obok siebie ich życie, tych ludzi ze wsi. Wydawałoby się, że przez egzotyzm, dla miastowca, byłoby ono bardzo atrakcyjne. Tymczasem kiedy usiłuję przywołać wspomnienia, zjawiają się one i regenerują chaotycznie. Z mgły wspomnienia występują te lub inne twarze i przepadają w nicości. Prawie nicością wydaje mi się ich życie dla mnie a czy nie dla nich samych? Jak straszne wydaje mi się ich obcowanie, niewielkiej komuny na niedużym terenie, kawałku ziemi. Nie ma dla nich właściwie tajemnic, żyją, jak ćmy, w jednej jaskrawo palącej się latarni. Znają przede wszystkim swoje słabości na wylot i używają tej wiedzy przeciwko sobie. Pewnie że mają także swoje tereny marzeń, niedostępne dla innych indywiduów, swoje mniej lub więcej osobiste tabu i uwarunkowania, bronione milczeniem, niedomówieniem, ostatecznie prymitywnym cynizmem. Są bardzo zwierzęcy, jakby idąc za Czechowem, jedynie ból miał być dla nich jakimś przeżyciem i tym co ich uszlachetnia. Chociaż i przeciw bólowi są dostatecznie zahartowani. Ludzie na wsi...

Już zaczął zapadać zmrok kiedy zobaczyłem sarny. W miejscu gdzie nic, przysiągłbym, nic nie było przed chwilą, były jak wyczarowane z nicości. Cztery. Poruszały się wdzięcznymi ruchami, ich postawione uszy strzygły uważnie kiedy obracały głowami na giętkich szyjach. Cud niepokoju, uwagi napiętej i bolesnej, płochliwość gazeli. Były na jakieś dwieście — sto pięćdziesiąt kroków. Myślałem — poczekam — zbliżą się. Skąd się wzięły? Są tak szare i tak zlewają się z tłem krzaczowisk, że może już dawno tam się pasą i jakiś ruch je zdradził. Teraz są wyraźne, jak wycięte z kartonu. Przewdzięcznie poruszają się na smukłych nogach. Ostrożnie, bardzo ostrożnie podnoszą Savage'a i opieram na zdradzieckiej poręczy żeby nie skrzypnęła. Teraz patrzę przez lunetę za kozłem. Musi być! Poznam po „łustrze” po „talerzu”. U kozła zawsze jest wydatniejszy. A może będzie jeszcze z rogami. Powiększone w ograniczonym kręgu lunety szyje, łyżki, ale już coraz ciemniej. Oko mi zachodzi łzą i wydaje mi się że o ten! schowany poza innymi ma jeszcze różki. Patrzę i patrzę i myślę że rogi. Żeby wyszedł!

Rusza się — przechodzi. Patrzę. Bardzo ostrożnie — to daleko — mogą usłyszeć zaskoczenie sprężyny — naciągam drugi język spustowy Savage'a — język „szneller” — przyspiesznika. Teraz wystarczy leciutkie dotknięcie pierwszego języka żeby wyzwolić piorun z komory naboju. Naprowadzam krzyż lunety na łopatkę, chwilę — żeby zamglony pierścień lunety zgrał się koncentrycznie z kręgiem okularu i dotykam spustu. Huk strzału i echo odpowiada Pod Dębem, potem poddębienie lasy, potem Jakobicha i Brzeźniaki, potem jeszcze raz poddębienie lasy. Saren nie ma. Rozwiały się jak mgła. Nie ma nic. Siedzę i jestem zły na pudło. Ale patrzę w miejsce i widzę, dwadzieścia kroków dalej — białe. Patrzę przez lunetę — „talerz”. Po spróchniałych szczeblach zjeżdżam na dół i idę w kierunku i liczę kroki i coś mnie ściska w gardle. Dochodzę, jest jak uciał sto pięćdziesiąt kroków, jest kozioł — nie, sarna! Z bliska bardzo drobne to i cienkie i głowa odrzucona i półprzymknięte białe rzęsy ukazują oko już zmętniałe i matowe. Sarna. Czuję żal i mam wrażenie że popełniłem morderstwo i żal mi. Wolałbym żeby tego nie było — żeby to się odstało...

Zapalam papierosa, coraz większy zmrok, myślę — gaffa. To się nie da ukryć. Pawła bym przekupił, gajowego — ale znam wieś. Wyjdzie na jaw. Strzał słyszeli w polu przy garach z kartoflami, potem z wozu fernal krzyknie o tym do stelmacha, będą o tym mówić przy udoju, chłopak popędzający beczkę z wodą powie o tym w kuchni, dojdzie to do „kredensu” i zanim jeszcze powrócę, będzie wiadome w salonie.

Wracam powoli do domu.

Potem w lecie przed wojną pojechałem na jeden dzień do Z.

Przechodziłem wtedy wszystkie stadia i symptomy jakie nas naznaczają po tragicznej miłości. Albo dniami nie jadłem nic, albo jadłem bardzo dużo. Wobec bliskich i znajomych zachowywałem formy i uśmiech i najniespodziewaniej wpadałem w wynurzenia przed osobami, które spotkałem pierwszy raz w życiu.

Najpiekniejszą męką było żyć wśród miejsc które znałem z nią i które były tłem naszej miłości. Przez *l'esprit de contradiction* chodziłem w te miejsca i dlatego raz jeszcze pojechałem do Z.

Był to gorący letni dzień. Na „Czarnem” poszła pierwszy raz zniwiarka w łan pszenicy, szary w pyłe upalnego dnia, z bladymi okami bławatów i czerwoną wysypką maków.

W czasie poprzedniego pobytu w jesieni pomagałem w zbiorze markowych kartofli. W kurzu polnej drogi, zamyślony, poszedłem w tym kierunku gdzie je kiedyś kopano i nagle poczułem je — te kartofle. Te markowe kartofle, podobno bajecznie odporne na raka ziemniaczanego, „mozajkę” kartoflaną i inne straszne kartoflane choroby — te kartofle, niedbale zakopcowane na zimę — zmarzły i wiele tych „gar” pozostawiono tam i psuły się one w pełni lata i na wiele staj dawały znać o tym. Smród psujących się kartofli jest potworny, nie do zniesienia. Ścieki fabryczne, plugawa woda brudnych basenów portowych, kiedy jest odpływ morski, nawet rozkładające się trupy na pobojowiskach — ale nie, to nie to, to zbyt łagodne. Zawróciłem od tych kopców.

Nie można się było schować przed gorącem. Jamniki leżały w słońcu, w pyłe zajazdu. Dziewczyna wyniosła z lodowni bryłę lodu oblepioną źdźbłami słomy i poniosła ją w stronę kuchni. Poszedłem popatrzeć na aneroid do stacji meteo. Za owego pobytu w jesieni zajmowałem się jeszcze stacją meteo. Była to x-tego rzędu stacja PIM'u czyli Państwowego Urzędu Meteorologicznego i do moich obowiązków należało trzy razy dziennie rano o 7-ej, w południe i o 7-ej wieczorem kontrolować instrumenty i robić zapiski. Raz na miesiąc preparowałem raport i „średnie”.

Nawet lubiłem wtedy tę codzienną rutynę. Szło się do stacji przez furtkę w ogrodzeniu i wśród grzęd truskawkowych, na podpróchniałych słupach była skrzynka z pulpitem dachem i żaluzjowymi z drewnianych szczebli ścianami, otwierałem kłódkę i odnajdowałem tam dwa termometry, jeden maksymalny, jeden minimalny, aneroid i hygrometr i było tam jeszcze kalibrowane naczynie szklane do mierzenia ilości ewentualnego opadu. Naczynie to kiedyś zostało stłuczone i potem troskliwie posklejane „japońskim” kitem. Była tam jeszcze książka porubrykowana

liniami do robienia zapisków i rogi kartek od tego regularnego przewracania pozwijały się w ośle uszy. Obok, na wysokim maszcie, była zamocowana róża wiatrów i skrzypiało blaszane skrzydełko skali Bauforta do mierzenia siły wiatru.

Do tej stacji nikt wtedy inny nie chodził tylko ja sam. No tak, zawsze mi w tym codziennym rytuale towarzyszyły psy, jamniki i suka dobermanka. Ale kiedy one uganiały wokoło i płoszyły trznadłe z malinowych różeg, ja szedłem najkrótszą drogą i przez wiele tygodni i dni wydeptałem wtedy własną ścieżkę, ja sam, tylko ja. Trochę jest nawet wstrętna taka ścieżka, którą się samemu wydeptuje. W życiu depcze się drogi, ścieżki, po społu z innymi. W takiej własnej ścieżce jest coś wariackiego, coś paranoicznego. Pomyślałem tam — wracam znów na własną ścieżkę...

Na tarasie domu pan Ł. złożył nieczytanego Ikaca i z trzcinowego fotelu patrzył na niebo i był osowiały i milczący: coś się psuło w tym domu, pod tym niebem.

— Aneroid pokazuje na burzę — powiedziałem.

— To jest fabryka pod gołem niebem, nigdy nie wiesz czego masz się spodziewać — powiedział do mnie. — Nie podoba mi się ten dzień, może przynieść grad — *il faut toucher du bois sec* — przesądnie odpukał w trzcinowe oparcie.

Wiedziałem co się psuje w tym mechanizmie. Wiedziałem z plotek, z półśówek i wiedziałem wprost od obojga, bo byłem rodzajem powiernika obu stron.

Więc po latach współżycia wziął swój rewanż. Powiedział mi o tym sąsiad spotkany we Lwowie. Potwierdził poufnie spotkany na stacji komisarz Izby Skarbowej. Zwierzyła mi się pani Ł. kiedy z goryczą powiedziała mi: „gdyby przynajmniej mi w taki *fair* sposób nie przyznał się, nie wypowiedał, gdyby to zostało nieomówione i uwarunkowane. Ale to już taki jego styl...”. Pan Ł. zakochał się pod sześćdziesiątkę w higienistce powiatowej, przybyłej na posadę z poznańskiego. Oaza spokoju, przystań szczęśliwości, Sopicowo umiaru, Z., było po raz pierwszy za mej pamięci duszne i źle się poczułem tu pierwszy raz w życiu. I żałowałem swego przyjazdu i siedzieliśmy w cieniu na tym tarasie, milczący niezgrabnie, pan Ł., pani Ł. i córki, poprawne, dorastające córki i dzień był duszny i gorący i między liśćmi drzew parkowych mogłem widzieć od wschodu gromadzące się chmury.

Piętrzyły się w upalnym powietrzu, bladoróżowe, suche i nieprzyjemne. Stały nieruchomo i paliły się od dokuczliwego blasku słonecznego. Ale za nimi, daleko, nad horyzontem widać było ciemny pas, wał regularny, od horyzontu do horyzontu. Wał

ten rósł i zbliżał się powoli. Pod nim było już granatowo i przebiegał tam czasem dreszcz błyskawic.

Widać było jak wygonem, od wsi zawiął wiatr i podniósł tu i tam tuman kurzu. Drzewa, wysokie topole za wygonem zadygotały i zamiotały pod podmuchem. Poniosło źdźbła słomy z chłopskich ściernisk, przyspieszonego przez przednówkowy gład żniwa. Groźny wał był tuż nad nami i groźny cień padł na szarugę, ciągnącą się za burzą.

Jamniki zakolebały się w pośpiesznej ucieczce kiedy cmoknęły pierwsze duże krople dżdżu. Gołębie potarganymi przez wiatr girlandami zatrzepotały się koło kominów folwarcznych. Killkoro ludzi na folwarku zadarło głowy od swych spraw. Zadygotały otwarte wrota stodół i szop. Palnął ogłuszający piorun i na jego komendę lunął deszcz i zabębnił po wyschniętych gontach i zaszumiął w liściach drzew parkowych. Rozhisteryzowane kury i indyki kryły się pod krzakami bzu i siwe krople odbijały się od lśniącego od wody grzbietu cierpliwiej szkapy u dyszli beczki tam gdzie była studnia. Przyczłapała z folwarku, ze spódnicą zarzuconą na głowę pokojówka, czerwona i zadyszana i roześmiana. Nasturcje w skrzynkach na tarasie wychyliły swe kwiaty na deszcz.

Burza jak szybko przyszła tak przeszła i zajaśniało słońce by rozpylić się na tysiąc słońc w kropkach wody zawieszonych.

Niech mnie wytłumaczy mój stan ówczesny, że tak chaotycznie wspominam to co było wtedy, kartofle, stację meteo i burzę i to że wspomnę o jeszcze jednym zdarzeniu. Ten piorun wtedy rozłupał stare drzewo lipowe na drodze do wsi. Między jego gałęziami, pod daszkiem, był i patronował polom prymitywnie wydrubany z drzewa Św. Izydor, patron oraczy. Ciekawe, że nie mogę sobie w żaden sposób przypomnieć, co się stało z figurą świętego.

Byłem tam w Z. przed samą wojną. W pierwszych dniach wojny pan Ł. umarł. Pomimo gorączki wojny „okolica” zjechała się na jego pogrzeb bardzo tłumnie. Ten okazały orszak pogrzebowy, jak mi ktoś o tym opowiadał, był ogromną pokusą dla Heinckla III, który przejechał się tam salwą z karabinu maszynowego, po tym pogrzebie wśród pól.

Ale to, ten *danse macabre* nie dotyczył już pana Ł., który umarł w tych pierwszych dniach wojny.

JAK WIOSNA PRZYJECHAŁA

Wiosną, na wiosnę kiedy przychodzi wiatr, wiatr, wiatr i nanosi niesłyszany dotychczas szmer-szelest-zapach, odwraca się we mnie i odkłada wspomnienie. Niech udar słoneczny w lecie, niech strach, trwoga, niepokój powszednich czasów, niech pogoń, gonitwa, drapieżne zachcenia interregnum wiosennego, niech namaszczona pycha i rozpaczne bluźnierstwa zapomnienia się w czasie odejdą, odpłyną. Powróż, zerwany, przetarty powróż doczesności powlecze się za mną na znak że był uwięz, ale ja się nie boję tego, nie wstydę. Bo jestem znowu w pośród wiosny, sam, ach jak sam! i przyjaźnie jest, nie byle jako jest, wspaniale i skromnie ale inaczej i tak jak było, i tak jak się działo wtedy.

A działo się tak.

Naprzód ziewające wrony i kruki zebrały się pośród pola jak opiłki żelazne przyciągnięte magnesem ukrytym pod kartką papieru. Tu tą białą kartką jest pole pokryte śniegiem, który w oczach staje się brudny i lotki i chwiejny i w oczach znika i w oczach pozostaje tylko w bruzdach skib. A pole jest osobne i mokre i samo i ucieka i strasznie jest pośród wiosennego pola, nic jeszcze się nie zaczęło i dlatego jest tak strasznie w tej pustce wyczekiwania.

Potem, po tej pustce z zahamowanym oddechem jakby się coś zakotłowało. Nie bardzo to dobrze wymyśliłem bo z tym „zakotłowaniem się” to tak jakby gwałt miał być zadany. A tu nie ma mowy o gwałcie, bełkocie nieharmonijnym, niezgrabności ruchów i zamachów, kiedy w gwałcie wypada się z harmonijnego, rytmicznego posuwu w skok — grymas.

W każdym razie na tle bezbarwnym, zastałej chwili podnosi się jak gdyby westchnienie piersi. Aż stajemy się nagle czujni na tę nową sensację. Bo kiedy ani tego sobie wytłumaczyć ani

pojąć a tu dogania nas w tej niesamowitej chwili, zawraca nam głowę westchnienie wiosny.

Więc i chłodno jeszcze, nawet może być bardzo chłodno i zimno, nawet niesiony deszcz przemieni się w lodowe krupy, a wiatr dotrze do szpiku kości, to moment i odmieni się i odmieni i już jest dziura niebieska w niebie i obietnicą wiatr złagodnieje i znowu i znowu przyniesie ku nam szmer-szelest-zapach.

A wszystko to się dzieje jakby bez podstaw, jakby na słowo, bo skądże znowu ta pewność? z niczego, niezawarowana, nieza-bezpieczona układem, kontraktem.

I co dzień, dzień w dzień jest inaczej i pewniej, cieszę się z tej pewności, cieszę się że oddycham, cieszę się powietrzem, które prześwieśla się i ukazuje mi perspektywy, których ani nie dostrzegałem poprzednio, ani się ich domyślałem, że takie być mogą. Idę a tu twardo, w głąb, w dal, solidnie odcina się krajobraz, niechby to nawet nie był krajobraz, może to nawet być zaśmiecona, zagnojona, fioletowa od parkanów i ruda od pokrzywionych ścian domów ulica żydowskiego miasteczka. A jest jednak i przychodzi wiosna.

Działo się tak, że wiosna była podobna do dziewczyny. Zaraz, proszę mi wybaczyć porównanie, które kiedy jeszcze nie wyjaśnione, nie obudowane, nie opowiedziane wydaje się jakże trywialne i nagie. Będę się starał być ściślej. Będę, muszę powiedzieć jak to było. Było, działo się tak że o tej wczesnej wiosnie wydarzyło mi się tęsknić, wdychać, myśleć o dziewczynie, którą sobie wybrałem spośród wielu, wielu, jak to się zawsze zdarza.

Najważniejsze, najbardziej w niej było, najpierwsze to włosy. Jakby sobie nie upinała ich, nie rozczesywała a potem zaplatała, okręcała, podbierała, układała, podnosiła, jednym jedynym ruchem obu rąk od tyłu ku górze, jakby ich nie upychała pod kapelusik nasadzony na czoło, to włosy te wysypywały się, zwały się kaskadą, którą niecierpliwie i wdzięcznie i współzamyśleniu i nieuważnie podbierała dłońmi. Dłonie na karku, dłonie z tyłu głowy i ramiona wzniesione i łokcie podane ku przodowi i wtedy jej profil, zawstydzony profil na tle jej ramienia, a włosy wymykają się, jest ich cały kłęb, albo są jak płonąca żagiew, albo węże Meduzy, ciężkie, uciążące, zdaje się gniewne, zdaje się żywe i osobne przedzierają się poprzez jej palce, jakież to one? mosiężne, mosiądz i cyna, błyszczą w słońcu jak talerze czinelii, puklają się i mieniają jak złota łuska na napierśniku centuriona rzymskiego.

To właśnie z nią, z wiosną jechałem, trzęśliśmy się wiosną,

dorożką, fiakrem ze stacji kolejowej. Proszę uważać, wiosną, w wiosenny dzień biały, jechaliśmy z dworca kolejowego, przed dworcem jest postój drynd, fiakrów, chabety dorożkarskie mają głowy w karmiakach i stoją kupy nawozu, łajna końskiego i żółto ścieka mocz koński do rynsztoka, fiakrzy siedzą w ostatniej dorożkarskiej wiktorii i grają w karty. To my stajemy, położyłem walizki wiosenne na krawężniku chodnika i chwilę targujemy się o kurs z grubym dorożkarzem, który jeszcze nie poznał wiosny, bo sam ma na sobie autentyczny kozuch a tu gdzieeee! słońce niebieskie i przypieka. Czerwona twarz dorożkarza jak księżyc powstający o wieczornej sześrodze, i bat postawiony w tulejce na kozle. I już jesteśmy usadowieni i słodko gną się resory wiktorii i pachnie starą, niegdyś lakierowaną skórą fartucha i siedzenia dorożki wysłane białuskimi, czystymi niebywale pokrowcami i przed nami tylko wysoki kozioł woźnicy, siedzącego szerokim zadem tłuszciocha i okręconego kraciastym pledem i wiktoria hušta się na kamieniach bruku i dwie szkapy dorożkarskie, jakby drewniane i mechaniczne i nie żywe ale sztuczne maszyny, manekiny końskie, idą wprawnym truchtem i kłapią kopyta po bruku w takt, w takt, błyszczą wypucowane latarnie po obu stronach kozła, hušta się pudło powozowe i jesteśmy jak para królewska, ja i wiosna.

W pohańcie resorów, w takt, w takt kopyt koni dorożkarskich, jedziemy, a tu przed nami szeroka, wybrukowana ulica, i drzewa ponad nią zawieszają swe korony, gałęzie, obsypane młodziutkimi liśćmi i kolor ich jest zielony, jasnozielony, rozkoszny aż trujący, i co nas czeka? Czeką nas kawa, stół nakryty, syпки cukier w cukiernicze, masło pokryte rosą wody z której je wyjęto, kajzerki jak muszle morskie i konfitury porzeczkowe, i bukietek fiołków w szklance wody na stole. Fiołki, jakie to fiołki? które były przyszpilone do piersi wiosny, fiołki głęboko fioletowe, wstydlliwe, kręcące się swymi listkami w swym ciasnym bukietku, fiołki kupione po drodze za dziesięć groszy, u baby rozkraczonej na chodniku, na jego krawędzi, fiołki wyrosłe gdzieś w cieniu wysokich drzew i uszczknięte, zebrane pośród wiosennej trawy, pośród wilgoci pachnącej grzybem wiosennego rana, mądrze przychylające swe kwietne główki i jak pachną! jak pachną! podają ten zapach, ciskają nim w nas, a fiołki kupiłem bo należały się wiosnie, przynależą się jej w fanfarońskim geście, bo fiołki i fioletowe i pachną, jak pachną! i leżały na wzniesionej piersi wiosny, na wznoszącej się oddechem piersi wiosny.

Więc to jest spełnienie się dawnych marzeń, zachceń majaków, przewidywanych i odgadywanych. Bo zastanowić się,

przedtem to była pustka tak jak przed dniem stworzenia, przestrzeń nieskontrastowana, czarno-biała, z rozsypanymi opiłkami gawronów i kruków na chropowatym od białości polu. Lśnią tylko oślizgłe łoży, łożyna i jak wieczór to gwiazdy trzeszczą ponad wierzchołkami gałęzistymi drzew. Naturalnie że były przepowiednie tego wszystkiego, nie jest że przepowiednią kiedy idzie się drogą i kałuże otwierają swoje przepaście pod nogami, skarpa drogi już od południa poczerniała od ziemi surowej, gniew się powietrze od załapywanego odechu. Jest taka godzina rano, może koło dziesiątej, a tu słońce odwróci się jak grzanka i przypiecze, na ślepo, bez oczu, całą skórą, policzkiem poczuje się odmianę, tak samo jak prasowaczka kiedy zbliża żelazko do odętej zafrasowanym zaprasowywaniem twarzy i poczuje się odmianę.

Bo zastanowić się, obeschły kamienie miejskiego chodnika, pierwszy kurz uniesie się, obuta noga następuje na pierwszą zieleninę wydobywającą się z ziemi jakby nadepnęła na głowę zielonego, dobrodusznego smoka, odrodzonego z posianych kiedyś zębów ludojadów.

A potem przyszło to uderzeniami, falami, zachłyśnięciami się, nie złapać jeszcze oddechu po pierwszym a tu drugie i trzecie i znowu! nadmiar, za dużo, ale nie ma czasu ochłonąć i znowu i znowu, rana są wcześniejsze, słońce przychodzi rankami jakże gorliwe, jakże zziajane, i dużo naraz się dzieje, za dużo, wszystko śpieszy się, zagonione, gdzie tu dać sobie radę, czas trzeba łapać za poję, jak kogoś zalatanego przytrzymuje się za kłapy marynarki, tu coś załatwiam a tam wiem że inne nie może czekać, a nie mogę tego zaniedbać, trawa na skwerze z nocy na dzień jest już zielona, wszedłem do domu bo czegoś zapomniałem a tu w międzyczasie spadł krótki deszcz i teraz już go nie ma, przegapiłem go, jaka szkoda! szkoda ale nie czas żałować bo zanim wymyśliłem nowy deseń perkalików wiosennych to już ich tysiąc obleka rozpędzony czas jak subiekt w bławatnym sklepie rozwija wałki z kolorowymi, nadrukowanymi materiałami, już pierwszą zieleninę zużytą i jeszcze soczystą, a już zwiędłą zamiatają w rynsztok i przychodzi południe jak uderzenie pięścią w twarz.

I wtedy to, na dworcu kolejowym powitałem wiosnę wysiadającą z pociągu.

GOŁĘBIE Z PLACU TEODORA

Na Plac Teodora nigdy nie doszliśmy, nigdy tam przedtem nie byłem i nigdy może tam nie będę. Pewnie zostanie mi tylko jak obraz własnej wyobraźni, niesprawdzony, nieskonfrontowany z rzeczywistością. Jak wiele innych, które pozostaną terenem fantazji, nie przyniesie rozczarowań ani zaskoczy biegunową innością. Nie bardzo nawet wiem jak go umiejscowić topograficznie w swoim mieście. W każdym razie, kiedy wybieraliśmy się tam, to w pewnym przeświadczeniu, że dzieje się on gdzieś w stronie gdzie Krakowskie Przedmieście, Plac Solskich, „Paryż”.

To było tak. Panna chciała przywieźć swojej koturnowej ciotce jakiś prezent, coś co miało podierać pomosty łączące z tą damą, z nią i jej sprawami. Myślę nawet, że mogła sobie oszczędzić tej fatygi, bo były sprawy i tak bardzo ezoterycznie wiążące ją ze światem jej ciotki. Nie zastanawiałem się nad tym poważnie.

Ten prezent to miał być właśnie z Placu Teodora. Więc jeszcze zanim tam wybraliśmy się stworzyłem ten Plac, bardzo kunsztownie i precyzyjnie w mojej wyobraźni. Pewnie miał się nie bardzo różnić od innych *Marché aux Puces* wielkich miast. A zatem za plecami potrzeba było mieć gmach Teatru Wielkiego i ruch żydowskiej, handlowej dzielnicy a przed sobą szare i ceglane prostokąty ślepych murów. Ulice zabłocone i zabrukowane, łamiące się w takt występów i cofnięć bezplanowo wznoszonych ruder. Sklepy, sklepiki, magazyny, stolarnie, składy wapna i skór, budki z wodą sodową i papierosami, zabłąkane drzewka i skwerki, stajnie i wozownie ciężarowych lor, plakaty kinowe palące się na parkanach, piekarnie i składy masarskie, szylidy „NAFTA” i „HANDEL ZBOŻA”, furmanki chłopskie przy

krawężniku, wozy węglowe, smutne czeluście podwórz, wytwórnice lodów i materacy, rajcujące gromadki handlarzy starzyzny, sutenerów i paserów, składy rupieci i mury unickiego klasztoru, kasztany za ogrodzeniem trzęsące liście na chodnik i zakurzone szyby bóżnic, szyny tramwajowe i słoma w poprzek ulicy, bele przędzy konopnej zeszyte stalowymi taśmami i dykta pudeł z drobnicą, rury kanalizacyjne złożone obok kup wyprutej przy robotach ziemnych gliny, niebo w kłaczkach chmur, wróble wirujące w spiralach śmieci podnoszonych wiatrem, krzątania i ruch gatunku człowieczego przedmieścia, kramy z lichymi ubraniami i żelastwem i gratami i tandetnym naczyniem, papierami, porzeczawymi lustrami i makulaturą.

Mieliśmy tam pójść i znaleźć ten Plac Teodora. Nie trudno przyszłoby to bo już z daleka powinno by się go poznać. Wiatr nanosiłby stamtąd posłańce lekkie i widmowo błędzące w powietrzu, wahające się niezdecydowanie i białe i kolorowe pióra ptasie, ogony bazancie, lotki gęsie, puch kaczki, pawie oka i bersalierskie trzęsienia kogucich ogonów. No i zaraz zaszumiałby i zatoczyłby się zaułkami gwar ptasich głosów, wieża babel rozhovorów i konkurs piękności głosów i *challenge* wytrwałości na czas i wysokość tonów. A gdybyśmy tam doszli to znaleźlibyśmy się w jarmarku kolorów i dźwięków, jak na tle śpiewającego dywanu. Pewien nawet nie jestem czy w fantazji swojej nie przewidywałem zagubienia się i zatracenia naszego w tym oczekiwanym świecie, najbardziej dopasowanym do naszego ówczesnego świata.

Los chciał że nie doszło do tego. Szliśmy w tym przeczuwanym kierunku, szliśmy ulicą Chorążczyzny, blask słońca łamał się na gipsowych stiukach kamiennych i w bramie domu mimo którego przechodziliśmy stał sobie człowieczek w zniszczonym ubraniu i niewyraźny i zachciało mi się zapytać gdzie jest Plac Teodora.

— Pewnie że wim, abo co, co panu na Placu Teodora? — powiada pewnie do mnie i jakby wiedział o co mi chodzi.

— Chcielibyśmy kupić parę gołębi — powiedziała Panna, patrząc na niego uważnie, szalenie lubiłem ją taką, kiedy rozmawiała z obcymi. Wydawała się jakby była ich ciekawa, trochę zażenowana, zawsze dobra, niby to ona miała do darowania mu parę wspaniałych gołębi.

— Można, mogię dostarczyć — powiedział jegomość, ścigając szalik na szyi, ukradkowo spojrział na mnie, a potem zwrócił się do Panny znów, jakby ta sprawa miała być tylko z nią.

— My chcemy z Placu Teodora — powiedziałem z żalem

że mi ten Plac ucieka znowu w niepoznane i Panna zaraz solidarnie powtórzyła: — My chcemy z Placu Teodora.

— Ma się rozumieć, proszy państwa, z Placu, ja sam przyniosę.

Spojrzeliliśmy na siebie, a potem na oferenta i przystaliśmy, widocznie Placu nie będzie nam dane poznać, zresztą równie dobrze możemy się tam jutro wybrać.

Stańło na tym że jutro popołudniu przyjdzie do nas, do domu tam gdzie mieszkałem, przyjdzie ze swoim towarem.

Na pierwszym piętrze domu, w którym mieszkałem, od frontu mieściła się redakcja „Głosu Powszechnego”. Wchodziło się tam po schodach oświetlonych wysoko, gdzieś na czwartym piętrze przez szyby kolorowe witrażu, który nadrabiał braki smaku artystycznego patriotycznymi epizodami.

Dziennik był organem rzekomo niezależnym. Nieprzyjaźni twierdzili że dyszy dzięki pieniądзом z wydziału bezpieczeństwa. W każdym razie było tam krucho z tymi pieniędzmi i zdarzało mi się być świadkiem żenujących i nieprzyjemnych sytuacji. Myślę że dziennikarstwo jest w swych objawach bardzo zbliżone do funkcji *par excellence* fizjologicznych i na przykład redaktor piszący artykuły wstępne może dać znakomity, wprost kliniczny obraz sprawności trawiennej swego żołądka, czy skutków używanych narkotyków.

Redakcja przypominała sztab brygady kawalerii. Był tam drugi redaktor od wstępniaków, rodzaj zastępcy brygady i szefa sztabu. On prowadził politykę dziennika, patrzył na niebezpieczne horyzonty. Kierownik administracyjny, kwaśny i rzeczowy, urzędował ze swymi adherentami, zagłębiany w papierach i kwitach jak kwatermistrz. Redaktor sportowy, elegancki i rzadki jak kanar w siedemnastym wieku zlatywał na mgnienie oka i pozostawiał za sobą zielone, sportowe serwisy PAT'a. Redaktorka działu kobiecego, spokojna i zrównoważona w tym odrapanym lokalu pomagała właściwie wszystkim po trosze. Był jeszcze poza tym redaktor sądowy, reporter miejski i dwu redaktorów nocnych. Aha — jeszcze specjalista od kroniki prowincjonalnej. Na najniższym szczeblu, Grzegorz, goniec redakcyjny.

Jeżeli idzie o redaktora naczelnego „Głosu Powszechnego” to była to osobistość może najmniej mi znana. Stale robił na mnie wrażenie człowieka jakby samym sobą zażenowanego, swą śmiałością, że potrafi prowadzić dziennik, swą rolą miniaturowego Hearsta. Był należycie jak na dużą odpowiedzialność i ekwilibrystykę dziennikarską zajęty i rozszczępiony na czworo, ale w zetknięciu się ze mną, w chwilach przytomności miał jakies

uczucie podziwu i niespotykanej u niego ciekawości widzenia stworu o najodmienniejszym trybie i dezyderacie życia.

Redakcja mieściła się w kilku pokojach, które tworzyły prawdziwy labirynt, skomplikowany jeszcze przez całe continuum szaf, półek i stosów starych gazet. Jedno z labiryntowych przejść prowadziło do drukarni, której okna wychodziły na wybetonowaną studnię podwórza. Tędy schodziłem ze swego piętra w oficy-nach, kiedy o jedenastej wieczorem rzucałem w kąć czytana książkę i wiedziałem że siedzący pod jaskrawą lampą redaktor nocny ucieszy się na mój widok. Trzymając w tej samej ręce bułkę z szynką i słuchawkę telefonu notował jakąś korespondencję i kiwał mi porozumiewawczo głową. Siedział przed stołem, na którym prócz telefonów pokaźnie miejsce zajmował słój z klejem, zastygłym na jego ścianach w narośle koloru bursztynu. Poza tym błyszcząły tam nożyce, które mi nieodwołalnie przypominały hamsunowskiego „nożyczkarza” z „Głodu”.

Wertowałem plik gazet rozmaitego autoramentu zeszyty w „komplet”, poza tym z nudów zagłębiałem się w periodyki wszelkiego rodzaju, którymi wymiennie obsyłało redakcję. Moje nieodpowiedzialne zainteresowania, automatyzm i nuda kazały zagłębiać się w tygodniki polityczne, traktaty ekonomiczne, miesięczniki z zakresu racjonalnej hodowli konia wyścigowego, biuletyny katedry kosmogonii i astronomii wydawane przez uniwersytet, serwisy humorystyczne agencji budapeszteńskiej. Szmer redakcyjnego wodociągu był znakomitą kanwą dla moich myśli.

Powracałem do siebie przez drukarnię, przedzieloną na linotypy i zecernię do składu ręcznego. Sala linotypów wypełniała podwórze szelestem i stukiem maszyn, zecernia była ciemna od czernidła drukarskiego. Wymieniałem skinienia głową z maszynkarzami od linotypów, z grubym i olbrzymim panem Wolfem, pierwszym maszynistą od rotacyjnej i z zecerami od składu ręcznego. Arystokracja pracowników graficznych, metrampaże, byli ze mną w przyjaznym porozumieniu. Nawet z cynicznymi pracownikami ekspedycji byłem w stosunkach grzecznej i chłodnej komitywy.

Stara, płaska maszyna bijąca „wywieszkę” ostatni raz ruszała w nocy około pierwszej. W stosunku do mojej na czwartym piętrze pracowni była bardzo głęboko w pionie położona, w suterynie, ale grzmot i łoskot jej potrafiłby śmierć samą obudzić. Naturalnie z czasem znakomicie się do niej przyzwyczaiłem, jej regularny marsz nie robił na mnie wrażenia.

Dom poza tym zajmowały jeszcze jakieś biura, poza tym mieszkali tam jeszcze ludzie, których mimo wieloletniego sąsiedz-

twa nigdy nie poznałem i którzy mnie zgoła nie interesowali. Na kilku wychodzących na podwórze balkonach służące rano trzepały mieszczańskie kurze i to, ten poranny werbel doprowadzał mnie zawsze do wysokiego punktu rozbawionej rozpaczy.

Następnego dnia, około umówionej pory zjawił się ów niepozorny jegomość w szaliku na szyi i pod połą luźnej marynarki, za druciane ucho trzymał klatkę z parą gołębi. Mrugnął do mnie porozumiewawczo i pokazał w uśmiechu popsute zęby. Gołębie były nastroszone i grdukało im w puszystych gardłach i było im ciasno w klatce o zardzewiałych drutach i zaśmieconej odchodami ptaków i łuskami nasion.

Powiedział „całuję rączki” w kierunku Panny, wyjmował gołębie, zręcznie przytrzymując uchwytem palców ich rozczapierzone ogony i koralowe szpony, robił się beztroski i swobodny. — „Fajne ptaki — nie drogo — to z Placu” — ale nie ukrywało to jego niepokoju i nerwowego ticku z jakim oglądał się za siebie. Nie było to uderzające, ale atmosfera stała się w dziwny sposób niezwykła i naelektryzowana.

Moja sąsiadka, zainteresowana naszym zakupem, poradziła mi zasięgnąć opinii pana Szczepaniaka, który był starym zecerem od składu ręcznego i podobno zamiłowanym hodowcą i znawcą gołębi.

Na pierwszym piętrze oficyny mieściły się drukarnie. Tutaj, wśród skośnych kaszt panowały spokój i cisza. Jak wiadomo składanie szpalt nie odbywa się przez potrząsanie czcionek w przetaku. Mechanicznymi ruchami wybierają zgarbieni zecerzy czcionki z kaszt, przedzielają je spacjami i wiążą w gotowe składy. Czarna pajęczyna czepia się żalobnym welonem kątów sali. Tłusto lśni rozwałkowane czernidło.

Pana Szczepaniaka znalazłem w tej ciemnej zecerni i znalazłem go wcale opryskliwym i nieufnym, ale temat mej sprawy powoli go atrapował. Tak — znał się na tym — panie tego — nie od dziś — ale — panie tego — co za zainteresowanie się u mnie — patrzył na mnie — nieprzychylnie sponad okularów — pewnie — pewnie — znawstwa gołębi nie nabywa się — panie tego — z dnia na dzień — owszem ma gołębie — państwo szukali na Placu — tam mają — ale ja tam — panie tego — ja nie chodzę — to nie mój interes — mówił niechętny i zagniewany.

Ale kiedy wychodziliśmy to szedł za nami, jednak amator, interesował się, przytrzymał mnie za rękaw i — to niech pokaże, przyniesie — powiedział i wrócił do kaszt.

— Pierwszorzędne — rozpoczął zachwalanie człowiek w szaliku na szyi — Państwo mają szczęście, żebym się z tego

miejsca nie ruszył, królewska para i młode to i zji nie dużo, samo więcej znajdzie, za nic, za bezdurno — z Placu — ja mówić że z Placu — instynktownie czarował tym Placem i wydawało się że zamknięty z ptakami w klatce Plac Teodora wylewa się przez uchylone, drucziane drzwiczki na pokój, wylewa z okien w podwórze kamieniczne i milczącym zgiełkiem przewala ponad dachy domów.

Panna tuliła policzki do nastroszonych piersi gołębi — byłem niezdecydowany. Zdumiony i urzeczony patrzyłem na gołębie które przekrzywiając głowy na bok patrzyły na mnie paciorkami oczu, raz jednym raz drugim.

Człowiek w szaliku przytrzymał uprzykrzone drzwi, brał gołębie z rąk Panny, gruchał jak one, dmuchał w puch ich piór, z przepaścistej kieszeni wysypywał na dłoń i podsuwał im do dziobów proso, wzywał na świadka ciekawą sąsiadkę, która tymiż drzwiami usiłowała się wcisnąć, pieszczotliwie wzywał swoje gołębie ich imionami i gwizdał na nie — było to gwizdanie podobne do świstu wiatru w kominie.

— Ma się wiedzieć, w dobre ręce pójda — mówił — tylko im prosa podsypać, a klatkę, niech stracę, dodam, gwarancja dobrodziejko że para, takiej drugiej nie znajdzie na Placu. Nie drogo, dziesiątkę, słowo uczciwości, para.

Byłem niezdecydowany. Sąsiadka patrzyła powątpiewająco. Łypnął na nią obrażonym okiem i uciekła.

Panna śmiała się, siedząc na mym łóżku i tuliła ozdobne kryzami i o pierzastych łapkach gołębie i wyglądała jak velasquezowska Venera z gołębiami.

— Zaraz — powiedziałem — i przez okno, w podwórzowej bramie zobaczyłem dwu innych, jeden gruby w płaszczu i drugi z klatką pod pachą i mówili coś z żoną stróża i pokazywali na moje okna.

— Zaraz — powtórzyłem i skierowałem się do drzwi i w drzwiach zderzyłem się z żoną stróża, która wycierała ręce w fartuch i miała jakieś widoczne pretensje do mnie. Nie byłem najświetniejszym ani też najczciwodzielnym lokatorem i pytała mnie ironicznie czy Plac to mój interes i czy wiem że pan Szczepaniak ataku sercowego dostał i czy oni, ludzie pracy, to znaczy ona i jej mąż nie mogliby mieć spokoju kiedy są uczciwi i czy pan major Sobolewski, gospodarz, wie i że w rezultacie ma mi coś powiedzieć i ciągnęła mnie za rękaw. Mówiła głośnym szeptem.

— Panie, też to uchowaj Boże, czy pan wie co to u takich pchnąć człowieka nożem to nic, że „konkurencyja” dla takich to jak dla wściekłego psa, co pan sobie i nam nieszczęście na

głowę sprowadza. Ja nic do tego nie mam, ale niech Matka Boska broni...

Nie rozumiałem o co jej chodzi. Na schodach stali maszynkarze od linotypów, w kamizelkach, z rękawami od koszul zakręconymi po łokcie, typy z ekspedycji zamieniali ironiczne wyzwania z podwórzem.

— Gdzie pan Szczepaniak? — zapytałem dwu chłopców-praktykantów zecerskich, stali w oknie zainteresowani i patrzyli w bramę domu i tam zobaczyłem opierających się niedbale o poręcze schodów, rajcujących w bramie i kupujących się w wyjścia ludzi, dorosłych i wyrostków, tęgich kupców i odrapańców. W klatkach, pod klapami podniesionymi surdutów trzepotały się skrzydła i rozkładały wachlarze ogonów gołębie, białe, siodłate, srebrne, szare indygowy, szare jak sól z pieprzem, siwe, popielate, dropiate, perłowe, brunatne, indygowy, mieniące się tęczo-wo i gołąbkowego koloru gołębie i gruchanie słodkie i gołębie wypełniało podwórze domu. Plac przywędrował aż tu dotąd.

Pana Szczepaniaka znalazłem w kącie, dłubiącego w kasztach. Na mój widok obrócił pobladłą twarz i powiększone źrenice oczu w czerwonych obwódkach powiek. Był zdekoncertowany i szeplenił coś niewyraźnie, z czego jedynie „panie tego” zrozumiałem. Nie chciał w końcu ze mną mówić i wypraszał mnie bezceremonialnymi gestami z zecerni. Co u licha! Chłopcy z zecerni śmiali się niespokojnie a ja nie mogąc nic wydusić ze starego wróciłem na górę.

Gruby pan Wolf od maszyny rotacyjnej, czerwony i zaspiany, ukazał się z suteryny, gdzie naoliwiony potwór maszyny rotacyjnej lśnił w kaskadach elektrycznego światła. Pan Wolf, olimpijski i olbrzymi, miał dla mnie pełną dystansu i godności sympatię i teraz wbrew zwyczajowi przełamał swą rezerwę i informował mnie przyciszonym basem.

— To mafia, panie, ci gołębiarze, to gorzej niż frank-masoni. Patrz pan, Szczepaniaka mało szlag nie trafił ze strachu, oni się znają między sobą i kundmanów sobie wydzierają i amator to dla nich wróg i lepiej niech pan to zostawi, dla spokoju, panie szanowny, to gangsterzy i sitwa. Pójdź pan i zobacz. Ale co — pluń pan na to — i chrząknąwszy z niesmakiem schodził do hali rotacyjnej po spirali żelaznych schodów, które gięły się pod jego ciężarem.

Śmiać mi się chciało na myśl o gołębiarzach, czerwone i skrofuliczne twarze, postawione kołnierze i wymięte czapki konkurentów, gołębiarze, jakieś Trinity House ekskluzywności. Byłem oszołomiony tym wszystkim. Mam się za człowieka pozytywnego i oto, jak w powieści Kafki, coś irracjonalnego zaczyna

dziać się koło mnie. Astralna orgia. Panna w obłokach i tęczy skrzydeł gołębic, lśnienia promieni słonecznych na szybach, furkot i łopotanie lotek, barokowe i ażurowe klatki i zgrzyt nasion pod obcasami. Przedmioty tracą swe oczywiste wymiary, jedne uciekają i maleją, inne chorują na elephantiasis i rosną i mętnieją w swym nienaturalnym przybliżeniu, klasyczna jedność i czasu i akcji jakiej podlegamy gubi się w tym delirium.

Usiłuję przywołać się do porządku i zapędzić rozbiegane myśli i obrazy z powrotem na dawne miejsce. Decydujemy się bez wielkiego targu.

Plac zaczyna się powoli ulatniać z naszego domu. Odurzający jak zapach rozlanego eteru, jak eter ulatnia się i umiera. Jego heroldzi nakrywają klatki połamami zniszczonych palt. W studni podwórza lądują ostatnie puchy piór. I dom wraca do dawnego porządku. Maszynkarze stukają w klawisze linotypów, stróżka pochyla się nad mydlinami w balii i Grzegorz, goniec redakcyjny gwizdząc zbiegając po schodach.

Klatkę pomalowałem na czerwony, wesoły kolor i długo schła potem, plamiąc nam palce. Gołębie okazały się parą samic, jak uspokojony i niepoprawny jednak amator pan Szczepaniak zawyrokował, kiedy przyszedł do siebie po nerwowym szoku. Zostaliśmy bezwstydnie oszukani. A koturnowej ciotki i tak to nie zjednało dla mnie.

Na prawdziwy Plac Teodora nigdy jednak nie doszliśmy, nigdy tam przedtem nie byłem i nie wiem czy kiedy będę.

DZIWNIE BYŁO BARDZO, BO...

Ścieki uliczne, biegnące środkiem jezdni, były regulaminowo i co rana malowane wapnem na biało. Dawało to ulicy, wybrukowanej nierównymi, okrągłymi kamieniami pozór schludności i świąteczny. A po obu stronach stały fasady drewnianych domów, niektóre dawno już niemalowane i fioletowe od wypełzonego od słońca i deszczów drzewa.

Chodnikami położonymi wcale wysoko, przechodziło i spieszyło się niewielu ludzi. Pop prawosławny, w obfitych fałdach sutanny i szczodrych rękawach, spod jego czarnego kołpaka spadały mu na barki długie, kobiece całkiem kędziory i kręciła się innego jaśniejszego koloru broda. Żydzi tych stron, w laickich, nieortodoksyjnych marynarkach, co było także bardzo dziwne i czapce z daszkiem, chłopci okoliczni w nasadzonych stromych „furażkach” i w barchanowych rubaszkach luźnych i nieprzepasanych. Aptekarz w białym kitlu i binoklach w drzwiach apteki, w binoklach i z bródką, jak z Czechowa.

A obok zaraz na zielonej, porosłej trawą szkarpie mur cerkwi i bania cerkiewna malowana na jaskrawy zielony kolor świetnie, jak grynspan miedzi i gałęzie drzew nad ulicą a trochę w prawo gdzie wznosi się podjazd, strzela ku górze barok kościoła i dwie wieże palą się jak dwie gromnice.

A jeszcze wyżej, że głowę trzeba zadzierać, góry urwiska wąwozu, w którym leży miasto. I po jednej stronie wypróchniałe mury zamku Bony i stromy stok jak fałdy spódnicy z lamy spada ku miastu, a po drugiej stronie drzewa i zieleń i gąszcz dwu cmentarzy rozbiegłych po szkarpach, katolickiego i prawosławnego.

Dziwne było bardzo w tym mieście, bo:
Po pierwsze: studnie.

Po drugie: robaczki świętojańskie.

Po trzecie: Tivoli.

Po czwarte: cyrk.

Na ostatku były kopce kartofli, które zmarzły w zimie i teraz w lecie na poły rozkopane rozwłóczyły po polach ohydny, mdlący, do niczego niepodobny smród, ale to po prostu nie do zniesienia.

Więc studnie. Nie wiadomo jakiemu geologicznemu fenomenowi przypisać to, że do wody dowiercać się było trzeba tu do fantastycznej głębokości. Mówiono 60, 70 metrów. Kiedy wstępowało się stromymi, bocznymi uliczkami miasta ku ścianom wąwozów, wpośród ciemnozielonych od drzew mieszczańskich ogrodów, kiedy gałęzie wiśni zwisają ponad drogą, śmieje się kwiat słodkiego groszku i czinele słoneczników zadzierają swe tarcze ku słońcu, natykało się na krzywe ocembrowanie na rogu, i na zbakierowanym walcu kołowrotu nawinięte niezliczone spirale porzewiałego łańcucha mówiły że to nie byle jaka studnia. Jak wychylić się było z niepokojem nad gardłem studni to wiała stamtąd bezdena czeluść.

Studnia czekała jakby zaczajona, co sobie będziemy poczytać i od razu jakby ktoś za nami podszeptał myśl, zjawiało się zachcenie. Powiedzieć, krzyknąć coś tej studni, bo echo. I rzeczywiście — echo. Ale jakie, niebyszące! Powiedzieć „Echo!” i w sekundę potem, wspaniale, wyraźnie, odwraca się nasz głos i w tętnie rozedrganych kamieni ocembrowania wraca i huczy i oddzwiecza się nam piękniejszym i głębszym jeszcze głosem. Powiadamy zadziwieni „To fantastyczne...” i za chwilę skanduje się z jej głębi dzwięcznie jak śpiż „...ntas — tycz — ne!...”, Za chwilę znowu powraca nasze nabożne i zadziwione westchnienie „Aaah!...”. Ależ to zabawa! Jesteśmy zadziwieni i chwilowo zatkało nas, nie wiemy co mówić. Za chwilę znowu, wyrywamy się sobie i jeden drugiego odpycha i chce sobie monopolizować czar studzienny. Ja, w pięknoduchowskiej egzaltacji

A kiedy milczy niebo, śpiewa chór...

A kiedy śpiewa chór, drży serce wroga...

Tadzio Karasiński na przekór i z nieprzyzwoitą satysfakcją jakies coprolalie... Za chwilę powraca i huczy „...lczy niebo... rce... wro...” i „...tknaj się... rdolonna mać...”.

Pluszowy mech porasta cembrowinę.

Kiedy spuszcza się ogary w górach ze smyczy to staje się na zasadzce w górze, bo co? bo zwierzyna uchodzi zawsze do góry i do góry. Kiedy napadały mnie myśli, jak zdyszane ogary

to uciekałem w górę wąwozów, które piętrzyły się po obu stronach miasta. Ogrody miasta wspinały się stromiej i stromiej i mieszały się z bukami, grabami, leszczyną, brzozą, drzewem akacji i kaliną rosnącą na zboczach.

Można sobie było potem, kiedy w dole miasto leżało głęboko i zaczęło zasnuwać się dymem wieczornych ognisk i mgiełką chłodnej nocy, można sobie było iść urwiskiem wąwozu, i patrzeć ku dalekiemu horyzontowi, w którym znikał meander siny Ikwy i patrzeć ku zachodowi, gdzie czerniał kopiec Sokolej Góry, albo gdzie szczyty Ławry Poczajowskiej lśniły jak grotty złożone w zachodzie słońca, albo ku smugom lasów, które dygotały się dymem tartaków w Smydze. Ku południowi miasto zaczynało wypełzać na pola domami nowoczesnych urzędniczych osiedli, przemyślanych, utylitarnych i tak nie w pejzażu.

Bona szczerzy swą trupią głowę i jej suknia ze sztywnej lamy leży bardzo po velasquezowsku (Wydział Miejski próbuje zalesić jej stoki sosną, nie wychodzi to bardzo, ale dodaje lamie sukni bardzo szlachetnego deseni). Więc jakto tam z tymi ogarami myśli?

Otóż marzy się, na tej górze, idąc urwiskami wąwozu, ładnie wydeptanymi ścieżeczkami, gdzieniegdzie „placki” krowie, dalej jak się mówiło wyżej, cmentarze, dwa cmentarze, otóż marzy się tam „o wszystkim i o niczym”.

Jak popatrzeć w południową stronę, w stronę Wiśniowca, Katrynburga, Wołoczysk, Załoziec to rozkładał się kraj jak wachlarz i jak rozsypana talia kart. Czadziła się nad nim w upale po gorącym dniu śręczoga i chmury układały się w nostalgiczne krajobrazy.

Potem robiło się ciemno i zapalały się światełka w mieście na dole. O zmroku kolory układają się w inną skalę, czerwone kwiaty, kora sosen, stają się czarne, niebieskie za to bledną i nabierają lunatycznego światła. A żółte stają się o ton jaśniejsze i wydaje się że palą się własnym płomieniem. A potem wszystko zalewa się i układa jak wyrobione w jakimś solidnym materiale i komponuje się w inne i niespodziewane grupy. Te dalekie uciekają na podwójny dystans, te bliższe przyskakują nam do twarzy. Jest nam wtedy niesamowicie i wesoło. Mamy jakieś siedmiomilowe buty i gdyby nie to, że nic się nam nie śpieszy to by zabrakło nam przestrzeni.

I wtedy zapaliło się coś w jaśminowym krzewie i zgasło i zapaliło się znowu i przeniosło się na kępę trawy przy ścieżce. Co za zabawa! Aniśmy o tym myśleli, ani nam przez głowę taka ewentualność nie przeszła, aż tu taka oczywistość świętojańska i fosforyczny kawał, entomologiczna dziwaczność. Tak samo

jak się obraca koło sezonów i pogody i zawsze do znudzenia jesteśmy gotowi wymieniać codziennie i tyle banałów na temat meteorologicznego kołowrotu, że to „Panie słota” że to „leje jak z cebra”, bo to „trzech braci mroźnych”, a tamto że „aneroid pokazuje na burzę”, „ależ psia wichura” i tysiące innych i nieznuzonych, tak samo jak kłósi się nam pole i stajemy wobec tej oczywistości zadumani, oczywistości że niesie chmurą pyłu zbożowego, albo kręci się po tytcze spiralnie i precyzyjnie najgłupsza w świecie fasola, albo skrzypi nam pod nogami nie co innego tylko odurzające nasienie buka, „bukwa”, rozczzerwieni się dzięki wino po kracie ganku, albo wróbel tarza się w gorącym kurzu drogi, „kąpie się”, albo zamarznie nam woda w miednicy, w nieopalanej łazience, albo dotkniemy rozpalonej blachy wagonu w lecie i aż nam bąble wyskoczą od oparzenia, starzy już ramole i nudziarze, zblazowani i roztyli, mamy jeszcze pozostawiony nam strzępek cudownego daru dzieci dziwienia się światem.

Kiedy więc teraz przyklekam wśród łopuchów i chwastów, rozgarniam je rękami, w pościgu za błękitnym płomyczkiem to właśnie „w charakterze” impulsywnego i zabawionego entomologa. Że mi to nie wychodzi, że to co wydaje się, że już zakryłem dłonią gaśnie i zaczaja się automatycznie to nic, bo zostaje mi zawsze dreszczyk i pointa świętojańskiego, „a że to było w lato i wieczorami to paliło się w krzakach od świętojańskich robaczków”.

W tymże samym czasie był cyrk. Mówiły o tym biedne afisze tłoczone na półarkuszu, oszczędnie, i niebieskim ołówkiem wypełnione były puste miejsca pozostawione dla wpisania miejscowości i daty. Ale tłuszciej to było że BIM i BOM, że tresowane psy, że Rodzina Corradini, że Człowiek w łańcuchach itp. Więc dnia jednego, w czasie kąpieli w Ikwie, kiedy wymoczyliśmy się do obrzydzenia (wynajmowało się rowery i hajda! do tej Ikwy), to ktoś mówi: „Wybierzmy się do cyrku”.

Trudno, ale cyrk musimy także zaliczyć do cyklicznych zjawisk, bardzo niecodziennych, mało jest cyrków teraz, wykańcza je kino, rozmaite inne mechaniczności ale jest zjawiskiem powtarzalnym. Każdemu z nas zdarzyło się być dzieckiem w cyrku (niejednemu pozostaje uraz i uwarunkowanie, pamięć terroru i niesamowitości), potem zawsze jeszcze pozostanie cyrk jako konieczny rekwizyt sztuk plastycznych, bardzo to wysublimowany temat cyrk, kłowni, arena i tak dalej, zawsze trapez będzie jak u masonów trójkątem dla każdego szanującego się artysty, trykoty także, a jakże.

Cyrk był bardzo biedny. Bardzo połatany namiot, w powszedni dzień bardzo mało publiczności. Jakiś bardzo wschodni

cyrk, bo proszę weźmy Bim i Bom, w typowych włóczgow-
skich i przepisowych żakiecie i pogiętym meloniku i przybrud-
zonym kostiumie Pierrota i umączone twarze i szpiczasto nama-
lowane brwi i czerwony rozwarty uśmiech wymalowany na twa-
rzy. Ale swoje ordynarne, co tu mówić, plugawe kawały, mówili
w jakimś lingo, które pierwszy raz słyszałem, mieszanina rosyj-
skiego, białoruskiego i ukraińskiego, jakim mówią na Wołyniu
z litwackim tonem i jak Boga kocham nie mogłem tego zrozu-
mieć. Więc to był cyrk, jeżeli zważyć tę specjalność i lokalność
językową był więc bardzo, jak się to mówiło regionalny i zasta-
nawiało mnie to że impreza ta obracała się w bardzo ograniczo-
nym terenie, między Kamieniem Koszyrskim, Hrubieszowem,
Stojanowem, Wiśniowcem, Ostrogiem i Rokitnem, geograficz-
nie rozległym ale o bardzo skurczonych i nieprzyjaznych możli-
wościach kasowych.

Potem był numer akrobatyczny. Po każdym popisie, każdy
z Corradinich wykonywał rodzaj „pas” czy pełnego godności
dygu wstecz, z wyprostowanym korpusem i obiema rękoma
wzniesionymi do wysokości ramion, dłonie zamknięte, tylko
uniesiony wskazujący palec i ten gest bardzo skoncentrowany
i wybalansowany zakańczał każdy odosobniony pokaz, jak gdyby
w jego skupionym i magicznym wyrazie zaważyć miało przy-
pomnienie i utrwalenie, zamknięcie całkowite perfekcji i dosko-
nałości numeru. Było to bardzo dobre i nawet jeżeli w gracji
i wdzięku poszczególnego numeru coś szwankowało, jeżeli zawa-
dzało to o trywialność lub styl się mieszał, to ten gest końcowy,
poważny, hieratyczny i dziwaczny bardzo ładnie ratował czasem
sytuację.

Były pieski tresowane bardzo sztywne, biedne i pstro po-
przebierane i cały czas kątem oka wisiały zawieszzone u spojrze-
nia tego pana co sobie nimi tam dyrygował, kazał włączyć na mi-
niaturowe drabinki, chodzić po poręczy i wywijać kozły w po-
wietrzu jak jakiś psi taniec Św. Wita.

Był jeszcze między innymi Człowiek w łańcuchach. Na-
przód jego uszmiokowana asystentka oplątywała go w zwoje
łańcuchów, kiedy ręce w łokciach miał już związane boleśnie
powrozem. Potem miał dłuższą przemowę do publiczności w takim
samym, wspomnianym lingo, nic z tego nie rozumiałem, po czym
świadkowie, dwu takich poproszono sobie jeszcze przedtem z
widowni, świadkowie o przejętych odpowiedzialnością twarzach
ogładnęli węzły i kłódki. Potem ten siłacz o nagim, nabitym tor-
sie zaczął nadymać się, pęcznieć, głowa wlała mu w barki i w
ciszy skupionej cyrku słysząc było jego ciężkie sapanie. Pot
obficie wystąpił mu na ramiona i barki, fałdy spuchniętego wy-

siłku w miejscach gdzie nie było łańcuchów. Było to bolesne i niesmaczne patrzeć na te konwulsje. Wreszcie po jakimś czasie, jakimś tam sposobem osunęła się jedna, druga pętla, długo nieskończenie trwało szamotanie się z powrozami krępującymi łokcie i i przy niebardzo frenetycznym aplauzie Człowiek wystąpił z koła opadłych na ziemię łańcuchów i miał czerwone pręgi na tłustych i muskularnych barkach.

Potem wkoło trocinowej areny tupotał w ciężkim kłusie biały koń, miał pięknie „wyganaszowany” łeb, spięty krótko do czerwonego napierśnika. Tłusty, biały zad, pomimo skrupulatnego czyszczenia miał żółte ślady od utarzania się w nieschludnej cyrkowej tajni i wołyżerka w różowym trykocie i baletniczej spódniczce stała w piruecie na jego tłustym, drgającym w kłusie zadzie. Bardzo chudy człowiek w brudnej liberii szedł po krótszym kole areny i obracał sznur uwiązany do drewnianej poprzeczki od lonży cyrkowego konia. Trzech muzykantów jeden z saksofonem, jeden ze skrzypcami i trzeci z bębniem i kotłami ilustrowali dosyć melancholijnie i ostro cały ten spektakl.

No to jak już była tak wielka okazja, to po cyrku wybraliśmy się do Tivoli. Tivoli to był ogródek-dansing i mieścił się w jakimś dawniej szanownym prawdopodobnie domu i wchodziło się ładnie przez furtkę na haczyk, jak do babci w odwiedzin, w podwórzu rosły akacje i w ich nocnym cieniu stały porozstawiane stoliki i na gałęziach drzew zawieszono na rozciągniętych drutach były festony z żarówek kolorowych i mrugały sobie między falbankami liści.

Wyżej, po schodkach, na ganku był „parkiet” i orkiestra, i właśnie orkiestra zagrała „tusz” i potem na parkiet wyszedł właściciel i powiedział: „Panie i Panowie!...”.

Bez nas Panów było trzech, podpity komisarz z Równego i dwu jegomościów, wyglądających na podróżujących agentów przedstawicielstwa Cleveland Tractors, oraz kot śpiący na jednym z krzesel. Panie to były dwie fordanserki siedzące przy stoliku najbliższym orkiestry, jedna bardzo duża i o ordynarnej twarzy i druga bardzo przystojna i nadąsana. W bocznej ścianie domu były otwarte drzwi od kuchni i bardzo jaskrawy kwadrat światła padał na trawę i tamże strasznie niechlujny chłop szorował wewnątrz olbrzymiego, aluminiowego kotła i to szorowanie zagłuszyło nam obwieszczenie właściciela.

Po czym orkiestra zaczęła melancholijnego bluesa i mój Tazio Karasiński zostawił mnie samego i poszorował prosto do stolika fordanserek i poprosił tę przystojną do tańca. Ale odmówiono mu kapryśnie i Tazio skierował się do tej większej i obdarzony uśmiechem i ramieniem poprowadził ją na parkiet,

górowała nad nim i chwilami kiedy przesuwali się w pociągłych pas bluesa i była do mnie tyłem, to tak go zakrywała swą zwalistą postacią, że wydawało się dziwnie że tańczy sama.

Teraz było już więcej gości w ogródku-dansingu, jakies liczniejsze, rozbawione towarzystwo, jakaś para, „parkiet” zapełniał się tańczącymi, przy innym stoliku siedziało dwu poruczników pułku ułanów z Białokrynicy, jak bliźniacy, w kusych letnich mundurach, fasonowych butach i obaj nosili szkła, i zachowywali się przystojnie, z lekką pogardliwą nonszalancją wobec cywilów. Mój Tadzio obserwował ich i ich maniery spod oka, ten snob zaprzysiężony, bardzo mu imponowała nonszalancja krótkowzrocznych poruczników.

Dyrygent orkiestry we fraku i bardzo znudzony, przyciskał brodą skrzypce, miał elegancko podłożoną jedwabną chustkę, obracał się na obcasach w stronę zespołu, potem ku tańczącym. Podeszła do naszego stolika mała kwiaciarka i Tadzio położył jej pięćzłotówkę i wybrał dwie róże, amarantowe i było w tych kwiatach coś sztucznego. Dopiero jak ukłułem się boleśnie w palec przekonałem się, że nie od kolca, ale od cienkiego drucika, którym płatki były spięte w koronie, ażeby nie rozsypały się w ciepłej atmosferze lokalu. Róże były także sztucznie perfumowane tanią perfumą. Róże kelner zaniósł fordanserkom, ta przystojna nie rozdała się, ale ta duża rozwarła się w szerokim uśmiechu.

Tadzia już całkiem poniosło, „zakomenderował” karafkę wódki, muzyka zagrała tym razem coś „do słuchu”, Tadzio patrzy wyzywająco w stronę Bogu ducha winnych ułanów.

— Czemu nic właściwie nie robisz — wdzięcznie obiera sobie moją osobę za temat dyskusji — więc nic nie robisz, jesteś leni, jesteś czymś co nie pasuje do życia społecznego, nie widziałem takiego lenia... Chodzisz w kółko, gubisz się w samym sobie. Asystujesz mieszczańskiemu życiu, schlebiasz mu nawet paradoksem odwróconego życia, zapewniasz ich tym paradoksem o ich cnotach, żyjesz ochłapami, na śmietniku, taki lumpenproletariusz — czy nie dobrze trafiłem? — był zadowolony ze swej diagnozy i nie chciałem długo zostawić go takim zadowolonym.

— A ty jesteś po prostu snob, powiadam mu już bez ceregieli — jesteś snob i to, że miałeś onegdaj wizytę policji to namaściło cię i nadęło jak purchawkę. Ty szakalu Żorża Siedleckiego.

Tadzio na wzmiankę o Żorżu Siedleckim całkiem się rozmarzył. Znałem go w tym rozmarzeniu. Sam to nie potrafił i nie umiał, ale wyżywał się w Żorżu, z którym co najbardziej go

łączyło to to, że chciałby być taki jak Żorż, zawsze chciałby być kimś a nie sobą. Bluff panie Karasiński! Powiadam mu to głośno:

— Bluff panie Karasiński!

Tadzio nie obraża się na mnie.

Wczoraj mnie nawracał, zanim poszliśmy spać. Zajechał mnie naturalnie manifestem komunistycznym Marksa i że materializm historyczny, że żelazna logika tezy, antytezy i syntezy, że rewolucja, że nieuniknioność i oczywistość jej dziania się jest czymś co rzeczywistość mieszczańską sprowadza do sfer abstrakcyjnych, do mgły i puchu. Słuchałem tego, ładnie uwarunkowany przez wychowanie a przy tym obojętny do tego stopnia, że oczywistość wyводу i perswazji nie dochodziła nawet do mojej drugiej skóry, co mi tam ten snob mówi. Bo też pożał się Boże na takiego emisariusza, Jana Chrzyciela prostującego ścieżki i pana z reflektorem po czarnych cieniach reakcji.

Tadzio Karasiński pił, był, co tu ukrywać, był alkoholikiem czystszej wody. Trzeba było widzieć jak przyniesiono nam na tacy wódkę, jak opanowany ale intesywny, skupił się poważnie, a tu krążek księżycowy, chwiejny i czuły, chyba się u lejka kieliszka, kieliszek czystszej z rosą paru kropel na cienkiej nóżce, kiedy jej trochę uroniono przy nalewaniu.

Jeden haust, szybki i celny, od podniebienia uderza aż w nasadę nosa, ostro, grzecznie a przymilnie, leciutko zajeżdża, ale to nieskończenie leciutko, fuzlem gorzelnianym, leciutko, bo to i czysta i wyborowa, ale swoją drogą zawsze siwucha i ma to swój smak także.

Po tym pierwszym kieliszku mój Tadzio ułamuje kawałek chleba, zwykły, przaśny żytniowy chlebek, łamie go chrystusowo i przytyka do nosa, wacha wprawnie, jak kiedyś zażywano tabakę, więc ten pijacki przesąd, nawyk i gest, tik pijacki, hermetyczny i hieratyczny ubawił mnie, ale ja nic.

No to drugi kieliszek, ale poważnie i spokojnie.

No, dosyć tego! Teraz kiedy już ładnie jest podmalowane tło, sztafaż, drugi plan, kiedy opowiedziałem jak to tam było i jak zielono pieniały się drzewa w wąwozie miasta, jak było leniwie i nieodpowiedzialnie w gorące letnie południa, wszystko łagodne domowe i spokojne, od kolorowych, dwukolorowych lemoniad w wąskich słojach w żydowskich sklepikach z napojami chłodzącymi (między innymi lodami także kwas chlebowy, a jakże) ze smakiem czereśni wodnistych i w kopiastych pagórkach na targu, kiedy wiemy jak cieniuje się w pilastrach i kartuszach i zdyscyplinowanym projekcie, barokowa fasada kolegiaty, kiedy malowane olejną farbą na cynobrowo-róż indyjski i na oliwkowo-zielono blaszane dachy domów (i zaczyna osadzać się

cieniutka warstewka grynszpanu-patyny na nowopokrytym dachu i hełmach wież kościelnych), kiedy wiemy już jak konie chrupią obrok z karmiaków, jak wozy stoją przy krawężnikach chodników i obrok rozsypany i koński nawóz kiedy wiemy jak monotonnie i ustawicznie wilgi poświstują w lipowych kopułach drzew, monotonnie „fiju-fijuu...”, kiedy tak samo swojskie są skrofuły na twarzy żydowskiego woziwody i binokle na nosie licealnego pedagoga, kiedy policjant w za ciepłym na lato i dyskretnie rozpiętym kołnierzu munduru i czapce powleczonej białym, świeżo upranym pokrowcem, kiedy chłopka, baba z Dederkałów z małym zasmarkanym i bosym chłopcem, ale w nowej, jarmarcznej czapce i oglądającym się za autobusem, a na autobusie napiętrzone kosze i walizy i przeładowany i napis Równo-Ostróg i kiedy znajomi mi są i opatrzeni i sekretarz starostwa i hycel miejski i były sztabskapitan carski i eleganci lokalni w za krótkich spodniach i fildekosowych skarpetkach i kołnierzu wyłożonym i sekciarz, tłumacz pisma świętego o wyleniającej bródce i major z powiatowej komendy uzupełnień, architekt z Łucka na dietach, tutaj wysłany przez wojewódzkiego konserwatora, i panny biurowe z urzędu ziemskiego i panny z kooperatywy „Tęcza” i panny z letniego kursu muzykologii, w drukowanych letnich perkalikach i stary chłop w nieprzepasanej rubasze wypluwający siemiaczki i monter z elektrowni miejskiej i źle zakonspirowany emisariusz z Galicji, ukraiński irredentysta wysłany na Wołyń do źle prosperującego tu oddziału Masłosojuzu i wachmistrz ułanów z Białokrynicy wysłany po zakupy dla kasyna oficerskiego i katecheta licealny chudy i ksiądz prałat tłusty i nowa żniwiarka, prosto z wagonu, jeszcze kolorowe koła i etykiety i ciężko załadowany wóz frachtowy do składów i inny z cegłą i praktykant z tartaków na nowiutkim motocyklu Harley-Davidson i Tatra starosty i linijka, na której przyjechało trzech poruczników ułanów i czwórka bałagulska z krakowską uprzężą pana z Pustomytów i żebraczka na odpust do Ławry Poczajowskiej i kiedy znam już i postoły lipowe w kramach obok Chevroleta i kiedy wiadra cynkowane Huty Chorzów i uczniowie z liceum w Pepegach i z piłką do siatkówki i zabiedzona małżonka urzędnika IX-tej kategorii w kapelusiku i z koszykiem do jatki i kiedy ponad tym jeszcze raz niebo błękitne, albo niebo popielate albo niebo perłowe i liście drzew albo leciutkie od wieczornego chłodu albo nerwowe od ulewy albo blaszane od upału, i kiedy psy albo w podwórzach ujadające wzdłuż sztachet za przechodniem, albo chude i obojętne, w poszukiwaniu za ochłapem na targu, albo wesole i cyniczne i głupie, kiedy kręcą się za małą suczką koncypienta adwokackiego, i kiedy to wszystko, wilgi, popi,

Żydzi, włochate gąsienice pełzające po parkanie, łuszcząca się farba na drzwiach sklepików, kiedy nagrobek pani Salomei Becu i papierosy Płaskie i Sporty, nerki i krzyżówka na haku w jatce i najnowszy system daltoński próbowany w liceum, kiedy to wszystko jest już dobrze przemieszane i swoje i uležone i przykryte zapachem jaśminów wieczorem, to dosyć!

To nic, że działo się to wszystko parę lat przedtem, bo kiedy tego a tego poranka znalazłem się w tym samym otoczeniu to powróciło to wszystko i odkryło takie samo i takie identyczne. Czekał sobie ten świątek i obracał się w swoim własnym układzie planetarnym, takim jakim go poznałem lata temu i ani nic dodać ani nic ująć, jak co zapomniałem albo jak co zaginęło we mnie, kiedy kiedyś stąd się wyniosłem, to teraz jednakowe i takie samo albo mi pachniało, albo mi się kolorowało albo układało w ten sam deseń, wszystkie te fenomeny, jakbym przepuścił film na nowo przez aparat projekcyjny. Słońce bo słońce, Bona bo ta sama trzyma miasto pod swą mediolańską stopą, administracja powiatowa chyba że ta sama, liceum swoje, Żydzi ci postępowi swoje a ci chasydzi czy ortodoksi swoje, lipy takie same, płoty co niektóry spróchniał to go naprawili albo nie, Ikwa płynie, jaśminy pachną o właściwej porze. Cóż mnie tu przywodzi?

To bardzo osobista sprawa, którą normalni ludzie przeżywają osobno i zagrzebują potem głęboko gdzieś, albo jak się który upije to wypłacze to na kamizelkę najlepszego przyjaciela, albo nawet kogoś przypadkowego, w każdym razie jest to u normalnych, że tak powiem, bardzo kameralne. A jak się okazuje ja mogę sobie to wypowiedzieć w tak zwanej artystycznej formie.

To jest niedziela. Umówiłem się listownie na niedzielę i nie bardzo wiedząc gdzie, powiedziałem ażeby w kościele była o jedenastej na mszy, i poszedłem w stronę kościoła jeszcze grubo za wcześnie, bo nie wiedziałem gdzie się podziąć. Naturalnie że byłem za wcześnie. Idąc powoli patrzyłem niewidzącymi oczami po zaułkach, murach, po starych domach, które miały dachy kryte holenderską dachówką w odróżnieniu od nowszych krytych malowaną blachą. Architekt z Łucka spisał się bo front barokowy kościoła był pięknie odmalowany i miedź dachów już ładnie pozieleniała i rampa przed kościołem była cudownie odbudowana, kiedyś, kiedy tu byłem była w ruinie, a teraz z tych ułomków, krzyżali, cokołów, stopni, lalek kamiennych balustrady sklejo to jak stare naczynie i gdzieniegdzie tylko wstawiony kamień w ten kiedyś rozsypany kamień „jig-saw” odbijał się jaśniejszym kolorem od starych szczegółów.

W odświętnych ubraniach i sztywno, grupkami szli do kościoła mieszczanie, religijny instynkt i niedzielna nuda osiągnię-

cia siódmego dnia odpoczynku, po przekleństwie i nudzie potu codziennego, tygodniowego łożenia i zadzierania i zaczepiania o mniej lub więcej artykułowaną pracę lub to, co w schematycznym mniemaniu miało być tą pracą, szopenhauerowska nuda mieszczańska sytości osiągniętej niedzieli, pustka tego osiągnięcia i nuda i jeszcze raz nuda i głupi wyraz twarzy człowieka w sztywnym kołnierzyku i niedzielnym ubraniu, z małżonką zawieszoną u łokcia i potomstwem, dwa kroki z przodu i w zaciasnych niedzielnych trzewikach, a w domu pieczeń wieprzowa z purée grochowym i knedle ze śliwkami, nieuniknione jak śmierć, jak konstytucja i teoria Einsteina.

Chciałem sobie poczekać przed kościołem ale po pierwsze zaszumił letni deszczyk z niewiadomej chmury i głupio mi było tak czekać pod defilującymi spojrzzeniami niedzielnej kongregacji. To sobie wszedłem do kruchty i tak się ustawiłem, żeby kto wchodzi to go widzieć i nie przeoczyć jej.

Potem zaczęło się nabożeństwo, suma śpiewana, więc zadygotały organy i słuchałem jak niskie tony dudniły już w tak niskim, zredukowanym do ilu tam? do szesnastu drgań, kiedy głęboki ich głos jest już na granicy zaniku i bólu w uszach. Trochę wpadłem w trans, jaki miewałem w dzieciństwie, czad w jaki zapadałem kiedy w skupieniu, perspektywie nawy, z daleka pełgają świece ołtarza i w górę ucieka wzrok gdzie takie czy owakie sklepienia czy fałszywy gotyk, czy żagle rokoka czy spokój baroku, gdzie przede mną widzę pochylony kark chłopca a skóra na szyi spalona na brąz i zbiegła w tysiąc zmarszczek jak u zwęglonych zwłok, gdzie westchnienie nabożne u mego łokcia zatroskanej religijnie chłopki i frufru spódnic i halek mieszczańczki z przedmieścia i toczek i woalka i urękawiczona ręka z książką do nabożeństwa tej czy owej pani z Towarzystwa św. Tomasza à Kempis, i sterczące uszy i zwichrzone i mokre od szczytkowania głowy młokosów i muzyka organów, głębokie tony dudnią w nieskończenie długim tle a wyższe w pasażach, jakby ktoś tam szukał i chciał się wypowiedzieć. Nie ma jej.

Nie ma jej i nie ma. Może nie dostała listu, może ją przeoczyłem, może była na wcześniejszej mszy? Nie ma jej.

Potem jeszcze raz kiedy ludzie wychodzą to wartuję i szukam i nie ma. Deszcz przestał padać, pozostawił kałuże w nierównych płytach chodników. To sobie myślę, ee co tam, pójdę podowiaduję się gdzie jest dom tej tam jej kuzynki co to jest za referentem ze starostwa i dowiem się. Ktoś zapytany powiedział mi gdzie jest starostwo, woźny w starostwie powiedział mi adres domu gdzie pan referent, dom mieścił się w górę wąwozu,

wszystko co nie leżało przy głównej arterii to było w górę, po jednej lub po drugiej stronie.

Tych państwa to tam nie zastałem, nie było ich jeszcze z powrotem lub nie chcieli mnie widzieć ni informować, tak mi powiedziała służąca, to poczekałem na ganku, popaliłem papierosa, zagasiłem go w wazoniku na oknie werandy i ogłupiały i nie wiedzący co robić zeszedłem na ulicę.

I oto szła ona, powoli, z głową pochyloną i zapatrzona w ziemię. Ta sama i nie ta sama. Potem podniosła głowę i zobaczyła mnie i jest na to takie słowo, zachnęła się, zachnąć się to jest kiedy coś gadamy i zagubimy tok myśli, albo zaskakuje nas jakaś zmiana czy logiczny porządek rzeczy się popsuje. Można się zachnąć kiedy się myśli. Więc zachnęła się.

Bardzo niezgrabnie przywitaliśmy się, coś tam tłumaczyłem się jak się tu znalazłem, w okolicy tego domu jej kuzynów. Wiedziała, było oczywiste po co aż tu zawędrowałem.

Idziemy teraz, bardzo powoli i milczymy. Jest już ładnie na dworze i słońce. Idziemy leniwie, nie umiem teraz powiedzieć czy się cieszę czy smucę ze spotkania. To już prawie trzy miesiące minęły od pożegnania i nie widzieliśmy się całe trzy miesiące i coś się stało w ciągu tego czasu, wiem że się stało, ale nie chcę dopuścić myśli o tym do siebie. Więc nadrabiam miną i jestem beztroski i radosny jak należy z tego że się znowu widzimy, znowu widzimy. Patrzymy na siebie z ukosa. Wzięła moją czapkę i niesie ją w ręce i obraca. Potem mówi do mnie:

— Przytyłeś. Przytyłeś i nosisz się jakiś zgarbiony.

To dziwne ale wydaje mi się że przytyła także. Jest bardzo opalona i bardzo zdrowo wygląda i nie pasuje przy tym mars jaki ma na czole.

Pytam ją:

— Czy się coś zmieniło? Ty mnie już nie kochasz.

— Tak, nie Kocham cię...

Jest to takie nieprawdopodobne, że przechodzę nad tym do porządku, cóż to za gadanie, za przekomarzanie się! Jestem nagle beztroski i gadatliwy i pełen animuszu i kryguję się a tu skoczyła mi do gardła troska. Mówię jej:

— Co za głupstwa wygadujesz, wiesz chodźmy gdzieś w górę, od tej niedzieli, gdzieś gdzie drzewa i trawa, wiesz że kiedyś tu byłem, co to, parę lat temu, co za czasy były, czy jest tu jeszcze „Tivoli” taki dansing, jak się idzie w stronę cmentarzy...

— Był ze mną wtedy Tadzik Karasiński, komunista, taki snob, mały, włosy mu tak jakoś sterczały jak nastroszone piórka, zawsze nosił słoneczne okulary... Pijak, alkoholik nałogowy, co

tu ukrywać... miał straszną szramę na policzku, jak go było zapytać to mówił w knajpie mu butelką od piwa, ale naprawdę to miał pojedynek, taki snob, i przeciwnik, mistrz szermierki z Hasmonei tak go rozkroił i pozeszywali go i mówił mi, że następnego dnia jechał na Boże Narodzenie i nie miał już na tramwaj i szedł z walizką piechotą na dworzec aż z Łyczakowa i walizka była ciężka i szwy mu popękały i dlatego ta szrama...

Ma na sobie perkalikową sukienkę letnią w jakiś deseń, białą w deseń i kapelusik i jest nachmurzona.

Wciąż gadam jej głupstwa. A było tak, że jechałem niespokojny i zmęczony długą podróżą, i do mego niepokoju i niecierpliwości mieszał się krajobraz zataczający się za oknem wagonu i jak stanęliśmy gdzieś na przystanku na krótko to podbiegała łąka, taka pełna i gęsta od traw, mietlicy, koniczyny, dmuchawców, i zaraz dalej struga w cieniu wierzb i osiczyny drzewa porozwidlane i ciężkie od chlorofilowej zieleni i żyto już pod sierp tylko z kąkolami i zabłądzonym między nim owsem i znowu kępa drzew i druga i tak wspaniale wkomponowane w krajobraz i dalej, dalej strome urwisko płyty podolskiej, siniutkie i ciepłe w popołudniu letnim i chciałoby się wyjść i pójść na przełaj jak to urwisko...

Tak jak teraz uciekam od rzeczy tak wtedy uciekałem i płożyłem się przed rzeczywistością nadchodzącą. Usiłuję ją wciągnąć w rozmowę, co tu robisz?

— Nic, przyjeżdżam czasem na parę dni, gramy w tenisa — ożywiła się i przygasała.

Kiedy patrzę na deseń nadrukowany granatowo na białym perkalu jej sukienki, głowię się co to jest, jakież to deseń? Rozsiane drobne przecinki i zawijasy, w rezultacie można to od biedy przyrównać do obrazu laseczników gruźlicy jakie widzi się pod mikroskopem. Bardzo niefortunne i dziwaczne porównanie, ale wysilam fantazję i nie mogę wymyśleć nic innego. Kiedyś słuchałem wykładów literatury porównawczej i stary profesor przez pół roku obrabiał poemat któregoś z poetów z czasów przedmłodopolskich, wiersz zaczynający się:

*Sukienkę miała w paseczki, perkalikową...
Nie było miłszej dziewczeczki, daję wam słowo...*

i tak przez pół roku, kiedy tylko siadał za katedrą i w powietrzu lepkiem od nudy semestralnej, każdą godzinę cyklu nieodmienne zaczynał, drewnianym, skrzypiącym głosem od bazy, od dwuwiersza, który miał być kwintesencją i wyrazem poetyckim, na

którym jak na trupie w prosektorium grzebał w pedantycznym poszukiwaniu i dotąd słyszę jego głos cyniczny, suchy i niematerialny:

*Sukienkę miała w paseczki, perkalikową
Nie było miłszej dziewczeczki, daję wam słowo...*

i przychodzi to tu za mną i dręczy mnie, natrząsa się z mej udreki i przybiega tu za mną, kiedy właściwie powinienem się cieszyć z widzenia jej, kiedy trzeba jedne sprawy wyjaśnić, może coś uplanować, w każdym razie odrobić te przekłete trzy miesiące, niepotrzebne i odżyć, oddmuchać, odchuchać solidny, pełny puls w jakimś przecież byliśmy tyle razem i jakby nie było, co to była za satysfakcja, poczawszy od pierwszego pocałunku, który był wstydlivy i niezgrabny podlotkowsko-młokosowski, kiedy szło nam to niezdarnie i drżały nam od niepokoju i wzruszenia kolana, jak to gdzie? jak to komu?, aha! jak to voltairowskiemu Candidowi, czyż nie tak? kiedy potem z czasem, z rutyną, nabierało się pewności siebie, kiedy przewędrowało się wszystkie stopnie wzruszenia, udreki, niepokoju do cynizmu, wyuzdania i zblazowania pogodnego i dobrodusznego, a tu się tak złożyło że i ludzie nam sprzyjali i nieba nam sprzyjały i układało się wszystko jak ta lala, i jak co, to mieliśmy na to gotowy i urwisowski i wyzywający humor, który pokrywał i pasował świetnie do naszej eskapady. Kiedy już pogodziliśmy się i nie miało to już tego dreszczu i popłochu i strachu że to pierwszy raz, i nigdy przedtem, i że dziwnie i mnie że ja tu z dziewczyną, kiedy przedtem nigdy, za palisadą i w odosobnieniu dojrzewania, na wygnaniu i...

Kiedy idziemy tak pod górę, już się całkiem wypogodziło i słońce rzuca ciężkie cienie liści drzew w poprzek krzywych uliczek. W jakimś tam miejscu napatoczyła się ta sama studnia. Jak świetnie i *à propos* jej akustyczne, studzienne, przypominamy sobie, właściwości, że to niebywałe echo! że kawał i dystrakcja, miały mi posłużyć w tej ciężkiej i okrutnej chwili. To ciągnę ją za rękę, powiadam że, rozbawiam i rozrywam, że echo. Jak trudno mi to przychodzi, ani jej to w głowie, ani ją to interesuje, ani bawi. Mówię:

— Echo, słyszałaś?... echo... jak powiesz coś, słuchaj... jak dokładnie wyrażnie... echo...

Prawie siłą ją ciągnę, gdzie studnia. Jest chmurna i nie bawi jej to, że studnia powraca rzucone w nią jej imię, jestem sam rozbawiony i zrozpaczony, zrozpaczony i nie wiedzący co robić. Bo słuchaj — echo...

...Echo... — powtarza studnia.

Idziemy i idziemy, powoli, pod górę, uliczka przeszła w mało uczęszczaną ścieżkę, w gęstwinie krzaków i cieniu drzew u nadpróchniałych parkanów tłumią się łopiany, pokrzywy, powój, jaskier, dzika róża. Jest tu już odludnie, a ogrody niedzielne są opustoszałe i zielone i buchające od tego wszystkiego co w nich się darzy i palisady tyczek grochowych włochate od pnączy, tęgie, zielone łodygi słoneczników i gaje konopne. Na liściach, w ich zielonych naczyniach zebrała się woda deszczowa, lśniąca w cieniu jak rtęć. Zaciekle pszczoły celują gdzie kwiaty. Skośnym furkotem przelatuje ptak.

Kiedy już było wiadomo wszystko, że to koniec, i kiedy rozstaliśmy się i miałem ogromne, długie popołudnie i wieczór do przeczekania do najbliższego pociągu, którym miałem wynieść się stąd, to nie wiedziałem co ze sobą zrobić i wybrałem się za miasto, w pola.

I tam natknąłem się znów na stare kopce kartofli, które zmarzły w zimie i teraz w lecie, na poły rozkopane rozwłóczyły po polach właśnie ów ohydny, mdlący, do niczego nie podobny smród, ale po prostu nie do zniesienia!

JEŹDZIEC BEZ GŁOWY

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

„Z daleka nie z bliska piszę słowa mego listu. Przy stole siadam i papier rozkładam. Przyleciał sokół z góry i rzucił mi swoje pióro. Ty w środku a ja z kraja, nasze ręce się podają. Ty górą ja doliną, między nami woda płynie...”.

Był to czas wielkiej samotności. W początkach nasz najazd bywał niespodziewany i wtedy można było jeszcze uchwycić życie na gorąco. Ale nasze żelazo, broń, brutalne najście, przyniesiony przez nas tu zgiełk i ryk motorów były jak przyście burzy, jak piorun w słoneczne popołudnie. Jeszcze ciężko huśtając się na wybojach działa i załadowane pociskami jaszczce, zaczepiając piastami kół o przyciesie zabudowań i zdzierając żywcem korę z drzew torowały sobie drogę wśród sadów, kiedy w popłochu, rozpacz i trwodze ludzie rzucali się do wozów. Ręce gorączkowo mocowały postronki upręży u orczyków i kobiety z głośnym zawodzeniem ciągnęły ku nim dzieci, dygowały skrzynie, obrazy świętych zerwane ze ścian i poduszki i za chwilę była pustka i czeluść, jakie zawsze sprowadzaliśmy ze sobą. Tylko muchy tłukły się o szyby okien i przepłoszone kury chowały się po kątach podwórzy.

Z dniami jednak miejsca naszego najazdu zastawaliśmy już wcześniej opuszczone i bezludne. Domy porzucone własnemu losowi, drzwi ich na ściężaj otwarte. Ściany, sprzęty, pierzyny, śpiżarnie, bydło wałęsające się po zagrodach, jabłka ciężko wiśzące u gałęzi drzew, narzędzia, kołyski, ciasto w dzieży zaczynione, maszyny do szycia, bielizna i garnki na płocie, wszystko było pozostawione na pastwę pustki, ludzi nie było.

I tym razem na stole były nietknięte talerze, nie zaczęli nawet jeść, kiedy nagle zabrali się i uciekli w popłochu. W

tych miskach kluski, już dawno wystygłe i zimne, nakrajany chleb, kapusta w garnku. Czas zatrzymany w pół kroku. Po między nami i ludźmi, którzy ten dom niedawno ożywiali coś zaszło i odgradziło nas od nich bezpowrotnie. W tej pustce chaty chłopskiej było jednak coś wyniosłego, jakby nasze wtargnięcie, bezceremonialność objęcia jej w posiadanie była czymś nierealnym, nieznacznym i naprawdę przemijającym, a więc godnym tolerancyjnego politowania. Za oknami słychać było jak urządzi się obsługa dział, kanonierzy cięli niemiłosiernie drzewka wiśniowe w sadzie i rozgradzali koły płotu, ażeby przed łufami otworzyć przedpole, do wieczora było już niedaleko.

Wieczór zapadał, ktoś zapalił naftową lampę, kuchenną lampę z mosiężnym reflektorem i postawił ją na mapie rozpostartej na stole, z którego zabrano talerze z nietkniętymi kluskami. Przez okno, za grzbietem wzgórza widać było łuny pożarów, jedną, drugą, trzecią.

Wstydzilem się naszego szarogęsienia się wpośród tych ścian, na których rzadkiem wisiały popstrzone przez muchy święte obrazy, z powtykanymi za ich ramy zeszlými palmami wielkanocnymi. W róg ramy jednego z tych obrazów wciśnięta była bardzo sztuczna, jarmarczna fotografia rodzinna i kiedy zbliżyłem twarz, by lepiej ją zobaczyć, spostrzegłem wystającą spoza ramy kopertę. Wstydząc się sięgnąłem po nią ręką, jak bym sięgał w głąb cudzego życia.

Był to list miłosny.

List zaczynał się od takiego wzoru: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Z daleka nie z bliska piszę słowa tego listu. Przy stole siadam i papier rozkładam...”. Wyraźnymi kulfonami, pracowicie pochylonymi w jedną stronę płynęły słowa listu. Dwuwiersz powtarzał się z rytmiczną, monotonną dokładnością. Chwilami, w miejsce częstochowskiego rymu zaskakiwał dziwny asonans.

„Ty z brzegu a ja z kraja, nasze ręce się podają...”. Autor listu nie miał szczególnych trudności, posługiwał się szczudłami i rusztowaniami słów gotowych, uznanych, hieratycznych. Razem z nimi wylewał swe uczucia, i chwycił je w stawidła umówionych przyjętych schematów. Nie wahał się ani przez chwilę. Kiedy stawiał kropkę po każdym zdaniu, to nie miał żadnych skrupułów, niczego nie odżałowywał. Zanim jeszcze atrament wysechł po napisanym zdaniu, stawało się ono czymś naturalnym, oczywistym, solidnym jak skamielina. Pisał do ukochanej, ale równie dobrze mogło to być znakiem magicznym wyciętym w korze drzewa, albo wykutym w kamieniu, albo zawiązanym

w powrósle, albo rotą sądową, czymś mającym wartość niezmienną, ostateczną jak słowa wypowiedziane w przysiędze.

„Ty górą ja doliną, między nami woda płynie...”, „nogi twoje bym mył i ten brudek bym pił...”. Nie śmiejmy się, na te sprawy mają tu ustalone, hieratyczne kanony, sposoby, wzory. Do nich zabrali się niestrudzeni w żarliwości, zbieractwie, katalogowaniu, redakcji znawcy, kolekcjonerzy drgnień ludzkich, pedanci i konserwatorzy. Tomy periodyków, roczniki czasopism specjalnych zawierają niepomiarłą ilość tych zaklętych tekstów. Amator podglądania zawiódłby się nie znajdując sensacji w tym liście. Nie potrafiłby go nawet ośmieszyć, bo poezja tego listu kawalera wiejskiego do jego panny była zbyt skomplikowanym szyfrem.

Komu przyszło z tragicznym namysłem, oporem, zaciekłym postanowieniem i wstrętem, aż do poczucia mdłości, zabierać się do pisania listu miłosnego, ten wie ile niewypowiedzianych wzruszeń niesamowitej fizjologii miłości wzbiera kiedy patrzeć na zapisaną przez siebie kartkę, udanie, naśladownictwo, wyuczone określenia, okresy choćby najcelniejsze, choćby podpatrzone i ściągnięte od nie byle jakich majstrów frazesu. Bo jak tu oddać coś co odwija się w człowieku jak spiralna sprężyna, albo co jest jak oddech, zahamowany nagłym przypomnieniem, albo bólem doznany kiedy bezwiednie wbija się paznokcie w dłoń, albo brzmi jak odległe kroki, zaleci zapachem zapomnianym kwiatów, głosem ptaków, zamazane jak przedmioty widziane we mgle. Nie zda się na nic.

Wtedy o zmroku, w ciemnej chałupie chłopskiej, wiejski kochanek, „najprzystojniejszy chłopak we wsi”, niewidzialny, bo w czarnym „miejskim” ubraniu, w wyciągniętej ręce, przez czapkę, podawał mi zapisany pracowitymi kulfonami swój list do kochanki, tym gestem pasując mnie na „umyślnego” posłańca miłości.



Nagle kazali nam coś zrobić, ruszać się za czymś. Któryś z nas, wstając nagle od stołu nieostrożnie potracił chłopską lampę i przez moment potoczyła się po stole i już na ziemi poszła w kawałki. Błękitny i żółty płomień podniósł się z podłogi i zapęłgał. W normalnych warunkach byłoby to wydarzeniem na inną skalę i podniosłoby sytuację do niebywałej potęgi. A tutaj? Pamiętam że po prostu, tak jak się rozgniała pod podeszwami błoto, albo rozciera płwocinę, kilkoma stąpnięciami butów zatra-

towałem, zagłuszyłem ten ogień, skonał pod moimi nogami w chrześciance szkła, jakbym zdeptywał w ziemię szatańskie ognie.

I zaraz wytrągnęliśmy się na dwór, bo kazano nam iść.



U wjazdu do innej wsi, w pobliżu rozpaczliwej kalwarii, leżał trup żołnierza z koniem. Nieopodal wznosił się słup, na którym była tablica obwieszczająca porządnie uszeregowanymi literami że to GMINA..., GROMADA ZAGADKA. Ale nie było tu już żadnej zagadki, tylko pogięte, blaszane dachy leżące wprost na ziemi, popałane drzewa i aleja kominów stercząca wzdłuż drogi ku niebu sponad pieców i palenisk kuchni, a reszta była popiołem, spalenizną z której unosiły się jeszcze w wieczornym powietrzu spiralne strużki błękitnych dymków i pogorzeliśko pokrywał wszędzie delikatny jak pianka morska popiół. Z osiedla ocalało tylko chybotałe lustro wody w studni.

Wielekroć razy natykaliśmy się na trupy żołnierzy. O zmroku odbijały wyraźnie od ciemniejącej w wieczornym świetle trawy, bo z zasady te martwe ciała były odarte z mundurów i przede wszystkim z butów. Pozostawione na nich koszule i gacie okrywające ich pomordowane resztki były resztką tego co stanowiło o ich niedawnej przynależności do żyjącego świata. Bo nie było tego już w bezwładności rąk, spopielałych palców z sinymi paznokciami, z czarną obwódka brudu za tymi paznokciami. Nie było tego w szarych ich twarzach, szerniałych wargach, zaostzonych nosach, zmatowiałych włosach, w brudnym białku gałki ocznej wywróconej do wewnątrz.

Ilekroć natykałem się na zabitych, na rozdarte, nieme, usiłujące jeszcze w ostatnim skurczu członków naśladować po błazeńsku życie zwłoki tyle razy wzbierało we mnie uczucie nienawiści, pogardy, okrucieństwa. Jak nadmienilem nie było prawie wypadku ażeby zwłok tych nie obdarto.

Pomiędzy hinterlandem, linią tyłowego chaosu, raju cwaniaków, tchorzy, zabłąkańców, maruderów, radzących tam sobie, wwalających się do opuszczonych domów, rozwalających drzwi sklepików, wypychających kieszenie jadłem, owocami, pudełkami papierosów, gadatliwych i wrzaskliwych, kryjących się przed nalo-tami w sienie domów i piwnice, rabujących i gwałcących, bredzących nieprzytomnie lub najchytrzej deformujących i tak już straszną prawdę, otóż pomiędzy tym a linią boju, czy jak to nazwać, był zawsze pas neutralny, ziemia niczyja, strefa bezosobowej, pustej trwogi. W niej to żyją i żerują bestie, stwory zrodzone z ciemności, którym w miast oczu pali się zielone próchno,

zamiast rąk mają szpony i haki, nawołują się niezrozumiałym językiem, stękaniem i świszczącym szeptem. Idą nie tłumem ani w pojedynkę ale parami, w trójkę, pojawiają się, żeby nie wiem jakie było pustkowie, idą pewnie, jak po sznurku, jakby wiedzione specjalnym węchem w miejsca gdzie niedawno śmierć w huku, zgrzycie, chichocie rozrzuciła ułamki ludzkich meteorów. Z trudem dają się ściągać fasowane z magazynu buty żołnierskie, jeszcze żółte od chromu i niebieskie jeszcze gwoździe podkutych podeszew. Ciężko otwierają się klamry pasów. Potem pod niebem, co po nocy tak zbliża się do ziemi, leżą już nagie, nienawistne resztki ludzkie.

Obok wzdętego pod poprzęgiem siodła, u którego oderżnięto już skórę tybinek, trupa końskiego, leżał trup jeźdźca. Był to równie odarty trup młodego chłopca, jak można było domyśleć się z podchorążowskiego sznurka jakim obsyty był naramiennik ocalałej na nim, porwanej kurtki polowej. To ten białoczerwony, kręcony sznurek identyfikował młodzieńczość żołnierza, bo tam gdzie powinna być głowa nie było nic. Wydarty niedaleko przez pocisk lej tłumaczył co sprawiło to okaleczenie. Bezgłowość tego torsu robiła niesamowite wrażenie. Wydawało się, że nie były to resztki człowieka, ale coś nie z tej ziemi, przyniesione tu spoza jej granic, bezwzględna obcość śmierci, co nie jest z tego świata. Nic, zakurzony ludzki tors bez głowy, jakby na urągowsko z bezsensu tej strasznej ofiary.

Nasza wyobraźnia stworzyła już świat mitologii, stworów nie zredukowanych, ale pomnożonych, złożoną morfologię, tłum gatunków nowych, centaury, harpie, gryfy, chimery, najcudaczniesze kombinacje tułowi, ogonów, skrzydeł i szponów, jakby prostota i celowość naturalnego wzoru nie wystarczała. W chytrym zamierzeniu realizmu uda porastają pierzem, by przejść w szpony, łuski syren i chimer stopniowo zanikają, by stać się naskórkiem, hydra miota swoim węzowym ogonem, sfinks wpiera się lwimi łapami i dumnie wypina twarde, kobiece piersi, nawet schron Świętego Antoniego pod gałęziami drzewa harpie zachłapały ptasimi odchodami, jak zwyczajny kurnik. Inna mitologia otwiera przed nami perspektywy korytarzy i sal muzealnych, gdzie w kurzu piętrzą się garby, pancerze i narośle paleontologicznych wykopalisk, ich palczaste ślady łap pozostawione w piaskowcu i błony skrzydeł zwapniałe w bryłach kamienia tu przydygowanych. Te mitologie pomnażają, kombinują, łączą formy, składają je w mnogości. Ale jest inna mitologia, na wywrót, przez redukcję, pominięcie. Mitologia sztuki, udającej życie ale ograniczonej kompozycji, pominięcia szczegółu, prymitywu, schematu, ograniczenia się do esencji, akcentów, rodzaj amputacji dokonanej

umyślnie, z zamiarem. Czyż niemota obrazu, ślepotą wiersza, martwota rzeźby nie dowodzą tej zredukowanej, wyrażającej się skrótami mitologii?

Bezgłowy jeździec — w swej skłóconej, protestującej myśli, przyrównałem go do pewnej, jakże, pozał się Boże, patetycznej w patosie rzeźby, która z wyskubanymi jak u gęsi skrzydłami zrywa się z pojedzonego przez liszaje ułamku marmurowego dziobu okrętu na podeście schodów w wielkim muzeum. Postać ta do znudzenia już wypowtarzana we wszystkich albumach historii sztuki, encyklopediach, podręcznikach, kompendiach i wignetach. Ze swymi kanelurami fałd oblepiających piersi, brzuch i uda jest ona już tak opatrzona i trywialna, że trudno wyobrazić sobie nawet by miała kiedyś na marmurowej szyi dźwigać głowę. Każda rekonstrukcja, każdy domysł przyprawiający tej rzeźbie wydobytej z gruzu i ziemi głowę niczego nie doda, a raczej ujmie. A może to nie była bogini zwycięstwa, może to był anioł śmierci, albo jutrzeńka, albo zły duch, dla niepoznaki uskrzydłony? Może na barkach miała jaszczurczą albo kobuzią głowę, może utracone ręce nie niosły wawrzynu, ale miecz, albo pioruny, albo nic?

Na skraju wypalanej wsi, nad rowem, wygonem, leżało odarte z butów, uciekające w niebyt ciało ludzkie, w młodości jeszcze bezpłciowe, Nike z Samotraki, jeździec bez głowy.

MARSYLIANKA

Przed samym Bożym Narodzeniem dostaliśmy po raz pierwszy gażę miesięczną. Nie jakieś podziały, czy zasiłki, ułamkowe trinkgeldy, ale solidną miesięczną pensję. Musiało to być dla niektórych ożywym tchnieniem powrotu do dawnych czasów, mieszczańskiego zabezpieczenia, rutyny, pensji na pierwszego.

A odbyło się to w nienajbardziej dekoracyjnych okolicznościach. Więc naprzód jak zwykle, kilka, kilkanaście dni przedtem chodziły o tym pogłoski (nauczyłem się potem wierzyć pogłoskom, zawsze się sprawdzały), potem definitywnie dano znać, że tego i tego dnia o tej i o tej godzinie rano należy zgłosić się do biura płatnika w tym i tym bloku, bloku murowanym komendy i administracji obozu.

Kiedy się tam przyszło to już czekał tłum gorliwszych, którzy nadążyli wcześniej, nadchodzili inni i wobec czego uformował się ogonek czekających, który naturalnie nie mieścił się na korytarzu pierwszego piętra, więc zakręcił w dół schodów. Stałem na końcu ogonka i zaraz nie byłem na końcu, bo nadchodzili inni i stawali poniżej mnie na stopniach schodów.

A popatrzeć po tłumie a wsłuchać się w zgiełk rozmów. Przeważnie mamy na sobie mundury khaki francuskiej piechoty, wyfasowane zaraz po przybyciu do obozu, w brudnym magazynie. Więc to są kuse kurtki, zapinane na wypukłe guziki, emaliowane na oliwkowo, z płasko leżącym kołnierzem, odsłaniającym gołe grdyki, do czego dochodzą oszczędne bryczesy i klęsko i ponizienie, owijacze, włochate tam gdzie ich nieobrubione brzegi, często koślawo i bez wprawy oplątujące golenie i łydki niedawnych świetnych elegantów i wykwintnisiów, kiedy to regulaminowo i z fasonem nosiło się buty od Hiszpańskiego, miękkie jak rękawiczka, z wysokimi zapiętkami i o nieprzepartym szyku. A

tu po słabo uczernionych ordynarnych buciarach komiśnych, albo po narciarskich wymyślnych i sportowych, grubo szytych i sznurowanych butach te beznadziejne, *ci-devant* owijacze, które zostały u nas wspomnieniem tamtej wojny.

Co niektóry wykwintniś kupił już sobie w Paryżu mundur oficerski albo zamówił go u krawca w Rennes, są też one różnego kalibru i kroju, co wolno i nieważne u Francuzów. Co niektóry nosi jeszcze fragmenty polskiego umundurowania, będą to przewiezione pod cywilnym ubraniem bryczesy, czasem kurtka polowa no i owe właśnie buty od Hiszpańskiego.

A posłuchać, to i posłuchałbym nawet o czym tak mówią w gwarze już spokojnych i uspokojonych po trzech miesiącach głosów, ale zaszedł tak zwany incydent.

Przedemną, w gęstym ogonku, tych i owych, poruczników kapitanów i majorów (na dziwnej szlufce poprzecznej francuskiego munduru mieli już przymocowane gwiazdki dystynkcji, ale co niektóry miał je właśnie w kierunku poprzecznym, dziwnie to wyglądało jak nie polska szarża), jeden porucznik czytał „Daily Mail’a” i czytał go z takim uporem i namysłem, że widać było tę determinację postawienia na Anglików, niech tam sobie inni robią i mówią co chcą, on z nimi czy bez nich stawia na Anglików i tym „Daily Mail’em” odgrodził się od nas dosyć nawet samolubnie, a „Daily Mail” inaczej wygląda aniżeli kontynentalne gazety, solidniejszy papier i wytłuszczone czarne litery *headline’ów*.

A dalej trochę stał pułkownik kawalerii, potężnej postury i o wydatnym brzuchu i miał na sobie ciężki, połowy płaszcz polski, z proporczykami Centrum Kawalerii, miał nalaną twarz, o bruzdach strapienia i nasunięte brwi, wydaje mi się że był z komendy obozu, ale stał tak jak my, w tłumie, w oczekiwaniu na pierwszą miesięczną gażę.

I na to drobnym kroczeniem, z teczką skórzaną pod pachą nadbiega po schodach płatnik, bodajże kapitan. Jest grubo spóźniony i wyobrażam sobie, że dzieje się to nie z powodu zasiadzenia się nad poranną kawunią, ale pewnie on i te gryziopórki płatnicze mieli furę roboty z przygotowaniem tych papierów itede. Ten płatnik był starszym panem, o wymiętej, zbabczałej twarzy i siwiejących włosach zaczesanych do tyłu. Kiedyś musiał być przystojny, teraz jakiś pedziowaty i tatusiowaty.

W pomruku czekających szybko, zaaferowany, spieszył się schodami w górę, ważny i trochę z góry na stado czekające, ale musiał sobie zadać ten fason zapracowania po uszy, tłum to jest tłum.

A na górze, pomiędzy czekającymi zobaczył wielką postać

pułkownika, może nawet swego obozowego zwierzchnika, czy wpływową obozową figurę bo doskoczył do niego, dzierząc te teczki pod pachą i „...ależ panie pułkowniku, pan nie może tu czekać proszę w tę stronę, zaraz pana pułkownika załatwię...”, a ten pułkownik opryskliwie „...niech pan idzie do swej roboty...”, a on znowu „panie pułkowniku, oczywiście że pan pułkownik w pierwszym rzędzie nie może tu być zatrzymany, tędy panie pułkowniku...” wielki pułkownik rozdrażnionym głosem „...pan niech idzie do swej roboty...” „...ależ panie pułkowniku...” „...proszę tu nie robić wystawy...”, płatnik zrozpaczony zaczął jeszcze „...pana pułkownika...” a tamten uciął krótko „Panie, nie pierdol się pan tu, marsz do kancelarii...” teraz płatnik miał zmartwioną i prawie rozhisteryzowaną twarz i powiedział nieopatrznie „gdyby co to proszę zważyć, że jestem starszy wiekiem...”, a pułkownik krótko „To nie pańska zasługa, tylko pańskiego ojca...”. Tak ci go chlasnął ten pułkownik i płatnik zakręcił się, zatrzepotał swymi teczkami jak spłoszona kura i zniknął w teje kancelarii.

Popatrzyłem po tłumie i nie widziałem zbyt wiele satysfakcji, raczej przyjęto to jako zaokrągloną pointę sytuacji, sam pułkownik nie potoczył triumfującym spojrzeniem, tylko skupił się w tym swoim wielkim płaszczu kawaleryjskim i jakoś potoczyło się to niedługo sprawnie z tym wyplacaniem.

Przyszła w końcu i moja kolejka i na ćwiarteczce papieru powielone rubryczki o kolorze fiołkowym, jak liścik miłosny, a powiadają że tak i tak, że *bulletin du solde du mois de novembre*, naprzód ładnie podsumowane co się należy, a to *solde, charges militaires, supplements temporaires* itd. *total à déduire, 2^e total, contribution nationale, total, timbres, à payer* tyle i tyle, potem już czerwonym atramentem po polsku kasyno tyle, zwrot pożyczki tyle, należności tyle, fundusz gwiazdkowy, potem do wypłaty, i jeszcze na końcu zielonym ołówczkiem jakaś suma i podkreślone co do wypłaty zostaje 820 franków i 60 centów i wyliczyli, zwinąłem to w rulon i do kieszeni od spodni i *au revoir, cześć, bye*, wychodzę, na koszarowe podwórze, a przed sobą mam wolne dziesięć cholernych, cholernych, własnych dni i świat i wolność i daleko od tego wszystkiego.

A umówiliśmy się poprzednio we czterech, że pojedziemy w góry. Tylko że na samym początku jeden nam się zgubił i już wiemy co to będzie. Nie wytrzymał, na samą wigilię pojechał do Paryża i trzeba go będzie „za dupę ściągać z kurwy”.

Tak też i było. No więc ściągnęliśmy go, gdzieś na rue Chabanaïs, potem wstąpiłem jeszcze na bulwarze St. Michel ażeby

kupić, szaleństwo! patefon, kosztował 200 franków no i na czas znaleźliśmy się na dworcu lyońskim. Jedziemy.

Zostawiliśmy poza sobą parszywy, wojenny Paryż, z światłami przydymionymi, *ville lumière* na wywrót, z tłumem wojennym a zblazowanym już tamtą wojną, z tłumami permissionerów na dworcach, zadekowanymi, eleganckimi podoficerami, z dziewczętami uwieszonymi u ramion cwaniaków, którzy jakżeż nie spekulują już i nie głowią się w nowych warunkach jak tu i co tu z tą wojną, ze strzępami i ruderami po wystawie od Place de l'Alma do Trocadero, została jeszcze tylko wystawa pogłoda wa i pomyślana nauk ścisłych w jednym z budynków koło Grand Palais, gdzie pociągnąłem swych kompanionów ażeby sobie popatrzeć jak przemysłnie i nieukom pokazuje się jak na łopacie, że powierzchnia trzeciego stopnia może wyglądać jak abstrakcyjna rzeźba, że modele z topologii czy *analysis situ* są jak marzenie formisty, no a i zauważyłem, że niektóre z modeli były pożyczone z niemieckich uniwersytetów, no dobrze, coś tu przypadkowo niemieckiego zagrabili, zostawiliśmy więc poza sobą parszywy Paryż jeszcze rosisty od wszelkich gatunków win, tłusty od serów, ociekający krwią befsztyków, z wystawami zapchanymi wszelakim dobrem i brylantami, zostawiliśmy Garde Mobile niezdarne obstawiającą bulwarowe kawiarnie dla skontrolowania identyczności międzynarodowej zbieraniny, szcurków wypłoszonych z ich zakamarków, kiedy zaniuchały kataklizm i nie bardzo jeszcze je instynkt pokierowuje i tłoczą się i są już u progu paniki, kiedy nie wiadomo jeszcze co i jak. Jedziemy.

A był zimowy ranek, ze śniegiem i barany chmur i barany wełniste i śniegowe gór Savoie, już były góry i rano i zupełnie uciekliśmy od tamtego zasmrodzonego, zadymionego, zapaskudzonego świata wojny.

A zachłysłaliśmy się od razu innością miejsca. Od chwili kiedy wysypaliśmy się z wagonu na udeptany śnieg peronu, poczuliśmy się jak w starym dawnym miejscu, pomimo że przecież wszystko tu jest inne i niewyznaczalne. Jest ostry mróz, zimno szczypiące policzki, para lokomotywy kłacze się przy nogach jak pierzyna, ciągniemy te swoje walizki i ja piastuję patefon bo nowy, co ino kupiony w Paryżu, i jest nam beztrąsko, nic jeszcze nie wiemy jak tu i co tu, czy znajdziemy pomieszczenie, czy te tam nasze fundusze wystarczą, na miejsce bądź co bądź luksusu, sportu, zjazdu milionerów całego świata. Ale my sobie na to furda.

Mało ludzi, kręci się ten ludek tutejszy raczej, typowe zbijają grosze miejsc wycieczkowych, sportowych, i że tam oni harują, kelnerują, przewodnikują, dogadzają, szukają, informują, i są od

tego ażeby znoszący złote jaja turyści mieli wszystko podane, podgrzane, wyczyszczone to i tak nie daje im to pozoru zapracowania, a nawet powiedziałbym gotowanie, smażenie tego wiecznego święta i pikniku dla innych udziela się i im także i dlatego nie są zafrasowani tak jak to się dzieje z tymi z dołów. No dobrze.

Jeszcze nam zdaje się nikt nie powiedział a już czujemy że tu nienormalnie, że budy po prostu są na zamknięciu, że właściwie to jest katastrofa z punktu ich hotelarsko-gospodowego widzenia. Bo co. Bo panika wojenna już poupychała tych dostatnich w jakieś zaciszniejsze miejsca, albo po prostu są jeszcze dezorientowani, nie wiedzą co robić co ryzykować, gdzie się podziać, co grozi ich atharaxii w tych nadchodzących czasach może Apokalipsy. Mam uciechę z tego zmartwienia tych nieobecnych milionerów i trochę mi żal tych hotelarzy tutaj, ale już przeczuwamy, że to nam jakoś na dobrze wyjdzie. I wychodzi jak Bożię kocham, wychodzi. Już nam ktoś powiedział, że miejsca jak lodu wszędzie, że wprawdzie co niektóre luksusowsze budy są na dobre zabite deskami, ale że po innych jest pusto i wyczekująco. Już gdzieś wyczytaliśmy że *pour les militaires* zniżki, ale jakie 50%, że jakieś inne niebywałe udogodnienia, premie i benefisy. Ale nam się udało z tym pomysłem. Ktoś już nas wziął w swoją opiekę, ktoś inny ciągnie nasze chude wojenne walizy, kręcimy się w prawo, w lewo za kimś kto nas zaprowadził, na piechotkę, ale niedaleko i już jest przed nami ten Hôtel de Mer de Glace i ładnie wyczyszczone kołatki szybki w oknach loungu. *La patronne*, wyciera umączone ręce i twarz się jej rozpryskuje w uśmiechach, a my taszczymy już te nasze graty na górę, pytamy, jesteśmy informowani, krzątają się koło nas jakbyśmy byli indyjskimi nababami, a nie obieżyświatami. Ale nie mamy żadnych kompleksów, mamy urlop od wszystkiego.

Więc jeżeli jesteśmy teraz wolni na dziesięć dni od wszystkiego to dalej że, uważajmy ażeby od tego nie odbiegać. Trzymajmy się już tego z pasją i będziemy się już tak trzymać.

Więc na górze pokoiiki jak dla lalek, a firaneczki w oknach, a umywalki i łazienki, stoliczki i bideciki. A łóżka, nie to nie łóżka to marzenie natchnionego tapicera, materace rozwiewające w puch idee o grawitacji i ciężkości. Wszyscy czterej jak umówieni każdy wysiada ten materac i hušta się na nim i odkrzykujemy sobie i podpowiadamy nieuchwytnie i nieokreślone wrażenia siódmego zmysłu, zmysłu zawieszenia w powietrzu. Ale i na to nie dają nam czasu bo już przewidzieli i odczytali nam z oczu, że to z podróży więc apetyty, więc wołają i przez jakieś korytaryzki, pasażę przewędrowują nas do jadalni, nasz stolik, nasz specjalny, zarezerwowany, serwetki jak infuły biskupie i platerzy

i zajeżdża dymiący i lśniący od tłuszczu bacon i grzanki i jajka jak pawie oczy, sadzone, i chrzęści, chrupie chleb i kawa, *café-lait* i rozsiadamy się wpośród tego dobrobytu, dzemy kolorowe, bo śniadanie jest na styl angielski. A my rozglądamy się i ciągnie nas do okien, które powleczone bielmem mrozu i jeszcze nie wiemy jak tam jest na zewnątrz, ale że wtrząchamy przede wszystkim obowiązkowo to śniadanie co dopiero za chwilę. W kuchni hotelowej coś się tam dzieje i pitrasi, *la patronne* opiekuje się nami jak rodzona mama, nieba stara się przychylić, Raymond, to ten co nas przyprowadził już urzęduje ze szczotkami i w fartuchu ale pamięta o nas i wszystko jest ułatwione, narty? naturalnie za bezdurno do wypożyczenia a z butami? to całkiem proste tą samą drogą, *et alors, vous, nos alliés oh, la Pologne, c'est ça, Boches, mais la France, et la Pologne, quel malheur*, a ile dziennie, bagatela 40 franków, *pour nos alliés*, więc wszystko w porządku.

A wychodzimy na wolne powietrze i głowę trzeba zadzierać wysoko. Słońce dopiero co wyszło spoza Mont Blanc de Courmayeur i zaginają się jego promienie i leżą wzdłuż doliny Chamoniix. Góry dokoła jak brzuchy ryb ogłuszonych ręcznym granatem. Białe brzuchy ryb.

Idziemy sobie beztrosko, wesoło, środkiem ulicy, śnieg ładnie wypłuczony w sterty po bokach, chrzęści nam pod nogami, i nie jest nam zimno pomimo mrozu, bo w słońcu. Jak beztrosko jest powłóczyć się bez celu, bez planów, dogadywać sobie i patrzeć po soplach wiszących u okapów.

Jest mało ludzi, więc rzeczywiście wyludnione. Posterunek przed budynkiem *major de la zone*, strzelec alpejski w khaki i hełmie, na nasz widok, staje na baczność i prezentuje broń, sprawnie, siarczyście i punktualnie. Kiedy sobie przypominamy neurastenika, szyldwacha francuskiego w Coëtquidan, w workowatych spodniach, wypuszczonych na saboty, którymi gniewnie powłóczy po błocie i przytrzymuje karabin, bodaj że przewieszony na autentycznym sznurku, to kontrast jest niebywale zabawny. Ale jest nam przyjemnie i próżno, że nas honorują tu i salutują i odbieramy to z całą satysfakcją naładowanego dobrze optymizmu.

Więc tu jeszcze także porządek wojenny zaziera, jeszcze na dworcu po drugiej stronie widziałem pakę juczych mułów wojskowych, popędzaną przez wysokiego, chudego strzelca alpejskiego, na głowie miał beret wielki jak koło od wozu, przyplaskany na bok i ten Sabaudczyk był bardzo góralski i dziki, po prostu jechało od niego koziną, jak się tak było z daleka popatrzeć. A od stoków górskich, za Plain Praz dochodziły serie karabinów

maszynowych, a może wydawało się że to od Plain Praz bo właściwie echo odbijało i roznosiło to i odwracało ze wszystkich stron. Strzelcy alpejscy ćwiczyli gdzieś w ich strzelaniu na rodzaju strzelnicy górskiej.

Naturalnie że powąteżaliśmy się dookoła, pełno sklepów z fantastycznymi ekwipunkami sportowymi, niebywałe narty, wiązania, buty, futra, wymyślne stroje i garnitury, pamiątki, antyki i suweniry, walizy ze świńskiej skóry, tkaniny, prymitywne wyroby z Savoie, Dauphiné, książki, magazyny, tysiące bibelotów i zabawek, figurki, teleskopy, koszyki. Malutkie souweniry mają jednak markę i znak *made in Germany*. Poszliśmy sobie tym nieodpowiedzialnym spacerkiem, gdzie Plain Praz i „małpi gaj” dla nart tuż w mieście, i funikular do wyciągania zabawników na niewysoki stok, i lodowisko, na którym bardzo niewiele łyżwiarzy, pustka, więc trochę zagubionych dzieci i zawodowców, świerki dokoła sterczą i zielenią się i mała dziewczynka, dziesięć lub ośmioletnia kręciła się na łyżwach na swych wysokich sznurowanych bucikach i z krótką falbaneczką spódniczki, która w tym kręcącym się piruecie odsłaniała jej szczupły, obciśnięty w majteczki zadek, dziecinny i bezpłciowy.

Jak już popatrzyliśmy sobie i tam, to z powrotem na obiad do hotelu.

Z powrotem w hotelu. Kolacja. W restauracji patrzą na nas ciekawie, tych niewiele osób które pomimo wszystko tu zjechały. Jest nieodłączna stara panna Angielka, zagubiona nad książką kiedy równocześnie łyżką czerpie zupę z talerza. Jest rodzina: papo, mama i dwoje dzieci, wszyscy w wełnianych, kolorowych swetrach, jak i dwie tęgie panienki i jak wszyscy tutaj w spodniach narciarskich i takichże grubych butach. Jest jeszcze łodygowaty, młody człowiek, z którym zawieramy znajomość i jest to francuski porucznik marynarki z Brestu, który sobie tu na Nowy Rok przyjechał i jak nas objaśnia każdej chwili spodziewa się zjazdu swej rodziny. Przyłgnął do nas bardzo i jest szczęśliwy, że ma towarzystwo i całkiem oddany, jakbyśmy się przyjacielili od lat. Nazywa się L'Agnasse.

Grymasimy i certujemy się nad jadłospisem, a tu tymczasem postawiono przed nami kopiasty koszyk chleba, ładnie nakrajane szypułki chrupiące skórką, zjechały hors-d'oeuvry, więc sardynki i mule, krewetki różowe i tęczowe, grzybki, kaparki, jakieś szczypiorki i siekane jajka, do tego sos taki i sos owaki ale stoją nad nami jak kat nad grzeszną duszą i zastanawiamy się i deliberujemy, a to befszyk krwawy, a to kapłon z rożna, langusty albo kraby do wyboru, fryty, sałata taka czy inna, co niektóry z nas robi się zblazowany i spleenowaty nad tym wy-

borem, a tu jeszcze *carte des vins*, no to komenderujemy sobie było nie było cztery butelki, Bordeaux do befsztyka i Chablis do nadziewanych krabów. Sałata, góra sałaty w drewnianej dzieży, to już pozwalają mi celebrować mieszanie i dolewam z tej butelki takiej oliwy, z tamtej katańską, ocet i czosnek jak się należy, wpychamy sobie z fanfaronadą różek serwety za guziki munduru, a tu czerwieni się befsztyk jak krwawy agat, lśnią wypukłości liści sałaty ociekające oliwą, pieprz, na miłość boską pieprz! nasz kuzyn kanclerza Łaskiego z dystynkcją i precyzją wyskrobuje skorupę kraba, wino przesącza czerwone światło na obrus, karczochy udają kwiaty i pozwalają obłamywać swe płatki do zanurzenia w maśle topionym z tartą bułką. Już nauczyliśmy się gestu gurmandów, wycierania chlebem sosu z talerzy, już inny z nas snobów denerwuje się czy wino jest „szambrowane”. *Bon.* A tu sery. Na drewnianej tacy kolekcja niebываła, więc i trapistów, i camembert i roquefort i jakieś inne, roquefort dobrze nadpsuty, z kawernami zabarwionymi na kolor patyny, inny klei się jak introligatorski kłajster, a inny znowu podany jest w pancerzu z rodzynek. Na końcu kawa, papierosy i likier prawdziwy Benedictine.

Ale miało być o tych sakramenckich górach. No dobrze, więc o górach, ale zaczęło to się następnego dnia dopiero. A mówili nam i kładli nam w uszy że na narty to tylko Col de Voza i Col de Voza. A że opiekują się nami, zgadują nasze życzenia, na rękach nas noszą, omal że za nami do łazienki, ażeby nas tam podtrzymać i zaopiekować się, więc wszystko ładnie przygotowane i rano nie mamy żadnych kłopotów. Deski i buty, termosy i szale, taksówka zamówiona, przysiadła w śniegu limuzyna ze specjalnymi rakami na narty, jest rano, para bucha z naszymi oddechami, pełni jesteście kawuni i chleba z masłem, szcypie nas tęgi mroźnik, ładujemy się do samochodu.

Jedziemy doliną Chamonix. Po prawej masyw Brevent, złowrogie stożki i ściany, zaśnieżone i pociągnięte krepą mgły. Po prawej masyw Mont Blanc, na skalę tak ogromną, że nie ma się już właściwego „stosunku”, zredukowany jest do znaku, do konwencjonalnej idejki o górach, do samej myśli o Mont Blanc. Naprawdę, patrzę na zaśnieżony garb, wyłożony słońcem i goły ponad siwą chmurą i wierzę że jest to Mont Blanc bo ktoś mi dał na to słowo honoru, a poza tym nie mam innego dowodu i już.

Bawi nas szybkość, eskapada, nasze święto, od zakrętu do zakrętu, skarpy drogi śmigają koło nas zabawnie i uparcie. Zresztą niedługo tej jazdy i gdzieś dobrze zakręcamy od właściwej szosy i trochę pod górkę, potem jakbyśmy się zawahali i już jest zaśnieżony budynek stacji i strzelają z niego prawie pionowo

w górę i zaraz znikają w chmurze kable „funiculairu”. Czekają już parę osób i ładujemy swe narty do specjalnej przegródki na zewnątrz wagonika który jest jednym pazurem zahaczony o linię. Potem ciśniemy się do wnętrza, dzwonek telefonu, funkcjonariusz „funiculairu” zamyka drzwi i wagonik drga. Nasze żołądki uciekają nam gdzieś między łydki, szumi w uszach, budynek stacyjny znika nam pod podłogą wagoniku, tam także zajeżdżają czuby jodeł górskich na stoku i wpadamy w chmurę.

Koło mnie stoi strzelec alpejski, wysoki, chudy drab, ma chustkę z fularu w kropki zawiązaną z wielką fantazją na szyi pod kołnierzem munduru, wielkie łapy i wielkie buty, buciary, ma budowę i posturę narciarza, jakiś nowy zmorphologizowany typ człowieka-narciarza (znacie braci Jakubowskich ze Lwowa? wielkie dryblasy, dłonie jak łopaty, kciuki powybijane zawodowo ze stawów, nie ma pikoletów które pasowałyby do ich stóp, bary takie, bruzdy uśmiechu w policzkach, sparciałych od słońca i refleksów śniegu, w domu zagroda, gdzie skład, kupa desek postawionych na sztorc, a w śniegu, na stoku, kiedy na zlodowaciałym stoku zgrzytają skamieniałe od lodu gałęzie pod poprzecznym zgrzytem nart christianii nożycowej). Mój strzelec alpejski, oczywista jakiś tutejszy, zawodowy, zmobilizowany sportowiec i już, patrzy na mnie z przyjaźnią, i ma pionowy uśmiech fałd na twarzy i zmrużenie powiek i jakby mówił, to by powiedział, *Dites donc, mon vieux*, to jakieście sobie wymyślili tę wojnę to ją macie, a widzisz mnie nic, mam to gdzieś i teraz i przedtem i potem, jeżeli co dla mnie najważniejsze to tylko stok przywiany śniegiem na metr i szus, i pył śniegowy i właśnie nożycowa christiania. A wy się tam bawcie.

Wynurzamy się z chmury i mijają nas zjeżdżający w dół wagonik, to jakoś działa wahadłowo, jeden w górę a drugi, przeciwwaga, w dół, a w górze szczyry do nas swe dziąsła stacyjka na Col de Voza i gładko podlepiamy się u jej podniebienia i już jesteśmy na wolnym, pali się od słońca i śniegu, bo jesteśmy na górze. Jesteśmy na wolnym i leniwie przypasowujemy sobie narty, dobrze nam wysmarowali je, wszystko cholery przewidzieli, jakimś lepniakiem do śniegu właśnie takiego, jaki tu jest.

Col de Voza jest jak olbrzymia pierzyna, wielki wał śniegowy. Albo jak siodło. W najniższym punkcie jest naturalnie hotel, wielopiętrowe pudło i naokoło nic, tylko białość śniegu. Poniżej już na stoku opadającym do Megève jest stacyjka zębatej kolejki z Megève, po przeciwnej stronie stacja teleferiku, który nas tu wyciągnął. Od hotelu ciągnie się jeszcze wyciąg narciarski na szczyt Col de Voza.

Kiedy mamy dosyć nart i śniegu to naturalnie włumiamy się na obiad. Powtarza się ta sama historia jak w dole. Mało sportowców, to nas tu fetują, wszystkiego w bród, czego dusza zapagnie, wina takie i owakie, tym razem kazaliśmy sobie dać langustę, cynobrowe skorupy ugarńowane zieloną sałatą i polakierowane majonezem. Bardzo duża i pusta sala restauracyjna z lśniącymi chromami i czerwoną skórą obić fotelów. Posadzki wyłożone grubymi płytami gumy, po której dziwnie się chodzi w ciężkich butach narciarskich. Dziewczyna w nieskazitelnym białym, koronkowym czepku i fartuchu odczytuje nasze życzenia z naszych ust. Dziwny i niesamowity jest ten komfort postawiony i wygrany pośród dzikiej, najsroźszej natury.

Jeszcze przedtem na śniegu i teraz, nawet odgradzony murami hotelu, słyszę przeciągły, niski głos, niski ryk-buczenie, smutny i dojmujący i pełen bezsilności. Nie mogę wyobrazić sobie co to jest. Wydaje się jakby uparte i spiętrzone kształty gór, niesamowite piony i skłony, światy postawione pochyło i uwieszone w chmurach, jak chmury z granitu szczyty gór, jak gdyby to wszystko nie mogąc wyrazić się w solidności i tęgości masy i przestrzeni, zagęściło się i w strasznym i nieudałym wysiłku, wszystko to chciało wypowiedzieć się w innym wymiarze, w innym niż przemożny aspekt wzrokowy, wyrazie. I dlatego ten ryk i buczenie. Pozostawiłem swych kompanów nad serwetami i stoję u okna i naraz, nieprawdopodobnie komicznie cała historia się wyjaśnia.

Pracowicie zapychając pod górę, spoza urwiska niknącej za nim linijki kolei nadciąga pociąg miniaturowy i drobniutko podciąga na poziomy już tor stacyjki. I jest ciągniony przez dwie miniaturowe lokomotywy i ciągnie za sobą mały zestaw wagoników. Najkomiczniejsze jest to, że lokomotywy i wagoniki są w pierwszym rzędzie przystosowane do swej podróży po stoku, więc kotły są dziwacznie brzuchate i na poziomie stacyjki nie zachowują swego poziomu i sterczą ich czarne i lśniące okrągłości jak garby i efekt jest niesłychanie komiczny. To one, te dwie małe lokomotywy w swej pracy ku górze wydawały unisono ten ryk i wydają mi się ucieleśnieniem dziwaczego przysłowia o stękającej górze, która urodziła mysz.

No, ale czas nam z powrotem. Wyciągamy się jeszcze raz na Col de Voza, ażeby stamtąd zjechać na deskach w dolinę Chamonix. Zjazd przypomina trochę, jak odgradzić się od tła alpejskich szczytów, klasyczne zjazdy z Trościana. Idzie nam to jako tako, nie najlepiej, bo co tu ukrywać, tyle jeździmy na nartach żeby nie wyglądać na idiotów na śniegu, nie ma co marzyć o szusach i maestrii zawodowców.

Z powrotem w Chamonix. Jest już ciemno i po kolacji gdzie by to się nie wybrać, wybierzmy się do „lokalu”. Jest taki, powiadają nam, nazywa się „La Hutte”. No to „La Hutte”. A że zawsze to ściąga ludzi, więc jest tam nie tak odludnie i pusto. Światełka przyćmione, lśniący bar, kazaliśmy sobie dać kawy i likieru, jest muzyczka, kręci się kilka par, tak mężczyźni jak i dziewczyny w narciarskich spodniach i narciarskich butach posuwają się po parkiecie. W drugim kącie sali przy paru zestawionych stolikach siedzi grupa francuskich oficerów, z batalionu strzelców alpejskich. Mają granatowe mundury i owijacze, złote guziki ze strzeleckimi trąbkami. Coś tam sobie w ożywieniu dogadują, potem jakiś delegat od nich podchodzi do naszego stolika. Powiada że *enchanté*, że *les chasseurs*, że byliby bardzo uhonorowani gdybyśmy zechcieli się do nich przyłączyć. No to przenosimy się do ich kółka. Bardzo mili i zadzierzyści oficerowie, jest między nimi starszy kapitan i porucznik lekarz, który okazuje się ni mniej ni więcej tylko jakimś potomkiem polskiego emigranta, nawet nazywa się Malinowski, ale to wszystko co mu z polszczyzny zostało. Ma za to bródkę i jest bardzo popularny między strzelcami. Strzelcy niedbale proponują coś doskonalszego aniżeli nasze napitki i ze swadą i nonszalancją francuską komenderują ostrygi i szampana.

Więc zajeżdża góra ostryg, dwu strzelców odkręca druciki u szyjek szampana i z butelek otulonych serwetą chluszcze piana. Robimy co możemy z naszej strony ażeby tę fetę brać naturalnie, Staszek co drugie słowo mówi *quand même* ażeby zyskać na czasie w konstruowaniu zdania. Strzelcy są inteligentni, weseli, wydaje się, że to wszystko co zostawiliśmy w dole ich nie dotyczy, nawiązuje się między nami najpogodniejsza przyjaźń. Jak już mamy trochę tego szampana w głowie to naturalnie coś im tam wypada zaśpiewać, potem nas naciągają, potem my się certujemy i trudno nie wymigać się od tego rodzaju naciąganej, biednej propagandy. Potem znowu szampana. Nieduża salka lokalu już należy do nas całkowicie. Cywile tulą się po kątach, albo przylegają do baru, damy w obcisłych na tyłkach spodniach narciarskich.

Potem okazuje się jaką perłą jest doktor Malinowski i stąd ta jego popularność. Albo się dorwie do stołka przy fortepianie i odklawiszuje rytmicznego fokstrota albo zapędzi w kąt perkusistę i dwoi się wpośród jego narzędzi tortur. My uczymy się zawzięcie, pod uważnym kierownictwem kapitana najnowszego przeboju tanecznego „Horsa”. Potem doktorek imituje, robi jakieś sztuczki prestidigitatorskie, rozśmiesza nas, ażeby za chwilę przepaść, zniknąć gdzieś za barem i nagle wyskakuje spoza nie-

go, wyniosły, poważny, wysunął szczękę ku przodowi i oparł kłykcie palców o cynk. A strzelcy zgromadzeni na parkiecie na jego widok wydają przeciągły ryk czarnych koszul „Du-cee! Du-cee!” i pozdrawiają go faszystowskim wyciągnięciem ręki. Tedy Duce-Malinowski ucisza ich zamieceniem ręki i pyta w retorycznym ryku: *A chi la Savoia? A noi!...* ryczą strzelcy, *A chi barba del negus? A noi!...* ryk.

Wracamy teraz po nocy do hotelu, jest gwiazdzista noc, wyiskrzona i biała od śniegów zawieszonych ponad naszymi głowami. Piętrzą się nad nami Aiguilles du Midi, Mont Blanc du Tacul, Mont Blanc de Courmayeur, le Dôme. Wydaje się ten widok tak nierzeczywisty, wydaje mi się, że ktoś zamknął dolinę Chamonix wielką panoramą w bęben gigantyczny, jego wnętrze namalowane i wyobrażone na nich Alpy i góry. Trzeba głowę znowu wysoko zadzierać ażeby zobaczyć jak ktoś gwiazdami ponabijał niebo.

A jak jesteśmy na miejscu to układamy swoje zbołałe kości na nieziemskich materacach, poobijane boki bołą nas od wysokiego stanu rozśmieszenia. Niech Bóg da zdrowie strzelcom alpejskim, za ich najwdzięczniejszy gest i francuską *fraternité*. Czego im życzyć chyba niczego, mają cholery wszystko, może żeby zaliczeni zostali potem w organizacje anielskie, między Trony i Chóry, bardzo by im było z tym do twarzy, tacy są anielscy, bujają gdzieś po stokach między chmurami, niechże więc im będzie pomiędzy Chóry i Potęgi.

My za to wracamy do dołów.

Jesteśmy już dobrze zatwardziali na rozstania, musimy być zatwardziali bo jeszcze nieraz będziemy się rozstawali. Ale scena jaka rozegrała się w loungu, była z tych prawie, że łyż z oczu wyciskających. Bo zapomniałem powiedzieć żeśmy doczekali się przedtem całej rodziny *l'Agnassów*, papy, mamany i córeczki Pauline. Co za wspaniały egzemplarz burżujów francuskich. Ojciec szczywany rentier, o niebywale egoistycznej i inteligentnej twarzy, kiedy potrafił i umiał i był szczerze przyjazny dla przypadkowej znajomości syna, kiedy od pierwszego spojrzenia otaksował nas i przenicował na wylot, i odpowiadało to zaraz jego gustowi, ta przyjaźń jego chłopca z kilkoma wyrzuconymi przez czkawkę losu ludźmi, którzy są nieszkodliwi a przyjemnie nieodpowiedzialni i w dobrym tonie entuzjastyczni, a że wojna to i na wiele sobie można pozwolić, do niczego to nie będzie zobowiązywać, a synowi to i tak się należy i wygładzi się w nim kanty, które nie oszorują się w ich rentierskiej atmosferze. Ale generalnie biorąc to i tak w jego oczach czai się niepokój jak w oczach większości co tu z tym i jakie losy nadchodzą, czy sztukować jeszcze i spe-

kulować czy poddać się instynktowi rasy, a instynkt rasy powiada *laissez passer*. A *maman* jest zupełnie roślinna i wtulona w atmosferę swego rodzinnego świata jak mątna w obłoku sepii, a córeczka jest to mała, brzydka dwunastoletnia mądrala. Więc razem nakręciliśmy gramofon i wzruszaliśmy się kiedy łąkał Tino Rossi i bradziażyła Lucienne Boyer.

A teraz powiadamy sobie *au revoir* i obustronnie jesteśmy wzruszeni, i pozbieraliśmy się i mgła lepka położyła się w dolinie Chamonix, kiedy w noc noworoczną 1940 wyciągnął się pociąg wzdłuż tej doliny Chamonix.

Jedziemy pociągiem już wojennie zapchanym, jak gdyby strapiona nędza nie mogła znaleźć innego klimatu jak zjełczały od dymu tytoniowego, od wiezionych i zjadanych wiktuałów, pieluch dziecinnych i skóry waliz, sąg powietrza wojennego wagonu. W Dijon wsiadła do naszego przedziału i ktoś jej ustąpił miejsca, dziewczyna-kobieta. Była melancholijnie przystojna, z poważną twarzą i niewidzącymi oczami cnotliwej i pewnej swej cnoty kobiety, kiedy odgrodziła się od wulgarności wojennego wagonowego świata zamknięciem się w sobie i swoją własną troską, uosobienie Francji, nie łydziastej i piersiatej Marsylianeki w czapce frygijskiej i z zezem reakcji wzrokowej w pustych i wypukłych białkach oczu, ale Francji takiej jaką ona tu była, spokojna, mądra, uważna i roztargniona zarazem. Patrzyła w czarne okno, w ścisku naszego przedziału od tego ścisku uciekając w czarną noc Francji i taką ją zapamiętałem, kiedy usnąłem sam nie wiedząc kiedy, a kiedy się obudziłem to już jej nie było.

Było nowe rano.

„DZIEWCZYNKĄ Z NÓŻKAMI NA KSIĘŻYCACH”

Dlaczego wszystko tutaj miało być tak straszne, tak oczywiste i tak straszne? Może dlatego, że było to o późnej jesieni kiedy słońce zaciągnawszy na twarz kaptur nisko leżących chmur przychodziło późno, ranami, rana ostre i chłodne jak stal przyłożona do karku. Wśród tego sterczały tylko w niebo sztywne **pnie drzew**, jakie to były drzewa? choć wysiłam się to nie mogę powiedzieć teraz, może to były, ale naprawdę nie wiem, zresztą dla niepoznaki drzewa te, tym drzewom obcinano gałęzie, przycinano je, tak że w górę sterczał jedynie tępy pień, włochaty od rosnących, obrastających go odnóg, prętów. I tak wszędzie, gdzie obrócić oczy sterczały po polach, poobsadzone na ich granicach kamiennych, na żywopłotach te pnie. To miało dodawać niesamowitości temu krajobrazowi, może na pamiątkę Markiza de Rhais, który w swych szalonych ucieczkach i wędrówkach po pustkowiach, nawet widlastym gałęziom, rozwidleniom ich przypisywał przesładowcze i uparte znaczenie.

Wśród tego krajobrazu, który jeszcze do teraz jest mi rudy i oliwkowy w oczach, pozostało mi przeczekać wiele tygodni. To była twarda ziemia i spod niej wylażyły czerwone skały, wylażyły, wysadzały się jakimś uporem, aby na przekór uczeptionemu tu życiu pokazać że to tylko ułuda że naprawdę to liczą się i przetrwają one, palce martwoty wygrzebujące się spośród ziemi jak palce trupa, kiedyś przysypanego żywcem, skurcz ich i beznadziejny apel i szyderstwo dokonanej rzeczy na urągowisko i trwogę pozostałym nam tutaj. Może gnój tej ziemi, śmierdzącej nawozem, nawóz wszędzie, w dużych kupach nawiezionych na pole, snujący się z ciężkich dwukołowych wozów, zaprzęgniętych w ciężkie konie w szydło, kiedy ołowiane ich łby pochylone są w wysiłku, gnój walający się w rowach, wieńczący żywopłoty, lepący się do butów, po prostu wyczesywany z włosów, na sprze-

ciw, na przekorę martwocie trzymającej pola w swym posiadaniu. Wydawało się że właśnie ten gnój był najbardziej przekonywującym dowodem życia, fermentująca miazga, agar dla nas żyjących, skisłe życie, osocze w które wracamy, zbawienny cuch dla naszych żartych przez laseczniki śmierci płuc.

Wpółśród tego wlepieni w ten gnój, żyli chłopci, czarne przecinki na tle krajobrazu, twarżo w nim żyjący, oczywiści, jakżę oczywiści i w pejżażu, chłopci chłopskością taką że jakby byli innym gatunkiem człowieka, nie rozumiejący, patrzący zimno i blade, uczepleri rękami tej ziemi, poruszający się jak robactwo pośród tragicznie stężających kłykczi czerwonych skał.

Raz tylko stamtąd uciekłem na parę dni, wydawało mi się że czarny sabot nastąpił mi już na gardło i dlatego uciekłem, a potem zawróciłem się zawstyżony. Bo i czegoż uciekać choćby nawet od takiego człowieczeństwa, czemu nie podeprzeć się, nie podeprzeć tej rzeczywistości.

Czyż nie winienem powiedzieć o swoim najbliższym kręgu, na kwaterze gdzie przyszło mi popasać. Otóż miałem izbę czy pokój na pięterku, wchodziło się naprzód przez kuchnię na dołę, potem schodkami do góry i do swego pokoju musiałem przechodzić przez pokój gospodarzy. Moimi gospodarzami to była właściwie rodzina kobiet, trzy kobiety, stara matka, żująca bezzębnyimi, wyjedzonymi zębami, co to podobno jest od picia cidru, więc mełła tymi bezzębnyimi zuchwami ale była jeszcze wcale żwawa i ona to prowadziła gospodarstwo. Potem były dwie córki. Jedna z nich pomagała matce w gospodarstwie a druga była chora i złożona właśnie w tej ich izbie na górze przez którą musiałem przechodzić na swoją kwaterę.

Nie umiem powiedzieć co było owej cierpliwej pacjentce a mojej sąsiadce. Była służącą w mieście, w Paryżu, gdzie wiele Bretonek idzie na służbę, ale kiedy dotknęła ją jakaś dolegliwość to naturalnym porządkiem rzeczy powróciła do rodzinnej wsi. Nie wiem właściwie co jej było. Ręce i palce miała okręcone jakimiś szmatami, jakieś mitenki kryły nieprawdopodobne schorzenia i właściwie w rzadkich chwilach kiedy przechodziłem, przemykałem się do swoich leży, sakramentalnie witając i żegnając chorą konwencjonalnym *Ca va?* to widziałem z niej tylko te jej ręce okręcone czarnymi szmatami i palące się oczy, oczy patrzące za mną z czeluści ich samotności i zamknięcia.

Co by nie dodać, o czym by to nie powiedzieć żeby jeszcze lepiej oddać atmosferę, *timbre* tego krajobrazu. Czyż nie winienem opowiedzieć o swym sąsiedzie, facecie skłóconym z całą wsią, jako że wpółśród tych katolickich, czarnych chłopów Wandeï reprezentował libertynizm, antagonizował specyficznym ro-

dzajem francuskiego komunizmu, mały facet o wyleniałej bródce, w krótkich bryczesach wpuszczonych w zielone pończochy, kiedy wybierał się na swoje myśliwskie ekskursje. Był bardzo w krajobrazie, sportsman, typowy sportsman francuski, z fuzją wybierający się na polne włóczęgi, trochę podobny w tym do włóczęgi kociska, jakiego spotykamy wpośród pól i miedz w jego apaszowskich wyprawach.

Trofea które przynosił, ofiary drobnego śrutu Gevelot, krzyżował potem i rozpinął na wrotach i drzwiach swego obejścia. Dziwaczna, bolesna kolekcja, tragiczne muzeum historii naturalnej, ptaki rozbite w krzyż, przygożdżone do tych bram, czaple o stalowych piórach, kuliki, bekasy, czajki, sójki, wydawało się że to obraz, wnętrze, fantazja mózgu tego małego faceta wyrażała się artystycznie, ucieleśniała w tych ekspozycjach, wydawało się że to jego myśli zbiegłe, ptasie, uciekłe, zestrzelone na uroczyskach i zdradzone, wystawione tu na pokaz tłumaczą nam coś chaotycznie o nim samym. Ile razy wracałem na kwatere to odwracałem głowę ażeby nie widzieć nowego dodatku, jaskrawszego znaku o rozpiętych skrzydłach i rozwartym w krzyku dziobie.

Wpośród tego, zwykle na pustym miejscu, ale zdarza się, że jedzie się autobusem i przeciska się jego pudło pośród ciasnej uliczki wsi, domy, progi kamienne i czerwona reklama stacji benzynowej i wspina się, wlokąc za sobą odwłok potwora, dolmen, krzywy stół druidyczny, bezczelnie kumający się z domami żyjących, maskarada na skalę setek czy też tysięcy lat, taki skamieniały gabinet osobliwości, jarmarczna, druidyczna ciekawość. Która nie będzie spędzać mi snu z powiek, ta osobliwość godna popularyzujących magazynów na tematy „technicznonaukowe”. Ach, to może właśnie ugłaskiwała mnie ta kolekcja dziwolągów, może dodawała błazeństwa i dzięki temu rozpraszała nagle i nie wiadomo czemu napięte we mnie niesamowite uczucie odbierania samego kraju.

Kiedy poszedłem o coś tam popytać do domu niejakiego Guy Detoq to bardziej przejęło mnie to co zobaczyłem we wnętrzu tego domu. Ciemna izba, wielka jak kaplica z jedną ścianą zabudowaną dziwną strukturą z ciemnego, wyslizganego drzewa, olbrzymia kombinacja szaf, komód, skrytek, półek i łoża małżeńskiego w jednym kawałku, całość jakby to był ołtarz i konfesjonał i chrzcielnica w jednym, niesamowita kombinacja, z drzewem wypuczonym od starości, pokrzywione to na cynkach, łoże zasłonięte jak błoną, draperią, jak nisza w rzymskich katakumbach.

I komin z otwartym ogniem, u którego wyszorowane

przez użycie, wygładzone dłońmi pokoleń narzędzia, szczypcy, miech z czarnej skóry w serce wycięty, miedziany kocioł, ruszt czarny od starości i węgla, hak usmolony i trójnóg. A przed kominem malutkie stołeczki, z siedzeniem uplecionym ze słomy, najniesamowitsze z tego wszystkiego, lilipucie, niziutki, puste i zapatrzone w ogień, zapatrzone aż do chwili kiedy raz rano byłem u Detoq'a, bardzo wcześnie rano. I wtedy na tych stołeczkach siedziały dzieci, zerwane wcześnie rano, dzieci jeszcze brudne i posklejane ze snu, w koszulach nocnych, w chłodnym wczesnym poranku, kiedy gdzieś tam warzy się im jakaś kaszka, a dzieci siedziały zapatrzone w ogień, na swych lilipucich stołeczkach, lilipucie i kruche, z kręgami pod oczami, sztywno, twardo, siedziały, wyprostowane w ten zimny, zimowy poranek i patrzyły w pełgający ogień. Ogień był z prasowanych z mięsa brykietów, brykiety okrągłe i owalne jak jaja, żarzyły się czerwono i pełgały niebieskim płomieniem, mrugały wielu źrenicami płomiennymi z tego ognia ku dzieciom, które swymi ptasimi oczami, przyniesionymi ze snu wprost, jeszcze odwróconymi w sen, patrzyły, nie widząc mnie, nie widząc tego rana, nie widząc świata, tylko tamte oczy zakłete i hipnotyzujące w płomieniu porannego ognia.

Można więc sobie wyobrazić że nie inaczej było jak tylko strasznie. Jedynym jasnym punktem w tym krajobrazie to była, pozał się Boże, kuchnia dywizjonowa. Naprzód kucharz, który został wybrany do tego nie dla jakichkolwiek rekomendacji ale przypadkowo, omal że nie zarznął nożem sprężynowym boguduchawinnego kaprała, bo wydawało mu się że ten zdradził jego kulinarne talenty, nabyte kiedyś w cywilu. A w wojsku nie chciał być kucharzem, i omal że dla zasady nie wypuścił kapralowi kiszki. A byłoby to nieporozumienie i nawet wbrew pasji jaką miał, z jaką był urodzony. Oczywiście jak wszyscy kucharze był bardzo zawsze zafrasowany, nie miał poczucia humoru i niebezpiecznie było robić w jego obecności jakiegokolwiek aluzje żartobliwe o tej sztuce. Ale sama instytucja była najpogodniejszym zakątkiem w tym demonicznym dystrykcie. Nie mogę się nie wykręcić ażeby nie nadawać opowiadaniu o tej kuchni jakiegoś facecyjnego tonu, może sprawiało to samo wspomnienie kuchni, jej pogodnego, gorliwego kręgu, jej światła jarzących się po nocy, ślących głęboko w górę słup rozpełganej pary, jak iluminacja nowoczesnego miasta, może zapach gotujących się flaków, soczystość i solidność i dosytość ćwierci wołowych wiszących krwawo pod belką, kucharz wpośród tego w zaszmelcowanym fartuchu, pod ręką ma topór i w dłoni właśnie ów śmiertelny nóż sprężynowy, kiedy kraje porcje na posiekany stole.

◆

Nasze kasyno mieściło się na tyłach sklepiku. Właścicielem sklepiku był czarny jak cygan jegomość nazwiskiem, o ile sobie przypominam Jaloux-Houchet. Miał wiele dzieci i spłodził tę masę do spółki ze swą małą żoną, miłą kobietą o zatroskanych oczach. Zdaje mi się, że dzieci było dziesięcioro, od chłopca osiemnastoletniego do ledwie zaczynającej pełzać małej Renée.

Te dzieci spotykałem rano na swej drodze w drewnianym stukocie sabotów, idące do szkoły w późne, zimne, bretońskie poranki. Chłopcy chowali czerwone od zimna ręce w kieszenie spodni, podnosząc wysoko czarne, klotowe fartuchy, jakie mali chłopcy we Francji noszą na ubraniu. Poślizgiwali się na zlodowaciałej powierzchni szosy, obramionej niskimi, kamiennymi murami oplecionymi cierniem głógów. W parowie, prymitywna, przywieziona tu w lecie prasa do tłoczenia cidru, stała nieczynna pod niebem styczniowym.

Na obiad schodziliśmy się koło godziny pierwszej. Nasza jadalnia, jak wspomniałem, mieściła się na tyłach sklepiku i w normalnych czasach była pewnego rodzaju odciętym pokojem dla bardziej szanownych czy pragnących samotności, gości. Była wąska i obie ściany zajmowały półki z ubogim towarem sklepiku. Kolorowe barchany i drelichy, kapelusze słomiane, sprzedawane w lecie, nadziane jeden na drugi w wysokie kolumny, rzędy komicznie kolorowych sabotów oszytych skórą i ewentualnie podbitych solidnie gwoździami. Stała tam jeszcze maszyna do szycia i za szkłem szafki stare i zużyte od przewracania książki do nabożeństwa.

Do stołu w kasynie podawała nam dziewczyna, która w domu Jaloux-Houchet była czymś w rodzaju służącej czy też najemnicy. Chyba nie pochodziła stąd, tak to sobie wyobrażałem, bo w przeciwieństwie do ludzi tutejszych, czarnych z czerwonymi plackami rumieńców na policzkach była biała, włosy miała jasne, wyblichowane i w ogóle była tak jakby anemiczna. Zaraz sobie wysztukowałem że pewnie jest z Normandii, że tu jej tylko przyszło służyć. Jak jej było na imię to albo nie pamiętam, albo też nigdy nie wiedziałem. Snuła się pomiędzy kuchnią i salką jadalną, przynosząc talerze, nakrywając do stołu, z pochyloną głową i spuszczonej oczami tercjarki, czy siostry służebnej, z wypukłymi łopatkami na chudych plecach, trochę szurając sabotami, skrzyp drzwí, odpycha łokciem, bo obie ręce ma pełne talerzy, nie patrzy po nas, tylko po obrusie, wpośród dymu tytoniowego, ścierając plamy, piętrząc wyjedzone talerze, skrzyp drzwí, do ciemnej kuchni i znowu jak łodyga jakiejś rośliny jej

ramię sięga poprzez głowy by zabrać salaterkę z resztkami sałaty.

Dla tej pewnie analogii porucznik Boczyła, który spóźnił się na obiad i siedział osowiały, przypomniał się jej, cedząc wolno, z przekąsem przez zęby, obdarowawszy ją twardym spojrzeniem:

„Królewno — kwiecie nenufaru — przynieś-że mi zupę”.

Wiadomo, że okoliczności, szczególnie fach nasz, wiek, pogoda, zniecierpliwienia, mordęga, egoizm i wiele innych rzeczy pokryły nas takim pancerzem obojętności, tak zrogowaciałym jak pancerz Pieczyngów z rogu kopyt końskich, toteż widzimisię innych traktowaliśmy obojętnie i nie byliśmy szczególnie wrażliwi na chropowatość, nietakty innych. Ale w tym wypadku czułem że każdy z nas dezaprobuje niezgrabnie i w myśli, czuje się niezręcznie i nieswojo w chwili kiedy porucznik Boczyła był zaczepnie niegrzeczny wobec dziewczyny podającej do stołu.

Była to bardzo skomplikowana sytuacja. Po pierwsze porucznik Boczyła nie obrażał jej w sposób bezpośredni, wyrażał swoje docinki i uszczypliwości w polskim języku, który oczywiście dla dziewczyny był niezrozumiały. A oskarżać kogoś o intonację głosu, intonację która była oczywista i zrozumiała i obrażająca sama w sobie, to byłby już daleki strzał, zarzut o to byłby po-czytywany za prowokację. A z drugiej strony intonacja ta była oczywista i bolesna, jeżeli wierzyć bolesnemu zgarbieniu jeszcze więcej łopatek na chudych plecach dziewczyny, ugodzonej przez porucznika Boczyłę. Poza tym porucznik Boczyła nie brał nikogo na świadka, nie zwoływał sobie ani współników ani audytorium, specjalnie do swoich prawie że osobistych wycieczek. Nie porozumiewał się triumfującym wzrokiem z innymi na temat swojego nonszalancko-uszczypliwego traktowania dziewczyny, załatwiał to sobie otwarcie, nie troszcząc się o aprobatę czy też dezaprobatę współbiedniaków. Dodawało to sytuacji jakiegoś szczególnego posmaku, było to intymne załatwianie sobie sprawy pomiędzy porucznikiem Boczyłą a dziewczyną, czy nam się to podobało czy nie, i w tej intymności artykułowanej na jawie, powiedziałbym cynicznie, gdyby o dziwo nic w tym cynicznego nie było, miało to w sobie coś z bycia świadkiem, zaambarasowanym świadkiem sceny małżeńskiej, prania rodzinnych brudów.

A tu znowu paradoks tego że jedyną intymnością jaka zachodziła pomiędzy porucznikiem Boczyłą a dziewczyną to było wyskandowane przez zaciśnięte zęby: „Królew-no-wod-ny-ane-mo-nie-przy-nieś-że-mi-zupę”. Nie byle jakie zawalidrogi były wpośród nas, porucznik Boczyła nie miał szczególnie daru do jednania sobie przyjaciół, poza tym były i wyższe szarże, które takie nieprzyjemne wypowiedzenia się mogłyby brać także jako oso-

bisty afront, ale konflikt porucznika Boczyły i dziewczyny podającej do stołu był tak przez niego wybalansowany że „mucha nie siądzie”. Pozostawało nam jedynie przejść nad tym do porządku dziennego.

Dobrze to sobie mówić tak, ale żal było dziewczyny kiedy spłoszona, zmieszana, z bolesną zmarszczką na czole pokłusowała ciężkimi sabotami w stronę kuchni, ażeby po jakimś czasie trzęsącymi się rękami, z przyciętą zębami wargą i włosami wymykającymi się z płaskiego węzła na karku, ku groźnemu niebezpieczeństwu dla naszych mundurów ściśnionych przy stole, przynieść właśnie ów tak szczególnie pożądany talerz zupy.



Kiedyś wysłano mnie do Rennes w sprawie służbowej i po długim jeźdzeniu po mieście, zajechałem na przedmieście przed budynek z czerwonej cegły, który kiedyś był szkołą a teraz był miejscem postoju kadry dywizjonu artylerii 5-tej brygady kadrowej. Budynek był, jak każda budowla gdzie wojsko już powstało sobie trochę, brudny i odrapany. Dyscyplina i porządek wojskowy idą w parze ze specyficznym wojskowym brudem, zawsze wykwita w rogu pusta, pogięta blaszanka po benzynie na odpadki. Na drzwiach, na tabliczkach napisy i zachodzi zawsze sołdackim zapachem, jakimś specyficznym zapachem zjełczałego potu męskiego, zapachem impregnacji mundurów w magazynach wojskowych, gdzieś zawsze niedaleko musi być kuchnia wojskowa i domiesza do tego zapachu swoje kucharskie i zawsze gdzieś coś nie działa w tych wojskowych wychodkach, żeby to się działa nie wiem w jakim kraju, gdzie sztuka instalatorska stoi na wysokich i powszechnych standardach, no zanoszą ludzkimi szczynami, co tu mówić. Inne armie dodadzą do tego swoje specyficzne zapachy, kwaśne, wojskowych komiśniaków, chlebów, które kiedy sobie postoją to apetycznie, leciutko fermentują, inne mają swe dziegiecie do smarowania butów i swoje naftaliny, które nie wietrzeją tak łatwo z mundurów, jednym słowem idą za wojskiem te zapachy.

Zaraz po prawej stronie bramy był pokój oficera służbowego.

Pokój ten był zarazem kancelarią kadrową, bo było tam więcej stołów, na jednym maszyna do pisania, książki o wytartych okładkach i rolka papieru klozetowego, dostarczona tutaj dla wiadomych celów przemyślnie, a tutaj jeszcze przemyślniejszy piszczyk kadrowy, przystojny plutonowy, używał do pisania meldunków i brulionów rozkazów i rozporządzeń. Na ścianie

przypięta była powielana na szapirografie instrukcja na wypadek pożaru po francusku i polska instrukcja na wypadek alarmu. Był jeszcze orzeł polski wycięty z papieru i naklejony na czerwonej bibułkę i napis „Nie pluć!”.

Pokój oficera służbowego musiał być także miejscem spotkań towarzyskich, bo było w nim paru oficerów, najwyraźniej niczym zajętych.

Właściwie jeden z nich był zajęty najdziwniejszą w świecie rzeczą, mianowicie: na jednym ze stołów było rozrzuconych kilka zabawek, bardzo nawet zabawnych i precyzyjnych i sprytnych. Był mały samochód, nakręcany sprężyną, który puszczoney w ruch zataczał zdenerwowane koła po asfaltowej posadzce i terczał wesoło i śpiesznie, póki nakręcona sprężyna nie rozkręciła się i wtedy stawał nagle i smutnie, prawdziwa zepsuta zabawka. Był mały dźwig, który był małą miniaturą prawdziwego dźwigu, czerpaka, jaki widuje się na robotach ulicznych, kiedy łyka rozwartym gardłem tony gruzu i z zawrotną szybkością zatacza swą szyją w półkole i kiwa mu się ta przeciążona żuchwa. Był żółw, który mozolnie wiosłował koślawymi łapami-grabami i wahadłowo przenosił swą głowę z prawa na lewo. Były jeszcze inne przemyślnie, kolorowe, łatwe i koślawe zabawki. Ten jeden porucznik to cierpliwie je nakręcał i puszczał w ruch, a inni, w swych ciężkich, zielonych khaki płaszczach stali, albo co niektórzy przysiadł pośladkiem krawędź stołu i patrzyli na to zimno i obojętnie, jak dzieci bogatych rodziców w ich dziecięcym pokoju, kiedy są już znudzone tą lawiną zabawek i nic ich już nie rozbawi i nic, żadne cudeńko im nie zaimponuje, znudzone i smutnie zblazowane.

Dotąd dla mnie jest niewytłumaczoną zagadką, skąd się do licha wzięły te zabawki w najbardziej niespodziewanym miejscu na świecie, wśród szarych ścian szkoły, przerobionej na koszary, w zimowym blasku zimy, kiedy żarówka czerwona pełgała w biały dzień na stolem piszczyka kadrowego a młodzi ludzie o znużonych twarzach siedzieli zapatrzeni w kolorowe i wesoło malowane zabawki, udające życie. Może to któryś z nich miał je na prezent dla dzieci swych gospodarzy, u których stał na kwaterze, może któryś po prostu z fantazji i dla uczipienia się myślał czegoś skrajnie różnego wstąpił do sklepu z zabawkami i nakupił ich i puszczał je teraz w ruch i gonił za nimi swymi myślami. Było coś w tej nonszalancji i nieoczekiwaniu zaczipienia się myśli ludzkiej, było w tym coś z fantazji i wielkopańskości i fanfaronady w dobrym stylu, w tej zabawie w obliczu niebezpieczeństwa czy beznadziejności, jak podziwialiśmy to w skazańcu który miał pójść na szafot, kiedy znalezionymi na

podorędziu nożyczkami obcinał sobie paznokcie, kiedy czytano mu wyrok śmierci.

W sekrecie to ja sam zabawiam się takimi mechanicznymi zabawkami. Układam sobie sytuacje, nakręcam je potem patrząc w ślad tego jak rozkręcona sprężyna porusza nimi i jak wymyślony mechanizm nimi pokieruje. Już ja sobie przemyślałem porucznika Boczyłę i jego „Królowno — kwiecie nenufaru”.

No, myślałem sobie, te maupassantowskie sytuacje. To maupassantowskie porównanie najbardziej może się pchało że to w Bretanii, pośród chłopów. Więc, zaraz co? zaraz jak jakieś spięcie, konflikt, to właśnie tak jakby z tego pana co to miał taki zawieszisty wąs i bicepsy wioślarza, a że mu się tam potem porprzykało w głowie, że jak wieść gminna powiada, spirochety, skrętki blade rzuciły mu się na mózg to właśnie potwierdzić miało tę francuską *fin-de-siècle*, te skomplikowane, wysmaczkowane sytuacje, że nawet i jemu z tego kręgu wymknąć się nie dało.

Więc jakże to ma być z tym porucznikiem Boczyłą? Że tu on patrzy twardym wzrokiem a naprawdę to ta królowna jest dla niego prawdziwą królowną? Albo że nienawiści swoje, zawody to właśnie na nią spycha, ją za to czyni Bogu-ducha-winną? A ona? jakaż jest ona? co rozumie a nie rozumie z tej szeleszczącej obcej mowy, a rozumie, nienawidzi go, a może przez przekorę mu się oddaje?



W połowie kwietnia w całej Bretanii zakwitły jabłonie. Po między domami, na polach, na wzgórzach, łąkach wpośród skał, w rozpadlinach i na otwartym wybuchły nagle biało-różowe kule i dnie zrobiły się białe. Stare, zgrzybiałe drzewa jabłoni i młode sadzonki, pokrywane niebo czarnymi błyskawicami gałęzi, zanim jeszcze wypuściły pierwsze liście rozpękły się w tych biało-różowych kwiatach. A potem kiedy pierwsze ich płatki zaczęły opadać, u każdego drzewa jak cień rozsiewała się biała plama, kładła się na czarnej ziemi i gnoju białą zadymką i różową zaspą. Z daleka, z daleka widać była jak skośnie, mądrze, uparcie, białe, księżycowo, sypią się te płatki, medaliki, skropione powietrze.

Bretonki noszą swe kornety-czepki, *coiffure*, każda parafia inne. Nawet zacząłem już odróżniać — te czepki z Ploërmel, a te koronki z Pontivy, a te krochmalone z Carhaix, Pluigheau, St. Briec, Paimpon...

Pewnej niedzieli idąc drogą, zdarzyło mi się natknąć na dziewczynę która podawała nam do stołu w kasynie. Siedziała na niskim murze obrzeżającym drogę i nie poznałem jej w pierwszej chwili, musiała mieć na sobie jakąś lepszą niedzielną sukienkę, albo też to, fakt że siedziała beczynnie, kiedy z kasyna pamiętam ją zawsze zagonioną, zalataną, to ta jej beczynność była jak przebranie. Siedziała doskonale beczynnie, z rękoma bezwładnie w podółku i patrzyła martwo w te swoje ręce, odmienna, inna, bezwładna, niedzielnie, niedzielnie-popołudniowo beczynna, z włosami, które nieporządnie opadały, wymykały się z jej węzła na karku, w sukience tak szarej i pepitowej i bepciowej sukieneczynie i z jej zgarbieniem wąskich pleców. Siedziała zapatrzona w swe ręce, niewidząca, odległa. Na nogach, na czarnych pończochach miała nową parę sabotów, i te nogi w sabotach, kiedy tak siedziała na niskim murze przydrożnym, nogi zwieszono, trochę jakby sterczące ku przodowi i mogłem widzieć nowe gwoździe podkucia i błękitne podkówki, półksiężyce, „dziewczynki z nóżkami na księżycach”.

A ostatni raz to widziałem ją wtedy kiedy już zabieraliśmy się stamtąd, niedługo po tym spotkaniu niedzielnym. To był wielki rozgardiasz z pakowaniem, miałem rozmaite sprawy do załatwienia i kiedy poszedłem na obiad, do kasyna to już byłem ostatni, wszyscy inni już poszli. Siedziałem sam w tym kasynie i czekałem na obiad, czułem, jak zawsze na wyjeźdnym, jak nie należę do miejsca.

I wtedy ta sama dziewczyna przyniosła mi zupę. Niosła ten talerz i jak zawsze patrzyła w dół i z oczu jej ciekły ciurkiem łzy właśnie do mojej zupy. Byłem zaskoczony i nie wiedziałem co się dzieje i chciałem jej coś powiedzieć ale sam nie wiedziałem co, to ją zapytałem:

Avez-vous des chagrins? — Mademoiselle?

BARBARZYŃCY PATRZĄ W KRAJOBRAZ PODBITEGO KRAJU

Autobus zatrzymał się w samym środku miasta. Mały, czarny południowiec, szofer, który nas tu przywiózł, zirytował się na mnie kiedy chciałem wejść po żelaznej drabince, ażeby sobie ochoczo i bezpretensjonalnie odwiązać nasze worki i walizki, przymocowane sznurami na dachu samochodu. Był taki serio od samego Awinionu, nic tylko ten jego samochód, szoferowanie, na nas patrzył całkiem nieprzyjaźnie, jeżeli w ogóle patrzył.

Tu nas czeka kupa znajomych twarzy, któreśmy widzieli tak dawno. Omal że nas nie obmacywują, przypominają. Zaraz obok w parterowym domu jest kasyno, długa ciemna izba, z oknami prawie na poziomie szosy. A szosa przebiega miasto z północy na południe, prosto jak strzełił, tyle że w mieście robi taką literę S i potem dalej wyciąga się prosto jak strzełił.

Mówią, opowiadają, a to na Węgrzech, a to że tu czasami wieje, no taki wiatr z Alp, nazywa się Mistral, ale sami zobaczycie, i że było zimno, ale teraz znowu na odmianę gorąco jak cholera. Smaży się coś tam w kuchni kasynowej i jesteśmy już głodni. A szosa jest czarna od smoły i posoczy się w słońcu i lecą nią wielkie, olbrzymie cysterny z winem, każda ma przyczepkę czterookołową także z wielką kadzią, cysterną, i są olbrzymie i jakieś bezosobowe, jak czerwone meteory, śpieszące się w swej drodze, sssss! szuuuuu! przelatują poprzez śpiące miasteczko. A domy są tynkowane i mają żaluzje w oknach a w drzwiach wiszą w nich zasłony z paciorków nanizanych w długie sznury, jak w bajzlu, i jak się wchodzi to odgarnia się ręką, rozgarnia te paciorki. Jest placyk w środku miasta, przez który przelatuje nasz gościniec, kilka platanów w rządku, ich płaskie liście rzucają gęsty cień, a kora łuszczy się i odpada jak strupy i ukazuje

w świeżo odkrytym miejscu jaśniejszy kolor. Powiadają nam, chodźmy, zanim będzie obiad, napić się do czerwonej. To poszliśmy przez szosę na drugą stronę, przed bistro parę stolików i żelaznych krzesełek, bistro puste, kazaliśmy sobie dać Cap-Corse'a, nalewa nam rzeczywiście „czerwona” baba, mąż *aux drapeaux* czy coś w tym rodzaju. Jest to 25-go maja i rzeczywiście zaczyna nam być gorąco, ale powiadają nam, ho ho, zobaczycie jeszcze.

No zobaczymy. A tu jest miasteczko jak mostek na pudle gitary, struny to srebrna struna Rodanu, czarna struna smołowanej szosy, i stalowe struny szyn kolejowych Paris, Lyon, Méditerranée a dalej wzgórze. W stronę Awinionu przybiegają do szosy i sterczą na nich ruiny zamków i warowni jak u nas na Podolu, regularnie według linii jak u nas Trembowla, Czortków, Jagielnica, Skąła. Na północ jest Pont-St.-Esprit, gdzie jest burdel, do którego się jeździ, na południe, Mondragon, Orange, aż potem Awinion. Lapalud ma dwie wieże: jedna kościelna, gotycka fioletowa i niebieska, kamienna pośród różowych dachów, druga jakaś nie wiadomo od czego tępa i pomarańczowa, jak wieża akademii katowskiej w Bieczu. Na nią można sobie wyjść i popatrzeć po dachach miasteczka, ku Rodanowi ku wzgórzom Bari, Bollenne. I zaczyna być gorąco.

W dole szosą, z sykiem ssss!...Szuuuu!... przelatują ciężkie cysterny z winem i przyczepione do nich *remorques*, zaafowane, wielkie, bezduszne.

Nasze kasyno jest na zakręcie litery S i jest tam także mostek nad ściekiem, i na niskich murowanych poręczach tego mostku siadamy po obiedzie i patrzymy po domach i ruchu drogowym, po platanach, po nielicznych mieszkańcach kręcących się koło swych spraw. Zawsze zbierają się tam koło nas, ściągnięte towarzystwem, psy miasteczkowe, różnej maści i kalibru i jest pomiędzy nimi biała, młoda suczka, która się właśnie „pali” i jest przedmiotem ambicji i pożądania całej ich zgrai, nawet starego, zgrzybiałego, prawie że paralitycznego, tłustego, brudnego kundla.

Po przeciwnej stronie, przed hotelem, siedzi w krześle tłusty „patron”, ale prawdziwa góra tłuszczu, i czyta „L'Eclairneur du Midi” czy też „Le Petit Niçois”. W hotelu kupuję sobie zawsze paczkę Gauloisów.

Mówią, jest wielka heca, kąpiel w Rodanie i śmieją się już na niespodziankę dla nowicjuszków. Mówią, nie w samym Rodanie, gdzie tam — cholera, rwie strasznie, ale w rozlewiskach, gdzie woda stoi. Co jeszcze mówią, że tu południe, że skorpiony o takie! zresztą sami zobaczycie. A miasteczko same jest jakieś trupie, nie ma co ukrywać, połowa domów pustych. Gdzież się

pozadziewali? A to jakieś demograficzne zjawisko czy coś takiego, wędrówka do miast, no to o mieszkanie nie trudno, ile sobie tylko zachcieć. Nasz gospodarz, taki emerytowany żandarm, ma dom w bocznej uliczce, pusty dom, to tam będę mieszkać, jak mu tam? Monsieur Meunier, *Retraité de Gendarmerie*.

Pójść w jedną stronę, trochę domków i już jest poza miastem szosa prosto jak strzełił, wysadzona topolami pójść w drugą stronę szosa, jak strzełił i dwa rzędy topoli, perspektywa.

I tylko ciężkie *remorqueur*'y i ssss!... szuuuuu!... gonią po sposoczonej terem i smołą nawierzchni, wielkie jak domy, i niesamowite.

Już jest drugi dzień i tak jakby tu od długa. Więc to tak? to to jest Południe? niby zgadza się, słońce i jakie! i niebo niebieszczy się i równo dookoła z taką zielenią i żółcią i lawendowo, zgadza się, to tu sobie malują, że to jednakowe i murowane światło, Cézanne, Gauguin, Van Gogh, nasz Pankiewicz, te pokręcone oliwki panie dzieju, i kobaltowe i ugrowe wzgórza i karakuły chmurek no! no! To to jest Południe, i od razu snobuje się człowiek na siestę, na omdłałość, na soczystość, na kolor, czego to się zaraz nie zachciewa, popuścić dziurki w pasie, a pamiętać o sałatach i oliwie, omaścić jak się należy bo Południe. Tylko jak słońce przypali zajarzy się w kredzie i piargu ziemi tam gdzie nie porośło albo nie obrodziło, to aż oczy bolą, a cień jest tak solidny jakby wyłożony kaflami z innego materiału, a dal jest fiuuuu! jak to się ściele i odbiega, no to cieszymy się, że jest tak jak jest.

Na trzeci dzień i w nocy przyszedł Mistral i zatłukł okiennicami mojego pokoju. Dzień jest taki sam, a przez ten wiatr to nie taki sam. Słońce świeci ale przesłonięte muślinem kurzu i wieje i jest niespokojnie i niesamowicie, głowa gdzieś kołuje i ucieka, nie można sobie znaleźć miejsca. Wiatr ni to zimny, ni to ciepły, duje z północy, duje wzdłuż strun gitary, bezgłośnie, bo wzdłuż, skrzypi okiennica okna, skwierczy piasek w ustach i wszystkie zęby, jakieś zapomniane newralgie się odzywają, a niech to cholera weźmie. W skrzyni kasynowego jest tylko dżin i salami. Pijemy dżin, Gordon dżin, nie mamy pieniędzy i kasynowy stawia kreski przy nazwisku.

Tylko olbrzymie kamiony-cysterny gonią po smołowanej szosie, ssss!... szuuuuu!... zazgrzytają na esownicy szosy w środku miasteczka i giną w dalekiej perspektywie szosy, ciężkie, ohydne, zafrasowane.

Zęby mnie bolą i Gordon dżin nie pomaga. Pieski przeganają się koło mostku i wiatr niesie i włóczy po terowanej drodze, ciągnie szeleszczące kartki „L'Eclairneur'a du Midi”. Na-

prawdę martwię się stanem moich zębów i kiedy mnie tak bolą i duszno, wiatr wydaje się nadymać pokój jak balon, nie mogę zasnąć. Cały dzień był głupi i taki jakby się miało zgać i katzenjammer, nie wiadomo po czym.

A inny dzień jest cudowny i świeży i cicho, zupełnie cicho, wiatru ani czuć, wszystko odmłodzone, ale to perła i zielono, zielono łąpuchy i trawa w podwórzu i czysto i przeźroczysto i od nieba niebiesko, niebiesciutko a mury jakież fiołkowe i różowe i słońce i cienie. Wyjść na dwór to jakby wakacje, prostuję się i wdycham powietrze i tak czysto dookoła i świeżo, inny świat, inny świat. Jak też kawa smakuje, i jak smakuje rozmowa i skwierczy coś tam wesoło od strony kuchni, prawdziwe alleluja. Jest rano, a jest już gorąco. Idziemy do Rodanu do kąpieli. Idzie się ścieżką pośród pól, inne tu aniżeli u nas, wszystko jest jasnozielone i łądogowate, niby pewne siebie, ale to jakby jakieś nabieranie, ta soczystość i wybujałość. Ale jak się przymusić to można sobie wyobrazić, że to tak jak u nas w lecie, w każdym razie idziemy. Na ścieżce leży zabita i zdeptana przez kogoś żmija, smutne węzowe szczątki i oblażyły je mrówki. A potem już zaczynają się rzeczne łązy i trzcina kolanowata i tęga jak bambusy, a potem już jest rzeka. Rzeka wysypała wielkie otoczaki i skrzyżale i z nich jest napiętrzona tama trzymająca tę lecącą wodę w jarzynie, i tylko tam gdzie poprzeciekało, porozlewało się w wielkie baseny i zbiorniki. Woda jest czysta zwierciadlanie i widać poprzez nią kamienie i głazy. Sam Rodan toczy się z nieprawdopodobną szybkością i skrzy się w słońcu południa, ale pachnie lodowcami alpejskimi, z jakich wytopił się nie tak dawno. Dlatego ta woda taka czysta, lodowa i śniegowa. A nad rzeką, jak zawsze nad rzekami, jest zaraz swobodniej i dziko, te łązy i wierzby zagęszczają się i można się w nich schować z kretesem. Nawracają się dawne szczeniakovskie czasy, wagarów nad rzekami, wrażenia ucieczki i ulgi od porządków dnia i naturalnie także wrażenie tej ucieczki, wagarów, więc zakazanych spraw, leciutkie ciśnienie winy i rzeczy wykradzionych, robionych po kryjomu, kiedy zakazane i zabronione. Jakby nie było, zawsze nad każdą wodą zaśmierdzi rybą i żabim skrzekiem, butwiejącą zgnilizną, rozgrzanymi kamieniami i piaskiem, a obłoki przegładają się w wodach i zakuka coś pośród sitowia, zaszeleści w wierzbach, zaśmieci się naokoło patykami i wodną rzygowiną.

Leniwie porozbieraliśmy się i lu! do wody. A niech to najjaśniejsze!... To dlatego tak mrugali i podśmiewali się kiedy mówili o kąpieli. Woda jest śmiertelnie zimna, aż do szpiku kości i tak szybko jak wskoczyliśmy jesteśmy z powrotem na powietrze, czerwoni jak ugotowane raki. No to bierzemy to

teraz już na spokojnie. Można także przepenetrować na tamę, gdzie pcha się ta woda Rodanu i idą właśnie galary w dół rzeki, solidne burty sterczą nam wysoko ponad poziomem wody i suną z ogromną szybkością z prądem i falą.

A potem mamy dosyć tego wszystkiego i droga powrotna trochę nam się dłuży, jak zawsze drogi powrotne, mijamy bambusy i trzciny, farmy pogubione i rozsiadłe w cieniu topól, ścieżka kręci się wzdłuż rowów irygacyjnych, obchodzimy rozdeptaną zmięję i znowu domki miasteczka i cienie uliczek, okiennice, paciorkowe firany.

Przeszła olbrzymia cysterna z uczeponą *remorque*, zakolebała się na esownicy szosy, ssss!... szuuuu!...

Jak niedługo tu jesteście, a już wpadliśmy w rutynę, jednakość dnia, te same czynności, przyzwyczajenia i nawyki. Ten sam zakręt uliczki kiedy idę na swoją kwaterę, ci sami autochtoni grający wieczorem w *boules* na placu przed moim domem, ten sam *bock* Cap-Corse postawiony na świeżo startej ceracie w bistro. Te same twarze kiedy przesiadujemy na omurowaniu mostku nad ściekiem, pieski kręcące się za białą suczką. Powietrze pachnie zieleniną i startym na proch kamieniem.



Te zęby, co mnie zaboląły kiedy zawiął Mistral, to była świetna wymówka, ażeby pojechać, poradzić się wojskowego dentysty, który opiekował się zębami zony w Awinionie. Jedyna kamionetka naszego oddziału, zaspakajająca potrzeby transportowe, głównie przywożąc artykuły dla kuchni, odbywała codzienną drogę kilkudziesięciu kilometrów do Awinionu, miała mnie zabrać, jak również jeszcze jednego pacjenta, kapitana Kłodę. Szofere kamionetki jest Błażewski z Warszawy, „warsiawiak” wygadany, sprytny, gaduła, tego to pamiętałem jeszcze z Polski, kiedy powołali niezadowoloną rezerwę na długo przed wojną. Błażewski pomimo wygadania się, ustawicznych pretensji, wszystko podlane dla pewności siebie warszawską gwarą, kiedy ma słowa jak ułał dosadne i nagłe na poparcie swych pretensji, ale w gruncie rzeczy poza tą pryncypialnością tłuściocha to dureń. A kapitan Kłoda jest mały, ale karzełkowaty to, ale patrzy na mnie, z dołu z pewnością siebie, jakby patrzył z góry, jest czerwony na twarzy i ma czarne jak węgielki oczy, czasem ma takie zmrużenie oczu jakby przyjacielsko sobie podrwiwał i mówi z lwowska „pani kuliego, ta co pan mówi du tego, taż to szkanal” i jakby mrugał na mnie, żeśmy to takie swoje chłopaki, żeśmy się wyrwali, więc znowu wagary.

Kamionetka śmiga wzdłuż doliny Rodanu, po lewej cały czas trzyma się urwisko, na którym co jakiś czas sterczą mury i bastiony ruin zamków, jak to u nas, jak wzdłuż doliny Seretu albo Zgniłej Lipy, albo Wereszycy. Mijamy Mondragon, potem Orange, jeszcze Rzymianie wystawili tam dla nas łuk triumfalny, ciężka skrzynia kamienna i poobrywane gzymsy i rzeźby i szosa z rewerencją robi półkole wokół tego łuku, a potem jakoś jest już Awinion.

Jest już niedaleko południa i niebywale gorąco. Naprzód zajeżdżamy do szpitala, brama, na bramie szpitalnej sztyldwach śmiesznie obładowany po bojowemu wojennym ekwipunkiem, ze szpikulcem bagnetu na karabinie, potem jakieś tam te szpitalne podwórze, zabudowania, pokręciliśmy się trochę, znalazłem ambulatorium dentystyczne, dentysta podłubał mi w zębie, głupi fotel i terkoczący motorek świdra, i najgorzej jeszcze zanim zacznę wiercić, wszystkie te przygotowania. A potem czekam na Kłodę w podwórzu szpitalnym i przyjechał wojskowy ambulans i ktoś w nim tak strasznie ryczał, mało mnie szlag nie trafił, nazbiegało się parę osób szpitalnych, paru pacjentów przykuszykało, mało mnie szlag nie trafił, że można tak wyć i zawodzić, i do tego pomimo ucisku serca, mam wielkie podejrzenie, że ten facet którego teraz wyciągnęli z ambulansu, przykrytego kocami, mam wielkie podejrzenie że przesadzał, że przeczułał się, może symulował, cóż, czyż wojna to nie raj dla symulantów?

Wreszcie Kłoda się pojawił i wybraliśmy się, do miasta. Mały Kłoda podreptuje koło mnie i patrzy z wyższością po tłumie ulicznym, rozchrobotany tłum południowców, dziewczyny kuczerawe, okulary przeciwsłoneczne, czerwone fezy strzelców marokańskich. Powiada Kłoda do mnie „pani kuliego, ta chodźmy, gdzie zobaczyć te pamiątki”, idziemy pod górę i odsłania się olbrzymia masa zamku papieży, jak zapuszczone szpony orła w skałę, jest jasny dzień i słońce pali i lutuje nasze cienie do kamieni i płyt chodnika a masa zamczyska ma solidność i chłód iceberga, ktoś kiedyś, czytałem gdzieś, porównał go do olbrzymiej trumny, dobrze, niech będzie trumna, olbrzymie banie głazów, jak cyklopie mury, ale brama upstrzona jest wszędzie, wszystkie wejścia do zabytków, regulaminami, przepisami i jest budka w której sprzedają pocztówki. Brama jest zamknięta, ale tuż tuż mają otworzyć, niech tylko nazbiera się jakaś grupka zwiedzających. Jakoś się tam naskładało, pojawił się tęgi facet w czapce funkcjonariusza, *guide*, wchodzimy w cień bramy. Przy akompaniamencie przewodnika, jego rutynowanych pacierzy, jakie trzepie bez znużenia i z jakimś nauczoną patosem, podnosi się i opada jego głos, przechodzimy sale i korytarze. Jest z nami jakiś żołnierz

francuski, dwie dziewczyny i jakaś para, trzymająca się razem. W jednej z sal przewodnik każe nam zwrócić pilną uwagę na jakieś przedziwne echo które tu zakłęli w kamieniu budowniczym tamtych wieków, czy też może od chórów i kantat molekuly tych murów i gładów ściennych przemieszały się i ułożyły w nową strukturę i rezonują teraz i oddają głos jak wygrane stradiwariusy. To ma niby tak być, że jak zadrgało w bezwładnej masie, zagrało i dozbierało wszystkie drgania i szczęśliwie to jak w ruletce się ułożyło, to stąd ta akustyczność. I nagle nasz przewodnik podparł się w tłuste biodra i emfaticznym barytonem zaśpiewał, modulując głos i zrobiło mi się niespodziewanie i śmiesznie i niezgrabnie na tę wokalną niespodziankę, ten niesprowokowany pokaz i niesromujący się koncert południowego trubadura.

To mi popsuło trochę wycieczkę ale, Kłoda wziął to za całkiem dobrą monetę, w ogóle trochę spowaźniał i zeszywniał, wiadomo, nie codzienną, zjadaczowskokochlebną imprezę sobie tu zafundowaliśmy i tu go nakryłem, ma facet słabą stronę, a wydawałoby się, że z tym zmrużeniem oka, to miałyby większe poczucie różnicy. Ale niech mu tam, zapisze się mu to na minus, i upewnię się w swojej wyższości zblazowanego. A ta parka, która wdzięczy się do siebie, to prawdziwe skaranie boskie i teraz sobie zwróciłem na nich uwagę. On jest wysoki, trochę łodygowaty, siwiejące skronie, pionowe bruzdy po obu stronach ust, wysoki o zgarbionych plecach, tweedowy garnitur, kończyny luźne w stawach, cyniczny i *débauché*, ona, trochę przysadzista, wdzięcząca się, wydra już dobrze pod czterdziestkę, coś tam, pantofle z Côte d'Azur, torebka ze skóry rekina czy aligatora, oboje przyczepieni do siebie, on trzyma ją prawie wpół, są *highbrow*, zadowoleni, cholera! zadowoleni ze siebie, biorą to wszystko cynicznie, zblazowani, są nawet ponad snobizm, i zadowoleni, zadowoleni ze siebie, i jak tak patrzę na nich, kiedy tacy zadowoleni i intymni, i arogancy z swoim zadowoleniem, pewni, wszystko zabezpieczone, pieniądze, gruba forsa, akcje, dewizy, papiery wartościowe dobrze poulokowane, znajomości, koneksje pewne, spryt i wygadanie się, politura kosmopolityczna, cynizm, wdzięczenie się do siebie, a mają za sobą i syte, użyte życie, i jeszcze sobie planują i urządzają i obracają się z nonszalancją wokoło nowych rzeczy, które jakże znają i wiedzą, że im zawsze wyjdzie na ich, a te konwulsje i epilepsje naokoło to tylko nowe użycie i widowisko, kiedy tacy usatysfakcjonowani, żeby tylko nerki i wątroba funkcjonowała, to kiedy ich takimi widzę, to przetykam ślinę, która mi napływa, ażeby nie pluć i wolę, żeby tam nie wiem co swoją zgrają, swój nieporządek, wałęsaninę i

włóczegostwo i niepokój, który przychodzi z zielenią tej wiosny i tyle że mi doskwiera że może obok tego życia, które podnosi teraz, w tej chwili westchnieniem bolesnym od zatrzymania w piersi, że świat, że bolesna błona świata jest teraz napięta i lada chwila zacznie pękać w bólu i rozciąganiu. To jak ich tak widzę, a nie mogę nie widzieć, to wydaje mi się to uosobieniem zła, bo nie chodzi mi o trywialną, podkreślaną solidarność niby człowieczeństwa, nieprawda, nie chodzi mi o jakąś komunę masową, euforię tłumu, wstrząśniętego tym samym wzruszeniem, jakiejś calizny skrzypiącej pod śrubą dokręcaną tej samej prasy, nawet to by mi dokuczało i wzdrygałbym się od tego. Ale kiedy się jest niesionym tą samą falą, ten sam nurt ciągnie i chłonie nas, to wolę być w wirze, żeby mi to miało nawet grozić wciągnięciem w dół, żeby ciągnęło mnie do dna, a jeżeli się nie dam, a jeżeli wyniesie mnie bo się uparłem, a jeżeli zachłysnę się gniewną falą sięgającą mi ust, to jeszcze jest to warte więcej aniżeli być pustym pęcherzem, bąblem niesionym po wierzchu, pianą zgniłą, lepiącą się i mydlącą do okruchów tego co niesie fala, co nie jest częścią fali. No to na coś ci się przydali, powiadam sobie, przydali się, możesz sobie odmierzyć dystans, wiesz gdzie jesteś, nie irytuj się, powiadam sobie, no to nie będę się irytował, słowo honoru.



Zmrok zapada, długi, leniwy, szosą przeszła cysterna z przyczepką ssssss!.... szuuuuu!.... ciężkie resory stękają na zakręcie, asfalt nawierzchni lśni w pełgającym zachodzie.

Już dawno po kolacji, ale siedzimy i jakoś znalazła się przed nami butelka Gordon dżinu, przekomarzam się z Marcinem Rupniakiem.

Powiadam, Marcin, nie ukrywaj własnych pożądań, spychasz to na mnie, co za grubo szyty machiawellowski ścieg. Bo Marcin już od obiadu przyczepił się do mnie. A właściwie było to tak, że w czasie obiadu był telefon od pułkownika Barthèlemmy, „Bałomieja”, który jest *major de la Zone*, że spadochroniarze. Po moim przyjeździe zaraz przydzielono mnie do baterii, jedynej baterii złożonej z kilkudziesięciu kanonierów naszego zbierającego się oddziału. Dowódcą baterii był kapitan Kołodziejczyk, o którym nie inaczej mówiło się jak cezurą „Kołodziejczyk łyśa pyta”. Kanonierzy nosili letnie workowate drelichy francuskiej piechoty i pracowali w ciągu dnia na fermach u „bauerów” albo „bambrów”, którymi zresztą sobie serdecznie pogardzali. Nauczyli się pogardzać wszystkimi nacjami wpośród których przydarzało im się im popasać. Dlatego nawet niewiele ich widziałem,

poza wieczornym pośpiesznym apelem, albo w soboty na wy-
płaty. Byli to ci sprzed trzech kwartałów z czynnej służby, kiedy
byli jednakowi, chłopakowaci i pogoleni, ale w ciągu tych paru
miesięcy dojrzeli, podejrzewałem ich o cynizm i błagę. Zresztą
chyba nie tylko ja, ale i władze. Bo proszę, na każdy alarm
trzeba było wyciągać z kancelarii zamkniętą skrzynię z amunicją
i liczyć i dzielić kiedy stawali nieśpiesznie na zbiorce z długimi
Lebelami naszego wyposażenia.

Zbiórka. Odliczam.

Poza tymi co są w polu, doliczam się dwudziestu paru. Teraz
trzeba wydać naboje, po dziesięć sztuk, Błażowski czeka z kamio-
netką, która nie mieści wszystkich, wiszą na stopniach, jedziemy
w stronę wzgórz, do rejonu przeznaczonego nam do spatrolowa-
wania. Zaraz trochę jest przejazd kolejowy, szlaban, z budką dróż-
nika, do córki dróżnika, co za romantyczność, zachodzi zawsze
mój wódz, kapitan Kołodziejczyk, z cezurą „Kołodziejczyk —
łyśa pyta”, wielka dla nas to wszystkich uciecha. Więc przejecha-
liśmy szlaban i dwa kilometry dalej stajemy, robię krótką odprawę,
uwaga! meldują zrzut niemieckich spadochroniarzy, zadanie! nasz
rejon o tędy, rozsypiemy się tyralierę, odstęp trzydzieści kroków,
nie rozłazić się, łączność wzrokowa, Smelka! słyszycie, czy Smel-
ka słyszy, co za konszachty teraz, więc łączność wzrokowa, kapral
Toczyłowski będzie na prawym skrzydle, ogniomistrz Wnurek,
gdzie ogniomistrz Wnurek, a tu, to ogniomistrz, ja idę jako czo-
łowy, dwadzieścia kroków w przodzie, uwaga na mnie, jak tak
rozciągnę ręce, to tak zachowywać front, trudno brać serio tę
bujdę Bartłomieja, ale mówię, spadochroniarze to rodzaj straceń-
ców, dużo broni maszynowej, głupio mi tak to akcentować to
jeszcze na dodatek mówię, nie strzelać zaraz do czegoś co się
rusza, bo jeszcze jakiemu chłopu krowę skaleczycie, no! trzydzie-
ści kroków w prawo w lewo, skooook! odbij!

Idziemy płaskim polem, ludzie chowają się w wysokiej kuku-
rydzy, wziąłem trzcinę pod pachę, jest gorąco, gorące popołudnie
i po dziesięciu krokach koszula przylepiła mi do pleców. Pcham
się przez jakąś kapustę i pomidory i jestem serdecznie zły na
siebie za ten cały absurd, polowanie za cieniami. Nie mam szcze-
gólnych pretensji do Bartłomieja, mój Boże, przecież jest tak zwa-
na psychoza, czy nie tak się to nazywa? i tak zresztą nic nie wia-
domo, i tak już Niemcy pod Paryżem, i nie słyszymy już przez
głośnik więcej Tour Eiffel. Ale zżymam się, mówi się tak —
zżymać się, nie? na tę całą niezgrabiaszowską sytuację, dlaczego?
Bo po pierwsze nie chce mi się wierzyć w prawdę tego, i nie
chce mi się bawić w żołnierzy czy żandarmów i zbójów, po drugie,
wydaje mi się że wygłupiłem się z całym tym „sztimmungiem”

wojskowym, taki chwyt poganiania, podrywania rozkazem, czego musiałem nauczyć się a podpatrzeć i posłuchać przedtem, i już mi to nawet weszło trochę w żyły ale i tak za każdym razem się przymuszam i przymuszam. Potem obruszam się na siebie i „zżymam” za zżzymanie się bo niby z drugiej strony albo jest ta wojna albo nie ma, przecież niedawno w Awinionie obrażałem się i gardziłem parą zabezpieczonych burżujów, banalnych używaczy i darmozjadów a teraz nie chcę brać na serio tego właśnie co chciałbym brać na serio. Więc pytam się sam siebie, a czego byś chciał? Pewnie chciałbym ażeby to było jakoś inaczej, ażeby inaczej pasowało. Więc jak? Więc co? Sprzeciw inteligenta, normalna reakcja na dziejącą się rzecz, podrażnienie inteligentkie, intelektualistyczne rozglądanie się za alternatywą, za kontrastem, za paradoksem, za konturem, za kolorem dopełniającym? No uważaj, mówię sobie, więc to już ma tak być, jest już zakreślone, i zapowiedziane, że co się tylko dzieć będzie, to ty masz to poczuć zaraz, reagować, pfu! reagować, ma cię świerzbic ten twój wyrafinowany, inteligentki naskórek, taka jest umowa, rozumiesz! Oglądam się za siebie i naturalnie Smelka i Owoc zbili się razem i coś tam gadają idąc razem. Przeszliśmy drogę, potem teren łagodnie unduluje, podnosi się ku stopom wzgórz. Coraz tu więcej szczyru, wapiennych rumowisk, kłaczą się srebrne drzewa oliwkowe, zatrzymując całą linię, trzeba odetchnąć. Jesteśmy zziązani, drelichy kanonierów zrobiły się czarne na łopatkach i pod pachami od potu.

Teraz trzeba iść pod górę, teren jest połamany, pourywany odłóg górski, haszcze głogów i oliwek, usypisk piargu, łomy kamienne, terasy porośnięte trawą, zaczajone dolinki, kotliny, i ciągle pod górę. Więc to jest tu i tu gdzieś rozsypują się resztki rzymskich ruin, osiedla na stoku wzgórz. Ciągnie się i poznać teraz drogę, stromą, wyżłobioną skosem w piersi góry, droga w litym kamieniu. Wyżłobione są w niej, wyjedzone obręczami kół, wkruszone w dwa głębokie rowy, koleiny, wyrobione kołami starożytnych rzymskich big dwukołowych, kiedy szprychy ich obracały się ciężko, albo po prostu wielkie ich solidne tarcze kiedy kolebały się z wahadłowym ruchem jarzm wołów, ciągnących je ku górze. W pionowych ścianach skały wydłubane w nich nisze, pieczary prymitywnego osiedla, wyżyłskane naturalne zaplecze i mur i wyrąbane w nich wytarte ogniska, kominy, paleniska i popieliska. Pośród teras skalnych, pomiędzy chwastów i bylin wysterczają jeszcze resztki fundamentów i przyzb kamiennych, domów tu kiedyś bielejących ścianami. A teraz rozsypane i kamienie ich murów powrócone ziemi.

A żeśmy spenetrowali i zlustrowali zakreślony nam teren,

to komenderuję zbiórkę i spocznię i mają wytchnąć. A sam idę wśród tych puszczeli i skorup pozostałych po miejscu, gdzie było osiedle i ciągle ku górze. Czasem jest tak stromo, że czepiam się kolczastych gałęzi głogu, na przełaj. W otwartym miejscu natknąłem się na człowieka. Był to pochylony starością węzeł tlejącego jeszcze życia. Oczy miał uciekłe i niewidome w głębi orbit, łuki jarzmowe skroni i wydatna kość nosowa, wargi zbiegłe i wessane w bezzębne usta, żuchwa zmaląła i schowana pod sklepieniem podniebienia, grdyka obwisła pomarszczoną skórą, jak indycza szyja, łuk zdrewniały pleców i starcze kolana na zawsze zgięte, i ręce luźno wiszące u barków, beznadziejność starego wieku, jak uschłe drzewo, jak szkielet paleolityczny odgrzebany wśród skorup popielnic. Ależ to był Matuzalem!

Co on tam robił, na tym uroczysku, wydmuchowisku, sam nie wiem. Ale jeszcze był żywy, jeszcze zakrzętały koło czegoś tam swojego, może zbierał jakieś gałęzie, może dłubał w jakimś zapomnianym ogrodzie, ale z odrażającym uporem, z niesamowitym, nieprzyzwoitym uporem starych ludzi zasłuchany, zaniemiały, czuwający nad resztkami ognia życiowego, tlejącego się w nim, kiedy już mózg ma zwapniały na piankę morską, kiedy krew sączy się w nim leniwie w postronki żył na wierzchach dłoni i skroniach, a jeszcze nasłuchuje, a jeszcze odurza się opiumuje tlenem, łapanym rżężącym, starczym oddechem.

Wdałem się z nim w rozmowę, i trudno z niego coś wydobyć kiedy ma już tylko inteligencję długowiecznego żółwia. Obraca ku mnie swą płaską głowę, węzową głowę i zanim wypowie słowo to łapie ustami i jest w tej starości coś tak wstrętnego i węzowego, że chętnie bym go trzymał na odległość kija. Jest stary. Nie pamięta ile ma lat. W roku 1870 był za młody ażeby pójść do wojska, a naturalnie że w 14-ym był już za stary, więc się wykręcił, wymigał śmierci. O tym co jest teraz nie ma, wydaje się, pojęcia. Porusza swą węzową głowę i pochyla ku ziemi i zbiera coś co rozsypało się u naszych stóp. W szponach dłoni podsuwa mi ku twarzy uzbierane na ziemi drobne kosteczki marmuru i kamieni.

Tutaj kiedyś stał dom rzymski. Bardzo niewyraźnie poznać zarysy atrium, kubikulów, fundamentów domu. Kiedyś posadzka atrium wyłożona była mozaiką z kunsztownie dobranych kosteczek marmuru, gnejsu i alabastru Kiedyś te kolorowe ułamki układały się pod stopami we wzór, w meander, w ptaki i ryby i mątwy. Patrzyły z dołu oczami półbogów, hydr i meduz, centaurów i gron winnych. Kiedyś, kiedy nazywało się to Galia Narbonensis i rezydent rzymski tłoczył tę samą oliwę i zbierał te same grona winne a dolinę sły i chwiałały się ponad idącymi

na północ legionami orły rzymskie, mozaika atrium układała się w niewzruszony i pewny obraz. Wydawało się może wtedy tym, co wstępowali na nią nogą, że nic bardziej pewnego i solidnego nie uścieli się im pod nogi. A teraz rozbiegły się i rozsypały kostki mozaiki, wzór i obraz jedyny i celny przesytał się na nowo w chaos przesiał i rozprószył. Dziwne to pomyśleć! Więc jakto? Naprzód było coś skałą, gnejsem, piaskowcem, alabastrem, masą nieprzeliczną i tępą natury, calizną, blokiem, i odłupane cierpliwie i obrobione skrzętnie i zlepione i ułożone, przesiane przez mózg ludzki jak przez sito, dobrane, wyspekulowane, wygładzone i wyszlifowane, kiedy zbiegło się w obraz, kiedy, pobłogosławione i wyświęcone do zaszczytu do wzruszenia sztuki, dzieła sztuki to po to tylko ażeby przyszedł czas i rozdmuchał to znowu w chaos, w mnogość czyli w nicłość.

Widzisz stary, myślę, wyszedłeś mi tu naprzeciw jak groźne memento jak przypomnienie o nietrwałości. Wylazłeś mi tutaj spomiędzy oliwek, pokrzywiony korzeniu czegoś co żyło, a już umarło. Kiedy pomyśleć, że byłeś młody, że może o wieczornym zmroku trzymałeś wpół dziewczynę jak owoc brzoskwini i kiedy wychodzisz, wypełzasz teraz na światło przypomnienia, to wydaje się to przypomnienie czymś wstrętnym i bluźnierczym. Co się stało z tą dawną chwilą? Dlaczego odleciała od ciebie, dlaczego była? Kto zaklął ją wtedy? Czy przypomnieniem tego ma być tylko zewłok jaki pozostał? Karykatura człowieka. Cemu wybucha to nagle wpośród nas a potem odchodzi i pozostawia nas jak wydmuchane szczątki preparatów entomologicznych? Czyjego jesteśmy przedmiotem szyderstwa, natrząsania się i ironii? Kto robi sobie z nas takie widowisko, dwudziestoczegogodzinny spektakl, monotony lunapark? Kogo to bawi, kto śmieje się z tego tak ustawicznie, że tego chichotu nie możemy usłyszeć?

Idę dalej ku górze, przebierając w kieszeni od spodni kilka kamyczkami mozaiki, jakie schowałem na pamiętkę.

Kilkadziesiąt kroków dalej, na drodze biegnącej po skosie góry, natknąłem się na dwu żołnierzy. Byli to dwaj strzelcy z batalionu Tirailleurs Sénégalais z Orange. Okazało się że „Bartłomiej” zaalarmował inne oddziały zony i batalion podwieziono kamionami i rozsypano w teren. Ci dwaj odbili się od swoich. Ale nie bardzo tym byli przejęci. Kiedy tak stali na tej kamiennej drodze, zwróceniu twarzami ku sinemu krajobrazowi Rodanu, na Zachód, w pejzaż daleki, gdzie odkłada się horyzont za horyzontem, kiedy soczewka oka akomoduje się skokami, dalej i dalej, aż gdzie odwala się i odchodzi daleko, gdzie odgaduje się Massif

Central i Puy de Dôme, patrzyli ku temu krajobrazowi. Patrzyli bez metafizycznego sentymentu jak patrzymy my w obcy krajobraz, bez asocjacji i stowarzyszeń literackich ani geograficznych ani historycznych, stali ci dwaj wyprostowani, wspaniałe chłopy, Senegalczycy, jakaś udana rasa, wielcy, sześciostopowi, kolor ich skóry prawie fioletowy i migdały oczu wyciągnięte ku skroniom, w oliwkowych hełmach stalowych i o paradoksie! w pełnych zimowych sukiennych mundurach, zapiętych regulaminowo pod szyję, nie porozchelstywani w gorącu Południa jak my, „jak mamki” ale pozapinani w swe żółte pasy, podpinki hełmów pod brodą, Francja swoje kohorty kolonialne inaczej tresuje i wystawia do przeglądu, bez broni, to znaczy bez karabinów, tylko po prawej stronie u pasa mieli ciężkie skórzane pochwy-olstry na szerokie tasaki czy maczety do bushu afrykańskiego kiedy w marszu wycina się nimi *pistes* na szerokość człowieka. Stali na tej drodze i patrzyli, barbarzyńsko, zimno i obojętni, jak naoliwione części działa, pewni siebie i obojętni wpośród tego świata i ruin tego innego świata. I to nic, że utrzymani są w swym rygorze i chciwemu zadaniu rentierów, kiedy wyszkolił ich wulgarny i karny, koszarowy, biały sierżant, to się nie liczy, sierżant-katalizator nie liczy się kiedy barbarzyńca nachodzi nowy świat i staje wobec nowego krajobrazu.

Więc dlatego nie bronię się przeciw atakom Marcina Rupniaka. Zresztą nawet bym nie potrafił, bo dostałem czkawki, co tylko otworzę usta, i pobudza to nas wszystkich do homerycznego śmiechu.



Koniec idylli. Radio Toulouse oznajmiło nam to, kiedy od szeregu dni stacja ta wołała patetycznie *Aux armes. — Citoyens!* Byłem wtedy z wizytą na farmie pod miastem u znajomej rodziny koniokradów i cała rodzina koniokradów spłakała się na radiowe obwieszczenie.

Zapałał wieczór kiedy nasz dywizjon robił gorączkową odprawę i pakowanie się do drogi. Wypijaliśmy szybko resztki Gordon dżinu zagryzając ostatkami salami, kasynowy skrzętnie stawiał nam kreski przy nazwiskach, pomimo straceńczej sytuacji. Mój wódz, kapitan Kołodziejczyk (z cezurą — „łysa pyta”) znikł i zapodział się i zaraz poszedł głos o tym, że nie idzie dalej, że już więcej nie stawia, zostaje z córką dróżnika. Czeka nas pieszy marsz do Orange gdzie pono ma być dla nas eszelon. Pieski zebrały się po raz ostatni na mostku na przejeździe, wielka konsternacja bo białą suczkę posiadł, w końcu cy-

niczny, na pół sparaliżowany, cierpliwy kundel, a reszta psich gerojów na sprężynowanych nogach i z postawionymi ogonami jak niepyszna asystuje, wielka okazja do filozoficznego zastanowienia się nad ironiami losów. Ale już na nic nie mamy czasu.

Tylko wielkie ciągniki, ciężkie i wiśniowe w zapadającym zmroku szły z szelestem po asfaltowej esownicy drogi.

KAWALER Z MORSKIEJ PIANKI

Z nowym żywiołem to jest bardzo dziwnie spotkać się. Na samym początku to nie jest jeszcze taką rewelacją i zaskoczeniem jakby się wydawało. Jakby nie było tu jest ląd, susza, twardzizna, a dalej z drugiej strony zaczyna się płasko i odbiega daleko ruchome, ciekące, dalekie morze. Morze. To znaczy naraz wiele stowarzyszających się myśli o tym, fale bo fale, wiadomo, idą do brzegu i odchodzą i przychodzą nowe. Niebo tam dalej spada stromo do mokrej krecchy morza. A ląd, bardzo dobre słowo ląd, który jest taki sam, aż dziwnie że nic w tym innego, trawka rośnie sobie i kamienie i patyki, mogłoby to być, opuścić głowę, mogłoby to być wszędzie, nawet natknąć się można na trywialne śmiecie, zmięty i brudny kawałek papieru, pokruszone szkło butelki, kawałek deszczułki nie wiadomo skąd. Potem jak popatrzeć po linii brzegowej to widać linię przyływu, widać linię starą osadu i brudu morskiego najwyższego przyływu i niedawną linię czy kilka linii niedawnych przyływów. Linie jak warstwy na mapach hipsometrycznych, morze dochodzi do nich i ślini się jak niemowlę. I stąd zostaje ta linia brudu. A teraz jest odpływ i woda odbiegła. U tej linii przyływu zaśmieci się także morskimi, które są jakieś kruche i pęcherzowe i chrzęszczą pod podeszwą, wywołując dziwną sensację i satysfakcji i obrzydzenia. Jakieś korki, kawałki drzewa, rozdarta skrzynka po czymś tam i oczywiście mętna butelka, zmatowiałe brudne szkło, butelka jak posłanie i sygnał od zagubionych pośród oceanu nieszczęśników, ze słowami zakłęb. Wyplukane i wyblichowane skorupy krabów, muszle morskich szczeżui i szkarłupni, i świeżo wyrzucone, śliskie, ciało mątwy, sflaczałe już i zwiśte, kiedy wyniosło je na suchy piasek.

Patrząc w te mątwowe zwłoki, myślę jak inny stał się los,

kiedy z soczystego, płynnego przestworu wody, który je wypełniał i nadymał, pomagał rozwiewać długie macki i pęcherzyć się głowie mątwowej głowonoga, kiedy można jej było rozszerzyć jej własny okrąg przez wypluwanie i mącenie wody naokoło chmurą rozwodnionej sepii, jak przyszło jej teraz sflaczać, oklapnąć jak guma z przekłutego balonu, wyschnąć pod słońcem na brzegu obcego i wstrętne suchego kraju. A że samemu jest się tu wyrzuconym to przychodzi uparta analogia, pomocniczy mechanizm myślenia, rytm porównania, a co ze mną? czy nie jestem takim samym zewłokiem wyrzuconym na skraj, czy nie flaczeję i nie rozłażę się w suchej atmosferze księżycowej kraju innego ciśnienia. Potem znowu strofuję się, ażeby nie popadać w łatwiznę, nie oszukiwać się łatwo zbudowanym porównaniem, tak zależnym od przypadku popołudniowego spaceru. Uważaj, mówię sobie, trzymaj się. To nie jest sedno rzeczy.

Potem fala. Leci z daleka, ale to nic markantnego. Dopiero kiedy spód jej zaszoruje po pochylni brzegu to śpiesząca się góra nabiera rozpędu i jak człowiek któremu podetną nogi leci na głowę, piętrzy się, góra jej zakręca się w strzęp, koguci grzebień, wisi ten poszarpany rąb przez dobrą chwilę ponad pochylonymi wodami i biegnie do brzegu i zakręca się jak trąbka papieru i wali wreszcie na piasek z dziwnym głosem, szumem, uderzeniem, zczesana wtedy w wałek i potem już rozlewa się wprzód płycizną, cienką wodą liżącą piasek, jak mydliny wychluśnięte z bali i podbiegnie i aż do moich stóp i skona u nich jak pies zdychający kiedy ostatni raz chce liznąć podeszwy moich butów. Można by łatwo wpaść w megalomanię kiedy sobie pomyśleć, że przeszła pół oceanu, pod słońcami i gwiazdami, niosła na sobie lewiatany i miasta sargassowe, ściągała pioruny i piętrzyła się w morskie wały ażeby w końcu, w największej pokorze, cnoście tej pokory, położyć się i umrzeć, u czyich? u moich stóp.

A cóż dopiero mówić o innych falach, które idą zaraz nieustannie, jedna umiera a tysiąc innych idzie nieustannie, uparcie, ciągle, tłumem gęstym, widać je daleko, podchodzą, nadbiegają, zapatrzeć się w losy jednej, wybrać sobie jedną, a tu ich tyle innych. Na tym piasku, u tego płaskiego wybrzeża nie wydają się groźne, wydaje się że dotrzymują jakiejś umowy, podziału świata, tam jest świat wodny, a tu jest świat lądu i na granicy tego dzieje się to umieranie fal.

Zapatrzeć się w płaskie morze, zadumać. Inne, nie to cośmy dotychczas widzieli. Czubi się daleko gdzieś skłócone zderzenie fal, kreseczki fal i kreseczki mew nad nimi jak ścinki papieru, skrawki papieru podmuchiwane wiatrem.

To jest w spokojny dzień. A niech przyjdzie wiatr, niech chmury leżą nisko, niech mgły zaciągną nieboskłon jak bielmo na oku ślepcy. Wtedy od morza pójdzie jeden ciąg podmuchu, zanieśie rozpyloną słoną wodą morską i pianami. Morze zagotuje się, zakipi. Chce być granatowym ale rozmamle się to w grzywach i pianach w brudny kolor ni to oliwkowy, ni to zielony, ni to szary. Popatrzeć ze znajomego miejsca i widać jak puchnie woda na podejściu do brzegu. Grzywy morskie już piętrzą się daleko, rozhojdane fale drążą się i podnoszą. I jednostajny, niesamowity głos nieżyjącej materii, chcącej w swym ponurym ryku, szumię wygadać swój ból i rozpacz bezwładny. Dla czyjej przestrogi? Komu na alarm? Zagubiony u cienkiego wybrzeża wytrzeszczam swoje nienawyknięte oczy gościa z głębi kontynentu, ambasadora innych utrapień. Ta furia i rozpacz wodna jaka rozpełtała się przede mną zawstydza mnie i upokarza. Wydawało mi się że te właśnie moje własne strapienia miały być bardzo wielkie i furiackie i przychodzę na obcy brzeg, nastawiam twarz do wiatru i poprzez łyżę wysmagane tym wiatrem z oczu patrzę na nowy, dotychczas nieznaną kataklizm. Łatwo mi opancerzyć się obojętnością, powiedzieć sobie że to mnie nie dotyczy, że nie należę do tego i nie mam się co zanadto wzruszać. Ale nie da rady. Przecież nie ucieknę z tego świata, należę do niego we wszystkich jego częściach. Jakbym się nie opierał, to rozhušta się to powoli we mnie jak most, po którym w rytmie przejdzie kolumna piechoty. Doda się jedno drgnienie do drugiego i już mnie poniosło i rozbujało. Aż zacznę na sobie zapinać gorączkowo guziki, niechby to tam nawet były głupie guziki w przenośni mego dotychczasowego uporządkowanego wymiaru. Chciałbym się oglądnać za siebie, udeptać wokoło siebie wzrokiem znajomą, pewną solidność ziemi. Ale już jestem urzeczony, już mnie wzięło i pociągnęło. Jestem w paszczy lewiatana. Ryczy i pluje, niesie od niego chuchem grozy. Jest nieżyjący, a straszny, jak żywy. Patrzę.

A innym razem stoję u brzegu kamiennego omurowania małego, rybackiego portu. Tam stłoczyły się domki rybaków i ich życie, jakże inne od życia mieszczuchów miasta. Są milczący, w swoich wypranych, z grubego niebieskiego płótna, spodniach i kurtkach, twardzi i drewniani w swoim zakreślonym wąsko i ostro zawodzie. Twarde jest wszystko naokoło, guma ich butów, twarde liny, kawałki obrobionego drzewa, mur składany z ciężkich kamieni, mur mola, płyty, kostki kamienne pod nogami. Ostre jest wszystko naokoło i twarde. Sklepek, nawet sklepek jest jakiś taki jak konfesjonał albo buda kordegardy. W nim czarno i ślisko od brązowego drzewa, tylko kilka koloro-

wych pudełek z drobnicą wdzieczy się swymi reklamowymi kolorkami. Kupuję papierosy i jest tam stara rybaczka, ale to starowinka, zdrobniała i skurczona, w swej czarnej chustce na ramionach jak u wszystkich rybaczek, z jej brodą zakręconą i stykającą się z nosem, skóra na twarzy to zmięty, wysuszony pergamin, uwłosiony tylko na wszystkich brodawkach i kupuje sobie tytoń do fajki, czarny, którego uncje odcinają jej z jego skrzytu smołowanej liny okrętowej, coś co w paleniu uderza w ciemność wszystkimi stężałymi wysoczynami nikotyny. A wokół domków jest pustawo, tylko jak flagparada lecą na wietrze na sznurach gacie i spodnie świeżo wyprane, porozwieszane sieci, dżubanina koło czegoś tam domowego, a nieco dalej pochylnia, na którą wyciągnięto statek i teraz tam coś malują i pakują w szczeliny, kłaki przepojone smołą, i zawsze jest tam naokoło ta marynarska, rybacza graciarnia, poleży sobie czerwona od rdzy śruba, jakieś bele, blachy, ale wszystko dookoła czyste jakby umyślnie zamiatane na przybycie gościa. Statek wyciągnięty na suszę wdzieczy się swoimi krzywymi liniami, które dodają coś z błazeńskiego i bezecnego poczucia nagości, bo te krzywizny mają być tylko dla wody, te wypukłości i wklęsnięcia i linie wykrecające się i podchodzące, mają być wstydliwie ubrane, osłonięte i obwieszane wodą, a teraz to ma się wrażenie natknięcia się niespodziewanego na dziewicę w kąpielu i w pierwszej chwili jest coś jakby z szoku.

Dookoła dzieje się ta architektura przywodna, nadbrzeżna, utylitarna, która ma do czynienia tylko z wodą, przybudówki, budki strażnicze, zagrody, wrota do basenów no i solidny, tęgi, barczysty mur mola. Jak go tu nastawiano, jak im szło to w sąsiedztwie i naporze wody trudno sobie wyobrazić te wszystkie hydrauliczne kłopoty budowlane. Ale już to jest i stoi i wypucza się w stronę morza. A morze?

Jest tu jedno miejsce, załam czy śluza przy basenie, gdzie morze załamuje się jak promień w pryzmacie. Przychodzi fala ciężka jak kobieta przed porodem i wmiesza się w ten wyłom ze stękaniami i zanim ma czas się cofnąć swoim falowym odbiciem nadbiega druga, chyżo, skosem, wzdłuż mola, tnąca po drodze jak kosa i natyka się na tę odbitą. A na to, w tym momencie, z przeciwnej strony nadgalopowała krótka, zdyszana inna i teraz wszystkie trzy się spotkały. Jest chwila wahania, jakby mocowania się trzech zapaśniczek, aż z tego chaosu wystrzela do góry fontanna, rozpaczliwa kolumna wody, rzygająca jak pod ciśnieniem, olbrzymi pióropusz wściekłości, gejzer lodowaty i zawaha się w powietrzu i chłaśnie, rzuci deszczem, mgłą, praskiem o kamienie i poniesie je daleko w głąb wybrukowa-

nego nadbrzeża i trzask jak z biczów fornalskich. I teraz wszystko opada, jakby po tym natężeniu, zabrakło wody w oceanie, uciekają resztki, zmywają wszystko, odsłaniają się warstwy kamieni, podbudowy cokołu nadbrzeża, aż ukáže się spód i skała i mokre to i lśniące od uciekającej fali i ścigają tę uciekającą wodę strumienie zastrachane wody pozostałej w załomach. Ale to tylko chwila bo oto znowu nadjeżdża tłusta fala, jak wróg który, po zadanych ciosie, cofnął się i ulga i teraz nowa rozpacz kiedy to tylko cofnięcie się dla nabrania rozpędu, dla wezwania w sukurs i podnosi się znowu fala, podnosi tak jak podnosi się serce do gardła w chwili beznadziejnej. I znowu to samo i znowu.

A dalej, pośród mórz widać łódź rybacką, długie czółno, szalupa, na pochyłości fali. Zjeżdża właśnie w dół niekie i kryje się w niej tyle, że widać głowy siedzących w niej ludzi. Teraz jest od nas zasłonięta grzbietem ale idzie do góry i widać jej dziób i ludzi pochylonych ciężko nad wiosłami. To jest coś z ich codziennego życia, ale w zaparciu ich we wiosła, w pochylonych grzbietach jest coś takiego z wysiłku śmiertelnej chwili, na tle brudnego stoku fali, pośród grzmiącego oceanu, kiedy są ociekający wodą, i odróżnić można jedynie ich ziemisto różowe twarze, wydaje się to tak tragicznie nawołujące, o ocalenie naszych dusz, o myśl bliźniego, o sygnał, że chciałoby się coś zrobić, dusza w nas kręci się w sobie bezradnie jak w popłochu, chciałoby się biec gdzieś, uderzać na alarm, wzywać pomocy, rozsyłać gońców, zagubić się w rutynie, w humanitarnym echu, w poświęceniu, dać coś z siebie, bo dusze ludzkie giną pośród wody, ale nie ma tej ulgi. Można tylko stać, przestępując w kałużach słonej wody i patrzeć po gniewnej wodzie i srogim obrazie z zawstydającym, tchórzliwym, nieprzyznającym się uczuciem że jednak ja tu jestem, a nie tam pośród nich, i wstyd pali policzki i każe mrugać powiekami pod wiatr, pod wiatr, pod ołowiany blask morza, pod krzywy kształt łodzi i garby towarzyszy, ludzi, zgięte nad patykami wiosła.

A trzeci raz pójde wzdłuż stromizn wybrzeża. To tam gdzie smutne warstwy skał, ponadgryzane przez morze sterczą skośnym murem, bastionem. Idzie się samą krawędzią, ścieżeczka ładnie wydeptana, jest to w górze, więc okiem można objąć daleko i szeroko. Morze łuszczy się jak druciana kolczuga, morze puste i martwe, a jednak i nie puste i nie martwe. Bo i ptak zaleci nagle, z daleka zasnuje się dym parowca, i zreszta czuje się że jest tam to wodne życie, wszystkie te planktony i błakany, woda napęczniała życiem i mrowiem, ale stąd, dla oka wydaje się martwą jak kwas siarkowy w butli.

Ścieżka kręci się z pourywanym brzegiem, obchodzi głęboko w ład wrzynające się wyrwy i nawraca potem do morza. Skała urwiska jest czekoladowa, z wmiśzanym niebieskim łupkiem. Ale w dole gdzie się pourywało w usypiska to kamienie zostały wyszorowane przez wodę do białości. Urwisko jest na dosyć jednostajnej wysokości, może dwudziestu, trzydziestu metrów. W dole bałwani się morze. Pomimo tego że jest teraz cisza i morze wydaje się płaskie i solidne, muszą nim przychodzić jakieś westchnienia wodne, regularne i ciężkie bo w zetknięciu ze stopą urwiska ciągle się tam coś dzieje. Woda przyjdzie i zawaha się jakby i nagle pięścią wytnie o ścianę skalną, potem odejdzie spokojnie i westchnie znowu i zapieni się na grani wysterczającej w morze. Kiedy idzie się górą, po lewej jest całkiem sielski krajobraz polny, z zaoranymi polami i płaskimi wzgórzami porośniętym szczotką lasu. Niebo polne i niskie i ciemna zieleń północy. A po prawej w dole du-du-du-du uderza i kuje morze w skałę wybrzeża.

W jednym miejscu jest rozpadlina odcięta od morza, ale jest do niej dołem przejście i ta część oddzielająca jest jakby mostem wiszącym. Tu, w ten zamknięty kocioł z każdym przyjściem fali wtłacza się woda w zgiełku, zamieszaniu i rozbijaniu, jak tłum wbuchający ciasnym wejściem na arenę. I ledwie wypełni, ledwie zaczubi się pianą i wyżej i wyżej, to już odchodzi i ucieka tym samym wejściem. Odśłania się warstwa skały za warstwą, ociekające wodą progi i występy, i nisze rzygające i plujące resztkami powodzi aż odsłoni się pochyły lej, z piargu i kamieni usypany i teraz te utoczone głazy sypią się w ślad za uciekającą falą, grzechocą po sobie w pośpiechu i w zamkniętym stożku odwróconym rozpadliny ukształtowało się jakieś dziwne echo które potęguje i wzmacnia ten martwy głos ruchomego usypiska, ostre szorowanie i zgrzyt kamieni, ostry i suchy i twardy, chrobot i szur. Jeszcze się to nie skończyło a już wpada nowa horda wodna, kłębiąc się ku górze i zalewając ledwie co opróżnione regiony. I znowu nie stało jej a już triumfalnie czub wodny rozpylił się dwadzieścia metrów wysoko i chlasnął kroplami wody po kamienistej ścieżce i już ucieka, gubi się ta woda i zachrobocze dno kamienne i zasypią się wyszlifowane mokre głazy i znowu bucha nowy najazd. Można stać w zadziwieniu u szczytu tego urwiska, które wydaje głos jak gdyby diabeł potrząsał do wariackiego tańca monstrialną tykwą.

I wszędzie leżą, czepiają się kamieni, piany morskie, jedne już wyschłe i leciutkie i kruche, „meereschaum”, więc to to jest ta pianka morska, o której się mówiło? inne jeszcze mokre i śliskie i słone od wody morskiej. Czasem dmuchnie wiatr od mo-

rza i poniesie tymi brudnobiałymi kłaczkami śliniącymi i czepiającymi się skał. Tużeśmy zaszli? Tu nam w postaci kruchej piany morskiej ukazane zostały nicość i kruchość wszystkiego?

Zawsze tak będzie? Czy zawsze taka zabawa będzie? Czy z tego się nie wyrasta naprawdę?

Tylko obce morze ryczy i szumi w dole. Tylko żelazne morze idzie i tłucze się o skały lądu. Mam tu stać i patrzeć jak nieznaną żywiol szoruje się o ląd, jak łuszczy z niego żwir i pluje weń pianą słoną. Tylko obca woda, niezrozumiała i obojętna tłucze się bezzamiętnie i pożera ziemię, ostatnie to co mi zostało pod nogami.

PEJZAŻ ZE WSCHODEM SŁOŃCA I OBIEKTAMI ZE STALI

Czołgi stały za nami, o jakie kilkadziesiąt kroków, jak małe pagórki. Od nich nadchodziło dwu czołgistów oficerów. Jeden to był kapitan o chudej twarzy urzędnika czy kancelisty, a drugi to był gruby i przysadzisty porucznik o grubych rysach. Ten porucznik był zdenerwowany, specjalnym rodzajem zdenerwowania tęgich ludzi. Patrzył tylko ciągle w oczy kapitanowi i przytakiwał mu. Aż mnie uderzyła ta służalczość, ciągle to, „tak jest Panie Kapitanie”, „rozkaz Panie Kapitanie”, „tędy Panie Kapitanie”, aż dziwnie ? tu wojna jak cholera, a ten basuje temu swojemu kapitanowi. Ale może to go trzyma, ten stosunek z innego życia i pewnie to pomaga tamtemu także, że tu wojna a stara sztampla tak zachowana jak na placu ćwiczeń.

Obaj mieli na sobie czołgowe kombinezony, grubego porucznika robiło to jeszcze bardziej nabitym, szelki od oporządzenia mieli poprzekręcane i niezgrabnie dyndały się im olstry rewolwerów, mimo że mieli je specjalnym gurtem przypasane do uda prawej nogi i zuchowato, po kowbojsku wyglądały z nich kolby Webleyów i tulejki z zapasowymi nabojami naszyte na tych olstrach.

Na przedpolu było śmiertelnie pusto i cicho. Dlatego już dawno przestaliśmy kulić się za wrzosem i poruszaliśmy się swobodnie, jak na własnym podwórzu. Czołgi co prawda stały na płaskim, pochyłym przeciwstoku i nie było ich widać stamtąd.

Z bliska czołg jest wielki jak cholera i jasno, zielonooliwkowy, tylko rury wydechowe ma zasmolone, czerwone, rdzawe, milczące. Dla cywilnego umysłu wyobrażenie o nim jest przesadne i wyolbrzymione, znakomity przykład psychologicznej szarży, ale nie tak jest z tymi co mają w nich siedzieć. Nasłuchałem się dosyć

opowiadań i miałem sporą ilość relacji od fachowców, relacji kończących się zawsze defetystycznym akcentem. Bo proszę, zawsze jest tu coś złe z nimi. Pamiętam jeszcze Vickersy w Polsce, jak je sobie krytykowano, słusznie i niesłusznie. Że pancerny. No pewnie, jak ma się siedzieć za tym pancernym i własna wyobraźnia każe widzieć ryje przeciwpancernych dział wijące się za pokrętem celowniczego i potem blask i przeraźliwy płomień wystrzału i goni czerwony, smugowy pocisk i rykoszetuje w poszukiwaniu pancernych i kiedy, pomimo że ma się w głowie formuły o chromoniklowych stalach pancernych, stalach twardych, widjach, kiedy pomyśleć o balistycznych, fantastycznych szybkościach początkowych tysiąca metrów na sekundę, to co? Co się dzieje? Opowiadali mi czołgiści z marszem na czole, nie bojąc się śmieszności, że pocisk taki wyprawia dziwne brewerie. O tym, że nie wywierca, ale wybija korki w ciężkim pancernym. O tym, jak pod uderzeniem wnętrza wieży pryska w ostre, nieprzewidziane fragmenty, jak instalacja elektryczna rwie się w nieoczekiwane krótkie spięcia, jak rzyga pod wysokim ciśnieniem i pali się oliwa z pomp obracających wieże, kiedy siedzi się w magicznym kręgu magazynu pocisków pięknie i pedantycznie powtykanych w ich tuleje wokół wieży. Zdradzają zastraszające i defetystyczne sekrety wad Shermana, jak to niewybalansowany i wysoki na pochyłości przewraca się od odrzutu własnego działa i nakrywa załogę stalowym, palącym się sarkofagiem. Kiedy od poddmuchu pękających obok pocisków artyleryjskich sprężyny otwartych klap nie wytrzymują i zatrząskują się miażdżąc ręce i głowy wychylonych z nich ludzi, Ale pancerny był najważniejszy i zaważał na samopoczuciu. Liczyli cale, dwa cale, trzy cale, trzy i pół cala w czole, a z tyłu prawie nic. Miny to mieli, jeżeli przychodzi do tego, że trzeba wpakować się we wieżę i jechać na wskazany kierunek.

Czołgi stały cicho, tylko wydobywało się z nich granie i wycie twornic aparatów radiowych. Była godzina H do strojenia. Słychać było monotony głos radioty, jak powtarzał:

— Magda Jeden — mówi Magda Dwa — słyszę was — siła pięć — Magda Jeden do Magda Dwa — słucham...

A potem dziwna sensacja, bo słyszę nagle taki głos jaki już słyszałem. Głos strzelca z przestrzelonym krzyżem na noszach przed ambulansem — było to — Aaaaa... Aaaaa... Takie Aaaaa, jakie było refrenem do piosenki do usypiania dzieci: Aaaaa, były sobie kotki dwa... Taki sam głos agonii i bólu, aż mnie wzdrygnęło.

A tu było to nic innego, tylko radiota rzeźił to swoje Aaaa do mikrofonu, ażeby samemu się sprawdzić i patrzył drapieżnym

okiem jak mu wychyla się strzałka amperomierza. A niech go szlag trafi!

Ale jest spokojnie i najniespodziewaniej inaczej aniżeli ktokolwiek by się spodziewał. Jest wczesny świt. Przed nami jest dosyć faliście, a za nami łagodnie spada w dół i otwiera się w blasku rosnącego dnia daleki, daleki krajobraz. Jest chłodno, trochę bardziej niż rzeźwo, i jest to trochę dokuczliwe. Może dokucza ta niezwykajna pora, kiedy to właściwie wszystko jeszcze śpi, oddycha snem porannym. A tu jestem już od czterech nocnych godzin na nogach, w ustach mam gorycz i niesmak od wielu wypalonych na czczo papierosów, jest mi nieprzyjemnie od tego że jestem od dwu dni niemyty i mam dwudniowy zarost. Myślę że gdybym był ogolony i czysty to wszystko wydałoby mi się o wiele normalniejsze i prostsze, nawet potrafiłbym myśleć inaczej.

Posłali mnie tutaj jako łącznikowego artylerii i tam w Brygadzie wyglądało na to że wszystko będzie tylko od tej artylerii zależeć a tutaj jakoś nikt na to nie zwraca uwagi. Owszem przyjeźli mnie ze śladem zainteresowania i pewnie dobrze im to zrobiło że mają zapewnioną artylerię, ale co by to ona mogła dla nich zrobić to nie bardzo pamiętają z kursów dowódców, na których im coś kiedyś wykładali. Są drobiazgowo zajęci tym ich swoim, z jakimś rodzajem, powiedziałbym małostkowości trzymają się tego swego oślego i upartego szymła, którego, ze złością myślę, sam nie rozumiem. Gonią tymi szymłami, już ja to znam i wiem jakie to łatwe i bezmyślne. Ale czy to ja sam nie łapię się swoich szymłów czy nie łapałem się tyle razy?

Jest taka pora rano, to trwa niedługo, ile? dziesięć, dwadzieścia minut, kiedy kończy się noc, a dzień jeszcze się nie zaczął i wszystko jest niezdecydowane i płynne. Jakies tam dzieją się w górze tragiczne załamania pryzmatyczne światła, bo rozszczepia się ono na tak zdecydowane kolory że dławi w gardle. Słońca nie widać, gdzieś tam już powinno być, ale w tym miejscu walają się chmury, kryją je złowrogą frendzlą i pożyczają z tamtego zbiornika najbardziej indygowe i fioletowe, ażeby nadać sobie ponurej ważności. Ale zaraz wyżej szarpią się w kłaki i między nimi jest różowo, ale to tak różowo że do niczego to porównać, potem znów kłaki chmur i jest szafran i jak pozłotka na choince. A potem znów kongregacja chmur, obrzeżone perłowo i perłowo i potem błękit nieba i to już ponad głowami, a dalej chmury już białe, a za nimi, ku przeciwnej stronie nieba seledyn i w nim bledziuchny płatek ubywającego księżyca. Wydaje się że z tego nieba można doczekać się wszystkiego, że zawiąć może palącym wiatrem, albo że sypnie zeń śnieżną zawieją, albo że zakręci się to wszy-

stko w apokaliptyczną trąbę powietrzną albo rozjaśni majowym deszczem. A jaki koniec tego wszystkiego? Chmury bo chmury, zostają, rozwłóczą się, światło słoneczne zaczyna spoza nich przesiąkać białe i apatyczne, co tu mówić, cholera, jest dalej zimno, nieprzyjaźnie i obco i niedomowo i chciałoby się być daleko od tego i nie mieć z tym nic wspólnego i nie ma na to rady.

A na dole, co się działo na dole? Wszystko jest widoczniejsze, ale i tak samo jak było poprzednio, leciutka mgielka od strony nieprzyjaciela, wrzosy i żółta trawa i woda w lejach i opuszczone miejsce i dalej nic, chyba tych kilka figur ludzkich co się tu i ówdzie kręcą. Żyć się od tego wszystkiego nie chce.

Jest odprawa dowódców czołgów. Kompania to dziewiętnaście czołgów, cztery plutony po cztery czołgi, czołg dowódcy, zastępcy dowódcy i jeden zapasowy, więc razem dziewiętnaście. Dowódcy czołgów wydrapują się ze swych kopuł, kopuł obwieszonych torbami i dobytkiem na zewnątrz pancerza. Jeden jest wysoki i ma na sobie wyblakły kombinezon mechanika, ubiór kiedyś brązowy a teraz jasnordzawy. Inny mały, ma wyświecony od smarów beret z pociętą blaszaną gwiazdką podporucznika i jest nieogolony, jak my wszyscy. Ludzie ci mają w sobie coś prostackiego, uczniowskiego. Stoją małym półksiężycem wokół dowódcy. Dalej czołgi drzemiące w srebrnym świetle dnia. Sterczą tylko ich anteny jak bicze, na wieżach, tym odróżnia się je od niemieckich w sylwetce, bo tamte mają je na kadłubach.

Dowódca kompanii jest dziwnym połączeniem nieporadności i miękkości, gubią mu się mapy z wielkiego mapnika, pokrytego celofanem. Na tym celofanie ma zarysowane jakieś kreski, strzałki i notatki dermatograficznym, kolorowym ołówkiem.

Widzę niewyspane twarze dowódców czołgów. Na twarzy najbliższego najwyraźniejsza troska nie o natarcie ale o to czy mu radiota zgrał się na sieci. Ciągłe patrzy w tamtą stronę, a potem nie wytrzymuje i idzie tam z porucznikiem z plutonu łączności. Ten porucznik cały ten świt wisiał na wieżach czołgów z głową w środku i z wiszącymi na zewnątrz nogami i coś majstrował tam i martwił się o te swoje elementy i sieć. Kapitan spojrział za dezertierami znużonym wzrokiem, ale nic nie powiedział, słychać było tylko ciągle to jego zastępcy: „Tak jest Panie Kapitanie, rrrrozkaz Panie Kapitanie!”.

Kapitan pokazał coś na celofanie, bąknął coś co brzmiało jak: „Jesteśmy, o tu, nasza podstawa natarcia”, potem złamał mu się dermatograficzny ołówek, rozglądął się bezradnie, ktoś pomacał się po kieszeni kombinezonu czy nie ma noża, nie miał. I wszystko się rozprzęgło. Potem zobaczył mnie i przyjaźnie kiwnął mi głową i zaraz zatroszczył się, a co ze mną? No to pan

pojedzie z Magdą Pięc, nie wiedziałem tylko który to jest Magda Pięc. A tymczasem kapitan gdzieś się zagubił, patrzę, a jest już na szczycie wzniesienia, błyszczy mu się celofan w rękę i jest tam ten jego zastępca, który ciągle przystaje ażeby stuknąć obcasami a potem kulejącym krokiem dogania kapitana. Puszczam się za nimi w pogoń, a mój kapral Smolikowski za mną z wielkim trójnogiem lornety nożycowej i innymi aparatami i moim mapnikiem.

Mijamy schowaną pod kępą wrzosów czatę dragonów, lśni od rosy Brengun, obładowani są brezentowymi ładownicami z zapasowymi magazynami do Brena i trzech śpi, skulonych jak dzieci, jeden tylko leży i patrzy przez lornetkę w stronę nieprzyjaciela i tak to go absorbuje, że nie zwraca na nas najmniejszej uwagi.

Przed czatą dragonów jest już tylko *No Mans Land*, jak się to mówiło za tamtej wojny.

Jest bardzo ciężko drałować przez te wrzosa, kruszy się z nich jakieś świństwo i trzeba przymykać oczy żeby się do nich ten pył dokuczliwy nie dostał. Na dobitek ten zasapany Smolikowski za mną z tą całą lornetą. Pytam go niepotrzebnie:

— Ile Smolikowski ma lat?

Okazuje się że jest moim rówieśnikiem.

— To co Smolikowski się tak zasapał? I ciągle zostaje z tyłu.

— A, bo Pan Porucznik to nie był w łagrze — on do mnie z tym chłopskim, przemądrzałym, zawsze tłumaczącym argumentem.

Mówię mu:

— A niech Smolikowski zostanie tam z tymi dragonami...

To został.

HENRY BUSH I JEGO SAMOŁOT

Henry Bush to jest kuzyn Molly, wielkiej przyjaciółki mojej żony i to go zobowiązywało do wielkiej przyjaźni i pamięci. Jeszcze za londyńskich czasów dostawaliśmy od niego z rzadka list, solidnie wybity na maszynie, bardzo ładnie skomponowany i poważny. A raz na Boże Narodzenie dostaliśmy życzenia świąteczne i zamiast banalnego widoczku była tam rotograwiurowana odbitka fotografii, jak Henry Bush stoi przed swoim samolotem, Stinsonem, ze swoją czternastoletnią córeczką. Ładnie tam sobie stoją, Henry Bush poważny, położył rękę na ramieniu swej pulchnej córeczki, zapięty oczywiście na wszystkie guziki. Przez te listy i te świąteczne życzenia z samolotem nabrałem jakiejś sympatii do Henry Busha i oddałem się swoim sprawom.

Po naszym przyjeździe do Stanów odnowiła się przyjaźń z Molly, ale Henry Bush pozostał daleko i że tak powiem mityczny, bo gdzie tu, mieszkał w Virginii, a my daleko na Południu. Aliści tego lata, przyleciał do Nowego Orleanu, a że akurat rozminął się z Molly, która znowu pojechała odwiedzić swoich w Virginii to do nas zatelefonował i przychodzi żona i powiada, Henry Bush jest tutaj, no i, wyobraź sobie, proponuje ażebyśmy z nim polecili do Gulfportu, na plażę, że naturalnie przyjęła z entuzjazmem to zaproszenie. Pytam kiedy, no jutro, kiedy jutro, gdzieś rano, zatelefonuje przedtem, da znać, pewnie nie przed dziesiątą.

Tak się złożyło że miałem terminową robotę, musiałem nad nią przysiedzieć do późnego wieczora, potem byłem zmęczony tak że nie miałem czasu o tym myśleć, gdzieś tylko w tyle mózgu kołatało mi że mamy jutro eskapadę, a co z naszym synkiem? Zostawimy go pod opieką babki.

No a rano zasnęłam i już było niedaleko dziesiątej i zanim się ogoliłem to dzwonek i wołają że Henry Bush i Leeds właśnie co przyjechali, żeby się śpieszyć. Nasz mały synek już od wczoraj słyszał ciągle Henry Bush i Henry Bush i już wykombinował sobie jakąś fantazję na ten temat. Na temat Henry Busha, coś tak jak ja. Ze zgrozą ciągle sobie uprzytamniam nasze podobieństwo, mego synka i mnie, jesteśmy do siebie tragicznie podobni, jesteśmy jednakowo ładnie zaokrągleni w pasie, i mamy jednakową ilość zębów, bo jemu jeszcze nie wyrosły wszystkie, a mnie już nie odrosną.

Ale wołają, że czekają, że Henry Bush trochę niebardzo podobny do tego z fotografii, ale to dzieje się pewnie dlatego, że w naturze ma kolorki, oczka ma błękitne i małe i zachowuje się z dużą rezerwą. Ale nie mamy czasu na przyglądanie się i poznawanie, trzeba jechać.

Do lotniska nad jeziorem jest opętanych chyba z dziesięć mil.

Załatwmy najprzód stronę techniczną. Lotnisko jest wybudowane w trójkącie, przypuszczalnie sztucznie nasypnym w jezioro, trójkąt opiera się jednym bokiem o brzeg. Lotnisko jest stare i służy tylko dla samolotów prywatnych i jest przy nim także stacja hydroplanów. Nowe lotnisko dla ruchu komunikacyjnego, The International Airport, jest na drugim końcu miasta, długie *runway*'e, a tutaj to już jest przeżytek, prawie archeologiczna lotnicza historia. Od strony wjazdu jest kilka hangarów, dalej w lewo jest budynek stacji z wieżą kontrolną. Dojazd koło bramy jest zagracony, tuż koło bramy można zobaczyć pod ścianą hangarów jakieś gruchoty i resztki samolotów, bardzo dziwnie widzieć taki do niedawna wspaniały myśliwski Lithning, teraz wypaproszony nieco i zapomniany i pokazuje się nam oczywistość nowych czasów, kiedy coś co było trzy lata temu ostatnim wymysłem techniki jest już w tej chwili *outmoded*, nadaje się do magazynu starożytności, do sentymentalnego wspomnienia, nic to że blachy duraluminiowe jeszcze chwala się nowoczesnym spawaniem i nitowaniem, a linie opływowe kurczowo nagingają się do sylwetki ostatnich przedmuchiwanych modeli, ale już swoje odbyły, już swoje pokazały, stare kapelusze i przeczytane gazety wyrzucone na śmietnik. Są tu jeszcze jakieś inne modele czy ich szczątki, wala się pod płótem pływak hydroplanowy.

Leeds parkuje swój samochód, a my wychodzimy i wyprostowujemy się. Obok stoi na swych kichach helikopter, ładnie lśni czerwonym lakierem. Ktoś zdjął boczne blachy silnika i widać azurowe wnętrze silnika, niebywale wymyślnej maszyny

do popędzania wielkiego wiatraka poziomego, który ma unosić tę nieprawdopodobną maszynę i kręcić także pionowym wiatraczkiem zadartego ogona. To jest helikopter Sikorskiego, a służy jakimś odkrywczym zadaniom, bo ma ładnie wypisane na kadłubie „Physiogeological Exploration” i domyślam się, że to grubo płacone i najęte przez jakieś towarzystwa naftowe do poszukiwania i wążania za naftą pośród bagien Louiziany, gdzie nie dojedzie ani samochodem, ani łodzią dopłynie, więc do tego właśnie siadania pośród kisnącej wody, szuwarów i trzciny błot, to właśnie jak nie wiem co nadaje się ta wielka mechaniczna wałka. W hangarze obok stoi drugi taki egzemplarz.

W tych hangarach także ładnie i niewinnie stoją grzecznie takie czy inne samolociki, awionetki i właśnie Henry Bush prowadzi nas w stronę drugiego hangaru i teraz zaczyna się historia bardzo skomplikowana, bo właściwie przez długie kwadransy jesteśmy pozostawieni sobie i niepewność jak zły ptak usiadła nam na ramieniu. Więc naprzód długa rozmowa z atletycznym facetem, który kręci się koło hangaru, a że gorąco, to facet ma na sobie tylko spodnie i półkoszulek i wygląda raczej na zażywnego ojca rodziny, a nie specjalistę od latania. Facet patrzy na niebo, powłóczy po nas spojrzeniem, potem dłużej coś przy motorze jednego z samolotów (znowu ażurowy silnik, a widziałem kiedyś niemieckiego Focke Wulfa, i dziwnie było patrzeć kiedy zdjęto blachy opływowe silnika i silnik ukazał się tam tak szczelnie wypełniający ciasne wnętrze, że projekt i myśl konstruktorów nadała i przystosowała silnik do kształtu samolotu i pierwsze wrażenie, kiedy było popatrzeć na spłaszczone rury, przewody, płataninę kabli, płaszczy chłodzących, rur rozprowadzających oliwę albo płyny hydrauliczne, garnki tłumiące i karburatory, to narzucało się wrażenie że stoi się przed preparatem fizjologiczno-anatomicznym, tak to wszystko było ciasno przystosowane do przestrzeni, niektóre części przywodzą na myśl żebra a inne wątrobę czy nerki przypasowujące do siebie nawzajem i wypełniające tę przestrzeń szczelnie i bez reszty. Aż niesamowicie robi się na myśl tego odwzorowania anatomii i pewnie fizjologii maszynowej, z wszystkimi chłodzącymi, przegrzewającymi, doprowadzającymi urządzeniami, gdzie wreszcie system elektryczny — nerwowy — ma upodobnić to, tę maskaradę do dzieła natury). Ten tłusty facet znowu popatrzył na niebo, a niebo jest jakieś niewyraźne, daleko nad jeziorem widać muślin deszczu przechodzącego z miejsca na miejsce.

W dalszym ciągu nasza eskapada jest niepewna. Idziemy do budynku administracyjnego lotniska, wielka buda, na dole jakaś poczekalnia, a poza nią jest lokal gdzie możemy napić się

Coca-Coli, jest tam dużo ludzi i napiliśmy się, a potem po schodach na piętro w poszukiwaniu biura meteorologicznego. Jest owszem tu takie biuro, stoły, z rozpiętymi mapami, na ścianach wykresy i mapy i paru młodych ludzi coś tam zgarbieni nad tymi swoimi wykresami i przychodzi do nas jeden, bardzo przystojny blondyn, taki jak Douglas Fairbanks Junior, w koszuli rozpiętej na piersiach, odgania się od uprzykrzonego telefonu, który mu terkocze pod dłonią i bardzo uprzejmie udziela Henry Bushowi informacji, bloczek i ołówek, zapisuje mu jakieś cyferki, patrzymy po tych mapach, jedna wspaniała olbrzymia z Gulfem, Florydą, Cubą, Haiti, Antylami. Potem wychodzimy, coś nam Henry Bush tłumaczy, te hieroglify na kartce wyrwanej z bloczka, że tam w Gulfporcie, siła wiatru tyle, a pułap taki, ciśnienie, front, nic z tego nie możemy wykombinować, wszystko zdane jest na Henry Busha. Tak nie wiemy co robić i pniemy się po schodach w górę, na wieżę kontrolną. Henry Bush już jest głową na platformie, pyta czy można, powiadają, proszę bardzo, można, no to wchodzimy.

Jest tu jasno i przezroczyście od szklanych ścian na wszystkie strony i trochę duszno od zamknięcia pomimo wentylatorów po wszystkich kątach. Jest tu ze trzech ludzi, jeden wydaje się być komendantem tego urządzenia, naokoło jakieś odbiorniki, amplifikatory, cykają jakieś instrumenty, strzałki, na blokach wiszą bardzo podręcznie reflektory do sygnalizacji, takie jak lampa Aldisa, które mają przyrząd celowniczy do nacelowania na samolot i chwyt pistoletowy z cynglem do sygnalizacji.

Ten jegomość który tu rządzi się na tej wieży to jest jeden z tych ludzi jakich spotykamy z rzadka, niezwykajnych i odmiennych, zdarza się nam spotkać od czasu do czasu człowieka, który różni się czymś niesamowicie od innych i od razu nas ta niesamowitość uderza i niepokoi i długo potem nie możemy zapomnieć. Ten tutaj wyglądał bardzo zwyczajnie, nawet małego wzrostu, bardzo sobie nawet nijaki, ale popatrzeć na jego oczy!

Miał oczy dziwnego przezroczystego, żółtego koloru, nie można powiedzieć ażeby to były przyjemne oczy, było w nich coś innego i złowrogiego, ale wszystko razem było bardzo niezrozumiałe. Najbanalniejsze byłoby podpowiedzieć sobie, że takie oczy to oczy oprawcy, płatnego kata, który bez nienawiści albo bez współczucia, bez tępoty, ale z jakimś zrozumieniem nakłada ci w ostatniej chwili stryk na szyję, albo oczy siepacza czy zbira czy instygatora lochów, gdzie stosuje badanie trzeciego stopnia, szefa Czeki, albo Sigurancy, albo Inkwizycji, ale to nie to samo. Wydawałoby się że najbanalniej byłoby powiedzieć, że to są oczy człowieka od którego uwagi zależy życie zawieszonych w

górze ludzi, od jego błysku źrenicy, od niedbale rzuconego spojrzenia, od niedbałego rzucenia okiem, albo od w porę rzuconego w ręczny mikrofon słowa orientacji, spokojnego komentarza albo nakierowania, albo od nieprawdopodobnej zawodowej, wćwiczonej uwagi, kiedy przyciągnie jedną ręką sygnalizacyjną lampę i w mgnieniu sekundy nada błysk i już wraca do swej roboty. Raz poobserwowałem sobie to u telefonistki na centrali w Regent Hotelu, przysadzistej paniusi ze słuchawkami na uszach, robi połączenia, kiedy zapalają się przed nią na tablicy lampki i opadają klapki, kiedy równocześnie wypełnia formularze, przyjmuje zamówienia od gości czekających niecierpliwie przed kontuarem, wydaje resztę, nakręca wpółśnie, jej mózg pełen numerów i cyfr i zadziwiający automatyzm i przystosowalność.

Jegomość o żółtych oczach, rozmawia z Henry Bushem, odpowiada na pytania, a równocześnie w głośniku głos pilotującego samolot nad naszymi głowami i *Over* i ten facet odpowiada nieomylnie i precyzyjnie, kiedy podnosi do ust mikrofon i równocześnie przyciągnął drugą ręką lampę Aldisa i nadał błysk do czegoś co poza frendzlą deszczu jest podchodzącym do lądowania innym samolotem. Jest niesamowicie w tej wieży i szklanie. Jezioro jest kobaltowe i na horyzoncie przechodzi w czarną smugę, na tle której białe przecinki nieruchomych w odległości żagli.

No już za długo zasiedzieliśmy się tutaj i przeszkadzamy pewnie, więc dziękujemy i schodzimy schodami na dół i ciągle jeszcze nie wiem co tam z naszą eskapadą. Ale jedziemy bo kierujemy się w stronę hangaru i pomagamy wypychać Bushowi jego Stinsona na wolne powietrze. Potem sadowimy się do środka, ja z Henrym na przedzie, moja żona i Leeds na tylnych siedzeniach. Henry Bush naciska starter i powoli kołujemy wzdłuż *runway*'a na ostry koniec trójkąta. Na końcu Henry Bush coś przyhamowuje, oddaje i obracamy się w miejscu, Henry Bush patrzy w stronę wieży, odhacza ręczny mikrofon coś tam mówi i *Over*, i za chwilę z głośnika w dachu naszej kabiny odpowiedź, potem łapię błysk zielony z wieży, to facet o żółtych oczach powiedział że wolna droga, Henry Bush wyciąga gałkę od gazu i samolocik do teraz ładnie pulsujący zaryczał pełnym gazem. Za chwilę zwolnił hamulce i betonowa wstęga *runway*'u ożyła pod naszymi kołami uciekając ku wodzie.

Trawy lotniska śmigają szybciej, ostry brzeg *runway*'u, ku przodowi nic nie widać bo zasłania maska silnika, jesteśmy już więcej niż połowa rozbiegu i wydaje się że ciągle na ziemi. Ale nagle czuję spokojny wahadłowy poprzeczny ruch — aaa! więc już *airborne*. I w tej chwili widzę wierzchołki drzew cyprysowych pod naszymi kołami, a kiedy się oglądam to lotnisko jest

tylko trójkątem, bardzo podobnym do tego jaki widziałem na mapie.

Chciałbym mieć więcej oczu ażeby sobie pouważać na wszystko ale trudno, nie da rady. Chciałbym i wiedzieć co tam Henry Bush manipuluje, a jak tam z jeziorem, a którędy miasto, więc co z tym pułapem chmur? Ale po kolei. Henry Bush urzęduje poważnie, więc jedną ręką przytrzymuje pałak rudla, taki sam bliźniaczy rudel mam przed swoim żołądkiem jak też i pedały od sterów, ale przezornie podkurczyłem nogi, przed nami deska rozdzielcza, gdzie takie altimetry, zegary, wskazówki, wszystko porozmieszczane, Henry Bush kręci jakąś korbką ponad głową i domyślam się, że to od dodatkowych flapów, które Stinson wysuwa do startu i lądowania. Igła altimetru powoli obiega swą tarczę pokazuje 00, 800, 1000 stóp i obiega na nowo następną dziesiątkę. Oglądam się za żoną, uśmiecha się do mnie odważnie i porozumiewawczo pokazuje wzrokiem w dół że niby to niebyswałe z nami, że my tu, a ziemia gdzieś tam w dole. Po lewej stronie podniosła się olbrzymia tafla jeziora, przepaścista i płaska zarazem. Po prawej wieże wodne stoczni Higginsa i mgiełka nad miastem i przez nią przebijają olbrzymi łuk Mississippi, leżący skrzyżtem i ginący ku północozachodowi. A pod nami, w dole, głęboko, rozbiegane drzewa jak stada żyraf i antylop, rzucające swe kończaste cienie. A my po wielkim ruchu, zawieszeni jesteśmy teraz nieruchomo w powietrzu, drga leciutko pudło samolotu od dreszczu motoru. W dole, w dole wstęga szosy, Highway 90 i na niej równie nieruchome przecinki samochodów i poruszają się dopiero kiedy mijają się te z jadącymi z przeciwka. Moja wyobraźnia pracuje całą parą, jestem tu i biorę wszystko to co widzę, jak je widzę, ale równocześnie jestem i w dole i wyobrażam sobie jak to zwyczajnie widok samolotu w powietrzu, że jesteśmy komarzo tam zawieszeni, a tu znów jestem w górze, a wszystko sobie zależy od rozchwierutanej budowy tego pudła i od skupionej uwagi urzędolącego Henry Busha. A Stinsonik to jest sobie maszyna ze serii jakie teraz wypuszcza się na rynek i popularyzuje, ni to wielkie ni to mocne, tyle żeby dopełnić, psiakrew, warunków, przepisów i obietnic reklamy, ale naprawdę to komu tam zależy?? Bo ostatnie czasy, które sobie tak Stuart Chase krytykuje, to sprzyjają raczej produkcji masowej, ale tandetnej, powiada Stuart Chase, weźmy na przykład starą, sprzed pięćdziesięciu lat maszynę do szycia Singera, to koszlawy, z gruba ciosany warsztat, ale co za solidność, jeszcze następnych pięćdziesiąt lat potrwa sobie, a nowoczesny i pretensjonalny wentylator, tani i blichtrawaty psuje się w kilka godzin po kupieniu. Rozglądam się z nieufnością po wnętrzu

limuzyny, w której lecimy. Jest w tym coś z ponurych uwag pana Chase'a. Jest tandeta, nie ma co mówić. Niby przemyślane i celowe, i jakby co to odpowiada wszystkim warunkom i reklamy i pewnie jakichś inspektorów od bezpieczeństwa, pewnie ma swój zasięg, *cruising* 400 mil, pewnie szybkość gwarantowana 120 mil na godzinę, ale to może być naciągane do idealnych teoretycznych warunków i z nimi się zgadzać, ale pamiętajmy że jesteśmy w górze, zawieszeni w pośrodku kapryśnej aury, ale tu już wzruszą ramionami i za to nie gwarantują, coś mi się nie podoba, płótno lakierowane, *fabric*, rozpięte na szkieleciku, gdzieniegdzie ponaklejane łąty, to tam gdzie Henry Bush już zdążył zadrapać. Jeszcze jak sadowiłem się do tego, to nie mogłem drzwi zamknąć i mało nie urwałem jakiejś bardzo podłej klamki z plastyku, ale jak teraz raz zatrzasnąłem to mam wrażenie, że nie dam rady ażeby otworzyć. Jeszcze najsolidniejszy wydaje się pas z gurtu, zapięty na patentowany zatrask, ale czy to pociecha być tak solidnie przypasanym do takiej tandety.

Z wielką nieufnością patrzę na deskę rozdzielczą, wszystkie te altimetry, wariometry, ciśnienia oliwy, strzałki, guziki, automatyczne wycieraczki do szyby, zapalniczki elektryczne, cała ta niklowana, bakelitowa tandeta, aż mnie zbrzydziło. Ale Henry Bush jest szczęśliwy pośród tego, gospodarzy i kucharzy między tymi manetkami, ciągle coś poprawia, odczytuje, koryguje, zadowolony ze siebie i ze świata, zakochany w swym dziele nimfoleptyk.

Czy nie zapomniałem powiedzieć poprzednio, że kraj ten tutaj to płaski jak podeszwa, naniesiony mułem rzeczonym i wysypany nim do idealnej płaskości. Kiedy się jest na ziemi i żyje w tym dwuwymiarowym świecie, to ma się wrażenie, że świat jest ograniczony do stożka, który obejmuje nasze spojrzenie z wysokości naszej postury. Podobno pluskwy są tak płaskie że żyją tylko w takim dwuwymiarowym świecie. Jedyne góry Nowego Orleanu to wymalowane na kurtynie w miejscowym auditorium.

A teraz kiedy wyniosło nas dwa tysiące stóp, mam niebawą okazję skonfrontować sobie ten świat i przegłądać. A że horyzont podniósł się z nami do poziomu naszych oczu więc w dole jest po prostu olbrzymia misa, nic to, że wodom każe się wspinać na jej brzegi, uciekać i przelewać się poza horyzont. Droga nasza powietrzna wiedzie w kierunku wschodnim i znam ją z wycieczek samochodowych wzdłuż Highway 90, kiedy idzie na płaskim nasypie, pośród bagien, porośniętych drzewami cyprysowymi i wody pokrytej kobiercem hiacyntów wodnych, a dalej wyjeżdża się pomiędzy pustki rozlewisk, smutnych płycizn zaro-

słych wysokim szuwarem i trawą, gdzie kapryśnie wiją się *bayou* i gdzieniegdzie *camps* sportowców, budy sklecone z desek i małe przystanie i mola. Droga przeskakuje przejścia i odnogi wodne po ażurowych mostach i znowu wyciąga się pośród pustki i wody.

Otóż teraz ukazuje mi się to z góry całkiem inaczej. Kiedy popatrzeć i zamieść wzrokiem po spodzie, to widzi się ziemię rozciągniętą i podartą jak skórę z jaszczura. Zatraca się wrażenie i proporcje dystansu w pionie, to co leży i rozciąga się pod nami jest równie dobrze w zasięgu ceraty pokrywającej stół albo fotografią powierzchni Marsa. Delta jest poszarpana jak stłąły materiał, w niespodziewane i przypadkowe strzępy i koronkę. To co w dole chyliło się trawami, szorstkimi, ostrymi trawami bagien w jeden płaski horyzont, szaro-brudno-zielony stąd jest nawet dosyć jaskrawo-khaki-zielone. Kręcą się wśród tego żyły wodne, jak żyły na odwrotnej stronie świeżo zdartej skóry zwierzęcej albo naczynia krwionośne i sine żyłki na wierzchu dłoni ludzkiej albo na skroni dziecka. Patrząc na to z góry to wydaje się, że napięta jest pod nami skóra, pod którą pulsuje jakieś inne, nam nieznanne życie, wydaje się nam, że śmierdzi od tego smołą i butwiejącą wodą, że zadrgać może ta skóra jak nerwowo drga skóra sierścią pokryta konia.

Więc to jest tak w górze, inaczej i przepaściściej? Jeżeli przerwę swoje kontemplacje nad głębizną i obrócę wzrok przed siebie to i owszem leży przede mną horyzont i nad nim chmury gęścieją w normalny sztafaż, tyle że jest więcej do ogarnięcia wzrokiem, że bogactwo przestworu. A powrócę do swej prawie że naukowej kontemplacji przepaści pode mną to znowu odrywa mnie to od rzeczywistości. Skóra, poszarpany jaszczur, deseń niezemski, blady przestwór. Staram się doszukiwać znajomych szczegółów i znajduję je bez trudu. Tu jest Fort Pike, dobrze, z góry zostaje tylko zarys, gwiazdzistych robót i obudowań ziemnych, ostróg i bankietów, kiedy to sobie inżynierowie wojskowi owych czasów fantazjowali i komponowali gwiazdy i rozety, jakby sztuka inżynieryjna więcej miała do czynienia z proporcjami i układaniem monogramów i wzorów aniżeli samo sedno rzeczy na celu. Ale niby zawieszoni jesteśmy w jednym miejscu, a już nam Fort Pike podpłynął pod koła i jest cieśnina Chef Manteur, której jest dostęp od Zatoki do Jeziora Champlain. Ale niech bym nie wiem jak przymuszał się do poznawania i odnajdywania rzeczy nie mogę sobie dać rady z proporcjami i uparcie widzę tę skórę z jaszczura.

Może w ten sposób płacę za przyzwyczajenie i nawyk brania świata jako vaihingerowskiego „als — ob”, za to, że nauczyłem się żyć abstrakcjami i wymysłami i kiedy ten świat przy-

chodzi mi widzieć własnymi oczami, a nie przez wymyślone i fikcyjne podstawienia to ani rusz nie mogę tego świata zobaczyć takim jaki jest. To wszystko przez nieprzemierzone mnóstwo słów, idiomów, semantycznych dziwolągów, porzekadeł, zawołań, skrótów, szablonów, schematów, niedomówień, dwuznaczników, komunałów, paliatywów, eufemizmów, pleonazmów, określeń „bez ogródek”, haseł, i jeszcze słów i trafnych i pomylnych sądów, przenośni, artystycznych szczudeł, rymów, aliteracji i innych i innych.

Po lewej stronie, w dole, mamy teraz Pearl River, po prawej Deltę, podartą w tysiące poszarpanych kształtów, odnóg, wysp, cieśnin. Wpółśród tego jak skręty olbrzymiego tasiemca-solitera płaskie z oddala leżą łuki, nawroty i błędzenia Mississippi.

Po prawej niebieszczy się i szarzy i zieleni od wód zatoki. Daleko, daleko ku horyzontowi przechodzi w zieleń grynspanową, która przebija blado przez mgły i śrężogi morskie. Bliżej wody są brudno-żółto-czerwone od milionów metrów kubicznych mułu mączącego wody zatoki. Te odnogi, zalewy, płycizny przybrzeżne mają swą nazwę *sounds*, więc Mississippi Sound, Breton Sound, Chandeleur Sound — cieśniny. A dalej płaskie mierzeje i wyspy namiotanego przez fale mułu, ciągnące się jak nanizane korale i paciorki. Bije w ich płaskie brzegi wściekły przybój, a stąd to wygląda tylko jak biała obwódka, ta pieniąca się tam w dole piana.

Ale my pchamy naprzód, dokładnie ponad linią brzegową i już widać Gulfport, u jego moli podługowate i wrzecionowate kształty parowców. W lewo od miasta, pośród zieleni lasów widać ostre kształty trójkątów, bieżni *runway*'ów. Tracimy szybko na wysokości, i świat w dole zaczyna się gwałtownie przybliżać i powiększać. Henry Bush robi szerokie półkole w powietrzu, bo wiatr mamy za sobą i bardzo umiejętnie podchodzi do lądowania. Znowu wszystko pod nami nabrało ruchu i ma swoją szybkość, migają teraz banie jakichś zbiorników, przeleci nam wpoprzek, jak zając, szosa, zakolyszą się wierzchołki drzew i oto jesteśmy już przy samej ziemi i jeszcze chwila i odbiliśmy się raz lekko i teraz już suniemy po szerokim betonie, wesoło terko-cze motorek samolotu, dalekie hangary zbliżają się ku nam. Henry Bush jest spokojny i chłodny jak ogórek przez cały czas tych operacji lądowania. Moja wdzięczne myśli są przy nim, psia jego kula!

Podtacza pod pompę benzynową, gdzie ładnie jest namalowane koło akurat w którego środku mają być koła samolotu. Wysoki chłopak w *overall*'u odhacza węża i wprawnie otwiera

przykrywę korka w dachu samolociku. My tymczasem wysiadamy i dziwnie jest poczuć twardy i solidny beton lotniska pod nogami. Hangary tutaj są olbrzymie i wiele ich w jednym rzędzie, musiało to być wojskowe lotnisko w czasie wojny na wielką skalę. Pogoda tu nie jest lepsza aniżeli w Nowym Orleanie, jedno jest pewne, że słońca nie będziemy mieli. Od zachodu wisi ciężko na niebie stalowy wał chmur jakiegoś frontu, którym się tam martwili jeszcze jak byliśmy w biurze meteorologicznym.

Do plaży jest daleko. Więc Henry Bush prosi kogoś ażeby zatelefonowali po taksówkę i nagle ta taksówka zjawia się jak spod ziemi. Więc się pakujemy i teraz Leeds zabiera głos i podaje hotel nad plażą, do którego mamy się skierować. Jedziemy z tego bardzo zresztą odludnego i zamarłego lotniska i taksa chwieje się na wybojach smołowanej szosy i ciągle zmienia kierunku. Taksówkarz ma zainstalowane radio odbiornik i nadajnik i zaczyna się teraz komedia, bo gdzieś tam z tego sztabu taksówkowego ciągle go wołają i nasz taksjusz ciągle przez mikrofon konwersuje z nimi. Jedną ręką prowadzi samochód, a drugą ciągle rozmawia, podają sobie jakieś hasła i cyfry, oszalały ten nowy świat mechaniczny niech ich wciorności!

Nareszcie po długich perypetiach i zygzakach jesteśmy znowu na szosie 90, która biegnie wzdłuż wybrzeża. Więc po jednej stronie woda, a po drugiej domy, wybiegają od nich ścieżeczki i chodniczki ku morzu i odpowiadają im własne prywatne, mola i kładki biegnące daleko w płytką zatokę. I tak już całą drogę. Dostyc jest tu także odludnie, ale zawsze kręcą się ludzie i dzieci i coś tam drobią nad tą wodą, zawsze woda ta ciągnie i pochyleni wszyscy i zapatrzeni w nią. U pali wbitych w wodę, u moli, kołyszą się i trajdają z malutką falą zgrabniutki kształty łodzi, łódek, dinghy, płaskodenek i kanoe. Bardzo są one w żywiole i ambasadorują i pośredniczą w obcowaniu wody i lądu. Jeżeli tamte żywioły są tak sobie obce i odpychające to te tworzydła drewniane do pływania, balansowania, wypierania, bujania, są jakieś ziemno-wodne, ziemno bo solidne i twarde i kruche i mocne zarazem, a wodne bo nagięte do dziwnego kształtu, jedyne go kształtu, gdzie każda linia jest krzywa, każdy łuk zaczyna się tak ażeby podgiąć się i wynieść potem na drugiej stronie, z której strony podpatrzyć, skąd tylko rzucić okiem, dziwne to i niesamowite w kształcie, ale jak się tłumaczy, jak jest trafne i celne. Hojdają się te bajdaki w takt podnoszącej je fali, pchają się do góry na jej grzbiecie i chowają się w jej nieckach. I czasem ktoś im domalował jakiś kolorek, ani dodać więcej, ani ująć, w sam raz. Ktoś mi mówił że Sycylijczycy malują po każdej stronie dziobu oko, prowadzące łódź właściwą drogą i ma to być bardzo

trafne z kształtem łodzi, ba, ale Sycylijczycy to mają to od czasów chyba jeszcze kultury kreteńskiej.

Przed hotelem morze jak zupa podana na talerzu.

Jest południe ale jakoś nie mamy apetytu i myślimy ażeby pójść na plażę i dlatego przedtem rozdzielamy się w hotelowej przebieralni, która jest tuż wpoprzek drogi i od niej biegnie wąskie moło daleko w wodę. Bardzo niewiele ludzi jest tutaj i ci co są, wyglądają na starych rezydentów, świetnie ze sobą skomunikowanych, nie przeszkadzamy sobie nawzajem.

Na plaży rozścielamy swoje ręczniki, mamy butelkę rumu, więc w papierowych kubkach pełnych lodu jakie dostają w barze mieszamy koktajle, które koronują listki mięty, przezornie przez mą żonę przywiezione w słoiku, w innym słoiku mamy cukier. Henry Bush wygląda na takiego wstrzemięźliwca, że jego charakter pilota, który ma nas bądź co bądź powieźć z powrotem doskonale pasuje z tą odmową do sytuacji.

Morze jest tu płytkie i płycizna ta wychodzi daleko, daleko i idzie się, twardy piasek pod stopami i sięga ledwie do łydek, po długim czasie do kolan i wreszcie daleko poza mołem do pępka. Henry Bush ma ciało białożółte i piegowate, uwłosione rudo tam, gdzie się należy, ale jest pełen powagi, tak jak by nie okazywał okrągłego brzuszka, ale był pozapinany na wszystkie guziki. Usiłuję nawiązać z nim rozmowę, jest uprzejmy, ale mało mówny. Nad naszymi głowami przelatują mewy, wdzięczne ich skrzydła i głupie głowy osadzone na grubej sztywnej szyi i przekrzywiają je ażeby się nam lepiej przyjrzeć jednym okiem. Henry Bush za każdym nalotem robi ze wskazującego palca dłoni rodzaj lufy pistoletowej i szybko bierze je na cel i pstryka palcami imitując strzał do ptaka w locie. Robi to bardzo poważnie i z konsternacją i bawi mnie ta konsternacja która nie wygląda wcale na błaznowanie, naprawdę robi to bardzo poważnie. Może poluje, myślę, i ma mechaniczny nawyk zawodowy, jak pewnie w chwilach wolnych ci co dmuchają w rury hut szklanych, albo klarneckiści nadymają policzki, albo zawodowy tick telegrafisty wystukującego depeşe kłykiem palca po stole, albo świerzbiące palce, poduszeczki palców kasjera liczącego banknoty, więc składanie się z przyrzutu myśliwego z laską spacerową, więc pytam czy ze sportów może strzela, poluje? Nie, powiada, nie ma o tym pojęcia.

Morze, jak powiedziałem, jest jak grochowa zupa. Ale jest przyjemnie i woda jest cieplejsza od powietrza. Przychodzą płaskie fale, i bujają nas łagodnie, w ogóle woda morska niesie całkiem inaczej aniżeli słodka. Jest bardzo beztrosko iinnie, i fajnie. Słońca nie ma i nie będzie go już pewnie dzisiaj, nie grozi nam

obłazienie potem ze skóry. Nie, powiada Henry Bush, te ultrafiolkowe to i tak się przesączą przez chmury i pocujemy to jutro.

Ciężkim, płaskim lotem przeleciał pelikan, wyglądający jak z gutaperki i usiadł na palu sterującym pośród płycizny. Jest dziwaczny, z ciężką głową dziobiastą i jest leciutkiego różowego koloru. Bardzo pasuje jego różowizna do indygowego nieba, są jakby z tego samego materiału, albo wydaje się że w niebie wystrzyżona jest dziura, wykrojony kształt pelikana i spoza chmur pokazuje różowe niebo. To jest ten przedziwny ptak od metafory, altruistyczny abnegat co to swym ostrym dziobem rani pierś własną i krwią karmi pisklęta na iluminacjach symbolicznych. Bardzo ładnie. Ale brzydal, to nie ma co mówić!

Potem jemy kolację w hotelu i przez okno mamy widok na limfatyczne morze. Sala jest bardzo pusta. Siedzi tylko samotnie mały chłopak, dwunasto-trzynastoletni, ma wodniste, bezczelne oczy dziecka bogatych ludzi. Z zadufalością w sobie staroego człowieka, przebiera w jadłospisie, ze swobodą i zblazowaniem daje sobie radę w trudnej funkcji samodzielnej kolacji, zblazowane i pozostawione sobie samemu dziecko bogatych ludzi. Ale nogami nie sięgającymi ziemi majta bardzo po dziecinnemu. Potem, kiedy wychodzimy na wolne to widzę go jak w najlepszej komitywie coś tam pogaduje z chłopcem od windy.

Czy mam teraz powiedzieć o trudnościach naszego powrotu, o nieudałym rezultacie tego, o wątpliwościach, kontrowersjach, sprzecznościach, o skrótach myśli, rachunku sumienia, o wejrzeniu w siebie, o bezsilności, kosternacji, o gorączkowym kombinowaniu i pełnym ulgi „jakoś to będzie”, o dreszczu, o co tu mówić strachu? Z trudem mi to przychodzi bo jakbym nie wykręcał to powróci to zawsze do Henry Busha a Henry Bush przeżył to bardzo chociaż starał się bardzo nie pokazywać tego po sobie, ale mu to pozostało na długo, aż nam go było żal. Bo Henry Bush nafujarzył.

Za dużo było przedtem tego w Nowym Orleanie łażenia po biurach meteorologicznych, telefonowania, kalkulowania, macania pogody. Tak że po długim dniu na plaży i kiedy zasiedzieliśmy się nad kolacją to było już bardzo późno i po prostu nie było czasu na odjezdny czy odlotny powtórzyć tę całą historię.

Więc lecimy, jest już nadchodzący wieczór, od strony morza podnoszą się mgły i zacierają linię horyzontu. Kiedy przekroczyliśmy Pearl River, nasza droga, kurs jest prosto jak strzełił, otóż daleko przed nami, gdzie nasz cel, ściana granatowa i zapala się w niej od chwili do chwili czerwone wrogie światło ażeby rozpełznąć wpośród zaróżowionych na sekundę i wyczarowanych z jej jednakowości obłoków. Jeszcze pięć minut lotu i wygląda

to bardzo niezachęcająco. Jeszcze pięć minut lotu i nawet my, owcze mózgi pasażerów już wiemy, że nie, nie da rady. Henry Bush odwraca się w swym siedzeniu i powiada do Leedsa, powiada spokojnie: *Shall we turn back — I presume...* Nie czeka na potwierdzenie i robi płaskie półkole i dreszcze błyskawic pozostawiamy za plecami. Akurat nad Nowym Orleanem zebrało się na burzę, a nam nie zostaje nic innego tylko paradować z powrotem gdzieśmy zaczęli. Zaczyna robić się ciemno. Morze znowu mamy po prawej stronie i teraz kiedy nie ma horyzontu to podniosło się na nogi i podeszło ścianą do naszych okien. Ale popatrzeć w dół i widać wyraźnie linię brzegu i zaczynającą czernieć zieleń lasów.

Siedzę sobie i kombinuję. Mamy do nocy 10, 15 minut, a tu spada noc jak powieka, nagle, i robi się ciemno. Co mamy za? Że za 15 minut będziemy nad lotniskiem w Gulfporcie, bo 120 m/h to 1/4, to 30 mil, a my chyba nie dalej jak, potem mi się miesza ten rachunek, potem myślę, a jak nie to gdzie najbliższe zagospodarowane lotnisko? to chyba baza marynarki w Pensacola, z beaconami i radiem, a ile do Pensacola? pewnie ze 150 mil, a ile sto pięćdziesiąt mil? kiedy mamy paliwa na 400 mil, a już upaliliśmy sto mil, to ile nam zostaje i ta zabawa zajmuje mi sporo czasu, te kalkulacje amatorskie, i nagle przychodzi mi jak olśnienie, myśl, człowieku! co to wszystko ma do rzeczy kiedy świat przed tobą jest tak ładnie podzielony, z prawej buro-zielona ściana morza, z perłową mgłą, z lewej fioletowe kształty chmur zacierające się z ładem, a kiedy popatrzeć jeszcze raz w dół to stamtąd jest jasno, aż żółto od ziemi promieniującej światło zaakumulowane w ciągu dnia. Ależ to bardzo ładnie, to jest bardziej realne od realności Busha, bardziej jeszcze namacalne. Właśnie w apogeum tego nieracjonalnego optymizmu zorientowałem się że nos samolotu przygwoździł się w dół do szybko nadlatującej wstęgi *runway*'u i jak tylkośmy dotknęli kołami właśnie oklapła powieka nocy i zrobiło się całkiem ciemno.

Już w tych ciemnościach rolujemy do hangarów. W niskim budynku zarządu lotniska jest atmosfera jakaś bardzo rodzinna i prowincjonalna. Jest starszy jegomość, który wygląda na sklepikarza, jest młoda tęga kobieta, wygląda na to że żona jednego z funkcjonariuszy, robi na drutach i ugania i bawi się w koło mały chłopaczek, może czteroletni, z zaciekłą żywością dzieci tego wieku, z ich ptasią, zabawną żywością nieskoordynowanych impulsów.

Moja żona komunikuje się telefonicznie z domem ażeby uspokoić i dać znać, okazuje się że rzeczywiście tam nad mias-

tem burza choleryczna. Wchodzi do wnętrza dwu młodych ludzi, potem jeszcze ktoś. Dziwna i idylliczna jest atmosfera spokojnego wieczoru tutaj pośród tych hangarów i całej mechaniczności. Jest idyllicznie, wioskowo, arkadyjsko i *bergère*. Pełga czerwone światelko żarówki, cykają lokusty, kolorowi się kalendarz-terminarz na ścianie, stary jegomość ma brązową i pomarszczoną skórę na szyi, moi towarzysze poprzysiadali stół, ci ludzie lotniskowi rozmawiają przeciągłym i niezrozumiałym *drawl'em* południowców. Jest całkiem idyllicznie. Wydaje się, że za chwilę ktoś zażenie do środka stadko owiec i capów, że ktoś inny zamiast butelki z Coca-Cola będzie przychyłał gliniane naczynie z winem, że między krzakami laurów przemkną płochliwe fauny, że kobieta wyciągnie pierś nabitą mlekiem i poda ją dziecku, a w rogu zamiast zaplombowanych worów pocztowych są nadęte miechy z mlekiem, że któryś z tych młodych chwatów w wypłowiałych, niebieskich spodniach *jeans*, zagra na jakichś dudach czy innej drumli, a nie będzie kręcił śrubką radia. Czego to się nie zachciewa...

Mowy nie ma o taksówce do Gulfportu, jest późno, ale bardzo po ludzku robią nam miejsce w starym gruchocie samochodzie, którym wybieramy się do miasta i pozostawiamy lotnisko opuszczone. Jak się pomieściliśmy trudno uwierzyć, stary człowiek, kobieta, dziecko, trzech ludzi, nas czworo to razem dziesięcioro i jeszcze ktoś na wyjeźdźnym się przyczepia i przykucnął na stopniu samochodu.

Na stacji autobusów złapaliśmy zaraz autobus, długi i solidny jak Pulman, kierowca wyszedł na chwilę na zewnątrz, pogadał w biurze autobusowym, potem wrócił, olbrzymi, z czapką zsunietą na tył głowy, strzyknął spomiędzy zębów niedopałkiem papierosa celnie do rynsztoku, zaaprobował nas, wewnątrz *air conditioned* i niebywale komfortowe, z wygodnymi siedzeniami, światła przyćmione bo noc, i ruszyliśmy, Greyhound rzucając wprzód dwa wściekle stożki światła, zmiatające po czerwonych ugorach przydrożnych i zieleni drzew i traw i w ten sposób po czterech godzinach, późno w nocy dojechaliśmy do miasta. Powieździeliśmy sobie senni i zmęczeni, pożyczyliśmy dobrej nocy, Henry Bush trochę zbity z tropu i na tym był koniec naszej eskapady lazuruwej.

Z KRONIKI O LATAJĄCYM DOMU

Więc to jest egzotyka? To to tak? Niby gdzieś daleko, a tak nieznacznie, niezaskakująco.

Piasek biały, mialki, tak jakby był z tłuczonego szkła. Jest biały, aż tu nagle brudny jakiś, zamoczony, brunatny. I na nim muszla, nie zaraz jakaś wymyślna morska koncha, dziwacznie pokręcona, nakrapiana czy fantazyjnie umalowana, ale właśnie płytka brunatna, wyłożona tylko od wewnątrz mieniącą się macicą perłową, podobna do naszej szczeżui. Potem patyk, potem spróchniały pantofel tenisowy, potem nic znów, tylko piasek.

A podnieść oczy ponad piasek to woda, płaska, brudnozielona i dopiero jak oczy pobiegną do horyzontu to szmaragdowa, zielona, bardzo zielona. Nad nią chmury.

Więc to tak? Woda, piasek, śmiecie na piasku, niebo. To aż tu? A tak niezaskakująco.

Na tym samym wybrzeżu stoi dom, wyważony przez huragan z fundamentów, opuszczony. Od drogi biegnącej wzdłuż wybrzeża odbity na pewien dystans, zgadza się, wygląda naprawdę że leżał w drodze huraganu. Ramy całej budowli są zwichrowane i pokrzywione, przekrzywione na jedną stronę. Okiennice wiszą na porzdewiałyach zawiasach i szczeble ich żaluzji wypełzłe od deszczu. Podłogi są jednym rumowiskiem. Wśród połupanego tynku, cegieł, drutów walają się resztki jakichś obić i firanek. Fotel z wyprutym siedziskiem szczyrzy się sprężynami. Na wszystkich pleśń. Pokrywa zacieki na ścianach i belki pułapu. A dookoła drzewa i cień przez nie rzucany, cień tego słonecznego dnia. Łopuszaste liście banana, agawy, *pointsettii* rozbijały się wśród tragicznie pokręconych rur wodociągowych.

Ta ruina na wybrzeżu, wpośród cieni drzew, jakby naigrawa się z ludzkiego rozczarowania. Że to niby miał ten dom być

schronieniem, miały się ku niemu zwracać czyjeś myśli i marzenia tych, co byli od niego daleko, że to w jego tak zwanych czcigodnych ścianach, murach, miało się mieścić poczucie ostatniego bezpieczeństwa, że to myśl miała do niego nawracać po prostu automatycznie. A teraz? Szczyrzy swe zęby i działają na urągowisko zaufaniu człowieczemu.

I gdzie się tu podziąć teraz, czemu zawierzyć, kiedy własny dom, dach, okap, cień, ciepło i schron zwraca się przeciwko.

Odwracam się od niego plecami i jakże staje mi zaraz w oczach tamten dom... Wydawał się tak pewny, wydawał się tak solidny. Przecież był już przedtem nim nastąpiło dla mnie stworzenie świata. Z jego okien temu stworzeniu się przyglądałem. Niebo nad nim, ze słońcem, gwiazdami, księżycem, cała niebieska sfera kręciła się wokoło tej domocentryczności. Ileż razy nawracałem do niego. Ileż razy, na przekór sobie wlokłem się do niego. Już z daleka ukazywał się wtedy, przesuwiał pomiędzy drzewami, patrzył ku mnie oczodołami swych okien, stawał się, rósł i w końcu przymierałem swoje ruchliwe, niespokojne nieśczęście do jego białych ścian.

Nocami nawiedza mnie do dzisiaj. Nadpływa poprzez przestrzeń i czas, głucho stąpa pod oknami obcych domów gdzie żyję, jak trumna wydźwignięta z dołu, skrzypi krokwiemi i podzwania blachą w ulewie i wicherze. Dudni w nim coś i stęka, stuka w nim kołatką-drukarzem i ćwierka rozspanym świerszczem w kominie. Puknie w nim rozsyhający się stragarz pułapu, jak skrzypce zagrają schody od dawnych kroków, trzaska zniecierpliwionymi drzwiami, klekocze rozchwierutaną klamką, monotonnie zaświszcze nieodkniętym lufcikiem.



Pamiętam w nim szczury. Opasłe i bezczelne plądrowały w biały dzień po domu, w stajni, w szopie i na otwartym powietrzu. Żarły wokoło wszystko. Widać było jak wlażyły do cebra, w którym podawano krowie omaszczone otręby. Wystarczyło zakraść się i niespodziewanie rzucić do cebra cegłę, ażeby na pewno ubić tłustego szczura. Ale taka szczurza śmierć była ohydna.

Ten sam wielki dom był od lat zajazdem wojsk, popasem, koszarami, szpitalem, dachem dla ludzi co tu przychodzili, nocowali jedną noc, albo stali tygodniami. Płoty już dawno były rozgrodzone, do ostatniego kołka, sztachety, a za to wokół wszystko było jednym olbrzymim śmietnikiem wojskowym, na którym walały się stare onuce, zrudziałe od krwi bandaże, obręcze

i klepki rozsypanych beczek, pogniłe płótna namiotowe, kości. Ohydne śmietnisko wojskowe, od którego szedł mdlący odór, woń niesamowita karbolu, szmat i uryny.

Od okupowanych przez wojska przestrzeni domu bił nieustanny gwar głosów, rozmów, komend, przekleństw i śpiewów. Puste odrapane ściany powtarzały te głosy wielokrotnie. Ustawiczne kroki ludzkie, szcęk powłóczonych po schodach kolb karabinów, zgrzyt podkutych gwoździami butów, głosy, głosy niezdarzonego życia przewalającego się wokoło naszego życia.

I pożary. W zimie te koczujące wojska, ta masa ludzka łaknąca ciepła, jakby z siebie taki ogień rodziła. Mówili dawniej, że myszy rodzą się z mąki i brudnej bielizny, taka naiwna teoria samoródtwa. Tak jak gdzie to? czy nie u Homera? o pszczołach, że roją się same z niczego, ze stosów skrwawionych skór wołowych? Tak ten ogień rodził się z zagęszczenia ludzkiego, jak parzy się i dymi z kup obornika, albo z wielkich hałd szlaku.

Naprawdę to ta mechanika czy chemia powstawania pożarów nie była czymś niewytłumaczalnym. Po prostu dłużej stacjonujące oddziały urządziły się bardziej komfortowo, jakieś paleniska, rury odprowadzające dym przez dziury wybite prowizorycznie w stropach były rezultatem tej zaradności. No i od tych ognisk i przewodów zaczynały tlić się dźwigary i belki stropowe, żarzyły się w cichości i nagle wybuchały w pożar.

Budziły nas w nocy głosy, nawoływania. Słysząc było tupot biegnących, krzyki, zgrzyt skrzyń z amunicją wywlekanych na otwarte. Poprzez płomień, żar, kwaśny dym i iskry przedzierałem się na swoje, wyznaczone mi już zwyczajem miejsce. Moim zadaniem było pobiec na przedmieście, gdzie u jednego z półchłopów, półmieszczan były w przechowaniu narzędzia przeciwpożarowe, gminna pompa, której parciane węże i szlauchy były dziurawe, jak sito, osęki i wiadra.

Jak wtedy przebudzony, zaczadzony, z przerażeniem w głowie, umiałem w noc zimową znaleźć drogę na przedmieście, do domu nieznanych ludzi, jak ich pobudzić, obwieścić im wydarzenie, przynaglić i sprowadzić z ratunkowymi narzędziami to dziś już nie pomnę. Ale pamiętam uśpioną zagrodę, dobijanie się do domu, niską izbę, pamiętam nawet jak budziłem śpiącego na ławie i kożuchem owiniętego kilkunastoletniego chłopca. Pamiętam także to, że ludzie ci, których budziłem po nocy, stawali wobec zwiastowanego im nieszczęścia, trwogi przyniesionej do ich snu, wieści niesamowitej, wobec przynaglania i żądań pomocy stawali z najwyższym poczuciem wspólnoty, odpowiedzialności, gotowości i spokoju. Nie pamiętam ich imion, ich twarzy, ale zapamiętałem na zawsze spokój, precyzję ruchów, ludzki, pełen sen-

su i mądrości stosunek, natychmiastowość i harmonię nawet w ich zrywie niesienia pomocy. Mnie, dziecku wydało się to wtedy jakbym w chwili niebezpieczeństwa i trwogi budził z czuwania znużoną straż anielską, tak ci ludzie otwierali oczy i podtrzymywali mnie automatycznie współczującym i kojącym ujęciem dłoni. Gdzieś teraz w przestrzeni i przeszłości zagubieni trwają i czuwają nade mną do tej chwili. Ile razy do dzisiaj popłoch i trwoga niesamowitej chwili zatarga mną to ich przypomnienie wzbudza otuchę i od pożaru tej chwili ratuje i ocala.



Tak poprzez rojowisko tłustych szcurów, ohydnych, spasionych na wojennych śmietniskach szcurów, poprzez płomienie wojennych pożarów przedzieram się do tamtej chwili.

Siedzieliśmy w kuchni, nasza mama i my, dzieci, odbywaliśmy lekcje czy też czytanie. Kuchnia, wiadomo, sanktuarium domowe, z jej tłustą blachą, na którą z pryskaniem i sykiem wymykają się spod pokryw garnków krople gotującej się wody by zaraz ulotnić się w obłoczku pary. Kuchnia, w której za braturą kryły się w dzień wstydliwie pokolenia karaluchów (które, podobno, tak jak szcury, nas, ludzi, przeżyją na ziemi), kuchnia w której odbywa się i rozciąganie na stole, na obrusie, cienkich błon ciasta na kruche strucle, gdzie w dzieży zachowuje się przygarść „kwaśnego” ciasta na zaczyn przyszłego chleba, gdzie w powietrzu unosi się zapach goździków, liści bobkowych, pieprzu, a na ścianach wiszą rzędem rondle i garnki i na półkach misy, połyskuje ich glazura, siatka jej pęknięć miesza się z deseniem odrutowania, znajome chochle, znajomy nóż, lśni mosiądz moździerza i tłuczka, durszlaki, sita gęste i rzadkie. Kuchnia pobielana wiele razy, drzewo stołu białe od szorowania. Siedzieliśmy w kuchni.

I wtedy otworzyły się drzwi i stanął w nich człowiek. Zanim miałem czas ujrzeć jego okoloną zarostem, smutną twarz, nie miał na głowie nakrycia, zanim uświadomiłem sobie pojawienie się obcego, stało się coś strasznego. Człowiek ponad głowami nas, dzieci, patrzył na mamę i wyciągnął ku niej rękę. W kuchni rozległ się trzask, nie był to huk, ani grzmot, tylko trzask, raz i drugi. W następnej chwili nie było go już.

A chwile dalsze były chaosem. I ludzie. Naraz ogromnie wiele ludzi, ze wszystkich stron, tłum i gwar i my dzieci pogłupiałe i zagubione wpośród tego, i nie wiadomo co to było. Wielki jak góra żandarm w sinym po kostki szynelu, ze sznurem od nagana pod szyją i odwróconą krzywizną szaszka w obciążnię-

tej czarną skórą pochwie. Teraz to już z gwaru głosów, komentarzy, domysłów zaczęło i do nas przenikać, że ten jakiś ktoś (kto to był? czemu strzelał do mamy?) nigdy przedtem niewidziany, jakby go urodziła ogromna, nieogarniona nicosis, splótl swoją straszną, szaleńczą, maniacką drogę z zacisznym biegiem życia kuchni naszego domu.

Wypchnięto nas na dwór i byliśmy wobec niemego muru domu i mur ten u podmurowania fundamentów płakał czarnymi łzami smoły, izolacji i razem z nimi spływały nasze łzy strachu, przerażenia. I potem znowu w przyciemnionym sypialnym pokoju i mama błada i niezmiernie spokojna, chociaż pierś jej unosiła się w szybkim oddechu kiedy mówiła doktorowi ukazując na stanik „O, tutaj...”. Na nasz widok uśmiechnęła się i powiedziała: „Widzicie, byłam dzielna, jak skaut...”.

W głosie jej była jakby duma z tego wszystkiego co się stało, z tego niezwyčajnego i nie mieszczącego się wpośród innych rzeczy strasznych, ale zwyczajnych, okoliczności przerażających, ale jakże w ich uniwersalności pospolitych, które los ma zawsze dla nas w zanadru, o których mówią wstrząsające Suplikacje o zachowanie od „Powietrza, Głodu, Ognia i Wojny”. Tej wojny chociażby, która przez nasz dom i sad przepędzała tysiące uzbrojonych, zagonionych, zropaczonych i zdziczałych ludzi. W tę wojnę, wpośrodku jej chaosu nasza mama, co ratowała nas spod rozpędzonego jej wozu, chuchała na nas i uczyła, tak jak dla zarobku uczyła pokolenia miasteczkowych żydowskich dzieci (zielona trzyrubłówka za miesiąc lekcji), zawsze śmiejąca się, przybierająca nasze życie w girlandy tradycyjnego szczęścia, naraz wyczarowała swoją własną tragedię, dramat groźny i oszałamiający, inny i sięgający ponad bezmyślność i łomot czasów.

Już wtedy zaczytywałem się w literaturze, opisach, relacjach i peregrynacjach, które obejmuje się jednym słowem egzotyka. Tę egzotykę, dziś z autopsji tak nijaką i niezaskakującą, odkrywana wpośród przewracanych kart książek, owe „Llanos” i „Pampas”, „veldt” południowo-afrykański, „bush” australijski, prerie, tundry, sawanny zaczynały się u horyzontu naszego podolskiego stepu. To nimi cwałowały huragany, dał „pampero” i wyła „purga”. Z tych opisów było mi wiadome, że kiedy step taki płonie, kiedy idzie ku nam jedna ściana ognia i dymu, to podróżnikowi zostaje jedna ostateczność. Przyłożyć ogień do traw, suchych bodiaków, ogień przeciwstawić ogniewi, bezmyślnemu żywiołowi ocalającą myśl.

A w parę tygodni potem była już wiosna. Późna wiosna, pełno liści, łąpuchów, traw, łądyg, roz hulanej zieloności, gęsto i po pas.

Z wielką zaciekłością bawiliśmy się, pod słodko i mdląco pachnącymi kwiatami akacji rosnących wokół naszego domu. Z tyłu domu, tam gdzie mury jego były ślepe, bawiliśmy się z szaleństwem i zaciekłością dzieci, aż nam brakowało tchu, tak jakbyśmy chcieli przemijający czas obrać do kości ze wszystkiego, wyssać go ze wszystkich możliwości. Wysoki, ślepy mur domu służył nam do gry, znakomicie i wysoko odbijała się od niego piłka (jak to gdzie? jak to grają w „pelotę” o mury kościołów w kraju Basków?). W murze tym, na wysokości człowieka były dziury po kulach. Tutaj w zeszłym złym roku rozstrzelano człowieka i pozostały jedynie te dziury w murze. Wierciliśmy w tych dziurach i poszerzaliśmy ich otwory aż sypał się z nich czerwony ceglany pył, jak kiedyś z przestrzelin rozstrzelanego ludzkiego ciała musiała się sypać mialka krew.

A w ogrodzie, wpośród zieloności, słońca przeciekającego jak miód przez liście, wpośród tak wybuchającego życia, tak wszystko przejmującego jak nasze zabawy, przechadzała się mama. Miała rękę na temblaku, żółtawym bandażu i była blada i sponad łąpuchów, kiści kukurydzianych, wijącej się fasoli, ponad kipiącym morzem zieloności patrzyła ku nam i pochylała się w tamtą późną wiosnę, która przyszła po przedwiośniu jak łuna światła zapalająca się w teatrze, kiedy kurtyna zapada po wielkiej tragedii.



Chciałoby się ratować ten dom na dalekim, obcym wybrzeżu. Postawić go znowu na pion, naciągnąć na dziurawy bezwstydnie dach gałęzi, liścia, poszyć go bodaj słomą, okryć tę nagość, pomóc jej, uczynić to znowu schronieniem przed żywiołami, naprawić zło, oddalić zło, pokonać idące z nim opuszczenie i bezdomność.

A jak nie, to zawziąć się, podeprzeć się u narożników zepchnąć go z tych węgielnych kamieni, na których się jeszcze chwije, odebrać mu to nieprawie szczerbienie się w słońcu parodią zadowienia, siekierą walić w przyciesie jak w korzenie spróchniałego drzewa, oczyścić z niego ziemię, zrównać go z nią. Ażeby i śladu nie zostało rozwłóczyć te bele, krokwie, płatwie, zemleć tynk na nowo w piasek i posiać go na wszystkie cztery strony świata, strzępy firanek podrzeć z pasją na wstążki, szkło zakopać w ziemię, poobłupowaną wannę potrzaskać w skorupy, rury po-

wyginać w nic nie mówiący kształt, a miejsce zaorać, zryć, wygra-
bić, zrównać ażeby zarosło palczastymi liśćmi „palmetto”, bam-
busu i dzikiego banana.

Aż mi pot spływa po twarzy po dokonaniu tego dzieła
unicestwienia i teraz dopiero odwróciłem się ku morzu. A mo-
rze?... z bliska szare i brudno-zielono-stalowe, a daleko tam,
gdzie z niego wprost powstają chmury, szmaragdowe. Morze...
przyszło z westchnieniem, aaach... jakby w tej chwili uniesienia
i rozpaczcy opowiadało się za jedyne go sojusznika...

PIERŚCIEŃ Z PAPIERU

Od razu poszła o mnie wieść. Na jarmarkach, po zajazdach, dworzech, plebaniach, między chłopami i Żydami. W kuźniach, na targowicy, po wozowniach, stajniach, w bazylikańskich monasterach. Przyjechał...

W czasie odpustów i prężników, przy tołokach, sianożęciu, u pocieni żydowskich sklepów, przed bóżnicą i u wejścia do cerkwi (na górze bania monasteru Bazyliańców, do góry biegną ścieżki wydeptane przez pątników, kręte, kapryśne, wśród wyszczypanej przez gęsi murawy, zbiegają się u furty klasztornej, gdzie podcień i podwórze cerkiewne pachnie w słońcu wapnem i potem świątobliwym, i tu taborem obóz dziadów, chałturów, kalek zawodzących i miamlących modlitwy, pieśni, błagania i prośby „Hospody pomyśl”, „Świataja Preczystaja”, głosy, szkaplerze, różańce, tułowie, grzbiety, garby, kikuty, kule, powykręcane stopy, pokurczone w szpony garście, puste na zawsze oczodoły ściągnięte zmarszczką skóry, grymasy niezrosłych od urodzenia ust, rachityczne pałaki, małe twarze, kuternogi, obnażone na pokaz resztki ramion, torby, kije, głowy okutane w szmaty, czasem atletyczny tors obok wyschniętej na szczapy kupy kości ludzkich, a nad nimi, na bielonych ścianach podcieni czarne płótna obrazów z głowami świętych w aureoli, twarze o surowym wyrazie z parą patrzących w słupek oczu, którym brwi, rzęsy, oprawę prymitywny malarz zrobił maskarą jak w salonie piękności, a nad nimi w wieńcu gągolicy Duch Święty — Paraklet), w salonach resursy, nad zielonym suknem stołów karcianych, po kancelariach adwokackich, wśród wozów czekających przed młynem albo u przewozów i brodów, powtarzano i wyolbrzymiano wieść, niosta i rozchodziła. Przyjechał...

Wrócił, mówili. Majątek u niego, powiadali, kruszec, dobro,

mnóstwo, massa. Przyjechał, mówili, z całym dworem, końmi, psami, a dywany i kobierce, mówili, u niego, srebrne naczynia, makaty, uprząż, rzędy, dywdyki, łańcuchy, stroje. Mówili o mnie żem stanął w najlepszym, najszykowniejszym zajęździe, żem z kozakami przyjechał, służbą, a konie u mnie, araby, a sfora, charty.

Tym co mnie spamiętać nie mogli, bo gdzie tam, to było lata temu, to mówili jaki to ja byłem wtedy, że nie było u nikogo większej fantazji. Że to od moich czasów datuje się pamięć koniarzy, furmanów, zaprzęgów, że to mnie spędzali konie od Azowa, od Mołdawii, z Anatolii i puszy węgierskiej, różne maścią, zbierane po jarmarkach, kradzione za kordonem, spędzane z dalekich stron, uchlastane po kłęby, dosiadywane na oklep przez koniuchów, pławione wśród zarosłych szuwarami stawów, łypiące krwawym okiem wpośród tłumu, zgiełku i kurzu jarmarku końskiego, gdzie każą im iść stępa, kłusa, galopem, gdy w pośród szamotania się i tulenia uszu, z wiszącym u pyska koniowodnym kowal pasuje im do rogu kopyta rozpaloną podkowę w kłębach gotującej się pary hartowaną.

To o mnie opowiadali żem na czwórkę dobierał konie nie maścią, nie z wyglądu ale dla ich wytrzymałości, a im brzydsze były i pokraczniejsze tym bardziej były pożądane. Że sadziłem się na oryginalność, więc w czwórce z zasady musiał być srokacz, a inne żeby były jak najdziwniejsze, mroziatę, dropiatę, wilczatę, deresze, rzadkich odmastków hamany, a jak który miał szramę po opaleniu w pożarze to tą szramą wprzągało się go na zewnątrz, a jak miał rybie oko czyli jak się to mówiło „zerkaty” to tym cenniejszy. A uprząż to mogła być u mnie tylko z surowcowej skóry, kręconej po domowemu, szytej nie dratwą lecz rzemieniem, uprząż prosta i łatwa do wkładania, czy też wyprzęgania na pędce, typu szorowego, ze skóry złożonej we dwoje, mizdrą do środka i licem na zewnątrz, napierśnik i nakarczek, od którego po bokach i wokół biegł pas natylnik z upinaczem natylnika biegnącym grzbietem końskim, od którego podtrzymywały go szelki. To one powstrzymywały rozpędzony wóz, trzymały go konie dyszłowe, natomiast konie przyczepne, orczykowe, albo tak zwane „biczowe” kiedy w czwórce w „porącz”, były wprzęgnięte do orczyków zaczepionych do bocznych posmyków zahaczonych o szynkle tylnej osi. A już prawdziwą ozdobą uprzęży były uzdy, z ich nagłówkami, policzkami, nachrapnikami i rzemieniem biegnącym środkiem twarzy końskiej, nabijanym mosiężnymi tarczami. A zwłaszcza wspaniały, zdobny w kłamrę i mosiężne nabijania pas, który przebiegał od nagłówka pod szyję, ganaszowanie, pas u którego zawieszało się bałabony, kałatały i szeptuny, bałabony lane ze srebra carskich rubli, szeptuny ciąg-

nięte po domowemu z blachy starych pił i kałatały drewniane, z dobrze wysuszonego drzewa gruszkowego, kwadratowe, skuwane na spojeniach, w które uderzały serca z drewnianych paciorków nanizanych na drut.

Ktoś mnie widział na drodze spadającej z Przełęczy Tatarskiej w stronę Rahowa, drodze zapchanej kolumnami samochodów, ciężarówek, wozów, platform, sprzętu, ludzi pieszych, zapatrzonych w jedną stronę, gdzie w pośród kurzu i tętentu kopyt przepychał się tabun koni, gnany od setek kilometrów, stłoczony, ściśniony, fala grzyw i karków końskich, szyi zmydlonych i boków mokrych od potu. Konie były młode, jakaś stadnina z Janowa Podlaskiego, Włodawy? dwu i trzylatki, zastrachane i toczące białkami oczu, z rozwartymi chrapami, w tumanach kurzu. Tym razem konie stanowiły jedno z ludźmi. Już nie było tej strasznej różnicy niemych zwierząt i artykułowanego przemądrzania się ludzkiego, nad grzbietami końskimi nie świstał bat ani przynaglało ich ludzkie przekleństwo.

A potem, wieść szła, miałem pół świata zwiedzić. Mnie, którym znał stadniny Chorostkowa, Czarnokoniec, Jarczowiec, Albigowej, Sławuty przyszło poznać inne, w Babolnie na Węgrzech, w Lippiza w Austrii, stadniny Pompadour i Tarbes we Francji, „Royal Mares” w Malmesbury i Tutbury w Anglii. Widziano mnie w Longchamps i u paddocków Newmarket, na przeszkodach w Saumur i w Hurlingham gdzie grają w polo. Mówili że nocowałem w namiotach Wahabitów i ujeżdżałem ich konie i znałem ich rody, rody słynnej piątki Al-Khamsa, gniade, o podłużnej twarzy i wysokim nadpęciu „kuhailany”, siwe „saklawi” o długich nogach i głębokiej piersi, złotej maści „munighi” o wąskim, wydłużonym tułowiu, że po ich chodach, pokroju, odsadzie ogona nieomylnie poznawał. Po czerwonym, krwawym rozwarciu chrap, nerwami przesianej, delikatnej skórze, rzeniu biorących nad kieł ogierów, po spadającej grzywie, różowych oczach, przybranych w wiązane z czerwonej wełny uzdy kłaczy i niecierpliwym szukaniu wymienia źrebaków.

Mówili że w Carogrodzie poturczył się, zbisurmanił, że zaparł się wiary i przywdział turban paszy i przyjął epolety, krzywą szablę i buńczuk. Powiadali że zgrozą, że obraz Czarnej Matki Boskiej w monasterze ułaskowieckim spłynął wtedy krwawymi łzami i pękły carskie wrota w jej cerkwi.

W każdym razie miałem przyjechać. Mniejsza o to jakim tam obrzezańcem wróciłem, czym rozsiadał się na miękkich „karamani”, perskich „hamadanach” i „saroukach”, modlitewnych „czirwanach”, mniejsza o to czym gryzł bursztyn cybucha, czy za Firdusim słowik był dla mnie „bul-bul”, czym legitymował się

firmanem (który odebrawszy należy z szacunkiem ucałować), w każdym razie wróciłem.

Powiadali żem przywiózł ze sobą żonę, obcą, młodą, czarnobrewą, Greczynkę. To pewnie musiało należeć do tego orientalnego bagażu, bo jakżeby inaczej miało być. Taka spod dalekiego nieba, egzotyczna, zakwefiona, ognista o powłóczącym spojrzeniu spoza welonów miała być tak nieodzowna jak powymyślane bogactwa, srebra, konie i charty. Wieść po prostu sama zaokrągląła w kompozycję tę historię zapóźnionego powrotu.

Więc kiedy tak, to sobie to jeszcze sam uzupełnię. Każę sobie osiodłać konia, wycudzić, wystroić jak dryganta dla drużby na weselu. Z podwórza w bramę, z bramy drogą, tędy jak kuźnia na skraju wsi.

Strzeż się kowalichy co w ogrodzie, wśród ostrów, burzanów i łopuchów zasiewa anhelysę, dziewanny, rutę, biedrzyńnic, tiutiun, rabarbar, rumianek, co zbiera szalej, piołun, kokoryczkę, belladonnę, ślaz, co warzy pijanice, centurianum-dorohozołot, dziurawce, co wie gdzie znaleźć walerianę, passiflorę, podbiał, dziką różę, co hoduje miętę, tymianek. Omijaj, unikaj jej oczu, nie patrz na jej nogi, kiedy spódnice zatyka w pasie, kiedy przedzie cieniutko, kiedy niesie wiadra na koromeśle od potoku, kiedy otręby zadaje świniom. To ona, jak podpatrzeć w samo południe, zakrada się do stajni, ze stołkiem i skopcem i usiadłszy u ściany, gdzie na hakach wiszą uprząże, szleje, uzdy, postronki, naszelniki, ujmuje wiszące końce lejcy, czarownica, i doi je i strzyka z rzemiennych końców lejcy tych mleko do trzymanego udami skopca, ciur ciur, „słońce świeci i deszcz pada, czarownica masło składa...” i ciur, ciur, mleko czarownica odbiera krowom ze wsi i doi je z tych rzemiennych lejcy i z miaukiem ociera się o jej gołe kolana czarny kocur, towarzysz nocnych wypraw więdźmy.

To na jej zbliżenie się ogiery tulą uszy, przypierają się do ścian klatki, kopią, cofają się, przysiadają na zadach, przestępują kopytami, gryzą i chrapią, stają dęba. To ona może sprowadzić na nie kolkę, ochwat, kulawiznę, parchy, odparzenia, koler, to ona sprawi że zatratują się, zagwoździ im kopyto i gnić im będzie żywcem, rzuci się na nie nosaczna, ślepotą, narowy, zastudzą się, będą chromać, gubić podkowy, płoszyć się u krzyży na rozstajach, czepi się ich dychawica, będą łykawe, ogarnie je błąd i będą ponosić.

To harap! aż pręgi występują na delikatnej skórze i w pole!

Stary okop wojenny ciągnie się grzbietem pól, rów krzywą linią biegnący, z jego trawersami, przecznicami i dobiegami, z wysypanym na przedpiersie marglem, który kiedyś, po zasypaniu

będzie znaczyl świezo zorane niwy jak blizna biala wsród czarnoziemu. Opuszczony okop sluzyl za cmentarzysko konskie. Jest bardzo latwo i oszczedza to wysilku sciagnac tu taki zewlok konski do tego rowu i na prędcie przysypac go niezdarnie po wierzchu ziemią. Wkrótce psy tam znajdą drogę i tę ziemię będą rozgrzebywać by dobrać się do ścierwa. Brzuch zapadnie się, sterceć będą tylko żebra i rozwłócone golenie i kopyta konskie. Czerep, głowa z czarnymi oczodołami, wyszczerzone zęby, potężna zuchwa, kręgi szyjne, łopatki, ostre, kańciaste stawy biodrowe, szkielet, zmyślna machina, przeguby jej, anatomia celowa, maszyna obrona z mięśni, cuchnący zewlok konski. Po nocy dźwignie się rozpaczliwie, naprzód na przednie nogi, a potem z jękiem konskim bólu i rozpaczy, że coś mu jeszcze raz każe powstać, chwiejąc się poderwie się jeszcze raz z przekleństwem życia, wzniesie puste żebra do oddechu, przerywającego się jak spłoszony ptak przez pręty klatki. Po nocy, pośród kłaków chmur straszliwa zjawa zbiegłych do kupy piszczeli konskich powstałych w straszną karykaturę, ażeby jeszcze raz posłużyć ludziom, popozować do rozbieganej, rozgalopowanej czwórki Głodu, Moru, Wojny, Śmierci wymyślonej przez ludzi, ozwie się strasznym rżeniem rozlatanego szczęściem wśród łąk żrebaka by przejść w dziki kwik koni, które w panice i trwodze kosiło na wszystkich polach bitewnych świata.

A my teraz stępa przez dąbrowę, twarde, pożółkłe z jesieni trawy, miotły sztywne w styczniowym powietrzu. Lśnią wśród grzywy mego konia, szumiącej grzywy, odświeżone wplecione w nią złote krążki, jak cekiny w warkocz Cyganki. Jest już siny, zimowy wieczór i las przechodzi w granat. Dobrze jest być blisko domu. Śmiało można patrzeć w czeluść świata, głęboko wciągać mroźne powietrze, nastawić mu policzek.

W domu knot naftowej lampy pływa w bursztynowo-żółtej cieczy, płomień jak żółte pawie oko patrzy uważnie i mądrze na cienie pokoju. W samowarze cieniutko pieje woda i herbata w szklance złoci pozostawioną w niej łyżeczkę pozłótką złotą i aromatyczną.

W świetle lampy widzę swą dłoń położoną na stole i na serdecznym jej palcu lśni błyskiem żelaznym pierścień z papieru.

FRAGMENTY

Z tamtej strony kordonu nie dochodziło nas wiele. Była granica austriacka więc po tej stronie byli finanse, a po drugiej stronie Zbruczu sałdat ze sztykiem. W państwie rosyjskim strażą graniczną było wojsko, coś tak jak u nas KOP. Ale potem przyszła wojna i miało się to trochę zatrzeć. Więc przede wszystkim nazwy miasteczek i miast podbiegły bliżej. Przedtem to tylko były Wołoczyska naprzeciw Podwołoczysk a teraz zabrzmiała i Żmerynka, i Wapniarka, i Winnica i Kamieniec Podolski i Płoskurów. Ale tamten kraj pozostał tamtym krajem, a tutaj to było tutaj. Tutaj to była Jagielnica i Probózna i Skąła i Borszczów i Ułaszkwce, gdzie się urodziłem. Gdzie spędziłem pierwszych pięć lat dzieciństwa.

I właśnie tych pierwszych pięć lat dzieciństwa. Prawie nic z tego nie zostało i pięć lat małego życia, osobnych i odkrojonych we wspomnieniu jak gdyby to ktoś inny a nie ja je przeżył. Mówię sobie, wysil się, przypomnij sobie. I przypominam sobie, ale oderwane fragmenciki, jak znalezione na miejscu dawnego rzymskiego domu kosteczki mozaiki i z tego nie uda mi się odbudować obrazu.

Słabo pamiętam, że pomiędzy naszym domem i Seretem były pastwiska i pasły się tam podolskie woły, strzeżone przez pastuchów. Zachodziłem tam czy też zapełzałem jakimś sposobem do tych pastuchów od których jechało zapachem, cuchem pazuchy chłopskiej i niemytego ciała. Woły wielkie i przerażające, rogate i heliosowskie pasły się swymi wolimi gębami a pastusi byli bardzo dorośli, dobroduszni i cyniczni, cynizmem pierwotnego człowieka i szło od nich dzikością.

Kiedy wróciłem, czy też nawrócono mnie do domu to oświadczyłem matce: „Chcę paść woły”. Wyperswadowano mi to na-

tychmiast, widocznie była taka fantazja tak nie na miejscu, tak kolidowała z odosobnioną i wytężoną wolą zagubionej pośród prymitywu rodziny inteligenckiej, że nie bacząc na wiek niemowlęcy, absurdalność mego przekonania i wyboru, nie licząc się z poczuciem komizmu wyperswadowano mi to brutalnie i pozostawiono we łzach.

W niedzielę, pamiętam, posyłano po obiedzie służącą do sklepiku Szora po wodę sodową. Pan Szor miał także skład desek i dotąd także pamiętam jak mdli śmietnisko żydowskie ogrodu oddzielonego parkanem z powykręcanych desek, gdzie były pokrzywy i łopiany. Wody sodowej nataczano do przyniesionej karafki ze szklanym korkiem, z wielkiej butli miedzianej, brzuchatej i zakończonej syfonem i z sykiem ta woda kotłowała się i widać było przez szkło niebываłe kuleczki gazu, wariujące tam w tym zamknięciu i potem w domu dodawało się do tej wody już w szklankach konfitur malinowych i woda zaróżowiła się i był to w rezultacie napój boski, inny od czegokolwiek, niezemski i sodowa woda.

Odwiedzało się dom pocztmistrza, gdzie było dużo dzieci i ciągle pocztmistrzowa rodziła nowe i w domu tym jechało od zapachu niepranych pieluszek, rozwolnień, i zabawki tych pocztmistrzowskich dzieci pachniały także tym pieluszkowym zapachem, a zabawki, że cudze i inne, były najbardziej dziwne i egzotyczne. Choć zabij, żadnego z tych pocztmistrzątek nie pamiętam a pamiętam do teraz jedną z zabawek, miniaturowy rower, wykonany na kształt prawdziwego, ze wszystkimi szczegółami, kierownicą, przekładnią, siodełkiem, pedałami, jakie by tam nie były, pamiętam do teraz, jak gdyby całego tamtego świata nie było, a był tylko ten miniaturowy welocypedzik. Proszę, pamiętam jeszcze także brodę pocztmistrza, bródkę w szpic, a to dzięki specjalnemu zbiegowi okoliczności. Otóż zmarło się wkrótce temu pocztmistrzowi i przepisany zwyczajem to pocztmistrzowskie ciało leżało sobie tych parę przepisanych dni w domu, może nawet i zaśmierdział się trochę, i groza u nas, w dziecinnyim pokoju. Groza pewnie przynoszona przez niepoprawne kuchty i niańki, które sobie na takim odludziu, gdzie to już ewenement, nie darują okazji i makabrycznych dreszczy i ściskania w dołku. Któraś to z nich zwierzała się drugiej, niezgrabiarą przy dzieciach, a może nawet i umyślnie przy dzieciach, jak to tam, kiedy się chodzi dla oddania ostatniej posługi i odwiedzin bliźnich na katafalku sztywnych, kiedy zdarzyło się jej z ciekawości dotknąć brody, szpicbródki pocztmistrzowskiej i czy imaginacja czy fakt, kazały jej zaalarmować się lodowatym chłodem śmiertelnych szczątków.

Takto więc wspomnienie pocztmistrza, zapewne młodego człowieka jeszcze, w ówczesnym zwyczaju przedwczesną dojrzałość podkreślającego przez pielęgnowanie zarostu, to wspomnienie będzie mi zawsze towarzyszyć, ile razy okazjnie kontempluję przeszłość.

A wygląda to w ten sposób, że zakołysze się człowiek we wspomnieniu, a jak nie ześrodkuje się na tym myśli to przyjdzie ona w marzeniu, albo we śnie, albo kiedy odbije się coś przypomnieniem, czkawką po obiedzie, albo ustroi się w jakiś zachód słońca, albo przyniesie to ze sobą zapach dymu spalonego węgla w lokomotywie za zakrętem z żywopłotu, zaturkocze daleko, daleko, furą na gościńcu, zazieleni się gęstymi łopuchami w cieniu, albo zaskrzypi lodem pod obcasami na zimowej ścieżce. I już jest tutaj, i już jest z nami, ale inne, niby takie same, a inne i jednakie i inne. Gont na dachu, gont poczerniały na sinoszaro, wyszurane chodnikowe płyty miasta, bańka wydęta z poślacanego szkła w mieszczańskim ogródku, zapocony kołnierz marynarki, zapocony na czarno u tragarza przepasanego sznurami, łydki dziewczyny służącej, trzępiącej dywan na galerijce balkonu, suchotniczy kelner w restauracji ścierający nieschłodną serwetą plamy z piwa po poprzednim gościu (po poprzednim gościu, po człowieku, po królu stworzenia, po bliźnim, zostały tylko plamy z piwa i połamane wykałaczki w solniczce, jak Boga kocham to prawdziwa tragedia zniknięcia!). To to tak więc powraca do nas dawne życie? To tyle zostało z tamtego świata? Tylko tyle? A to co jest teraz, w tej chwili?

W tej chwili, to trudno jest powiedzieć. Bo w tej chwili napakowany jestem wspomnieniem i marzeniem na przyszłość. Sam od siebie odpycham moment, sam przeklinam go i chciałbym od niego uciec. Kiedy czekam na przystanku na tramwaj i niecierpliwie się, to uciekam od obecności w cudowną przyszłość, która dzieć się będzie za sześć minut, w cudowny świat jazdy tramwajem. Żyję już tą przyszłością bo łaknę jej i gardzę chwila czekania. Do czego by to porównać? Można by to porównać do jazdy na amplitudzie fali, jest taki sport hawajski, nie? jazdy na fali przyboju grzmocącej w piasek wybrzeża. Już to tam nam powytłumaczali jakto jest z tą falą, że masa wody stoi w miejscu, tylko fala piętrzy ją na przemian w grzbiety i niecki, ale kiedy znaleźć się w pewnym punkcie ześlizgu to będzie się tak wiecznie zjeżdżać po ześlizgu grzbietu tej amplitudy, czyli będzie się niesionym z falą. Takie sobie porównanie wykombinowaliśmy, co ma tę skuteczną puściznę, że nic nam nie tłumaczy.

W tej chwili to jest dokładnie moment kiedy staram się oszukać. Wspominam rzeczy pochlebne i sukcesy miłe a unikam

zdradzieckich wspomnień o tych kiedy byłem na dole, kiedy byłem bity, kiedy nie przystawałem do ideału jaki sobie wymyśliłem. Jestem stronnikiem historykiem, Plutarchem własnego autoramentu, kronikarzem i syntetyzującym panegirystą samego siebie. Dlaczego tak się dzieje? Pewnie ażeby zachować siebie w kupie, nie zanarchizować się samemu i nie zatracić na rozmieszane ziarno i rozarty piasek prawdy. A nawet kiedy zadam sobie przymus i satysfakcję powiedzenia całej prawdy to będzie to jakże subiektywne, wybór tej prawdy, przecież nie jestem jakimś cudem, wylezie to tylko pewnie w innej formie. I dodajmy pozie.

W tej chwili patrzę w wyścielony przede mną krajobraz, fałdy i przypadkowo ukomponowane przedmioty tej krajobrazowej rzeczywistości, nic w tym nie ma różnego od krajobrazu stolika restauracyjnego, plamami po piwie, masami solniczek, pieprzniczek i dżunglą umierającego bukietu kwiatów w mętym od szkła i wody flakonie. To nie tylko to jest różne, że przed chwilą, przed godziną przed kilkoma setkami lat ten krajobraz był inny, bo w czasie, ale i wtedy i teraz jest inny, zależnie od pozycji obserwatora. Mój zachód słońca, który wlewa się we mnie z seledynowym i pomarańczowym światłem jest dla kogoś innego, po drugiej stronie, wschodem melancholijnym albo radosnym. A także dla mojej dyspozycji, gdybym tylko brał moment i tylko ten moment równie dobrze mógłby być on wschodem.

Co za kolosalne odkrycie siebie wpośród własnego, jedynego nieprzekraczalnego świata. Co za satysfakcja i co za trwoga tego odosobnienia. Niech bym nie wiem jak przylegał do innych, kupił się i wpierał w stado, nic mi to nie pomoże i zawsze zostanę sam, będę patrzył wzdłuż swego nosa.

A patrzeć wzdłuż własnego nosa przysporzy mi zawsze sensacji, które odgraniczą się prędzej czy później od nabytych mechanicznych, nieuniknionych, instruujących sensacji innych. „Moja mama mi mówiła” to jest świat spreparowany którego uczyłem się na początku, jeszcze kiedy byłem sam. Więc nabiera się wiadomości, „folkloru” dziecinnego pokoju, świata uczeplonego spódnicy mamy. Teraz kiedy się jest dorosłym to stoi i obramowuje to sentyment i wspomnienie, ale jak dziwnie i innie było wtedy. Mama i jej folklor domowego spokoju. Mówiła że „prędzej zobaczymy własne ucho aniżeli 'naszych' ” (to było w czasie inwazji rosyjskiej a „nasi” to były wojska austriackie). Patrzyłem ku górze na małe ucho mamy, jego koniec pod falą włosów i dotykałem swego i myślałem o tym, że nie potrafię go nigdy zobaczyć, bo naprawdę nie można, ale co, przecież

można w lustrze, ale to już nie to samo. I zaraz odlegle zadrgało we mnie, ale nie uświadamiałem sobie tego, że to metafora, przenośnia, którą naszpikowaliśmy sobie mówienie, bo inaczej nie można by mówić. Mówiła mama, pokazując na niegójący się palec, małe zadrażnienie, na wewnętrznej stronie zgięcia, że to „dzikie mięso”, o, wstrząsałem się na to „dzikie mięso” i prawdę powiedziawszy nigdy potem o takim zjawisku nie słyszałem. Mówiło się w domu, że stara pani Brasznicka, ale to bardzo stara, ma tzw. „wilczy głód”, że pożera wszystko w ogromnych ilościach i jak przychodzi do nas z wizytą to zaraz jakby rozciągała się, zapuszczała macki żarłoczości aż do kuchni, aż do uświęconej spizarenki, „widziałam dzieci państwa miały taki smakowity placek” (co to było, strudlowy, czy cwibak, z wiśniami, z makiem, orzechowy, przekładaniec?). Mówiło się że panna Kasia to jest Rusinka, panna Kasia towarzyszka pani Wandy Górskiej, zawsze nieodłączne, zawsze razem, pani Wanda Górską w czarnych koronkach, a przy niej panna Kasia, szczupła, w kapelusiku, sztywnym strohhucie nasadzonym na czoło i z kokardą pod brodą wysokiego kołnierzyka i dziwnie było że Rusinką może być dama kapeluszowa, kiedy Rusinka zawsze to chłopka, w lecie bosa, z czarną łuską brudu na wierzchu stóp, z podkasaną spódnicą, z chustką zawiązaną w węzeł pod brodą. A panna Albina, Albińcia, to była szwaczka i przychodziła na dniówki, panna Albińcia, pochylona nad szyciem, nad maszyną, prawą ręką przyhamowująca rozpędzone błyszczące kółko maszyny do szycia, a sama maszyna to gmatwanina singerowska czopków, śrubek, dziwnych uszek i prowadetek dla nici, z wymyślnym urządzeniem do nawijania malutkiej szpulki, która potem jakże pasowała do lśniącego czółenka. A panna Albina, lewą ręką opuszcza przytrzymać do materiału a materiał jest napiętrzony pod mostem, łukiem maszyny Singera w pomieszany krajobraz fałd i drobniutko, tykocząco wybiega stebnowanie szycia, kiedy nogą ukrytą w spódnicy napędza szybko pedał maszyny. A wokoło tego rozbiegany światek zatrząsek, haftek, perłowych guziczków, skrawków, szpułek nici z „Trójką”, igieł, igielniczek, jest i mała oliwiarka, i napisane Singer w girlandach złotych wywijasów, panna Albińcia zjawia się i znika periodycznie, jak światło księżycy, swą podługowatą księżycową twarzą świecąc, regularnie i okresowo. Czasem było to w połączeniu z wokalnym, śpiewackim popisem, panna Albińcia wyciągała cienko poloneza Ogińskiego, albo „wezmę ja kontusz, wezmę ja kontusz — szablę przypaszę” i nieodmiennie kończyło się to „złote litery, złote numery wyryc każemy...”, albo „nie będę sobie warkocz trefiła”, albo coś z ruskich „idy, idy kaczoryku do domu, prodam

ja tie żydowyni na wedu...”, albo „i szumyt i hrymyt dribnyj doszczyk ide...”. A innym razem przychodził kuśnierz i jego pomocnik i wyciągano stare futra i kożuchy, i naprzód mole, widziałem na własne oczy małe i wstrętne larwy molowe otorbione w długie odwłoki jak spokojnie i żarłocznie żuły te swoje włosowe gaje, i generalne czyszczenie tego, a potem pan Aszkienazy i jego pomocnik wycinali, pasowali kawałki, z jednej strony cudowny jedwabisty włos, a z drugiej strony nijaka, mizdra skóry i wychodziło to w ściegu spod ich rąk w jedną całość, jakieś dawne szopy, lisy i skórki karakułowe, a my dzieci staliśmy zadzierając wysoko brody kiedy nam przymierzano te bezrękawe niekształtne podbicia, kiedy dziwiono się naokoło, że można tak rósć. Albo przychodził szklarz Kimmel, i zapachniało od razu kitem, i dziwnie i strasznie było popatrzeć jak diament skrzypi po szkle, i odłupują się cienkie szklane listwy w palcach, które same jakby były szklane, i okna wyjęte z zawiasów leżały wielkie i nienaturalne płasko na stole i szklarz postukiwał cienkimi gwoździkami i formował wałeczki kitowe i szast jednym pociągnięciem noża wzdłuż listwy okiennej wyrównywał ten kit i sztrychował. Potem długie tygodnie można było sobie ten kit wydłubywać i lepić, tak długo trzymał się miękki i plastyczny.

I znowu skrawki materiału, „próbki” przynoszone przez podróżujących sprzedawców, malutkie książeczki z próbkami materiałów, ślicznie naząbkowane na brzegach, sukienne, kamgarny, szewioty, gabardyny, a do tego wstążki i szutasie, ołowiane cekiny do wszywania i obciążania żakiecików, a matinki, szlafroki, toczki na głowę, i co jeszcze, rzuciki, kontrafałdy, dziwaczny świat, materia pochłaniająca, obramowująca nagie ciało. Czego znowu było się ciekawym od samego początku. I wtedy przychodzi wspomnienie kąpeli w Serecie, wielka wyprawa do Seretu, ale to gdzieś daleko, i szło się latem, a powietrze aż stoi od południowej spiekoty i szło się skosami ścianek Seretu, gdzie wylazą cienkie warstwy „skałek” i sypią się swoim skałkowym pyłem, a niżej wygony ponad rzeką, zaśmiecona ich trawa odchodami gęsi, których stada gęgliwe, siodłate i obskubane, rozgęgały się i równe na pochyłości schody wytratowane racicami krów schodzących do wodopoju, w rytmiczne, jednakowe schody, i rozplaskany nawóz krowi, świeże placki szpinakowe i stare, zdrewniałe łajna. I dochodziło się gdzieś gdzie w wielkim cieniu, w wielkiej gęstwinie, w zieleni, stare młynisko, z wodą młynówki kaskadującą po łopatkach nieruchomego koła, koła pokrytego oslizglą mazią jasnozieloną wodnej grzybowiny, zielonego żyjącego wodnego szlamu i tam dopiero. A tu woda ściekająca kroplami, haustami, kubłami z koła młyńskiego, a tu wpośród

tej wody aż do zatchnięcia tchu w piersiach, a woda perli się na skórze jak pot kroplisty, i wielkie ciała kobiet, wpośród prześcieradeł, prześcieradła z konopnego płótna, i mokre od wycieranej wody, i wielkie, sążniste ciała kobiet, przeguby ich kolan, fałdy ich bioder, veronezowskie ciała, łydki zbiegające ku stopie, ku kostce jak kliny i uda jak toczony wały, i zapach ciał kobiecych w lecie, pachnących od potu, mydła i wody i młynówki i kręcone włosy ich wstydliwych zbiegów ud i podbrzusza, nabite cycki, rozwalone na piersi i brzuchy wypukłe i wklęsłe, gdzie pas i talia, i włosy pod pachami i śmiech ich jak rzenie kobył, podnieconych w pławieniu, i dziwnie, niezziemsko, i pomieszanie i dreszcz, i przekorny śmiech i zachłyśnięcie się znowu wodą. Ażeby to potem zostało pomieszaniem wspomnieniem, w dreszczu godziny zasypiania dziecinnego pokoju. Dziecinnego pokoju, woniąjącego, pieluszkami, pisiu, pudrem dziecinnym, landryneczkami i powojem.

Uczę się pośród tego, czy chcę czy nie chcę, chłonę to naokoło wszystkimi porami skóry, tak jak oddycha się skórą albo tak jak soliter w jelitach chłonie całą powierzchnią ciała, swego robakowego ciała. Przychodzi to do mnie i rozmienia się we mnie, i tu właśnie zaczyna się to przetwarzanie świata na mój własny świat. Folklor mamy jest taki sam jaki przychodzi, ale we mnie, już z tym jest inaczej, bo inaczej liczę czas i inaczej pulsuję pomimo tego, że niewidzialną pepowiną jestem jeszcze oplątany i na poły uduszony w matczynym uścisku.

A potem naokoło głosy i głosy i powiedzenia, ogród słów, wystrzygane w tym ogrodzie ścieżeczki, naciągnię się taką gałąź ze słowami jak gałąź jaśminu, aż dreszcz przechodzi kiedy posypie się deszcz kropel rosy. „Tamten ogród” to był drugi ogród koło składu desek Szora, od składu desek pachniało trocinami i śmiećmi żydowskimi. „Idzie jak z płatka” mówiła mama i zastanawiałem się jak to może być że coś łatwo, składnie idzie jak z płatka. „Tadeuszowa” to słowo określało cały świat stróżowej, jej dzieci, jej męża pijaczyny i co tu ukrywać złodzieja, i nieschludnego mieszkania biednych ludzi, a „Roszlakowscy” to znowu słowo obejmujące całą mieszczańską rodzinę, cały mieszczański świat, cały kosmos, obracający się wokół tych samych ustalonych spraw mieszczańskich, „z domu, po mężu” to znowu całe rytuały przyjętego małżeńskiego urządzenia społecznego, sztywnych praw, etyki, porządku społecznego.

Aż tu nagle wybucha „podpalacz!”. I podpalacz, biedny prowincjonalny zagubiony pomiędzy polami Seretu Herostrates, pyromaniak, który chciał się wyszarpać z jednakowości tego życia z bańką nafty i pudełkiem „siarników” w rękach herostra-

tesowskich i wybucha to słowo z łuną, czerwonym kogutem buzującym ponad dachami i wierzchołkami drzew, kiedy my, dzieci, tłoczmy się do kolan matki, i same nie wiemy co to jest, ale słusznie i prawdziwie nas to straszy, że podpalacz! A kiedy już takim skokiem jesteśmy pośród trwogi, paniki, chwytu u gardła, kiedy jest tak straszne, że ucieka nam myśl i ucieka przytomność bo strach, to przyłącza się do tego zaraz inny strach, strach „wściekły pies” i wściekły pies goni poprzez przestrzenie międzyplanetarne, jego ociekająca śliną mordą rozdziawia się ponad naszymi snami i ogon, koniecznie ogon podkulony po psiemu, wściekłemu pomiędzy nogi i tylko tchu i marzenie ażeby być w domu, bezpiecznie, wysoko za szybą okna, i nie koniec temu, bo dołącza się zaraz wyobrażenie na słowo „wariat”, a przychodzi to ze wsi gdzie nieogolony, w dziurawych na tyłku portkach jakiś „durny Jasio” wioskowy schizofrenik czy *dementia precox* w zaciśniętym wężu rąk wydeptuje swoją wariacką ścieżeczkę pod chałupą, i z daleka omijamy tamtejsze przejścia, i już lżejsze wydają się na co dzień strachy przed Cyganami, którzy kradną dzieci, przed Żydem Ćwiokiem, który przychodzi po gałgany i może „zabrać do worka” jak się nie będzie grzecznym i już lżejszy jest strach przed Kłymem, nosiwodą, a Kłym jest zarośnięty i ma rudą jak franciszkański habit kapotę i jedną nogę na zawsze wykręconą bokiem ku przodowi i jego chłopski but w miejscu natarcia jest okuty kowalskim żelazem.

To po tym strachu z jaką ulgą wpada się znowu w szczęście, w puch szczęścia, woda sodowa! woda sodowa! buzująca kropelkami gazu w karafce i jak zamiesza się sok malinowy to tęczyuje się tam ten sok różowo jak samo szczęście!

Co to jest szczęście? Zakręci się od tego w głowie, jest przymilnie, swojsko, nic nie boli w pierwszym rzędzie. W drugim rzędzie nie ma nudy. Nuda to zapędzanie wczesne do łóżka, przed którym wieczorem broni się jak przed upadkiem w przepaść. Szczęście to jest wspomnienie, nabyty kawałek życia przeżytego na własność, nie do odebrania. A wspomnienie tego staje się naraz marzeniem. Marzy się. W tym świecie marzeń z ułamków, kawałków i odpadków zapamiętanych składa się na nowo inny kształt. Uśmiecha się do tego kształtu, jest to coś własnego, coś co podnosi nas do bluźnierczej pychy tworzenia, z niczego, tworzenia czegoś czego jeszcze nie było. Można siedzieć pośród połamanych zabawek, wiórów, łopuchów i trawy, albo pośród krajobrazu i składać z porozrzuconego świata nowy kształt. I to wydaje się, że jest szczęście. Naturalnie że do tego domiesza się zmartwienie, strapienie każdego twórcy. Że chwije się nam to w palcach, nie klei, nie trzyma równowagi, ale trzymamy się

tego. Wspomnienie. Wspomnienie, bo już w samym wspomnieniu jest rytm, aliteracja i powtarzanie się rzeczy, więc dudni to jak poemat. Ale do tego potrzeba także czegoś nowego, zawsze i ciągle, jakby nas zabolaly wszystkie nagniotki na duszy, jakbyśmy chcieli wypruć się raz z Dejaniry koszuli codzienności. Powtórzenie i nowość. Powtórzenie straszące nudą i nowość przerażająca nowością.

Co to jest szczęście? Gdyby chciał ktoś wydedukować sobie z najwidoczniejszej i najoczywistszej ludzkiej chęci i łapczywości to wydawałoby się, że zaspokojenie ambicji. Bo niby wszystkie nasze drapieżne dążenia, szamotania się, wyszarpywania się wychodzą z jakiejś ludzkiej palącej potrzeby, żarłoczności do panowania człowieka nad człowiekiem. Dlatego już najwcześniej zaczyna się „mój tato to — mój tato owo” niby że przez tego tata, przez wyimaginowane czy prawdziwe właściwości tego pana ma się okazać, pierwsze możliwości do wywyższenia, do wysunięcia się. Zaraz by sobie to jaki psycholog porównał do najbardziej pierwiastkowej, prymitywnej sztuki mimikry i udawania, kiedy ten czy ów owad naśladuje potężniejszy czy jadowitszy gatunek, stwarza przez to psychologiczną atmosferę wyższości i naturalnie zaraz z tej wyższości ciągnie natychmiastowe korzyści. Jak to ja jestem zdolniejszy, mądrzejszy, bogatszy, bardziej obdarzony, wpływowy, lepiej urodzony, cnotliwszy, to nie tylko to, że jestem cnotliwszy i bardziej obdarzony, ale do tego dołącza się i nawarstwa atmosfera tego do kwadratu, jestem bardziej potężny aniżeli jestem potężny. Takie sobie oszustwo od samego początku.

Co to jest szczęście? Kiedy za każdy wzlot, nazwijmy to ładnie wzlotem, przychodzi potem naturalna reakcja na ponuro, kiedy właśnie za taki plusowy ładunek elektryczny płacimy potem rozładowaniem to byłoby to może po prostu tylko złudzenie i mechaniczna oscylacja. Jak się ma upór, nie, przepraszam, nie upór, ale przekorę, przekora jest na takie rzeczy i zmysł niezależności, to będziemy uciekać się zawsze za tymi mądrzejszymi od nas, w greckie ataraksje, indyjskie nirwany, i jakie by tam jeszcze nie były. Kiedy oddać się omdlale temu natchnionemu rozwiązaniu, kiedy usunąć się w cień i monotonię braku wszystkich pożądań, zapatrzeniu się we własny pępek, odwróceniu ócz od wiecznie drażniących i ekscytujących spraw fizycznego życia, to stajemy na progu właśnie najczystszej i najbardziej wyszukanej chwili spokoju, śmierci.

Ale teraz się żyje i jest się zewsząd oblepionym ciastem życia. W którą stronę się ruszyć, jak nie zadać sobie ciężaru tego, jak nie westchnąć w siebie powietrze, życie przecieka, przeszywa nas jak kosmiczne promienie. Pełne życie, pełna świa-

domość i stany omdlałe, komy, stany nieuwagi, obojętności i wreszcie snu. Nawet we śnie się żyje, nawet we śnie przychodzi sen, dzikie, poplątane, niewyraźne zlepki jawy, przerażające albo rozkoszne, dziwaczne i niewyrozumiałe. Wielki demokratyczny sen, sprowadzający do tych samych drzeń sny bogaczy i ubogich, sny zbrodniarzy i tak zwanych świętych, sny dzieci i dorosłych, kobiet i dziewcząt i mężczyzn. Przed snem powtarzało się monotonnie, przez poziewywanie, klęcząc u łóżka, wpatrzonym w oleodruk z Mater Dolorosa i serce siedmiu mieczami przeszyte, albo w deseń dywanu, powtarzało się: „Aniele stróżu mój, Ty zawsze przy mnie stój”, a potem już szybko pytlując, „rano, wieczór, we dnie, w nocy, stój mi zawsze ku pomocy...”, deseń dywanu zachodzi na siebie, łśni poręcz łóżka, i pufią się tęgie okrągłizny poduszek. A potem jest już tapeta na ścianie, krąg od lampy na suficie, zapach znajomego łóżka, znajome ściany, jakże znajome naokoło, jeszcze serce bije od wieczornej zmrokowej gonitwy, ale głowa ucieka, ucieka i jawa jeszcze miesza się ze snem, a potem jest otchłań ciemnozielona? snu...

A inny dziwny stan jest u przebudzenia niezwyčajnego, kiedy, niezwyčajnie w zimie, budzę się do rana które jest jeszcze nocą, zimowe rano Roratów, kiedy jest jeszcze noc i pali się kuchenna lampa, pomarańczowym, kaprawym świeatełkiem i jest od niego dziwnie na pół raźnie, niezwyčajnie. Czarne okna, od których oczekiwało się dnia, czarne i tępe, i światło lampy kładzie się na ściany, włochaty płomień lampy. I — i coś się tam dzieje, jak w tajemnicy, poranne krzątanie się kogoś, a po wypoczynku snu, wszystkie zmysły są naostrzone wspaniale, zmysł zapachu, kiedy czuje się nosem jak pachnie szatkownica, którą wczoraj szatkowano kapustę i układano w beczce przedzielając deskami i kładąc na luźne dno na górze ciężkie kamienie, szatkownicę wypożycza się, i ktoś, chłop, przydźwigał ją na plecach. A szatkownica to bardzo prymitywne płaskie koryto drewniane, w pośrodku poślizgu jest ustawionych płasko kilka noży i suwa się po poślizgu głowę kapusty, i odstruguje się ta kapusta jak w mikrotomie, i pozostają kaczany, które kiedy się gryzie są wodniste i słodkawe. Ale teraz lampa się pali i pochwyćć można zapach mąki, bo coś się tam przygotowuje do pieczenia, i miesi się ciasto i buzuje wczesny, młodziutki, niedojrzały ogieniek pod blatem kuchni, i jest niezwyčajnie w to ciemne, nocne roratowe rano.

W roratowe rano, wyrwane jedno z dzieciństwa, oddzieje się wszystko. Jeżeli nie brać pod uwagę przywiązane do tego religijnego, niesformułowanego, liturgicznego szczepienia się z tym idei o czymś nadrzędnym, tłumaczącym po prostu i prymi-

tywnie i usprawiedliwiającego niepewność istnienia, to wtedy pozostaje mieszanina niepokoju i ciszy rzeczy dziejącej się sama przez się, uporządkowanej, że rano, że jeszcze ciemno i noc zimowa, że po wypoczynku i błogo jeszcze od katalepsji i udurzenia snem, że przy tym niezwykajnie, bo przedtem jeszcze się to nie wydarzyło, nie było jeszcze przedtem takiego rana, cieniutki brzask, nienormalność godziny porannej i spokój z tego płynący, dobroduszość kaprawego światełka lampy.

Bo potem trzeba znowu wyjść naprzeciw świata, przetłumaczonego na folklor mamy. To czego się domyślam i tego powiedzianego mi w języku szablonowym, w skrótach, słowach i powiedzeniach. Strach, który ze sobą przyniosłem, niewytłumaczalny instynktowny strach, zostaje mi wytłumaczony, podany i spreparowany w słowach. Nie dlatego się boję, że mam doświadczenie tego, ale dlatego, że ziarno z tego przyniosłem ze sobą. Przesiadam się tylko z niewytłumaczalnego w wytłumaczalne, opowiedziane, w słowa, które ubieram zresztą i stroję po swojemu. Strach przed fizyczną presją. Wszystko jest po temu. Mówią, a opowiadają o „pasach”. Pasy. Pasy. Przymknę oczy i widzę je. Owszem widziałem gdzieś pasy transmisyjne. Mogło to gdzieś być. Szerokie taśmy z juchtu, skóry, zszywane na spojeniach surową skórą, wyslizgane i gładkie, leżące na swych kołach transmisyjnych. Nawet to ładnie wygląda kiedy koło zamachowe lokomobili zawyje i szprychy kół transmisyjnych zaczną się obracać, naprzód powoli, a potem coraz prędzej i pas jakby się zawahał i potem rusza swym posuwistym ślizgiem, spojenie, szycie surówką czy nitami miedzianymi pojedą i uciekną i zaraz nawrócą, pas ma zwis i tolerancję i zabalansuje, zasyczy i pójdzie skręcony w ósemkę jak znak nieskończoności, jak powierzchnia która nie ma dwu stron, zahušta się, samolubnie, samotnie i napędza się w huku maszyny. To jest jedna sprawa. A teraz opowiadają — „pasy”. Chwyciły go pasy. I teraz całą wyobraźnię trzeba zwoływać, ciągnąć z rozmaitych zaułków, domyślniki, wrażenia. Porwany przez pasy. Kto? Człowiek! ten niesprecyzowany, nieznan, ogólny człowiek. Człowiek. Można go nieco sprecyzować jak się trochę pomyśli. Nie będzie to naturalnie ktoś z naszej sfery, nie, niemożliwe. A właściwie możliwe, może się zdarzyć ktoś niepowołany zbliżający się do niebezpiecznego miejsca. Ale w każdym razie ten człowiek, o którym się mówi, to będzie coś bardziej z robotnika z dołu, z wyrobnika dniówkowego, który ma coś tam do roboty, albo może to był chłop, który tam przywiózł mąkę do zielenia, furman, człowiek bardziej pasujący do wyobrażenia ogólnego gatunku, nienazwany, niesprecyzowany człowiek. I dlatego jest strasznie. Bo blisko mnie.

Mogę sam być łatwo, bliżej tego nieimiennego człowieczeństwa. Człowiek, bliski mi tak że identyfikuję się z nim. Człowieczeństwo nasze jest tak podobne że jesteśmy jednym. Jesteśmy jednym i nie jesteśmy. Bo jakto, myślę swoim dziecinnym wyobrażeniem że pasy! Pasy chwytają człowieka, trochę wtedy przeobraża się to w imaginacji w jakąś kukłę szmacianą, popsutego pajaca, który szarpnięty i porwany pasami rzucany jest o ścianę. Pasy, tragiczne linie pasów krzyżujących się, w których tragiczną siatkę, celne kierunki, chwycony jest człowiek, człowiek, to znaczy i ty i ja i on, każdy z nas, i wtedy o bezsilności! o bezwładności! o nieporadności ludzka! pozostawiona sobie samemu, kiedy za jedyne współczucie pozostaje spazm strachu i paniki w oczach innych, człowiek pozostaje samemu sobie w okrutnej chwili, chwycony w pasy transmisyjne jak tragicznie krzyżujące się asymptoty, znak muzyczny na liniach strun, wykrzyknik tragiczny i samotność. Potem to jest sobie trudno wyobrazić. Zlepić to sobie można, fura chłopska o słońce czekająca u bramy szpitaliku powiatowego, potem długie miesiące pośród jodoformów, potem rekonwalescencja na zapiecku brudnej chłopskiej chaty i wreszcie kikut ludzki u wydeptanych progów cerkiewnych albo miamlący „Ludy — Hospody pomyiuj” pośród kurzu jarmarcznego. Ale to już za wiele jak na jeden niedorośli mózg. Zresztą czekają inne trwogi.

Kiedy po pałającej godzinie dnia letniego przyjdzie burza. Kiedy zawierci, zakręci w powietrzu liśćmi i źdźbłami traw, kiedy rozwarczy się piorun, wpośród kłębiących się chmur burzych, rozświeci się błyskawica, ażeby zasunąć, biały, niebieski dzień stalową nakrywą chmur, i lunie deszczem, a deszcz raz skropi się po szybie okiennej, inny raz zacieknie płaskimi pionowymi strumyczkami i dzień i znajomy dom i ogród staną się jakże opuszczone, wpośród pionowych mórz, oceanów na sztorc postawionych, przyciśnięte do ziemi płaskim stropem, klaustrofobicznym sklepieniem chmur. I wpośród tego żywiołu staje się strasznie. Wydaje się, że już nigdy nie znajdziemy się na suszy, że niedawny świat słońca i szerokiego oddechu skończył się, że zostaliśmy sami. Zachwiała się w nas ufność i spokój codziennego dnia, jesteśmy sami wpośród wód i tylko blaszana rynna, wściekle rzyga wodą deszczową, jak gargulec katedry Nôtre Dame, i znów zatnie deszczem po ścianach domu i wiatr przygnie drzewka wiśniowe w ogrodzie. Na zalanej wodą ziemi podwórza aż włochato od rozpryskujących się kropel, jedna raszpla, i piorun i znów piorun. Patrzymy wtuleni w siebie, w ten chaos, w naturę, która nagle wyzwała się z jarzma swego porządku, jesteśmy wpośród kataklizmu, jakbyśmy mieli być uniesieni

szturmującą falą przyływową, albo jakbyśmy cudem wybrani byli nieszczęśli, jak nieszczęśli u stóp Mont Pelé Martyniki. Przybiega nam niepokieszający słowniczek domowego folkloru, że „żelazo” że zawsze należy oddalić od siebie żelazo, bo żelazo ściąga pioruny, że potem są takie, że wpadają jak kula ognista, przypomną Beniamina ze wszystkich możliwości Franklina i jego latawce ściągające iskrę elektryczną, folklor dzwonka loretańskiego rozdzwonionego na trwogę wpośród trwogi, podnoszące to wszystko do kwadratu i rzyga rynną blaszana wodą, tłustym strumieniem wody i powtarza się sobie samemu drżącymi wargami, że to już było, że był potop, *déluge*, i że potem była tęcza przymierza i że już nigdy więcej i nigdy więcej.

A potem przychodzi wieczór i wpośród burych chmur błyska złote, jakby zawstyżone światło, słońce zarumienione tym, że nas opuściło i zdało na łaskę nawałnicy, i wszystko błyszczyci dookoła od wody, ale ten świat nie jest jeszcze pewny siebie jest zmokły jak zmokła kura, wszystko wokoło zwiotczałe, zbabczące od wody, wydaje się, że rzeczy straciły swoją solidność i stały się jakby ze śliskiej gumy. Czego się dotknąć to mokre, i niesolidne, czemu tu zawierzyć, niepewny świat, nieprawdziwy, z jednym deszczem zmieniło się i z jednym deszczem przychodzi zwątpienie i rozczarowanie, i już nigdy nie oprzeć się. Zmyła to woda deszczowa, dziwna woda, deszczowa, „deszczówka”, która zebrała się w tęgich cebrach i beczkach u okapów domu, rozkałabaniała się w kałuże, wylała się z rowów i przecieka teraz wszędzie brudnymi strugami.

Ale jest już radośnie, jest już wesoło, bo reakcja, bo ulga i zmartwychwstanie, popioły strachu rozsypują się za nami i już jesteśmy i anektujemy to nowe i anektujemy to w ten sposób że brodzimy w brudnych, mętnych wodach podwórzowej i przed-domowej powodzi i nie ma zmartwienia nawet w tym, że rozcinam sobie podeszwę na butelkowym rozbitym szkle na dnie rowu chlustającego wodną posoką świata.

Tak zaczyna się życie. Tak ma się z wtajemniczeniem. Tak reaguje mój naskórek, tym jestem. Będę teraz szedł, błakał się pośród tego. Będę się parzył i odrapywał wpośród kantów. Zasłucham się w folkloru, poddam się narkotykowi słowa innych, będę czepiał się fałd innych, będę odbierał szturchańce, pchnięcia albo spocone podane dłonie. Będę się buntować stadu i będę mu się oddawać, cisnąć się pośród jego ciżby. Będę wołał raz ostry, dziewiczny oddech przepaści w górach i będę zamykał się w oborze na odmianę z innymi. Będę trzymał się jednego kołu w płocie ażeby puścić się go i chwycić innego. Będę myślał: to jest właśnie to co jest warte, a tamto to nie było warte. Będę graczem, będę

się hazardował niechcący, będę chwycił palcami los. Będę raz mądrym, wyrachowanym wybieraczem tego losu, innym razem będę bezprzykładnym korkiem poniesionym po fali. Raz będę jednością z całością innym razem będę sam, zupełnie sam, nic innego nie będzie się liczyć tylko ja sam. Będzie mi tak, jakby świat to był ja a ja to świat. Kiedy mnie nie ma, nie ma świata. To mam w sobie wszystkie bóle i wszystkie szczęścia świata. Będę się samego siebie pytał na jakie buty to się komu zdało. Potem będę pełen rezygnacji. Potem rozentuzjazmuję się do czegoś, potem przyjdzie znowu zmęczenie. Ale będę. Ale będę.

SPIS TREŚCI

Stypa	7
Co nowego w kinie?	13
Coup de grâce	26
W Paryżu i w Arkadii	29
O Stefci, o Chaimie Immerglücku i o scytyjskich bransoletkach	42
Poker w Gorgonach	52
Meine liebe Mutter, sei stolz ich trage die Fahne	70
Madrygał dla Anusi	76
Deszcz	88
Polowanie z Maupassantem	91
Biały Mazur	99
P. I. M.	114
Jak wiosna przyjechała	124
Gołębie z Placu Teodora	128
Dziwnie było, bo... ..	136
Jeździec bez głowy	151
Marsylianka	157
„Dziewczynka z nóżkami na księżycach”	170
Barbarzyńcy patrzą w krajobraz podbitego kraju	180
Kawaler z morskiej pianki	194
Pejzaż ze wschodem słońca i obiektami ze stali	201
Henry Bush i jego samolot	206
Z kroniki o latającym domu	220
Pierścień z papieru	227
Fragmenty	232

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 3 AVRIL 1963
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 2^e trim. 1963

ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 3 AVRIL 1963
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
M. RICHARDSON
Dépot légal * BIBLIOTHÈQUE

